JULIA HARTWIG
WIERSZE

KAZIMIERZ BRANDYS
OBRONA „GRENADY"

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

MIECZYSŁAW JASTRUN
TOMASZ MANN CZYLI
O POWOŁANIU ARTYSTY

MAKSYM GORKI
LEW TOŁSTOJ

JULIUSZ ŻUŁAWSKI
SŁAWIANIE, MY LUBIM
SIELANKI

PAWEŁ JASIENICA
KREW POBRATYMCZA

ZYGMUNT MYCIELSKI
O „CHOPINIE" IWASZKIEWICZA

Rok 12 / 1956

TWÓRCZOŚĆ

1

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:
no. 3-6, 8-11 [redacted] 1956

TWÓRCZOŚĆ

STYCZEŃ 1956

1

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XII STYCZEŃ 1956 Nr 1

SPIS TREŚCI

Julia Hartwig
OCZEKIWANIE CO WYCZYTAĆ MOŻNA Z TWARZY DZIECKA URODZIŁAŚ SIĘ... SPÓR O DZIECKO WRÓŻENIE Z RUCHÓW DZIECINNA ASTRONOMIA
Str. 5

Kazimierz Brandys
OBRONA „GRENADY"
Str. 9

Seweryn Pollak
PŁOCK . . . (JAK PRZEBUDZONY...)
Str. 34

Krzysztof Mianowski
PIERWSZA MIŁOŚĆ
Str. 36

Zbigniew Szymański
MARIO! PŁOMIEŃ!
Str. 48

Mieczysław Jastrun
TOMASZ MANN CZYLI O POWOŁANIU ARTYSTY
Str. 49

Juliusz Żuławski
SŁAWIANIE, MY LUBIM SIELANKI...
Str. 57

Poeci świata w hołdzie Mickiewiczowi

Behçet Kemal Çaglar
NAD PORTRETEM MICKIEWICZA (tłum. *Małgorzata Łabęcka-Koecherowa*)
Str. 61

Laurie Lee
PRZYJAZD DO BOMBAJU (tłum. *Juliusz Żuławski*)
Str. 62

Gieorgij Leonidze
. . . (I JA ŻYJĘ...) (tłum. *Mieczysława Buczkówna*)
Str. 63

Saghar Nizami
ODA DO MICKIEWICZA (tłum. *Olgierd Wojtasiewicz*)
Str. 63

Abraham Szlonski
PRZECIW PUSTYNI (tłum. *Artur Sandauer*)
Str. 65

Ragnvald Skrede
BIAŁY PTAK (tłum. *Adolf Sowiński*)
Str. 66

Maksym Gorki
LEW TOŁSTOJ
Str. 68

Paweł Hertz
Z DZIENNIKA LEKTURY
Str. 102

Paweł Jasienica
KREW POBRATYMCZA
Str. 108

Archiwum
WSPOMNIENIA WACŁAWA MAKOWSKIEGO O ELIZIE ORZESZKOWEJ
Str. 125

Książka miesiąca
O „CHOPINIE" JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA — *Zygmunt Mycielski*
Str. 136

Wśród książek
OD KATASTROFIZMU DO POEZJI POLITYCZNEJ — *Michał Głowiński*
Str. 140
„A MNIE POTRZEBNA JEDNA MUZA SKROMNA" — *Hieronim Michalski*
Str. 145
POKUSA PIĘKNEGO GESTU — *Jerzy Kwiatkowski*
Str. 149
NOWA POWIEŚĆ BOGUSZEWSKIEJ I KORNACKIEGO — *Janina Preger*
Str. 152
MNIEMANY APOKRYF — *Stefania Podhorska-Okołów*
Str. 154

Na widnokręgu
W HOŁDZIE MICKIEWICZOWI — *ji*
Str. 157
Z PRASY — *Andrzej Kijowski*
Str. 157
TECHNIKA — PROBLEM HUMANISTYCZNY — *Arnold Słucki*
Str. 160
NARADA W SPRAWIE LITERATURY DLA WSI — *Józef Spinc*
Str. 162
KTO TO JEST CZUANG TSY? — *Claude Roy (tłum. Jan Błoński)*
Str. 165
SPÓR O „TITANICA" — *Władysław Kopaliński*
Str. 169
WOLNOŚĆ — NIE ZAWSZE DLA MILIONERÓW — *Julian Stawiński*
Str. 175
ŚLADAMI „BIAŁEJ JASKÓŁKI" — *Bronisław Cirlić*
Str. 179

Noty
Str. 181

Książki nadesłane
Str. 189

REDAKTOR NACZELNY
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, cent. 8-24-11, wewn. 54. Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 7.— Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—
Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe i listonosze.
Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 7123/c z dnia 7.XII.1955 r.
Nakład 5860 egz. Druk ukończono w styczniu 1956 r. B-6-16009.

Julia Hartwig

OCZEKIWANIE

Tak, w taką właśnie burzę czerwcową,
w nawalny deszcz!
Kiedy niebo rozpęknie jak czarodziejska pocztówka,
w górze ukaże się słońce — to wschód,
w dole księżyc pękaty i gwałtowny —
to noc się cofa za tarczą jasną.
I zapachnie powietrze.
Drzewa na mokrej ulicy staną jak olbrzymy
i rzucą się w ciemność spragnione kwiaty z balkonów.

Wtedy urodzi się dzieciątko
nagie jak gwiazda na sianku światła
i uśmiechnięte krążyć zacznie w gwiazdozbiorze
na wiele, wiele lat.

CO WYCZYTAĆ MOŻNA Z TWARZY DZIECKA

Najpierw panowało na niej takie zamieszanie
Jak w bezładnie zbieranym bukiecie
(Buzia małej — bukiecik kwiatów);
Najpierw panował na niej chaos i nieporządek
Połączonych rysów obojga rodziców:
Śmiała się natura lepiąc tę buzię
Z dwu dorosłych twarzy.
Potem buzia porządkowała się,
Jak rozjaśnia się niebo po burzy
I z mgiełek grymasu poczęła wyłaniać się
Nowa, bielutka twarz małej
(Twarz małej — biały bratek);

I poczęły biegać po niej uśmiechy
Nieuchwytne jak błyski słońca w lusterku.
I choć wszyscy dokoła brali je sobie na własność,
Uśmiechy te dla nikogo jeszcze nie były przeznaczone.

URODZIŁAŚ SIĘ...

Urodziłaś się w porze letniej obfitości,
Urodziłaś się w porze burz.
Co noc otwierał się i zamykał horyzont
Z łoskotem.

O trzeciej, było już po świcie,
Szła twoja matka przez deszcz,
Przystawała,
Szła uśmiechnięta.
Drzewa pachniały znieczulająco,
Ciepła mgła wypełniała ulice
Mokrej i pustej Warszawy
A twoi rodzice szli jej ulicami
Okryci fałdami deszczu,
Szli krok za krokiem
Jak podróżnicy zdrożeni długą drogą,
Jak postaci prastarego misterium,
W którym z łez gęstych i płynących bezustannie
Urodzi się nowe źródło łez,
Nowy błękit
Oczu dziecka.

SPÓR O DZIECKO

Wiatr szumi a imbryk w kuchni mu zazdrości.
Spierało się o dziecko kilku ogrodowych gości;
śpiewały liście na brzezinie:
jak my szeleścimy, tak ono we śnie oddycha.
A wilga: kiedy się nagle we śnie zadziwi,
jak ja kwili.
A kot: jak ja się przeciąga.
A kura: dziecko gaworzy
jak ja, kura gospodarna, gdy szukam ziarna.

Nawet z wielką głową wrona,
co złą ma wśród ptaków renomę,
chciała się do sprzeczki wmieszać.
I mały wieprzaczek pysk otworzył na ścieżaj,
ale zmilkł zaraz, bo mu z dębu
dojrzały żołądź wpadł prosto do gęby.
To właśnie w tej chwili
dąb do osiki z lekka się pochylił
i coś jej z pobłażaniem o tym sporze gadał.
Tak wszyscy się kłócili, każdy coś rozumiał,
tylko rodzice, co dziecko to na świat wydali,
stali jak durni, bo nikt z nich mowy tej nie umiał.

WRÓŻENIE Z RUCHÓW

Kiedy zasypia z rączką podniesioną do góry,
Jest jak mały Napoleon wzywający do bitwy
— najśmieszniejsza.
Kiedy splata je w powietrzu falisto pod brodą,
Jest jak rozmarzona kobieta
Wsparta na parapecie okna
— najsentymentalniejsza.
Kiedy przebiera rączkami goniąc niewidzialne motylki,
Kiedy zasypia przegięta jak tancerka z Tanagry
— jest najzwinniejsza.
Czasem jeszcze rozkłada obie rączki w górze
Jak ksiądz, co udziela błogosławieństwa.
Czasem zapatrzy się zezem jak głupkowaty klown,
Kiedy się w cyrku rozbłaźni.
Czasami się rozszlocha jak wielka dramatis persona.

A to przecież tylko ona,
Maleńka córeczka w powijakach.
Zaledwie widoczna
Mała gąsieniczka człowieka.

DZIECINNA ASTRONOMIA

Dziś takie wszystko maleńkie
Na wielkim firmamencie.
Niebieskimi cackami rządzi córeczka.

W nocy wszedł księżyc taki wąziutki
Jak ścięty paznokietek córeczki.
Pokłon ci, księżycu, niemowlątko księżyca!
Witaj, i bądź nam łaskawy.

Potem przejechał niebem Wielki Wóz,
Ale był taki w sam raz,
Jak wózek dla dziecka, nieduży.
Toczył się krzywo jak w wesołym śnie
I usiany był w małe gwiazdeczki.

Potem się całe niebo zasypało
Zabawkami jak wielki sklep.
Tu Niedźwiadek biały a tu Waga,
Naszyjniki, błyskotki i Ryby.

Lecz największa była radość wtedy,
Gdy na chmurce wjechały Bliźnięta.
Noc trzymała je w czułych ramionach,
Podawała im pierś uśmiechnięta.

Lecz Bliźnięta, choć łakomie piły
Ze strumienia, co hojnie się toczył,
Coraz krople bielutkie roniły
Na niebieską suknię matki Nocy.

Bo córeczka uśmiecha się we śnie.
Siostro Nocy — szeptałam we śnie,
Siostro Nocy — nie odchodź jeszcze,
Bo córeczka idzie Mleczną Drogą,

Julia Hartwig

Kazimierz Brandys

OBRONA „GRENADY"

1

Olek Just stał z rękami w kieszeniach na przystanku koło Foksal i patrzył w słońce. Miał jeszcze na sobie ślady po Festiwalu: pomarańczową koszulę w zielone pasy, ściągniętą z jakiegoś Norwega, i wytarte welwetowe spodnie. Kiedy spytałem, co słychać, odpowiedział: „Umarł Tomasz Mann". — „Prasa doniosła o tym z górą miesiąc temu; Just, czy sądzisz, że nie czytam gazet?" Powtórzył: „Umarł Tomasz Mann" i wysłuskał z kieszeni garść fistaszków.

„Mówią, że przez nas. Zapuścili bródki i wołają: patrzcie, coście zrobili! chłop wam nie ufa, nie wydawaliście Conan-Doyle'a i przez was umarł Tomasz Mann. Czytasz gazety? Skoro czytasz gazety, powinieneś także wiedzieć, kto wygłosił referat na akademii pośmiertnej w Instytucie. Nasz znajomy: Doktor Faul."

Odszedł niezgrabnymi krokami, wzbudzając ciekawość przechodniów swoim wzrostem, koszulą w paski i twarzą smętnego wyżła.

„Just! — zawołałem — poczekaj!"

*

Będzie mowa o Doktorze Faulu. Dlaczego tak go nazwano? Jego nazwisko brzmiało inaczej. Ale uchodził za mędrca, a jego metoda — twierdzą dzisiaj niektórzy — polegała na nieczystej grze. Przypuszczam, że stąd się wziął ów przydomek, rzucony zapewne żartem parę miesięcy temu. Przedtem nazywano go po prostu „Doktorem"; jakkolwiek sam nie lubił się tytułować.

Zastanawiająca powierzchowność. Nie przez szczególne rysy, lecz właśnie przez ich brak. Trudno by opisać jego wygląd. Ktoś, widząc go po raz pierwszy, powiedział: to anonim. Szary, średni i jakby pozbawiony wzroku, patrzył szkłami, w których rozmówca łatwiej mógł spostrzec swoje pomniejszone odbicie niż ukryte za nim oczy. Ubierał się starannie, w nieokreślonych kolorach; barwniki krajowej produkcji zlewały się z odcieniem jego włosów. Powtarzam: uderzający przez swoją nijakość. Gdyby jego twarz należała do innego człowieka, nie potrafiłbym jej chyba zapamiętać. Ale ponieważ należała do niego — pamiętamy ją.

Pracownicy Instytutu wyrażali się o nim oględnie. Nie prześladował pod-

władnych. Julka Glińska pracowała przez parę lat w jego sekretariacie. „Raz na tydzień pytał mnie o dziecko — mówiła — i czy był tłok w tramwaju." Straciła pracę — w kilka dni po aresztowaniu jej męża — „w związku z reorganizacją etatów". Wystarałem się jej o miejsce sekretarki w „Grenadzie".

W roku 1945 wyszło z wojny dziesięć młodych roczników. Dziesięć młodych roczników nieco innych niż my. Wojna zabawiła się z nimi w zawrotną pięciolatkę. W ciągu tych pięciu lat dni pękały od doświadczeń, z których każde z osobna mogłoby naładować całe życie człowieka. Śmierć, miłość i głód były przedmiotami codziennej edukacji; zdobywano ją na ulicach i podwórkach. W tych pięciu latach wszystko się zmieściło i wszystko przepadło. Świat nie widział dotychczas takiego tysiąca walecznych. Wielka, luźna gromada szła z pustymi rękami rozpoczynać powszedni dzień. Wracali, jeszcze zapatrzeni w blask swych płomiennych przygód, ale już gorzcy od ich daremności. „Płaciliśmy za tę noc zapomnienia" — opowiadał mi Olek Just.

Cóż wiedzieli o człowieku? Że może pójść na mydło. Mniej więcej tyle samo wiedzieli o narodzie. Byli z narodu, który mógł zginąć. Prócz mocnej chęci życia nic im nie zostało. Ponieważ nic mi nie zostało — myśli człowiek — ponieważ wszystko mnie zawiodło, niewiele mam do powiedzenia. Po pięciu latach wojny nie umiem mówić. Potrafię tylko krzyczeć: nigdy więcej! — ale nauczcie mnie mówić. Chcę się posługiwać ludzkim językiem, określać pojęcia: dobre i złe, powiedzieć: „to jest niebo" i „to jest ziemia", mówić „tak" i „nie", a nawet po prostu stwierdzić, że „Ala idzie do lasu". Proszę was, stwórzcie mi alfabet, napiszcie mi go wyraźnie, wielkimi literami, nauczcie mówić — mnie, człowieka.

Tak zwracał się do swoich nowych dni. Nie pozostały głuche: człowiek otrzymał alfabet rewolucji.

Rewolucja — dowiedzieliśmy się o tym — może mieć różne formy, ale jednej musi się strzec: małości. Każdym swoim dniem powinna zdumiewać, porywać naprzód (nie darmo porównywano ją do rozpędzonego pociągu!) i nie pozostawiać ani chwili opóźnionym. Źle, gdy opóźnieni zabierają głos: jeśli ich słychać, to znaczy, że koła rewolucji obracają się leniwie. Dzieje teatru „Grenada" stanowią w tej mierze ostrzeżenie.

„Grenadę" założyli we trzech. W ruinach kamienicy na Polnej przetrwał ślad dawnej sali kinowej. Wyrywali paproć z podłogi, na balkonie można było odpocząć w cieniu dzikiej gruszki. Chcieli mieć swój teatr. W wieczory powstańcze deklamowali szturmowcom *Kwiaty polskie*, dziewczęta płakały. Chcieli mieć teatr, niektórzy otarli się o szkołę teatralną i recytowali z pamięci Norwida; prócz tego niewiele umieli: kłócić się o Polskę i rzucać butelkami w czołgi. Zbili ławki z desek i załatali dach, dziewczęta pomalowały ściany.

Ktoś im pomógł, dostali pozwolenie z Ministerstwa i trochę pieniędzy. Powstał zespół „Grenady" — młodej sceny poetyckiej, tak się to zrazu nazywało. W długiej, wąskiej salce słuchano teraz Majakowskiego, Swietłowa i poezji młodych. Potem chłopcy o rozczochranych czuprynach wołali: proszę o głos! Do późna trwały dyskusje, w Warszawie mówiono, że na Polnej uwiły sobie gniazdo drapieżne pisklęta. Wiersze przestały im wystarczać, zanosi się na teatr rewolucyjny. Nie wiadomo kiedy stali się komunistami. W barach kawowych krążą o nich dowcipy: czy używają szczoteczek do zębów?... „niejaki Szekspir" — podobno tak się jeden wyraził w dyskusji... Nie doceniano ich

solidarności: ufali tylko sobie, podejrzliwi wobec każdego, kto przeżył wojnę inaczej niż oni. Wszędzie węszyli sztuczki — już raz dali się wystrychnąć; kupić ich równie trudno, jak wzruszyć; w swoim czasie sami płacili po najwyższej cenie, nie był to czas tkliwości. I teraz nie dziękowano im nazbyt serdecznie, musieli się wyliczać z ran. Niektórzy potrafili się zdobyć na szorstką rezygnację wobec nowego czasu: zaostrzał ich ciekawość. Rewolucję powitali z respektem: ta pancerka z czerwoną flagą wygląda interesująco. Wyrzuceni z pogruchotanych transportów, tęsknili za solidną walką, za celowym wyposażeniem. Oto czego im brak: światła, przy którym by zgasł błysk ich blaszanej broni, światła a u t o r y t e t u. I wreszcie pociąg rewolucji załadował tych romantycznych, zgorzkniałych podróżnych na trasę nowej przygody.

2

„Kopniemy w brzuch drobnomieszczanina, należy mu się to od dawna. Jeśli ci się zdaje, że można będzie nas ugłaskać, mylisz się. Nie ma łagodnej rewolucji. Właśnie nasza, dlatego że oszczędziła krwi, musi swoimi słowami przykładać rewolwer do skroni. Znasz tę sztukę? Przyjdź do nas na Polną, posłuchasz czytanych prób. Widzę, że się uśmiechasz. Na premierze nikt się nie będzie śmiał. Prawda, Just?"

Tak dowiedziałem się o próbach *Łaźni*. „Grenada" miała ją wystawić na jesieni, było lato, rok 1949. Mówił Piotr Sławski, jeden z „trzech". To on się uśmiechał, nie ja. Chodzili wtedy po mieście prowokując dyskusje. Szukali niezdecydowanych, żeby im okazać pogardę. Wzgardzonemu nie odmawiali łaski. Nie ufasz, nie podoba ci się? Uważasz nas za młodych barbarzyńców? Przyjdź na Polną, do „Grenady", pogadamy. Próby odbywały się nocami. Mały Sławski zamykał salę na klucz, wypijali kubły czarnej kawy. Był z powstańczej załogi Starego Miasta, przyszedł na Polną w mundurze porucznika Milicji, on jeden nie czuł się rozczarowany. Nadał im styl: drwiący, prawdomówny, daleki od wybaczania słabości. Nocne próby zamieniały się niekiedy w sądy; oskarżał, że źle mówią tekst, bo nie wierzą w to, co mówią. Stawali się do niego podobni, z czasem zatarły się między nimi różnice, wyglądali nawet podobnie: chudzi, niespokojni, bez krawatów, o dużych, niezgrabnych rękach, które lubili ukrywać w kieszeniach. Andrzeja T., przyłapanego z dziewczyną w kulisach, usunęli z prób. Jedność swoich pojęć budowali nieustępliwie: „jeden z trzech", Jacek Wojnar, musiał się rozejść z żoną, która pracowała w szwedzkim poselstwie. Zebrania partyjne trwały do rana, nie darowywano sobie żartów. We wrześniu „Grenada" przeszła pod zarząd Instytutu, na jedną z prób przyszli Swatkowski i Miernik.

Najbliżsi współpracownicy Doktora Faula w IOK-u. Instytut Organizacji Kultury mieścił się od paru miesięcy w świeżo odbudowanym pałacu na Osi Saskiej. Kilkusetosobowy personel w ciszy wypełnia plan, puszyste dywany tłumią kroki sekretarek, miedziany dach — wedle obliczeń specjalistów — ma w niedługim czasie pokryć się patyną. Patyna, oto czego jeszcze brak pałacom naszych instytucji. Swatkowski i Miernik pojawili się w towarzystwie Reny Szulc, recenzentki teatralnej *„Tygodnia"*. Byli niżsi od niej, znacie Renę Szulc, jest potężną brunetką o dużych piersiach. Wysłuchali sztuki i obej-

rzeli teatr. Rena miała łzy w oczach. Kiwali głowami i mówili: „Bardzo ciekawe", zachowując wstrzemięźliwą oględność, która zyskała uznanie zespołu. Wywarli solidne wrażenie. Nazajutrz po mieście rozeszła się pogłoska, że *Łaźnia* została zdjęta z prób.

Piotr zobaczył wtedy po raz pierwszy Julkę Glińską. Położył dłoń na jej biurku: „Powtórzcie, towarzyszko, że przyszła delegacja »Grenady«". „Zameldowałam ich, nie czekali długo" — wspominała później.

Z gabinetu Doktora wyszli po godzinie: bladzi, milczący i przekonani. Jeśli mówię „przekonani", rozumiem przez to szczególne poczucie wewnętrznego osłabienia w zetknięciu z wyższą racją. W całej naturze nie ma nic bardziej bezbronnego niż człowiek — dotknięty wspaniałym przekleństwem uczciwości. Nie trudno się do niego dobrać, podważyć jego pewność: czy nie wątpi o swoich czynach, skoro nie zna do końca ich skutków? Zawsze gotów jest zadawać sobie pytania, nie na wszystkie pytania znajduje odpowiedź, jego serce zawsze, do końca uciska lęk, czy dobrze postępował i czy jego racja służy ludziom. Wystarczy nieraz pytanie: po co? czemu to sprzyja? albo: co to załatwia? — wystarczy nieraz takie pytanie, by wpuścić mu do serca miękką, chłodną trwogę, jakiej nie znają rośliny ani zwierzęta: myliłem się, moje myśli nie służą niczemu.

Nie byłem przy tej rozmowie, ale uczestniczyłem w stu podobnych, metoda jest mi znana. Zadał im kilka pytań i sam udzielił na nie odpowiedzi. Jego szarawa postać w okularach, jego spokojny głos nauczyciela matematyki — nie budzą podejrzeń. Czy znają do końca skutki swoich czynów? Każda wyrażona myśl jest działaniem, każde nasze działanie ma tysiące następstw i w swym ostatecznym wyniku odbija się na produkcji. Czy zdają sobie sprawę z politycznej odpowiedzialności za słowo? Między słowem a jego odbiorcą odbywają się dziś procesy nowego typu, które należy uwzględniać. Jedną z cech politycznej nieodpowiedzialności jest uleganie magii pojęć. Majakowski to olbrzym rewolucji, słusznie. Ale ten olbrzym wyrósł z konkretnych warunków, historycznie niepowtarzalnych. Nie ma ponadczasowej funkcji sztuki: miażdżąca stopa tego wielkoluda mogłaby was stratować. Tak, chodzi nam o masy, bardzo słusznie. Ale czy macie całkowitą pewność, co na obecnym etapie sprzyja interesom mas? My mamy całkowitą pewność. Klasa robotnicza nie zawsze uświadamia sobie własne interesy dostatecznie jasno — my je widzimy o każdej porze. Masom należy dziś podsuwać obrazy budowania, lud musi pokochać produkcję, dzieło własnych rąk. Wszystko, co temu nie pomaga, staje się nieużyteczne. Nieużyteczne jest naszym wrogiem. Wasze argumenty są dawno określone, wasze myśli leżą posegregowane w jednej z moich szuflad, wydaje się wam tylko, że odkrywacie świat. Mówicie: *Łaźnia*, Majakowski, gniew wielkiego drwala przeciw małym wiórom rewolucji — to ładnie brzmi. Ale ja stawiam pytanie: po co? czemu to dzisiaj służy? Wróg nie śpi, czy nie pracujemy dla wroga? Przemyślcie tę sprawę, towarzysze.

Przemyślcie tę sprawę, spróbujcie oddzielić to, co w niej prawdziwe, od tego, co może stanowić niewidzialny skręt ręki sztukmistrza, wyjmującego wam z kieszeni węża. Założycielom „Grenady" zbrakło argumentów. Siedzieli przytłoczeni ciężarem nieznanych myśli, niewielki człowiek o spojrzeniu zasłoniętym szkłami jest zapewne najwyższą formułą epoki. Głośni magicy i iluzjoniści posługują się precyzyjnymi przyrządami, tworzą arcydzieła sprawności

Konieczna jest do tego nowoczesna technika i znajomość praw fizycznych oraz psychologii. Ich wolty są gołym okiem nieuchwytne, ponieważ ćwiczą je w lustrze tak długo, aż wreszcie sami nie potrafią się już przyłapać na nieczystej grze. Czy Doktor Faul był z tego fachu? Czy sprawdzając swoją metodę przed lustrem obiektywnych praw przestał w końcu dostrzegać ów nieznaczny ruch własnej dłoni, przemieniający pozór w fakt — uwierzył? Biada niedowiarkom, niejedno będzie im można wyciągnąć z rękawa!

Po wyjściu z gabinetu Sławski, Just i Wojnar nie od razu wrócili do „Grenady". Na Polnej oczekiwała ich reszta zespołu, nikt nie dopuszczał myśli, że wieści o zawieszeniu prób mogą być czymś więcej niż plotką. Godzinę przesiedzieli na ławce w Łazienkach, zaczął padać deszcz, chwilami zdawało im się, że popełnili zdradę. Usiłowali sobie odtworzyć wszystkie argumenty Doktora, dręczyła ich obawa, czy wyczerpali własne. Ukazał im nieodpartą figurę logiczną, spoistą konstrukcję, której każda część potwierdza całość, a całość utwierdza każdą część. Stali się jedną z tych części, zamknął ich w środku, nie śmieli podejrzewać zasadzki. Wymagał od nich ofiar, na to ich stać. Ale wymagał od nich najcięższej ofiary: muszą sami, własnymi rękoma, zniszczyć swoje marzenia; muszą sami rozebrać jeden gmach, a na jego miejscu wznieść drugi, i sami, własnymi rękoma, zaryglować w nim wyjścia. Już czuli zmęczenie. Brzmi im w uszach suchy głos i słowa, jakimi ludzkość określa sprawy swego bytu: naród, praca, historia... Było ich trzech. Każdy popełnił w życiu przynajmniej jedną omyłkę. Żaden nie chciał rozminąć się z prawdą swojego czasu, kochali ciemny i nierozwikłany Dwudziesty Wiek. Dlatego siedzą teraz na ławce w Łazienkach, przejęci troską, by to, czego od nich żądano, okazało się głosem stulecia.

W parę dni później do kierownictwa „Grenady" weszli dwaj nowi pracownicy: Swatkowski i Miernik.

3

Pamięci Antoniego Czechowa

Nie są do siebie podobni, a jednak łączy ich wspólna powierzchowność. Rzadko chodzą oddzielnie, aczkolwiek nie powinni ukazywać się razem: tworzą wówczas jakby dwie części nieco wstydliwej całości. Ich oszczędne ruchy, zasznurowane, małomówne usta nadają im odświętną godność krawców, ale na dnie ich bladych spojrzeń kryje się niespokojna wiedza o doświadczeniach, w które zapewne obydwaj są wmieszani.

Wiosną pojechali wspólnie w delegacji służbowej do NRD. W Berlinie, pociągnięty chęcią skosztowania zgniłego jabłka kapitalizmu, Miernik na własną rękę udał się do zachodniego sektora. Szedł przez Kurfürstendamm, z lekka osłupiały własną zuchwałością, mijając co krok zjawiska, które piętnował w swoich artykułach i przemówieniach. W pewnej chwili połaskotał go niemiły dreszcz: co by na to powiedział Swatkowski? Znali się przecież gruntownie. Pod wpływem tej myśli jakoś stracił humor; rozejrzał się, szukając najkrótszej drogi powrotu, gdy przypadkiem jego wzrok spoczął na wielkiej szklanej tafli narożnego sklepu i Miernik zobaczył kapelusz.

Na wystawie było wiele innych rzeczy, ale Miernika przede wszystkim zastanowił ów kapelusz, złożony na miękkiej bieli sztucznie sfałdowanego jed-

wabiu. Podszedł bliżej i trochę od niechcenia zaczął mu się przypatrywać. Kapelusz był wyjątkowo ładny, Miernik nie umiał znaleźć innego słowa, które by lepiej określiło jego istotę. Ciemnozielony, o niezwykle gładkim połysku i łagodnie wygiętym rondzie, z wąziutką wstążką; pilśniowy. Przypominał mu niedzielny kapelusz jego ojca, który Miernik pamiętał z dziecinnych lat, ale przewyższał go czymś, czego Miernik nie umiałby wytłumaczyć. Czy mógłby kupić kapelusz swego ojca? A ten kapelusz mógł kupić, wschodnie marki miały tutaj obieg. Uśmiechnął się mimo woli na myśl o należytej drodze, jaką odbył w życiu, i poczuł dla siebie respekt. Chciał już odejść, bo doprawdy nie wypadało dłużej stać przed witryną, ale widok kapelusza był przykuwający. Mimo iż Miernik przywoływał na pamięć cyfry bezrobocia w zachodnim Berlinie, nie potrafił od niego oderwać spojrzenia. Czy rzeczywiście mógł go kupić? Spróbował sobie wyobrazić minę Swatkowskiego, gdyby go zobaczył w tym kapeluszu na głowie. Swatkowski nic by nie powiedział, a nawet, być może, udał, że nic nie zauważył. I właśnie tego Miernik się obawiał. Nieodgadnionych, tajemnych następstw kapelusza, ocen, jakieby wywołał, momentu, w którym stałby się już nie nakryciem głowy, ale przedmiotem wyjaśnień. I słusznie: czyż nie był produktem wyzysku, przeznaczonym dla wyzyskiwaczy? argumentem reakcyjnej propagandy przeciw produkcji socjalistycznej, a nawet, do pewnego stopnia, symbolem okrążenia kapitalistycznego? Jeszcze by tylko brakowało, żeby on, Miernik, przyszedł do Instytutu w okrążeniu kapitalistycznym na głowie. Cofnął się od lustrzanej szyby, lecz pociągnęło go z powrotem. Kapelusz był piękny, kusząco odmienny od krajowych kapeluszy. „Leżysz tu sobie — pomyślał Miernik — a ja stoję i na ciebie patrzę. Z osobna jesteśmy tylko człowiekiem i kapeluszem. Ale gdybyśmy się połączyli, bylibyśmy człowiekiem w kapeluszu i stałbyś się faktem w moim życiorysie. Lepiej leż tu sobie spokojnie." I nagle gwałtownie zatęsknił za tym kawałkiem zielonego pilśniu. Miałby go, miałby go na własność, miałby go dla siebie! Owszem, miał służbowy samochód i był z niego dumny (jakkolwiek musiał się nim dzielić ze Swatkowskim), miał także nieźle urządzony gabinet (mimo iż Swatkowski urzędował przy sąsiednim biurku), bilety do kina i zaproszenia do teatru, i talony do specjalnych sklepów (Swatkowski miał to samo) — ale jedna decyzja mogła to wszystko cofnąć, odebrać, i kim byłby wówczas? Co by mu pozostało? Myśli? Miernik od dawna wyrzekł się myśli, których nie dzielił ze Swatkowskim; nie miewał już ich nawet przed zaśnięciem. Więc Boże mój, co jeszcze? Premie? Takie same dostawał Swatkowski.

Miernik był pewny, że zasługuje na więcej. Należał bądź co bądź do grupy wyższych uposażeń, a więc do kategorii kierowniczej, którą powinno coś wyróżniać w oczach społeczeństwa. Gdyby miał ten zielony kapelusz, oznaczałoby to szczególny kaprys świadczący o wysokim stopniu zaufania, a nawet o pewnym roztargnieniu człowieka, który prócz swego resortu ma na głowie kapelusz, jakiego nikt inny nie nosi. „A gdyby tak wejść — pomyślał — i przymierzyć? Ostatecznie mógłby leżeć w szafie, nakładałbym go tylko w domu." Przestraszył się nieco szaleństwa tej myśli i postanowił odejść. W tej samej jednak chwili po drżeniu swoich łydek odgadł, że uczyni coś wręcz przeciwnego; i rzeczywiście: blady, oszołomiony, nagle znalazł się w sklepie.

Kapelusz pasował doskonale i Miernik stał przed lustrem, nie dowierzając własnemu odbiciu: czuł się pikantnie, ekspedientka patrzyła na niego

z podziwem. Zapłacił, podziękował za papierową torbę, nie była mu potrzebna. Wyszedł na chwiejnych nogach, delikatnie trzymając za sobą w dwóch palcach zielony kapelusz; obawiał się włożyć na głowę rzecz tak bezwstydnie piękną. Nie uszedł dwudziestu kroków, gdy spostrzegł Swatkowskiego.

Miernik zdrętwiał, ale było już za późno. Swatkowski wybrał się tu, żeby go przyłapać na Kurfürstendammie, widocznie coś przewąchał. Przywitali się dosyć obojętnie.

„A — powiedział Swatkowski — dzień dobry."

Miernikowi spociły się ręce, lewą przytrzymywał z tyłu kapelusz. Swatkowski udawał, że nic a nic się nie zdziwił, i zachowywał się tak, jak można by to sobie wyobrazić w najgorszych przypuszczeniach. Przez głowę Miernika przelatywały kurczowe myśli: co robić? co mówić? czy kapelusz da się ukryć do końca? może go upuścić? nie, jeszcze podniosą. Swatkowski także milczał.

„Niezwykła ilość żebraków" — zauważył Miernik.

„Tak — potwierdził Swatkowski — a przy tym minimalna odbudowa. Przespacerowałem się tutaj, bo mam wygłosić w Instytucie odczyt o gospodarce kapitalistycznej."

„Odczyt! — jęknął w duchu Miernik — śledziłeś mnie, ty byku." Mocniej przycisnął kapelusz do grzbietu i powiedział: „Ciekawe. Na ten sam temat zamówili u mnie artykuł w *„Tygodniu"*. Właśnie dlatego zaszedłem tu na chwilę". „Oho — zaniepokoił się — coś jakby kapnęło. Nie daj Boże. A może przejdzie bokiem."

Swatkowski przypatrywał mu się trochę niewyraźnie i dalej o nic nie pytał. Miernik miał ochotę zapalić papierosa, ale wiedział, że w jego sytuacji jest to niemożliwe: jak zapalić papierosa jedną ręką? Kapelusz piekł mu grzbiet. Patrzył z nienawiścią na łysiejącą głowę Swatkowskiego: szczęściarz, nie ma jej czym przykryć, ale też nie ma nic do ukrycia. I spostrzegł, że równocześnie Swatkowski patrzy na jego głowę, także łysiejącą. „Pada — stwierdził ze zgrozą — co teraz będzie?" Na chodniku podskakiwały już bąbelki deszczu. Stali naprzeciw siebie, przestępując z nogi na nogę, Swatkowski na coś czekał. „Łajdak — załkał w duszy Miernik, pojmując już wszystko — widział, jak wychodziłem ze sklepu!"

W tej samej chwili lunęło. Ulewa zasiekła po rozpostartej markizie narożnego baru. Nie było rady, a zresztą i tak wszystko przepadło: musiał włożyć kapelusz na głowę...

Wykonali niemal jednocześnie ten sam krępujący ruch prawej ręki, ukazując schowane za plecami takie same ciemnozielone pilśniowe kapelusze z taką samą wąziutką wstążką.

Na opustoszałym skrzyżowaniu, w szumie deszczu, patrzyli na siebie zdumionymi oczami.

4

Kopalnia „Małgorzata" na Ziemiach Zachodnich. Pracują w niej dwaj bracia Chmarowie, rębacze. Starszy jest słynnym przodownikiem, młodszy nie wyrabia normy. Starszy ma żonę i dwoje dzieci, żona jest ofiarną działaczką Ligi Kobiet. Młodszy pije z niejakim Mroczkiem, bałamuci dziewczyny i depcze czyste uczucie Hanki, aktywistki ZMP. Obydwaj mają matkę, wdowę po

starym górniku, niegdyś uczestniku powstania na Śląsku. Ciężko chora matka wyrzeka się syna, który nie wyrabia normy. Z winy sabotażysty Mroczka w kopalni następuje katastrofa. Starszy syn, przodownik, zostaje przysypany; w akcji ratowniczej bierze udział młodszy. Akcja przebiega pomyślnie, zły brat z narażeniem życia ocala dobrego. Na wieść o tym ciężko chora matka odzyskuje zdrowie. Aresztowanie sabotażysty Mroczka, którego przyłapano w restauracji z mężczyzną w ciemnych okularach. Matka przebacza młodszemu synowi, zatrutemu gazami w czasie akcji ratowniczej (jest nadzieja, że z tego wyjdzie), aktywistka Hanka wyznaje mu, że nie przestała go kochać. W obecności sekretarza organizacji partyjnej i przodujących górników bracia Chmarowie zakładają brygadę szturmową. Kurtyna.

Treść nowej sztuki pt. *Brygada szturmowa,* którą zalecono do wystawienia w „Grenadzie"; egzemplarz dostarczyła Rena Szulc.

„Doktor czytał — komunikowała poufnie — i nie miał żadnych zastrzeżeń." Rena Szulc codziennie przychodziła do „Grenady". Zadyszana i niespokojna, przemierza przestrzeń między Instytutem a teatrem w poszukiwaniu prawd na dzień dzisiejszy. Radzi wystawić, radzi z serca: „Wzmocnicie swoją pozycję, dziś chodzi o węgiel. Węgiel jest dzisiaj wszystkim". Nie była najgorsza ta Rena Szulc. Sławski mówi do Justa: „Weźcie ją stąd, na miłość boską, niech ona tu nie biega".

Nie chcieli grać tej sztuki. „Jest głupsza od nas — twierdzili — napisał ją jakiś wycwaniony frajer, chce zarobić na węglu, my znamy życie."

Krzywdzili trochę autora. Chciał zarobić, owszem, ale traktował swój utwór poważnie. Od pewnego czasu był jednym z kontrahentów milczącej umowy zbiorowej. Ważny punkt owego kontraktu zawartego po cichu proklamował dziecięcą naiwność mas. Lud jest dzieckiem, z ludem należy rozmawiać dziecinnym językiem. Skonstruowano pojęcie „nowego odbiorcy", czyli istoty nierozumnej. Mamy setki tysięcy masowych osesków, trzeba ich nauczyć, że ogień parzy, bo inaczej mogą podpalić dom. Pan w ciemnych okularach jest niedobrym człowiekiem, natomiast dziadzio-powstaniec jest bardzo dobrym człowiekiem, a grzeczne dzieci odrabiają lekcje... O, święta pedagogiko społeczna, więc tak obchodzisz się z ludem? Z ludem, który — jak sama głosisz — jest wiecznym źródłem mądrości i twórcą doświadczeń? Z ludem, który posiada gorzką jak piołun wiedzę o życiu i któremu nic nie oszczędzono z haniebnych tajemnic? Odzierany ze złudzeń i wyzuty z marzeń, wyćwiczył się w ironii, nie ufa gotowym prawdom, układanym dla prostaczków — chce wiedzieć. Nie mówmy za niego: oto co służy obiektywnym interesom mas, oto ludowy bohater, oto ludowy optymizm. Czy trzeba perswazji, by lud kochał swoich bohaterów i pragnął zwycięstwa? Ale dziś, kiedy poznał należne sobie prawa, gdy sami przynosimy mu wieści o nierozwikłanych zagadkach materii, o energii ukrytej w najmniejszej cząsteczce bytu i w niezmierzonych mgławicach wszechświata, o sztucznym mózgu i zawiłościach ekonomiki — dziś prosty człowiek c h c e w i e d z i e ć. To jedno ze zdobytych praw, których się nie oddaje w dzierżawę.

Egzemplarz *Brygady szturmowej* przechodził ciężko z rąk do rąk. Wzruszano ramionami: „Tego się nie da zagrać, autor powinien zmienić zawód". O autorze mówiono: towarzysz Optymistienko, z jego postaci scenicznych drwiono gromkimi cytatami z *Łaźni,* to fryzjer ondulujący rzeczywistość, wa-

zelina z pomadą. Czy chcemy budować socjalizm? Jeśli chcemy budować socjalizm, przemawiajmy głosem rewolucji, reakcja potrafi zabijać naszych ludzi, a my mamy zakładać freblówkę? Czy nie umarłbyś ze wstydu, gdyby ci, którzy padli od kuli faszysty, przyszli posłuchać tej sztuki? Mówmy pełnym głosem, uczmy nienawiści, miłość jest w naszej idei. „W Bukareszcie — twierdzili Swatkowski i Miernik — ma być grana w Bukareszcie. Ukazały się już wzmianki w prasie."

Jeszcze jedna konferencja w gabinecie Doktora. Sztuka nie jest wolna od uproszczeń, to prawda, nie dajemy wam złotego jabłka, dajemy wam problem do rozwiązania. Twarda, surowa materia upłynni się w waszych rękach, wyrąbiecie nowy chodnik. Inni pójdą za wami. Przełomy nie rodzą arcydzieł, historia widywała prymitywy po okresach rozkwitu. Chłop przybywa do miasta. Największa migracja w dziejach, wędrówka narodu w przyszłość. Trzeba stworzyć nowy katechizm, dać regułę społecznych obowiązków. Koledzy Swatkowski i Miernik zapoznają was z cyframi naszych statystyk, trzeba o tym wiedzieć. Zmobilizujcie zespół, inteligenckie opory potrafimy przełamać, pomożemy wam, towarzysze.

Ukazuje im daremność ich oporu. Tak spokojnie przemawia się w interesie sił nadrzędnych, wobec których niewiele znaczą ich los i sumienie. Demonstruje im nicość indywidualnych konfliktów, wszystko jest w cieniu wielkiej budowli, powstającej z olbrzymich cyfr, z milionowego wysiłku. Człowiek? Zastąpmy go słowem „ludzkość". Nie ma człowieka na dziś, jest to pojęcie do spełnienia, hipoteza robocza, służąca w budowaniu. Rzecznik praw ponadindywidualnych, zarządzał w ich imieniu przestój w człowieczeństwie na konieczny okres budowania nowego człowieka.

Brygada szturmowa weszła w próby pod koniec listopada. Piotr Sławski odczytał egzemplarz w obecności zespołu. Siedział sam na pustej scenie przy stoliku oświetlonym lampką. Kiedy skończył, przesunął wzrokiem po słuchających. Znali tę śniadą twarz o skośnych oczach z posępnym światełkiem. Nikt się nie odezwał.

„Żądają tego od nas — powiedział — zrobimy wszystko, na co nas będzie stać. Jeżeli ktoś nie czuje się na siłach, niech wstanie i wyjdzie."

Nikt nie wstał. Rozdzielono role.

5

Rozdzielono role, zaczęły biec dni ostrych prób, rok 1950. Długo jeszcze będziemy powracali do owych lat. Nie zapadł o nich ostateczny sąd i kto wie, czy nie należą do okresów, o które zawsze będzie toczyć się spór. Są to czasy zderzenia krańcowych sił, wielostronnego naporu. Dobro i zło atakuje wtedy człowieka w nowoodsłoniętych miejscach. Z tej strony dotychczas nikt w niego nie godził, więc broni się inaczej. Mówią mu: twój stary rynsztunek dziś jest nieprzydatny, twoja moralność to produkt klasowy. Ocenia cię historia, przed nią się nie osłonisz. „Jeśli ocenia mnie historia — myśli wówczas człowiek — jeśli moje serce jest tylko owocem z drzewa mojej klasy, jeśli moje czyny są tylko tyle warte, na ile czas je potwierdzi, to cóż mi pozostaje? Sumienie? Po co mi sumienie, kiedy i tak mnie będą sądzić inni. Pozostaje mi węch i słuch."

Takie słowa to bicie na alarm; wielkie niebezpieczeństwo płynie z takich słów. Ta najnędzniejsza rola, jaką człowiek może odegrać — niemy epizod mima — powinna być wytarta z naszego życia. Budując rzeczywistość, pozwalaliśmy wyrastać utopiom. Jedna z najobłędniejszych usiłowała wyrzucić za burtę pojęcie dobrej woli, oceniając działalność ludzką wyłącznie w świetle jej zewnętrznych skutków: „twój czyn jest szkodliwy, a więc chciałeś szkodzić". Tego człowiek się boi, przed tym kapituluje; wyczuwa tu nadużycie swojej ludzkiej natury, przekroczenie strefy człowieczeństwa. Istnieje dolna granica człowieczeństwa, poniżej której nie należy schodzić. Nie trzeba poddawać człowieka wszelkim doświadczeniom. Jest ból, który go kruszy, jest stopień lęku, w którym zamarza. Ta kapitulacja człowieka pod wpływem zbyt ostrych prób nie podlega kryteriom moralnym: może być przedmiotem opisu, ale nie osądu. Jeśli nie wytrzymał zbyt wielkiego bólu, to znaczy, że nie wytrzymał zbyt wielkiego bólu, ani słowa więcej. Jedno jest pewne: ludzka istota, zdana na węch i słuch, staje się głupsza od kury; sama zakreśla wokół siebie coraz ciaśniejszy krąg i boi się go przekroczyć. Jeżeli chcemy rozwijać rewolucję, uwolnijmy ludzi z magicznych kół, zakreślonych kredą utopistów.

W tych dniach najostrzejszych prób spotkałem Julkę Glińską. Jedno ze spotkań, które się dobrze pamięta. Jej mąż jeszcze nie wrócił, nie miała o nim wiadomości. „Jest niewinny" — twierdziła. Znała jego myśli, nie mógł szkodzić partii. Była z owych drobnych, silnych kobiet, które ze spokojem przyjmują należną połowę nieszczęścia. Chciała wiedzieć, jak daleko sięga oskarżenie, jak długo będzie czekać, ile ma zebrać sił. Nic nie wiedziała. Nowy kształt nieszczęścia, nieszczęście nowego typu. W jej głosie nie czułem nawet goryczy, ale zaniepokoiło mnie jej spojrzenie, podobno zaczęła pić. Od czasu zwolnienia z IOK-u nie mogła znaleźć pracy, schudła; został jej tylko dawny uśmiech.

„Żona Ryszarda?" spytał Piotr, gdy w parę dni później zagadnąłem go o jakiś wolny etat w administracji „Grenady". Tak, żona Ryszarda. Znał go z zebrań ZWM-u na Filtrowej, przed wybuchem Powstania. Przysiadł na skraju stolika z nogą opartą o krzesło. W ostatnich miesiącach postarzał się, sposępniał. Bano się jego milczenia, mówił cicho, nie patrząc w twarz. „Powiedz jej — mruknął — żeby tu przyszła jutro o 10-ej."

W kawiarniach „Grenada" była przedmiotem szyderstw. Na premierę należy przyjść w ciemnym ubraniu, *Brygada szturmowa* będzie pogrzebem Sztuki. W tym czasie rozmnożył się nowy typ snoba: ze skórzanymi łatami na łokciach. Moda wywłaszczonych ziemian, którą przejęli wywłaszczeni humaniści. Siedzieli przy czarnej kawie z sumieniem na wierzchu, konflikty mieli wypisane na twarzach. Ci profesjonaliści ubolewania głosili cichy bojkot „Grenady". Chodzili w szczególny sposób: z podniesionymi głowami, jakby dźwigając niewidzialny ciężar. „Niesplamieni" — szepcze ich spojrzenie; chętnie wywiesiliby sobie na piersi szyld z takim napisem; ich przyjaciółki czytały *Proces* Kafki i mówiły: to genialne!

Tymczasem w „Grenadzie" zaszło ciekawe zjawisko: zespół uwierzył w tekst wzgardzonej sztuki.

Później nazywano to „zatratą kryteriów", ale sprawa nie przedstawiała się tak prosto. Zespół „Grenady" składał się z ludzi. Jedną z cech człowieka jest instynktowna odraza do bezcelowego wysiłku; nie wierzyć można tylko z dala,

ale skoro przyłożyłeś rękę, jej ślad staje ci się drogi, a rzecz, na której ów ślad widnieje, jest już twoją rzeczą. *Brygada szturmowa* piękniała z próby na próbę, widzieli w niej swój wysiłek: przegadane noce, kłótnie, radości z powodu jednego pomysłu. Nikt nie śmiał już wątpić. Narzucili sobie nieubłagany rygor: to, co robimy, jest prawdą, ponieważ prawda jest w nas.

Dopiero w przeddzień premiery opadli z sił. Mieli przed sobą tylko kilkanaście godzin, tych kilkanaście godzin niczego nie zdoła odmienić. Ogarnęła ich trwoga na myśl, że wszystko zostało dokonane; przyjdą ludzie i będą ich sądzić, rzecz była gotowa, stała się nieodwracalna i obca. Jakże ubogo wygląda ich zakończony wysiłek; teraz, gdy zrobili wszystko, na co było ich stać, poczuli się jak biedacy. Sala napełnia się ludźmi, a oni mają ściśnięte gardła. Suchymi wargami szepczą swoje kwestie, w głowie im się kręci ze strachu. Tylko stara aktorka, która grała matkę, spokojnie kładzie pasjansa w garderobie. „Nigdy nie trzeba za wiele przeżywać — twierdziła — rutyna jest najlepszą gwarancją." Na minutę przed dzwonkiem wpadła zdyszana Rena Szulc przynosząc ostatnie nowiny: czy wiedzą, kto siedzi w pierwszym rzędzie? Wymieniła nazwiska siedzących w pierwszym rzędzie. Przyszli także górnicy z Kongresu, który właśnie odbywa się w Warszawie. „Nie zróbcie im zawodu" — mówi Rena Szulc. „Kto wam pozwolił tu wejść?" — pyta cicho Piotr. Zbladł, zaczęli go uspokajać. Reny już nie było. „Górnicy... — rzucił przez zęby — o górników jej chodzi, kurwie..." W tej chwili zabrzmiał gong.

Niewyraźny, gęsty tłum, światła rażące w oczy, oklaski, szurgot nóg po zapuszczeniu kurtyny. Znowu gong, szelest kartek w budce suflera, czyjaś przekręcona kwestia, upał bijący z reflektorów i znowu oklaski. Wszystko to potem przypominali sobie, jak obrazy splątane przez gorączkowy sen. Sukces! Podbili widownię! Pisano o tym w całej prasie. Ludzie przychodzili za kulisy winszować, ściskali im ręce. W ciągu trzech godzin pierwszego przedstawienia zespół na powrót zrósł się ze sztuką; lęk, który w przeddzień premiery omal nie podciął im nóg, zmiotły pochwalne recenzje. Czy nie wywoływano ich nazwisk? Ile razy kurtyna szła w górę? A młodzież! Czy młodzież nie urządziła im owacji?

Przez tydzień, dwa tygodnie żyli jakby na wyspie szczęścia, do której docierał jednobrzmiący szyfr uznania. Nikt nie pomniejsza ich zwycięstwa. Milczącym wybaczają zawiść, mogą już sobie pozwolić na tę wielkoduszność. Przez miesiąc żyli w upojeniu, pełni miłości do świata. Po miesiącu Swatkowski i Miernik wystąpili z projektem „organizacji widowni". Wniosek został odrzucony z pogardą: jeśli nawet parę krzeseł jest pustych, znaczy to tylko, że opinia o spektaklu do szerokiej publiczności dopływa powoli. Ale w dziesięć dni później projekt przyjęto: w rzędach widniały ciemne luki, połowa sali była pusta.

6

„Spróbuj zrozumieć, co się stało. Wstaw się na nasze miejsce i spróbuj zrozumieć. Dlaczego nie chcieli przychodzić? Szły tylko bilety zbiorowe. Dlaczego musieliśmy ściągać szkoły średnie? Łby nam pękały od takich pytań. W dalszym ciągu zbieraliśmy gratulacje, licealistki przychodziły z kwiatkami, całe w pąsach. Ale gdyby instytucje i związki nie wykupiły biletów zbiorowych,

dwie trzecie sali wiałoby pustką. Wiedzieliśmy o tym. Czy wiesz, że nie sprzedane miejsca same skrzypią? Tak, same skrzypią, baliśmy się tego. Spróbuj to zrozumieć. Dlaczego nie przychodzili ludzie »z miasta«? Spektakle ciągnęliśmy siłą. Raz po przedstawieniu przybiega do mnie bileterka (a tak, mieliśmy już bileterki i woźnych w zielonych kurtkach). »Proszę pana, niech no pan idzie spojrzeć.« Pod krzesłem w czternastym rzędzie znalazła pustą butelkę po ćwiartce i ogryzione kurze nóżki. Zebrałem to i wyniosłem. Dziewczyna była porządna, nie powiedziała nikomu więcej. A nazajutrz jakiś starszy robotnik przyszedł nam dziękować: »Dzieci przyślę — powiedział — żeby posłuchały. To przecie dla nich zrobione«. Powiadam ci: można oszaleć."

Wojnar, najmłodszy z „trzech". Ładne chuchro o czujnym spojrzeniu Dawida z procą, o ciemnym wijącym się runie, które przeczesuje palcami. Nie strzelał z procy, był w obsłudze moździerza na dachu Elektrowni, a potem przepłynął Wisłę i nabawił się gruźlicy. Z Piotrem łączy go przyjaźń.

Jego słowa najzupełniej odpowiadały prawdzie. *O Brygadzie szturmowej* mówiono: to dobre przedstawienie, zespół włożył w nie rzetelny wysiłek, warto pójść. I na tym się kończyło. Jak gdyby określenia „dobry", „rzetelny" i „warto" były nie dość wystarczające. Stworzyły szczególny stan rzeczy: rów przychylnej opinii, którego nie przekraczano. Fakt został odnotowany: przedstawienie jest dobre, rzetelne i warte wysiłku — ale stwierdzać owego faktu naocznie nie ma potrzeby. Zespół zamknięty tą fosą przeżywał nieznaną mękę zdumienia. Zarzuty! Czemu nie stawiano im zarzutów? Zgodziliby się nawet na obelgi. Wszystko byłoby lepsze od tej pochlebnej obojętności, od tego torfowiska zachęcających frazesów. Chcieli się bronić, chcieli stoczyć walkę. Jak i z kim? Przeciwnik jest nieuchwytny. Jak stoczyć walkę na grząskim gruncie, który opasał „Grenadę"? Czuli się osaczeni — bez możliwości wypadu — przez niewidzialnego wroga. Doszli zatem do wniosku, że wróg jest wewnątrz, w nich samych.

Kilkunastu zranionych ludzi, kilkunastu młodych ludzi, zranionych i rozczarowanych, to niebezpieczny kolektyw. Świat widywał niejedną porażkę, nie pierwsza by to racja skapitulowała. Ale w tym wypadku jest inaczej: ich racji nikt nie podważa, przeciwnie, potwierdziły ją autorytety, na skrzyżowaniu ulic głośniki rozpowszechniają ich rację co godzina. Ustąpić? Komu ustąpić? Czy istnieją inne argumenty, prócz tych, które głosi śmiertelny wróg rewolucji? Rewolucja, partia, władza ludu — wszystko, co przyjęli na własność, opowiada się za nimi, za ich prawdą. Jeśli parę miesięcy temu wątpili, czy ich wysiłek nie pójdzie na marne, teraz nie mogą już dopuścić żadnych wątpliwości. Chcą bronić siebie. Bronić siebie — znaczy obecnie bronić rewolucji. Ofiarowali jej najlepszą część swoich sił; jeśli nie wykorzystali ich z całkowitym pożytkiem, gdzieś musiał tkwić błąd. Należy go odnaleźć, dotrzeć do owego błędu, który pomniejszył zwycięstwo. Nie ma błędów, których przyczyny nie dałoby się wykryć w ludziach. Zraniony kolektyw zwrócił oczy na siebie. Nieubłaganie bystry wzrok zaczął prześwietlać wszystkich po kolei.

Czy w twoich myślach nie ma skazy? Czy nie nosisz w sobie zwątpienia, które poraża innych? Pamiętasz naszą rozmowę sprzed roku? Dwukrotnie wzruszyłeś wtedy ramionami. Dlaczego wzruszyłeś wtedy ramionami? Zechcie

o dziś wyjaśnić. Jeśli chcesz być z nami, musimy się dokładnie porozumieć, czy nasze myśli są jednakowe. Nasze myśli nie mogą się różnić, powinny ściśle do siebie przystawać — szparami przenika wróg. Wytłumacz się więc, okaż, akim jesteś. Ale powiadamy ci z góry: nie możesz być inny niż my.

A ty? Wspomniałeś kiedyś o niezałatwionych sprawach osobistych. Czy nie wleczesz ich za sobą? Wleczesz je jak koń ułamany dyszel, obijają ci nogi, dość na ciebie spojrzeć. Więc taki jesteś słaby? Zajrzyjmy do twego życiorysu: twój ojciec był mieszczaninem. Nie pozbyłeś się dotąd obciążeń swojej klasy, chodzisz między nami ze swoim mieszczańskim garbem. Uśmiechasz się? Źle robisz. Nie przypadkiem na wiosnę 45 wahałeś się, czy nie przejść przez zieloną granicę. To prawda, nie przeszedłeś. Ale nie znamy dzisiejszych twoich wahań.

Czy nie nosisz maski? Tak, ty, o ciebie idzie. Zawsze przecież obawiałeś się potępiać przeciwnika. Twoje nawoływania o łaskę dla wroga, twój szacunek dla cudzych przekonań i litość dla pokonanego skłaniają nas do pewnych wniosków. Skłaniają nas do przypuszczenia, że ty sam nie zwalczyłeś do końca tego, co w tobie obce, i w części swoich myśli przechowujesz wroga. Nie przerywaj, udzielimy ci głosu. Czy wiesz, że nazywamy to dwulicowością? Masz słuszność, nie mieszkamy w twojej duszy, możemy cię oceniać jedynie miarą twoich postępków i słów. I właśnie twoje postępki i słowa zmierzają do zacierania sprzeczności klasowych, taki jest ich wyraz obiektywny. Nazywamy to oportunizmem. Dlaczego milczysz? Przekonaj nas, że się mylimy, albo wyciągnij wnioski z naszych zarzutów, bo takim, jaki jesteś, nie możesz pozostać.

Byli bezlitośni w stawianiu owych pytań. Dręczyli się nimi nawzajem. W większości pytania te nie chybiają celu, znali się przecież dostatecznie. Mniej uczciwym dość łatwo udawało się wykręcać: kłamali; mniej odważni proszą o wyrozumiałość. Ale są też przeklęcie sumienni, których każdy zarzut przyprawia o mękę odkrywania w sobie występnych cech i niedozwolonych pragnień. Nie ma błędów, których przyczyny nie dałoby się wykryć w ludziach, ale też nie ma błędów, o które uczciwy człowiek nie byłby gotów się posądzić.

Swatkowski i Miernik: „Zjawisko to należy uznać za rzecz pożądaną". Zabierając głos, podnoszą znaczenie pracy wychowawczej w zespole. „Nasz zespół krzepnie, należy stwierdzić, że wkroczyliśmy na właściwą drogę." Słuchano ich z niespokojną nadzieją. W swoich końcowych wnioskach wskazywali jednak na konieczność wzmożenia wysiłków: „Wciąż jeszcze nie nadążamy za budownictwem i wleczemy się w ogonie rzeczywistości". Ich słowa wypowiadane z widoczną troską o bezstronność, brzmią solidnie i przekonywająco; nikt nie śmie wątpić, że wlecze się w ogonie rzeczywistości. Zebrania podsumowywał Piotr.

Wszystkich prześcignął w okrucieństwie. Ten chłopak o wyschniętych, sczerniałych wargach od pewnego czasu żyje w gorączce mówienia w oczy najgorszych prawd. Podnosi się z krzesła po to tylko, żeby ranić, i rani celnie. „Ja powiem wszystko do końca — mówi cicho — nie przerywajcie mi, to powinno być powiedziane". Drżeli w obliczu tego, co powinno być powiedziane ustami Piotra, i słuchali go w pokornej ciszy. Sięga daleko w przeszłość, ukazuje ich dawne lata, tam szuka źródła słabości. Nie ubrudzili sobie rąk

rewolucją, dano im ją jak rzecz gotową, byli solenizantami walki klas. Czy w ogóle wiedzą, co to jest rewolucja? Czy potrafią ogarnąć wyobraźnią krwawy trud rosyjskiego proletariatu w latach rewolucji? Trzeba niemałej odwagi, by nie cofnąć się przed porównaniem. Przy pierwszej barykadzie, przy pierwszej trudności oglądacie swoje ręce z niepokojem, czy nie są splamione. Jakże się cenicie! Ale wtedy, gdy kołtun ze sztabu pchał was pod ogień „Tygrysów", ceniliście się znacznie mniej. Jeszcze dziś gotowiście pokazywać przekupkom swoje blizny i robicie w spodnie, że przekupki bojkotują „Grenadę". Głupcy! Czy myślicie, że przez rewolucję można przejść z nietkniętym honorem sklepikarza? Powiesiliby nas na pierwszej latarni, a w nasze blizny by napluli. I wy chcecie zmieniać człowieka? Tymi ramionami podważyć z posad starą bryłę świata? Załóżcie lepiej kram na Bazarze Różyckiego, handlujcie swoimi ciuchami zamiast zmieniać świat. Niech lepiej krwawi kulis chiński! Niech koreański chłop nadstawia dla was karku, subtelni inteligenci z „Grenady"!

Wybaczali mu nienawiść drgającą w głosie, ponieważ rozumieli, że nienawidzi sam siebie i nie tylko na nich rzuca oskarżenia. Najdomyślniejsi mogliby skorzystać z prawa stawiania pytań również wobec niego: Julka Glińska pracowała w sekretariacie „Grenady". Mimo to wolą milczeć, oszczędzają tę jedną rzecz, jaką Piotr zachował dla siebie. Julkę kochały bileterki, woźni mówią do niej „towarzyszko Julio". Wszyscy zbierali szpilki, które gubiła ze swych sypkich, łatwo rozwiązujących się włosów. Patrząc na Julkę i Piotra, chłopcy marszczyli brwi z namysłem; po czym nazajutrz cierpliwie słuchali jego nie zawsze sprawiedliwych słów; widocznie miał już takie prawo.

Ale nieliczni, dalecy od tego, aby potępiać Piotra, rozważali po cichu, czy wytrzymają napór, i odwołując się w skrytości do zdrowego rozsądku, zadawali sobie pytanie, do czego to prowadzi i w jakiej mierze jest niezbędne. Śmielsi proszą o głos, by spytać o to publicznie.

„Nie wytrzymuję dłużej — mówi Jacek Wojnar. — Nie mogę płacić całym życiem za to, że wystawiliśmy złą sztukę. Chciałem założyć teatr, nie piekło. Racjonalizm jest cechą naszej rewolucji. Doprowadziliście do tego, że boję się myśleć. Skoro zaczynam myśleć, dochodzę do wniosku, że nie mogę myśleć prawidłowo, bo jestem synem adwokata. Nigdy nie byłem mistykiem, wysiadam."

Chcieli go wyrzucić z zespołu, ale Just się temu sprzeciwił. „Dobrze — powiada Piotr — będziemy z nim rozmawiać." Rozmawiali na trzech kolejnych posiedzeniach egzekutywy. Sprawa oparła się o Doktora.

Doktor był już o niej poinformowany, przyjął ich od razu. Po to istniał, by reperować uszkodzonych. Gdy tylko ktoś poddawał w wątpliwość użyteczność swojego istnienia w obliczu rzeczy wyższych i bardziej koniecznych — na widok owych depresji i załamań on, Doktor, objawiał ojcowską satysfakcję i gotów był użyczyć denatowi uśmiechu solidarnego politowania. Zjednywało mu to podziw. Ale jednocześnie zarzucano mu pogardę dla człowieczeństwa: „Jego bezosobowość łatwo wziąć za bezinteresowność — jest to bezinteresowność gatunku wykonującego swą funkcję. On nie widzi człowieka, reaguje tylko na system zjawisk, w którym człowiek jest drobnoustrojem".

Trzeba jednak przyznać, że nie lubił niszczyć ludzi bez potrzeby; miał — jak mówiono — „dialektyczne poczucie wieczności".

Tłum na ulicach naszych miast sunie poszerzonymi chodnikami, u stóp wyższych niż kiedykolwiek budowli. W głuchym, bolesnym niepokoju szuka s m a k u bieżącego dnia. Spragniony ostrych podniet, zalewa kina, stadiony i knajpy. Nie wystarcza mu społeczna motywacja istnienia, aczkolwiek musiał uznać jej logikę, uzasadnianą codziennie tysiącem argumentów. Argumenty na ogół go przekonują, tłum nie jest szalony; zrozumiał znaczenie pracy w swoim życiu, nie lekceważy organizowania wysiłku, odczuwa respekt dla materialnej energii, która stanowić będzie źródło jego przyszłych powodzeń. To wszystko jednak nie rozprasza jego niepokoju. Zasada i cel nie wyczerpują jego tęsknot. Dręczony niejasną potrzebą, zgłodniały zapomnienia o programie swych dokonań, szuka smaku życia, który by mu pozwolił odczuć przyjemność w godzinie istnienia. Jest w tym niewybredny — bierze to, co mu dają. Alkohol zawiera najpewniejszą gwarancję pojednania z teraźniejszością; w półlitrowej butelce mieści się pożądany procent irracjonalizmu; „dał sobie ducha" — mówimy o pijakach, albo: „uderzył w gaz". „Gaz" to duch współczesności. Nocą nad głowami pijaków przelatuje odrzutowiec o locie szybszym niż dźwięk; człowieczek zamknięty w srebrnym cygarze, chroniony od nicości za pomocą precyzyjnych przyrządów, wyląduje — być może za naszego życia — na jednej z gwiazd. Żadna epoka nie spełniła tylu odwiecznych ludzkich marzeń, ile ich spełni Wiek Dwudziesty. Mimo to w połowie owego wieku, jak nigdy przedtem, pożera człowieka niespokojna nuda losu i nigdy przedtem tak wiele go nie dzieliło od własnych zwycięstw. Między nami a tym, co możemy, rozciągnęła się niepojęta przestrzeń; można by sądzić, iż prześcignęliśmy samych siebie. Dopóki ta pusta przestrzeń nie zostanie nasycona, dopóki rewolucja nie uczyni z niej sfery dostępnej dla człowieka, dopóki człowiek nie nauczy się nią posługiwać i władać — dopóty będzie on skazany na rozpaczliwy niepokój istoty nie znającej swego przeznaczenia, podległej siłom mrocznym i nierozumnym. Dopóty nie osiągnie wolności.

„Jesteście wolni — mówi głos publiczny do ludzi na Zachodzie — ukazujemy wam cudowny świat nylonu i plastiku, arcydzieła komfortu, neony we wszystkich kolorach, kobiety o najpiękniejszych ciałach, najsubtelniejszą grę świateł i najszybsze tempo. Jesteście wolni, dajemy wam smak życia, co prawda nie za darmo, ale w najwyższym gatunku. Dajemy wam wszystko, aby nie pożerał was niespokojny ból istnienia, abyście mogli zagłuszyć w sobie myśl o c e l u i z a s a d z i e. Nie szukajcie społecznej motywacji bytu, ponieważ znajdziecie tylko rozdarcie i niepokój." Ten niejako odwrotny stan rzeczy nie urządza na długo: niewiedza o celu i poczucie alogiczności istnienia stwarzają głód programu, tęsknotę za nowym porządkiem myśli, przesyt reklamą, niedosyt idei. Oszołomiony tempem i blaskiem, podniecany narkotykami, trawiony spleenem cywilizacji — człowiek w tej części świata nie rozumie formuły swego życia, nie zna swojego kierunku, korzysta tylko z pozorów wolności.

Pamiętajmy o jednym i drugim profilu współczesnego człowieka, który chce być wolnym posiadaczem nowych kompetencji zdobytych przez ludzkość. Zbyt wiele widzieliśmy wypadków, gdy uczono wolności metodą jej ograniczania. Musisz być ślepy, ażeby dostrzec prawdę. Ślepy i ufny, idzie przed siebie szu-

kając prawdy i natyka się na ścianę. Nie otwieraj oczu, to mur wrogich sił, musisz go przełamać; jeśli czujesz się słaby, znaczy to, że ów mur jest także w tobie. A więc naprzód! Żołnierskim krokiem naprzód!

Zespół „Grenady" próbował wyszczerbić niewidzialną ścianę na drodze do wolności. Sławski, Wojnar i Just naprawdę kochali wolność. Wiedzieli, że w ich stuleciu wolność powstaje z rewolucji. Nie trzeba ich usilnie przekonywać, by rozumieli swój czas, by wybaczali mu jego okrucieństwa. Sławski, Just, Wojnar i towarzysze nie są dziećmi ubiegłego wieku. Są pokoleniem chciwie wychylonym naprzód. Chętnie nadsłuchują głosu dźwigających się ludów i huku motorów na stepach. Nie ma potrzeby im tłumaczyć, co jest najważniejsze. Spragnieni sensu teraźniejszości, sami powierzyli się jej bez warunków, a co w niej jeszcze złe, odkładają na później, na czas po zwycięstwie. Wstrzymajcie się przez moment z uśmiechem ironii. Każde pokolenie ma na swoim koncie omyłki popełnione wobec współczesności. Ich współczesność to nierozsądzone lata, w których prawda i fałsz długo jeszcze będą ze sobą zrośnięte. Jesteśmy dziś od nich mądrzejsi? Dziś czujemy się od nich mądrzejsi, ale jutro, pojutrze owe lata czterdzieste i pięćdziesiąte znowu nas zadziwią ogromem rzeczy dokonanych, z których wstanie następny wiek.

Powróćmy jednak do „Grenady", do udręki i wahań tych, którzy wątpili nie bez przyczyn; do innych, niewzruszonych, którzy łamali wątpiących; na co użalamy się dzisiaj ze wstydem i gniewem tym większym, że głos nasz brzmi dopiero dziś.

Nie wiem, jak przebiegła rozmowa Jacka Wojnara z Doktorem, znam tylko jej następstwa. Od czasu owej rozmowy Wojnar stał się milczący i zgodny. Nie ponawiał już swoich buntowniczych wystąpień, głosował razem z wszystkimi i rzadko prosił o głos. Czasami widywano na jego wargach uśmiech. Ci, co lepiej go znali, twierdzili, że dawniej tak się nie uśmiechał. To było coś nowego; niektórzy mówcy na widok tego uśmiechu gniewnie odwracali wzrok, inni gubili rozpoczętą myśl. Ktoś nawet napomknął, że trzeba z Wojnarem pogadać. Ale o czym? O uśmiechu? Czy uśmiech mógł być przedmiotem dyskusji? Co to za sprawa organizacyjna: uśmiech? Tym bardziej że nic innego Wojnarowi niesposób było zarzucić. Nie opuszczał zebrań, wykonywał wszystkie swoje obowiązki. Zaczął się czesać z przedziałkiem i starannie ubierać. Swatkowski i Miernik twierdzili, że Wojnar przeżył kryzys ideologiczny, po czym jednak wkroczył na właściwą drogę. Rena Szulc szeroko rozniosła po mieście tę dobrą wiadomość.

8

Zbliżało się setne przedstawienie *Brygady szturmowej*. Spektakl szedł ociężale, szedł jednak. W próbach były dwie jednoaktówki Fredry; z początku miano je grać we współczesnych kostiumach, ale Swatkowski i Miernik sprzeciwili się temu: byłby to eksperyment, nie możemy sobie pozwolić na eksperymenty z robotniczym widzem. Próbowano więc w tiurniurach i „Vatermörderach", wydatki pokryje Instytut. Instytut pokryje także koszty sobotniego bankietu po setnym przedstawieniu; należy się spodziewać przybycia ważnych

ości, prasa zamieści notatki i wywiady, na setne przedstawienie przyjdzie ałoga „Żerania".

W tym uroczystym dniu woźny teatru „Grenada", Stanisław Żaczyński, godzinie szesnastej zapalił światła w przedsionku i foyer. Zapalił światła, otem papierosa i zajrzał do budki kasjerki, która niebawem powinna nadejść. Brat Żaczyńskiego pracował na budowie MDM i woźny obiecał mu załatwić larmowy bilet na dziś; umówili się o szesnastej przed kasą. Parę minut po zesnastej brat, Leon, wlazł do przedsionka w pobielonej watówce, szurgocząc umowymi butami. „Poczekaj — powiedział Żaczyński — kasjerka jeszcze nie rzyszła." Zaczął zamiatać chodnik, zerkając od czasu do czasu na Leona, tóry oglądał afisz setnego przedstawienia. „Ty — szepnął po chwili młodzy brat — to dzisiaj grają co innego?" „Jakie tam co innego — powiedział Żaczyński — idzie *Brygada*, setny raz." „A tu inaczej napisane" — roześmiał ię Leon wskazując na afisz. I przeczytał: *Łaźnia*.

Żaczyński nic nie odpowiedział, tylko odstawił szczotkę. Na ścianie koło asy widniał afisz z wielkim czerwonym napisem. Całą jego prostokątną prze- trzeń zajmuje twarz człowieka o krótko ostrzyżonej głowie. Człowiek ten niewnie patrzy w oczy Żaczyńskiemu. U dołu biegną litery, jakby ktoś grubo hlapnął czerwoną rozpryśniętą farbą. *Łaźnia* — odczytał Żaczyński. A Leon vskazał osmolonym palcem jeszcze jeden napis, biegnący na skos afisza przez ista mężczyzny; białą papierową nalepkę o czarnych literach — s k o n f i s - k o w a n e.

„Skonfiskowane? — zdziwił się młodszy Żaczyński. — To po co wywiesili?" Ale urwał spostrzegłszy wzrok brata. Obydwaj stoją przed afiszem, nie mogąc rzez długą chwilę oderwać oczu od dziwnej i chyba znajomej twarzy młodego mężczyzny, który na nich patrzy, jakby chcąc im oznajmić bardzo ważną zecz.

O ile dobrze pamiętam, od owego bankietu po setnym spektaklu zaczęto ączyć imię Piotra z Julką Glińską, której mąż nie wyszedł jeszcze z więienia. Ludzie wszystko wiedzą, przed oczami ludzkimi nic się nie ukryje. Kto pierwszy wypatrzył ich sprawę? Nie „miłość", ale „sprawę"; to, co się działo między nimi, stanowiło materiał dla tylu oskarżeń i zeznań, że bez ronii można by mówić o przewodzie publicznym w szczelnie wypełnionej ali. Pewien krytyk napisał, że miłość w naszych czasach „nie skupia prolemów społecznych"; żyjemy w męskiej epoce walki. Przypuszczam, że ów krytyk ma rację, a jednak i w naszych czasach miłość potrafi wybuchać pełną, achłanną mocą. Cóż wtedy począć? Krytyk nie pomoże. We wszystkich epoach istnieje miłość zabroniona, rozpaczliwa i bez ratunku; miłość, którą iiszczą inni ludzie. Kto pierwszy ją podsłuchał? Podsłuchał — bo powtarzało sobie z ust do ust słowa Piotra, jakich podobno użył w rozmowie z Julką, ia parę dni przed bankietem; a miało się to zdarzyć nie gdzie indziej, lecz v sekretariacie teatru, oddzielonym cienkim przepierzeniem od kasy. A więc kasjerka? Czy ktoś inny, kto wszedł przypadkiem i usłyszał głos Piotra: „N i e w r ó c i s z d o n i e g o, b ę d z i e s z z e m n ą. C z y p o t r a f i ł a b y ś w r ó c i ć d o z d r a j c y? J e ś l i s i ę m n i e w y r z e k a s z, p o w i e d z: d l a c z e g o? N i e c h j a t o z r o z u m i e m".

Dzisiaj, po kilku latach, znam wielu ludzi, którzy te słowa Piotra uważają za „jeszcze jeden dowód" jego podłości. Odczuwam wtedy nagły ból. Są między nimi wczorajsi strażnicy najokrutniejszych abstrakcji. Zawsze tak samo skłonni do oskarżeń: by podnieść na dłoni swoją świeżutką słuszność, muszą oprzeć stopę na bezbronnym; tratują go, by wyżej stanąć. Mają, mają za sobą część prawdy! A jak umiejętnie potrafią nią obracać, jak zręcznie podbijają kurs, ci mali giełdziarze dialektyki, wietrzący „haussy" i „baissy" walki klas! I jak boli ta cząstka prawdy w ich rękach, którymi tak łatwo kupują i sprzedają. Bronić przed nimi pewnych spraw i ludzi zakrawa na upokorzenie; doprawdy, nie upadajmy tak nisko, by usprawiedliwiać się z błędów przed kupcem. Nawet te słowa Piotra, okrutne, zaślepione, o ile są od nich lepsze. Przypuszczam, że je wypowiedział; był konsekwentny do końca, i jeśli uwierzył w zbrodnię tego człowieka, nie umiał go sądzić inaczej niż tylko jak zbrodniarza. Ale gdyby się przekonał o jego niewinności, ten sam Piotr Sławski nie wahałby się ani chwili... Niektórzy z tych, co dzisiaj przytaczają jego słowa na dowód nikczemności, wtedy — cztery czy trzy lata wcześniej — wytaczali mu je jak proces polityczny; nie mówili: „to podłość zaocznie krzywdzić bezbronnego"; mówili inaczej: „to zgnilizna, nasz człowiek nie powinien się zbliżać do żony kontrrewolucjonisty". Krytyk miał słuszność: miłość nie jest tematem dla naszej epoki. Tematem naszej epoki jest walka z mieszczaninem.

Z chwilą gdy sprawa między dwojgiem ludzi wpada w cudze ręce, przestaje być miłością. Ludzie nie skazują zakochanych: poddają tylko ich związek działaniu kwasów społecznych. Każdy czas ma swoje laboratorium, w którym odczynia się miłość; na ogół kochankowie wychodzą z niego przemienieni. Julka i Piotr mieli do pokonania wiele małych przeszkód i jedną największą, przekraczającą ludzkie siły. Nim Piotr zdał sobie sprawę z tego, ile zażądał, nim zdołał ogarnąć wzrokiem w i e l k ą p r z e s z k o d ę ich miłości, zaczęły wyrastać małe, wznoszone cudzą ręką.

Pierwszą ustawili Swatkowski i Miernik. W dniu setnego przedstawienia *Brygady szturmowej* nie wykryty sprawca wywiesił w przedsionku stary afisz *Łaźni,* wykonany jesienią ubiegłego roku, przed niedoszłą premierą. Po przekątnej afisza, przez usta poety złośliwa ręka nakreśliła szydercze litery. Woźny Żaczyński zerwał afisz i przyniósł go do sekretariatu. Jakkolwiek śledztwo wszczęto przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności, autor pozostał nieznany. Swatkowski i Miernik, odpowiedzialni za czystość polityczną zespołu, pojęli w lot, że cień padnie na nich, jeśli w porę nie pochwycą miecza w dłonie. Zaczęli badać ankiety, wzywać na rozmowy w cztery oczy, wysnuwać z ludzi najdelikatniejsze wątki ich przeszłości. Wreszcie — czyścić personel. Wobec pokornych korzystano z miłosierdzia, mogą się jeszcze przydać. Swatkowski i Miernik należeli do wyznawców teorii „miękkich ciał": miękkie ciało jest najlepszym budulcem. Twardszych potraktowano w myśl zasady Świętej Inkwizycji: „Zabijajcie wszystkich — Bóg rozpozna swoich!" Wśród usuniętych z pracy znalazła się Julka Glińska.

Piotra nie było wtedy w Warszawie. Kiedy wrócił po kilku dniach, nie znalazł jej w sekretariacie. Bali się mu o tym powiedzieć. „Słuchaj — mówi mi później Jacek Wojnar — widzieliśmy, jak on jej szukał. Chodził po budynku i otwierał wszystkie drzwi. On także bał się zapytać. Pierwszy raz czegoś się bał. Piotr — rozumiesz?! W końcu powiedział mu Olek Just."

Piotr zniósł to dość spokojnie. Tego samego dnia Swatkowski i Miernik zakomunikowali mu, że Doktor chce go zobaczyć. Pojechał więc do Instytutu, by oddać człowiekowi za biurkiem ostatnią rzecz, jaką posiadał.

9

Od przedstawionych wydarzeń dzieli nas parę lat. Czas nie okrywa dziś mrokiem ludzkich spraw; przeciwnie — wydobywa je z ciemności: coraz więcej nie dostrzeżonych dramatów dopiero nasze dni ukazały w pełnym świetle. Tak też i w tym wypadku. Nikt tu nie umarł, nikogo nie przysypał „kurz niepamięci", żyją wszyscy ludzie z „Grenady". Niejeden wprawdzie stał się inny przez te lata, był to czas twardej obróbki, i często słyszę zdanie, że człowiek dziś tyle jest wart, ile w ciągu owych lat przeżył. Ciężar tego czasu dźwigamy jeszcze i jeśli go ktoś zrzuca jednym wzruszeniem ramion, ciężar spada na innych. Nikt nie ma prawa przerzucać na innych ciężkiego worka, z którego sam czerpał.

Niedawno w kolejce do Otwocka spotkałem woźnego z „Grenady". Żaczyński mnie poznał, mimo iż rok czy dwa nie zachodziłem do teatru na Polnej. Niedługą podróż wypełniliśmy rozmową — o czym, nie trudno się domyślić. Przed samym Otwockiem Żaczyński jakoś umilkł, a potem spytał, czy nie wiem, co się dzieje z Piotrem. Powtórzyłem mu, co mi mówiono. Woźny pokiwał głową. „To był człowiek, panie redaktorze — rzekł — to był człowiek. I po co, niech pan powie, ja wtedy zaniosłem ten afisz? Przyłożyłem rękę. Każdy przyłożył rękę do jego nieszczęścia, panie redaktorze. Tak już widać musowo było przepisane."

Sprawa Julki i Piotra ciągnęła się jeszcze przez kilka miesięcy. Nie mogła jej zakończyć jedna rozmowa z Doktorem. Nawet jedna rozmowa między nimi dwojgiem nie mogłaby jej skończyć. Brakło im sił. Niszczenie miłości wymaga dłuższego czasu, niszczyli ją z trudem. Tylko podcięte drzewo ginie w jednej chwili, miłość upada powolniej, i trzeba wielu dni, jak powiadają, by drzewo legło między kochankami.

Widziano ich jeszcze parę razy w brudnej cukierence na krańcu miasta. Pochyleni nad stolikiem, rozmawiali szeptem, nie uśmiechając się, lub milkli na długie minuty. Był to koniec zimy, niespodziewanie śnieżny, pełen mętnego powietrza. Warszawa jest małym miastem, nie ma w niej ulic bez znajomych twarzy. Za każdym skrzypnięciem drzwi para siedząca w rogu unosiła wzrok znad stolika. Opowiadano później (ale na miłość boską, skąd ludzie o tym wiedzieli?), że Piotra jak gdyby obchodziła już tylko jedna rzecz: domagał się od Julki, żeby mu powiedziała prawdę: czy Ryszard był zdrajcą. Torturował ją pytaniami, kazał jej przypominać sobie najdrobniejsze szczegóły ich rozmów, odtwarzać jakieś daty z okupacji — z kim się spotykał, kto do niego przychodził. „To dla mnie jest najważniejsze — mówił Piotr — czy był winien. To rozstrzygnie o wszystkim." Przysięgał jej, że nikomu nie powtórzy, zatrzyma tę prawdę dla siebie, ale bez niej nie, nie potrafi się obejść, jest dla niego decydująca. „Nie dręcz mnie — prosiła — cóż ci mogę powiedzieć prócz tego, że Ryszard jest niewinny? Ty żądasz ode mnie prawdy, a ja? To ja powinnam żądać, krzyczeć o prawdę. Czy myślisz, że nie wiem,

ile o nim krąży podłych kłamstw?" Wtedy znowu zaczynał od początku: więc nigdy nie miała żadnych podejrzeń, a może się konspirował nawet przed nią? Czy mogła znać wszystkie jego kontakty?... Zadawał maniackie pytania, nie słyszał jej próśb. Tak brzmiał ich dialog miłosny, rozpoczęty w teatrze na Polnej.

W ciągu trzech następnych lat straciłem kontakt z „Grenadą". Tylko w gazetach wyczytywałem wzmianki i recenzje o nowych przedstawieniach. „Grenada" była jednym z teatrów o pozytywnych osiągnięciach. W 1952 roku zespół otrzymał nagrodę państwową za wystawienie *Inżyniera Marka*, sztuki czeskiego pisarza. Prasa podkreślała rzetelność wysiłku i cenny wkład pracy. Ubolewano jedynie nad brakiem pozycji związanych z tematyką krajową. Powszechna bolączka współczesnych teatrów.

Piotr nie był już kierownikiem zespołu. „Skończył się — mówiono — coraz gorzej pracował." Od dłuższego czasu jego funkcje spełniał Just. Olek Just, cierpliwy jak wielbłąd. Najrozsądniejszy z „trzech". Bez jego uporu zespół by się rozpadł. Należał do niebłyskotliwych i rzadko wysuwających się ludzi, których wartość można ocenić w złych chwilach. Jego głos uspokajał. W *Łaźni* miał grać Autora. Wielki, jasnowłosy, wykonuje swymi ciężkimi ramionami ostrożne ruchy i chodzi z maleńką dziewczyną ze Szkoły Sztuk Plastycznych. Pobrali się w zeszłym roku.

W istocie teatr prowadzili Swatkowski i Miernik. Personel administracyjny został powiększony, dział organizacji widowni zajmował trzy pokoje, na ścianach widniały cyfry wypełnionych norm. Zespół „Grenady" przez ten czas zmienił swój skład. Ubyło trochę ludzi, doszli nowi, ściągnięci z prowincji. „Grenada" wysolidniała — byli mniej rozczochrani, chodzili w samodziałowych marynarkach. W zasadzie nic się nie stało, wszystko szło po dawnemu, „szafa gra". Tylko dociekliwi obserwatorzy twierdzili, że „Grenada" skapitulowała. Przed kim? Otóż właśnie! Przed nikim, przed anonimem. Przestali walczyć — mówiono — ponieważ w miejsce wroga podstawili p o j ę c i e. O co można walczyć, jeżeli rzeczywistość jest sumą udowodnionych założeń? Z początku robili teatr, obecnie są wydziałem IOK-u. Spójrzcie na nich: o nic im nie chodzi prócz tego, żeby nie popełnić błędu. By nie popełnić błędu, wystarczy być księgowym, po co się upierać przy nazwie „Grenada"?

Co do Piotra, rozmaicie komentowano jego upadek. Na ogół przeważała opinia, że załamał się od chwili zerwania z Julką Glińską. Gdyby tak było, dziwną miałyby wymowę jego późniejsze wizyty w gabinecie Doktora. To przecież Doktor zażądał od Piotra „oczyszczenia życia" — więc po co Piotr do niego teraz chodzi? Chodził do niego i przestał interesować się teatrem. Podobno (trudno to pojąć, a jednak na mieście znano szczegóły tych rozmów) Piotr domagał się od Doktora wyjaśnień w sprawie Ryszarda Glińskiego: czy istotnie dowiedziono mu współpracy z obcą agenturą? czy zdradził? I podobno (znowu „podobno") z gabinetu Doktora wychodził przekonany — by po trzech tygodniach wrócić, prosić o kwadrans rozmowy, od początku rozgrzebywać tę samą sprawę Glińskiego i znowu wyjść przekonanym. Schudł i sczerniał do reszty. W teatrze skarżono się na niego: opuszczał zebrania, źle traktował ludzi.

„Wpadł w reflektor — twierdzili niektórzy — i nie może z niego wyskoczyć."

Za pomocą przenośni wszystko można sobie wytłumaczyć; cóż łatwiejszego niż porównać człowieka do zająca, lisa albo mrówki. Piotrowi szło — tak przypuszczam — o ostatnią szansę: chciał się upewnić, czy to, co z nim uczyniono, było konieczne. Wszystko mu odebrano, nic nie miał; chciał się więc dowiedzieć, czy owo „nic", które z niego pozostało, będzie jeszcze czemuś służyć. Oddał wszystko, by potwierdzić siebie, swoją słuszność. A jednak to nie wystarczyło, prawda nie została dowiedziona. Dla Piotra prawda była ukryta w sprawie Ryszarda. Tylko o niej mógł myśleć. Zapewne uwierzył, że zdrajcą musiał być j e d e n z n i c h. Tak, sądzę, iż doszedł do takiego wniosku: zdrajcą jest jeden z nich i jeden z nich musi ponieść konsekwencje do końca. Chodził do Doktora po dowody prawdy. Są prawdy, których można dowieść przy pomocy świadków; i są inne: żeby ich dowieść, trzeba ofiar.

Wolałem o tym nie myśleć. Wielu z nas miało w tych latach swoje „Grenady" i Doktorów Faulów. I ja miałem swoich.

Pod koniec zeszłego roku otrzymałem list od Julki. Pisała mi o wyjściu Ryszarda z więzienia i o umorzeniu jego sprawy. U dołu dopisek: „Była straszna rzecz z Piotrem. Nie staraj się u nikogo sprawdzić tej wiadomości. Uratowali go".

10

„Ja pierwszy go znalazłem. Dawno mu obiecałem pożyczyć jakąś książkę i tego dnia ją przyniosłem. Przyszedłem prawie w ostatniej chwili. Trudno ci będzie uwierzyć: n i e z d z i w i ł e m s i ę. W tych latach nic nie mogło mnie już zdziwić. Pamiętasz, że po moim wystąpieniu przeciw *Brygadzie szturmowej* miałem rozmowę z Doktorem? Nie przekonał mnie wtedy. Po raz pierwszy mnie wtedy nie przekonał — i wiedział o tym. Wyszedłem od niego na drżących nogach, bo zrozumiałem, że będę odtąd sam, i przestraszyłem się tej myśli... Wszystko stało się dla mnie ohydnie jasne. Siedziałem na zebraniach słuchając Piotra i musiałem się powstrzymywać, żeby nie podejść do niego, nie stuknąć go w czoło: po co to mówisz? po co mydlisz oczy nam i sobie? Obejrzyj się: czy nie widzisz za sobą drobnomieszczanina, przestraszonego, że tłum zrabuje mu sklepik z abstrakcjami?... Piotr chciał wierzyć do końca, wiedziałem, że nie potrafi kłamać; ale inni — zdawało mi się — wszyscy inni kłamią. Siedziałem cicho, głosowałem z większością. Przestał mnie obchodzić cel, interesowały mnie już tylko przyczyny. Patrzyłem, j a k to się dzieje. Wtedy bym ci tego nie powiedział, wolałem milczeć. Mówię ci o tym dzisiaj, w roku 1955. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że nawet dzisiaj nie wszystko rozumiem. Co to było? Lada mydłek czuje się dziś mądrzejszy od tych lat, słyszysz, jak kołtun trąbi z tryumfem, że on „nie dał się wciągnąć"?... Byle-sumienie wystarczy dziś byle-kanalii. Ale przecież my wierzyliśmy w te lata. Jak to się stało, że nie kłamaliśmy i zarazem nie mówiliśmy prawdy? Ile było w tym naszej winy, a ile naszej krzywdy? Odpowiedz — ja nie potrafię... Czy wiesz, kogo Piotr spotkał na ulicy dwa dni przed tym, jak przyniosłem mu książkę i musiałem wyważać drzwi? Spotkał Ryszarda Glińskiego. Nikt jeszcze wtedy nie wiedział, że go wypuścili. Piotr szedł ulicą i spotkał Ryszarda. Julka mi o tym mówiła w tydzień później. Trzy godziny siedzieli w jakimś barze. Pierwszy raz od pięciu lat mieli okazję pogadać o rewolucji. Teraz rozumiesz?

Spotkał na ulicy człowieka, o którym przez pięć lat sądził, że jest zdrajcą: musiał słuchać przez trzy godziny jego opowieści, przez trzy godziny czuć na sobie jego wzrok — wiedząc i pamiętając o tym, czego tamten mógł jeszcze nie wiedzieć. Piotr był najsilniejszy z nas, ale nie tak silny, żeby t o wytrzymać. Więc teraz rozumiesz?... Nie wiem, jak Doktor przyjął wiadomość o wypadku, był w tym okresie szczególnie zajęty i kiedy Olek Just urywał telefon, sekretarka odpowiadała, że Doktor jest na konferencji. Swatkowski i Miernik także jeździli na jakieś konferencje, w ogóle nikt nie miał czasu, wszyscy byli diabelnie zajęci! Ale wiadomość się rozniosła i niektórzy znaleźli czas, żeby roznosić ją dalej. Plugawa plota toczyła się przez miasto. Skandal w „Grenadzie"! Rozkład „Grenady"! Każdy bezkarnie dotykał nas łapą. Wiesz, kto pojawił się pierwszy? Ci z łatami na łokciach. Nie, nie mieli już skórzanych łat, mieli bródki. Zaczęli krążyć wokół nas ze współczującymi minami, delikatni i uprzejmi, jak zawsze. Mieli świeżo zapuszczone bródki, bo taka była moda, ale wyglądało, jakby zapuścili je w ukryciu. Zwracali się do nas per p a n: „Czy ma p a n wiadomości o zdrowiu p a n a Sławskiego? Jakkolwiek tyle nas dzieliło, wyznajemy zasadę *fair play,* i sądzimy, iż nadszedł odpowiedni moment, aby się porozumieć bez frazesów, w które przecież p a n o w i e sami nie wierzyli." Rozumiesz, co to znaczyło: „Wiemy, że musieliście kłamać, byliście cynikami ze zdrowego rozsądku, i mimo że my »nie daliśmy się w to wciągnąć«, pierwsi wyciągamy do was rękę — teraz, gdy nowy wiatr rozwieje na cztery strony świata tę niesprawdzoną łamigłówkę, którą nazywaliście ideologią." Dawno nie czułem podobnego wstrętu... Patrzyli na nas z zachęcającym bólem w oczach: wszystko wam wybaczymy, kochane, drogie świntuchy, jeśli zapłaczecie na naszej piersi. Zapłaczmy razem, my — niesplamieni, i wy — unurzani w błocie, zapłaczmy wspólnie nad zasypanym dołem rewolucji... W parę tygodni później, kiedy Piotr wyszedł ze szpitala, odwoziliśmy go z Justem do leśniczówki na Mazurach. Był jeszcze słaby, leżał w przedziale na ławce. Nie wiedzieliśmy, czy śpi, czy myśli z zamkniętymi oczami. I ciągle powracał do mnie lęk, że już nie Piotra wieziemy, tylko jego ciało. „Jego i nasze ciało. — Olku — myślałem patrząc na Justa — wszystko, co nam ciążyło, on przecież wziął na siebie."

Było to wiosną, w starym schronisku Pięciu Stawów; opowiadał Jacek Wojnar.

*

Reszty — jeśli to można nazwać „resztą" — dowiedziałem się w kilka miesięcy później od Justa. Tego dnia na rogu Foksal i Nowego Światu, kiedy mi uroczyście oznajmił o śmierci Tomasza Manna, nie pozwoliłem mu odejść. Spieszył się na próbę do „Grenady". Na jaką próbę? Nie chciał mi powiedzieć, ale jeśli mam czas, może mnie wziąć ze sobą. Powinienem zobaczyć, tak, nie byłoby od rzeczy, gdybym poszedł z nim teraz na Polną. Upał. Powlekliśmy się leniwie w kierunku Placu Trzech Krzyży.

„Długo ciebie nie było — mówi Just — nic nie wiesz."

Nie, Piotr jeszcze nie wrócił. Jest kierownikiem jakiejś świetlicy pod Olsztynem. Zdrów, zupełnie zdrów. Chce tam przesiedzieć zimę.

Chciał tam przesiedzieć zimę, chociaż jeździli do niego i słali listy wzywa-

ące do powrotu. Jest im znów potrzebny. Jak to się wszystko stało? Dziś każdy adaje sobie pytanie, jak to się wszystko stało. Na takie pytania Just nie dziela odpowiedzi. Czy wiem o zwolnieniu Ryszarda? A więc o pewnych rzezach wiem, mimo że mnie tak długo u nich nie było.

Szliśmy przez Aleje po stronie urzędowych gmachów i wielkich drzew. Rzucały cień w tym skwarnym wrześniowym dniu. Doktor?... Just dawno go nie widział. Wygłosił ciekawy referat o Tomaszu Mannie, poza tym organizuje sieć teatrów wiejskich. Jego czas jest na wagę złota, ale trzeba przyznać, że nie zachowuje go dla siebie. Ten człowiek, suchy jak dykta, ma siłę konia. Podobno wciąż nad sobą pracuje: kiedy? nie wiadomo, zapewne nocami. Na Akademii ku czci Tomasza Manna wprawił w podziw salę wyborną znajomością literatury niemieckiej. Mówił półtorej godziny. Zawsze potrafi zmusić do uwagi swoim drewnianym głosem, trzeba mu to przyznać. Co o nim sądzić?... Just wzruszył ramionami. Doktor Faul — wszyscy nazywają go teraz Doktorem Faulem — stał się symbolem fałszywych metod. Ale co o nim sądzić naprawdę? Just idzie powoli, stawiając duże kroki, żwir zgrzyta pod jego gumową podeszwą.

Po odwiezieniu Piotra, kiedy wrócili z Wojnarem do Warszawy, nie wiedzieli, co robić, do czego się najpierw zabrać. Zespół! Skupić, utrzymać zespół. Ocalić trzon „Grenady", rozdartej, odsłoniętej, wydanej na bezwstydny skandal. Zewsząd opadły ich pytania: co teraz będzie? czy prawda, że mają nas rozwiązać? podobno „Grenada" na obecnym etapie ma być nieprzydatna, czy to prawda? Więc tak? więc te lata poszłyby na marne? Wojnar, Just — wytłumaczcie, co się stało? Nikt nie chce z nami rozmawiać, ludzie odwracają się od nas, niektórzy w zespole plują sobie w oczy. I ci z bródkami! Słyszymy własne myśli sprzed trzech lat, nasze wątpliwości — ale z c z y i c h ust? Czytaliście prasę z ostatnich tygodni?... Macie, czytajcie, co piszą o „Grenadzie"!

O „Grenadzie" pisali ci sami: przychylni krytycy sprzed trzech lat. W ciągu trzech lat nie zmienili nazwisk, a nawet metodę zachowali podobną. Jeśli wówczas stwierdzali z umiarkowanym naciskiem, że teatr na Polnej dokonał przełomu w treściach (mimo pewnych uproszczeń formy) — teraz z umiarkowanym naciskiem wskazują na niedopuszczalne zgrubienia środków artystycznych, prowadzące (mimo niejakich osiągnięć ideowych) do fałszowania rzeczywistości. Ten sam oględny, mdły uśmiech, niegdyś rozrzewniony, teraz współczujący; ten sam rów z trzęsawiskiem, którego niesposób przekroczyć; pół-słowa i pół-zarzuty, boleśnie uniesione brwi, złośliwie przymrużone oko. Nowy etap. Gdzie jest przeciwnik? Gdzie wróg na nowym etapie?

Zespół „Grenady" — podobnie jak wtenczas, cztery czy pięć lat temu — raniony i rozczarowany, ogarnięty pasją tropienia przyczyn (zawsze nieco późniejszą), zaczął szukać wroga we własnym kręgu. Czy nie mówiłeś wtedy, że należy usunąć tę scenę, ponieważ jej wymowa może okazać się szkodliwa? Kto ci dał prawo do takiej pewności? Czemu czepiałeś się poszczególnych słów, gdy sens utworu był jasny?... A ty? Teraz milczysz, ale wtedy przytaczałeś cytaty, zwracając je przeciw nam; te same cytaty miały drugie dno, które mogliśmy się oprzeć, gdyby nie ty, twój lęk, twoja płochliwość... Nie ufałeś masom, gniew proletariatu trzymałeś potasowany w szufladach i segregatorach... Ja? Ja byłem inny, przynajmniej od pewnego momentu dręczył mnie niepokój, że idziemy w złą stronę; ale milczałem, ponieważ zamknięto mi usta...

Odgłosy tych kłótni rozchodziły się szeroko. Nieznajomi o życzliwym spojrzeniu coraz częściej i bliżej krążyli wokół „Grenady". („Jakby stali na rogu przed wejściem — opowiadał Just — czekając na tych, którzy trzasną drzwiami.") Cierpliwie spoglądając na zegarki, liczyli czas do końca socjalizmu, idea ma jeszcze parę godzin życia, potem nastąpi bal ofiar przy otwartych bramach.

Pewnego zaś dnia Swatkowski i Miernik przyszli w zielonych kapeluszach. Tego dnia włożyli je obydwaj po raz pierwszy. Gdybym ich wtenczas zobaczył, gdybym zobaczył te kapelusze z gładkiego, zielonego pilśniu, gdybym widział, jak oni je nosili — o, nie śmiałbym się. Było jasne: to musiało coś znaczyć, są głowy, których nie nakrywa się przypadkiem. Przyjechali z Reną Szulc. Znacie Renę Szulc, spotniałą od poszukiwania prawd na przyszły tydzień. Rena miała łzy w oczach i mówiła: „Nie rozmawialiśmy z narodem". Była sobota. W poniedziałek zaczęto powtarzać na mieście, że w teatrze „Grenada" przy ulicy Polnej powstanie Komedia Muzyczna.

Nazajutrz Just i Wojnar zażądali rozmowy z Doktorem.

Przyjął ich. Siedział za tym samym biurkiem; kalendarz, świeżo zaostrzone ołówki, chłodny, uważny połysk szkieł. Niech im się nie wydaje, że potrafili go zaskoczyć. Jeżeli kto kogo zdumiał, to on ich, nie odwrotnie. Ale wysłuchał ich do końca. Tak, do końca: wygarnęli wszystko, zażądali rachunku za ubiegły czas. Just nie umiałby teraz powtórzyć tego, co mówił sam, ani co mówił Wojnar. Obydwaj mieli zdławione gardła, słowa rwały im się, z trudem panowali nad sobą. Czy wiem, co im odpowiedział? Czy zdołam odgadnąć, co im odpowiedział człowiek, którego głos był dla nich przez lata kierunkiem myśli i sprawdzianem działania?

Przychodzicie do mnie po zadośćuczynienie. Czynicie mnie odpowiedzialnym za zło tkwiące w tamtych latach. Zgłosiliście się tutaj w imieniu rewolucji zbadać moje kartoteki i księgi. Przyszliście w dniu, kiedy rewolucja dokonuje nowego wysiłku — poznania samej siebie. Jesteście mądrzejsi o ten dzień i o ten wysiłek. Ale czy zastanowiliście się, w czyim imieniu przemawiałem w ciągu ubiegłych lat? Zapewne w imieniu moich doświadczeń. Kto wie, czy nie byłem zmuszony przekazać wam moich doświadczeń, które sięgają nieco dalej wstecz niż wasze. Cóż wiedzieliście o rewolucji zakładając „Grenadę"? Pancerka z czerwoną flagą i plakat z napisem: „Lewą marsz!" Jak się okazało, nie wyczerpuje to obrazu rewolucji. Siła rewolucji jest nieskończenie wielka. Siły rewolucji są tak potężne, że w pewnych okresach sama rewolucja zdaje się ich nie wytrzymywać; wówczas świat odnosi wrażenie, że unicestwiamy samych siebie, że tłumimy i ograniczamy rewolucję, poddając ją hierarchii i metodzie. Nie usprawiedliwiam błędów, tylko je wyjaśniam. Nie wybielam siebie, tylko wskazuję na to, że ofiary, których żądałem od was — być może, i mnie nie były obce. Czy ponoszę odpowiedzialność za wyrządzone zło? Tak jest, ponoszę odpowiedzialność. Nie sądźcie jednak, że w tej nie ponosicie. To, co wam przekazałem, przekazywaliście innym. Przekazywaliście innym swoje doświadczenia: dobro i zło, których w rewolucji nie daje się rozdzielić od siebie tak łatwo, jak mięso od kości na mieszczańskim stole. Oto pokrótce nasza wspólna prawda.

Oto pokrótce, co im odrzekł Doktor. Wysłuchali go i — podobnie jak przed pięciu laty — umilkli. Nie chcieli już ciągnąć rozmowy z Doktorem, złego dia

logu minionych lat. „Nie mamy czasu — mówi Just — prawda jest teraz przed nami."

Co postanowili? Za chwilę się dowiem. Nie, te lata nie poszły na marne. Takich lat w ogóle nie ma. „Słuchaj — mówi Just przyśpieszając kroku — to, co chcieliśmy robić pięć lat temu, dziś zrobimy lepiej." Prawda jest przed nimi, może przyszłość rozwiąże zagadki Doktorów, ale oni muszą nadrobić stracony czas, teraz dni powinny być czyste. Nigdy nie czuli się tak mocno ze sobą związani, jak teraz. Just daje mi na to słowo. Gdyby tylko jeszcze wrócił Piotr.

Wygrzebali z szuflady stary egzemplarz *Łaźni*. Zaczęli go czytać; po latach przechodził z rąk do rąk. Czytali nieco inaczej niż za pierwszym razem. Przez te lata zdobyli prawo do rozumienia niektórych słów. Postrzępiony, wytarty egzemplarz zwracał im ich własne myśli. Nie umawiając się ze sobą, doszli do wspólnego wniosku, że trzeba znów rozpocząć próby. Ponieważ z dawnej obsady zabrakło kilku ludzi, przybyli natomiast nowi — nieco inaczej rozdzielono role.

Wszystko to wzięli na własne ryzyko, prawda jest przed nimi i zależy od nich — Swatkowski i Miernik zostali zawiadomieni o decyzji zespołu: zespół nie odda „Grenady" na Komedię Muzyczną. Próby *Łaźni* trwają od tygodnia.

Jak dawniej, znalazłem się w półciemnej salce. Rozpoczynano próbę. Autora — jak dawniej — grać miał Just. Pogasły ostatnie światła. Za chwilę wejdzie na scenę człowiek o gniewnych oczach, olbrzym, którego stopa miażdżyła mieszczanina. Przemówi do nas, odezwie się pełnym, grzmiącym głosem, pociąg rewolucji nie zatrzymał się jeszcze, palacz nie zasnął, czerwona lokomotywa swymi tłokami dalej pcha naprzód dziesiątki lat... Zespół „Grenady" złożył ofiarę rewolucji. Ilu ich przetrwało? Dziesięciu, siedmiu czy trzech? Jeśli zostanie tylko jeden, ten jeden przekona dwudziestu. Z dwudziestu może tylko trzech wytrzyma do końca napór ze wszystkich stron. I jeśli z tych trzech ocali się jeden, znowu rozpocznie próby. Bo wiedzą, że po największych stratach zawsze zostaje rzecz większa od każdego z nich — wciąż się odradzająca i nigdy nie utracona.

Za chwilę na scenę wejdzie Autor.

„Kurtyna! — zawołał czyjś głos. — Kurtyna w górę!"

Warszawa, wrzesień — październik 1955 r.

Kazimierz Brandys

Seweryn Pollak

PŁOCK

Już tylko jedna ryża chmura
Ugina się pod słońca kołem,
A naprzeciwko Tumska góra
Cień fioletowy rzuca dołem
I wyrastają z chmury wieże,
I mur podwójny Wisły strzeże.

Niebieszczy się i srebrzy rzeka,
Stężona w blasku, aż sprężysta,
I nurt sprzed oka nie ucieka,
I tylko światłem wkoło pryska,
I zdaje się, że stromość brzegu
Rzekę i czas wstrzymała w biegu.

Już tylko jedna ruda wieża,
Na skraju szkarpy ocalała,
Odbiciem w głębie wód uderza
Jak gdyby piorunowa strzała,
Sama piorunem rozłupana,
Przez czas i ludzi zapomniana.

Ale tuż za nią miasto szare
Z Wisły i z czasów wzrasta głębin
I ogarnięte drzew pożarem,
Ściętych zamrozem gron jarzębin,
O Wisły brzeg beztrosko wsparte,
Ufne, lecz chmurne i uparte.

A wczoraj? — Ty chyba pamiętasz,
Poeto, ze swych lat dziecinnych:
Dostojnych mieszczan cichy cmentarz,
Znów jarzębiny i jaśminy,
I starych kamieniczek senność,
I dni, i nocy nieodmienność...

I naraz zza dominikanów
Głuche po bruku turkotanie —
Ktoś z okolicznych jaśniepanów
Zjeżdżał skończywszy polowanie
I pod wódeczkę w knajpie Joska
Wołał łzę roniąc: „My to Polska!"

A Polska była w drzew kwitnieniu,
W szumiącym tuż za miastem życie,
Była w przekleństwie i w marzeniu,
W niedomówieniu, w niedokwicie,
I w strajku była, i w przegranej,
I we krwi na ten bruk przelanej.

Dziś — możesz ją zobaczyć z bliska,
Jak się wyłania spoza chmury —
Wystarczy spojrzeć od urwiska
Na ogromnego spichrza mury,
Które jak ptak w przelocie śmigłym
Trącają wodę ciemnym skrzydłem.

* * *

Jak przebudzony nagle nocą
Ptak pośród krzaka się trzepocząc
Otrząsa z liści trwożną rosę,
Jak nagła gwiazda, umierając,
Niebo od skraju aż do skraju
Przecina niby bicz ukosem,
I jak miłości uderzenie,
Gdy serce wstrzyma się na mgnienie,
A krew nabiega w skronie,
Tak jedna myśl niespodziewana
Naraz otwiera się jak rana:
Że śmierć, że koniec...

Seweryn Pollak

Krzysztof Mianowski

PIERWSZA MIŁOŚĆ

1

Na jesieni 1945 roku zamieszkałem w Domu Akademickim przy Polnej, niemal w środku zniszczonej i opustoszałej Warszawy. Jakże wiele zdarzeń dzieli nas od tych czasów! A przecież wspomnienie ich jest nadal żywe. Ileż razy powracam do nich myślą! Oto pokój na trzecim piętrze oznaczony numerem 312. Zajmują go trzej mieszkańcy: dwóch przedstawicieli Politechniki — Stach i Franek — oraz jeden Uniwersytetu, w mojej skromnej osobie.

Z okna naszego otwiera się szeroki widok na Pole Mokotowskie, gdzie rosną zeschłe badyle kartofli, bodaj czy nie powstaniowych. Grządek strzegą niewypały artyleryjskie i lotnicze. Śródmieście dawno wprawdzie rozminowane, ale amunicję można znaleźć na każdym kroku. Na przykład jeden z profesorów Politechniki znalazł po wykładzie trzonkowy granat we własnej teczce.

Jako pierwszego z moich współmieszkańców przedstawiam Stacha. Z całodziennych wędrówek po mieście wraca bardzo zmęczony, wali się w ubraniu na łóżko i natychmiast zasypia. W rannych godzinach, kiedy tkwię na dobre zatopiony w anatomii, łazik budzi się, przeciąga, aż trzeszczą szwy przykusej, wojskowej kurtki, i drapiąc się po nieogolonej brodzie szuka na podłodze niedopałków. Potem dymiąc „peta" przestępuje z nogi na nogę i głośno rozmyśla o śniadaniu; wreszcie wyskakuje na dół do sklepiku. Wraca niebawem, niosąc wśród innych sprawunków także ćwiartkę bimbru. Wyruszając do swoich codziennych zajęć trąca mnie w bok:

— Słuchaj, szczeniaku, wczoraj było coś dla ciebie. Całkowita mumifikacja, słowo daję, a ząbki szczyrozłote.

Stach usiłuje skończyć studia rozpoczęte przed wojną. Pracuje w ekshumacji. Mimo wszystkie swoje partyzanckie nawyki nie jest złym współmieszkańcem. O wiele uciążliwszym okazał się Franek, cichy chłopak, były więzień Oranienburga. Po powrocie z obozu najpierw przytył, potem znowu schudł. Ma szare, osowiałe oczy i bladą twarz. W dzień siedzi nieruchomo, wpatrzony w kartki książki albo w jakiś przedmiot. Za to w nocy bije nogami w ścianę i głośno narzeka. Psują się mu wszystkie zęby. Rozbudzony ze snu jego jękami leżę z otwartymi oczyma i przez secesyjne okno wypatruję księżyca. O niczym nie myślę, dopóki nie zbudzi się głód. Wtedy wykonuję w pamięci krótki obrachunek: śniadanie i kolacja — razem powiedzmy... 15 deka bocz-

ku i pół kilo chleba, od czasu do czasu cebula, pomidory lub coś innego, wreszcie obiad w Bratniaku — to jest razem tyle a tyle złotych dziennie, razy 30 — tyle a tyle złotych miesięcznie. I prosty wniosek: trzeba wziąć pracę z minimum zajęć, z płacą tylu a tylu złotych miesięcznie.

Apolonia ma wuja, a wuj przyjaciela, który z kolei ma firmę i mógłby zatrudnić studenta. Z listem polecającym od wuja Apolonii wybrałem się do owego przedsiębiorcy. Mieszkał w odremontowanej willi na Kolonii Staszica. Bzy w ogródkach popalonych domków przy ulicy Filtrowej szeleściły listkami. Szedłem popędzany podmuchami jesiennego wiatru, pełen dobrych nadziei. Marzyłem już o tym, jak pracując niewiele, będę żył dostatnio i uczył się.

Niestety, przedsiębiorca wyobrażał sobie wszystko zupełnie inaczej. Był nim tęgi mężczyzna o ceglastej twarzy. Cały czas mówił podniesionym głosem nie dając mi dojść do słowa. Musiałem czekać dobrą chwilę, nim zmęczył się i zamilkł. Wtedy z kolei ja odkryłem mu swoje zamiary na przyszłość. To go dopiero naprawdę ruszyło. Zaczął krzyczeć. Nazwał mnie „zdemoralizowaną młodzieżą", powiedział, że „Polskę trzeba budować", że czasy są ciężkie, a „w ten sposób daleko się nie zajedzie". Krzycząc tak, wywijał mi przed nosem tłustym palcem, na którym błyszczał pierścionek z brylantem jak groch. Właśnie zamierzałem obrazić się, ale w tej chwili odłamała się noga od krzesła i mój niedoszły chlebodawca wywinął kozła do tyłu. Śmieszny to był widok! Toteż roześmiałem się serdecznie i nie usiłując nawet pomóc mu podnieść się wyszedłem bez pożegnania. Przykro tylko, że ten list polecający jest od wuja Apolonii.

2

Współmieszkańcy od dawna śledzą mnie z dużym zainteresowaniem. Co dzień, po powrocie z Anatomicum, zrzucam z siebie petersburski fraczek z obciętymi połami, w którym mój stryj zdawał dyplom przed pierwszą wojną światową, i nakładam wojskową kurtkę. Zaciekawione spojrzenia Stacha i Franka spotykają się wtedy na ułamku lustra, w którym odbija się moja namydlona twarz. Golenie odbywa się zazwyczaj w pośpiechu, co jest powodem częstych zacięć. Ale późno już, a chciałbym jeszcze zdążyć do Apolonii. Widujemy się co dzień. Co dzień, w starannie wycerowanym mundurze z 1939 roku, pukam do jej drzwi i jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żebym nie usłyszał słowa „proszę", z czego wnioskuję, że czeka na mnie.

Apolonia, to moje „najbliższe otoczenie", to „zacisze domowe", w którym spędzam czas wolny po godzinach wytężonej pracy. Zacisza tego zazdrośnie strzegę przed intruzami. — Zabierz mnie z sobą, ojej, co ci szkodzi? — naprasza się Stach. Przykro odmówić dobremu koledze, więc uśmiechając się jak lisek milczę. Jemu znowu przykro prosić. Czeka chwilę na zaproszenie, potem zrezygnowany macha ręką i odchodzi.

Polną do Mokotowskiej, potem Plac Zbawiciela, a od Zbawiciela już tylko parę kroków. Ruchy mam niemal wdrożone. Długimi susami przeskakuję trzy kałuże, zsuwam się po stercie czerwonego gruzu i oto już jestem na podwórku przy Marszałkowskiej, co jak rezerwat zachowało się wśród ruin. Kwadrat asfaltowanej nawierzchni, szubienica do trzepania dywanów i śmietnik. Z przyległej restauracji wentylator wyrzuca zapachy kuchennej smażeniny

i szczęk naczyń. W bramie zasypanej od ulicy zwałami gruzu dwa groby powstaniowe.

Apolonia stoi przy oknie. W powietrzu unosi się zapowiedź zmroku, ale jej oczy widzą dobrze. Pędzlem umaczanym w karminie stawia kropki na szarym płótnie. Przed nią leży martwa natura: dzbanek w kwiaty i talerz z jabłkami. Co dzień zjadam jedno jabłko. Z tego powodu na obrazie jest więcej jabłek niż na talerzu.

— Przyszedłem do ciebie pogawędzić o szarej godzinie, Apolonio, czy ci nie przeszkadzam? — zadaję pytanie, które właściwie dawno straciło swój sens, którego nie ośmieliłbym się jednak nie zadać. Skinęła już potakująco głową i oto znowu jak wczoraj, pozawczoraj i co dzień od kilku miesięcy zagłębiam się w fotel z porwanym, ceratowym obiciem i milknę, ona tymczasem zdejmuje fartuch i myje ręce. Potem poprawiając na karku węzeł dukatowych włosów cedzi przez zęby (w zębach trzyma szpilki) kilka słów, w których dopatruję się tyle znaczenia, że aż po nocach dźwięczą mi w uszach, czasem uśmiecha się.

Bo Apolonia jest dla mnie istotą pełną tajemniczej treści. Dwudziestodwuletnia wdowa powstaniowa, której ślub odbył się pod osłoną barykady, a małżeństwo skończyło się miesiąc potem również na barykadzie, razem z powstaniem. Kiedy stoi tak obrócona do mnie tyłem, z całego serca podziwiam jej mocną, harmonijną sylwetkę, wyzywającą linię bioder, na których zasadza się pasek perkalowego fartuszka w kwiaty.

— Czemu tak patrzysz na mnie? — zapytuje niespodziewanie.

— Tak sobie — mieszam się. A potem — Podziwiam cię, Apolonio, jak mogłaś to zauważyć.

— W lustrze — odpowiada i śmieje się.

Tak więc tracę złudzenie co do mocy swego spojrzenia, w którym tyle przecie przesyłam zachwytu i siły pierwszego uczucia.

Ale oto Apolonia obraca się. Jej szerokie białe czoło osłania już skrzydło troski. W cieniu regularnych łuków brwiowych oczy, których koloru nigdy nie mogę ustalić: w świetle słonecznym wydają się ciemnoszafirowe, prawie czarne, w pochmurne dnie nabierają przejrzystej orzechowej barwy. Wszystko mnie w tej twarzy pociąga. I uśmiech, w którym koniuszek nosa drga, i przeświecająca muszla ucha. Ale Apolonia stawia między nami barierę nie do przebycia. Nie wolno mi nawet zdrobnić jej imienia. — Cicho, cicho — mówi łagodnie, ale stanowczo — nie...

Co najmniej raz w tygodniu wuj Apolonii, staroświecki pan, od którego dostałem pamiętny list polecający, przynosi ze swego ministerstwa przydział śledzi i celebrujemy wspólnie półrodzinną uroczystość zjadania ich z cebulką albo w oleju. Wuj nie cierpi śledzi, nie zniósłby jednak marnotrawstwa. Patrzą na mnie oboje, wuj poważnie, Apolonia z ukrytą ironią. Całe szczęście, że dopisuje mi apetyt!

Czasami jednak Apolonia jest milcząca i trudno wykrzesać z niej bodaj jedno słówko. Półgodzinne milczenie kończy się zazwyczaj spacerem po mieście. Wychodzimy oboje. Apolonia zarzuca na głowę zieloną chustkę i ramię w ramię, nadal zgodnie milcząc, wkraczamy między rumowiska, gdzie nasze kroki odbijają się samotnym echem.

— Szliśmy po amunicję... — mówi naraz Apolonia, potem rozgląda się

i przystaje. A po chwili: — Z powrotem sama niosłam ze dwadzieścia kilo taśmy. Wtedy... wtedy, stamtąd — pokazuje rozwaloną kamienicę — odezwał się ten człowiek. Wołania jego słuchaliśmy od kilku dni. Zwały gruzu przycisnęły mu obie nogi. Umierał na wysokości pierwszego piętra zawieszony głową w dół.

Wskazujący palec Apolonii błądzi po rumowiskach, za chwilę kończy tak opowieść:

— A jeden z chłopców... może czternastoletni, może piętnastoletni przystanął i powiedział: „Właściwie teraz, kiedy mamy tyle naboi..." i oddalił się. Czekaliśmy chwilę, nim wrócił, a potem, potem poszliśmy dalej. W tym czasie naszą barykadę wzięto prawie bez strzału. Nie mieli czym się bronić.

A oto i barykada, a przy niej groby. Stajemy nad jednym z nich. Taki sam jak inne: drewniany krzyż ugarnirowany taśmą z karabinu maszynowego. Pierwszy raz spytałem:

— Ktoś z twoich bliskich?

Apolonia skinęła głową.

— Brat?

— Nie.

— Ojciec?

— Nie.

— Mąż?

— Tak.

Słońce zalewa gruzy zawiesistym złotem, z kościoła Św. Aleksandra ciecznie krew zakrzepła w cegiełkach, spod nóg pomykają zdziczałe koty, a w ścianach schlastanych kulami odżywają zaklęte odgłosy walki — to saperzy wysadzają miny.

— Wracamy — mówi Apolonia.

W mroku jarzą się węgielki papierosów. Widać od Alei, jak reflektory uważnie zamiatają porytą jezdnię. Stoimy przed bramą.

— Apolonio — wyciągam obie ręce.

Kiwa przecząco głową i przysiągłbym, że płacze.

3

Zła jesień zapuszcza coraz dalej swe macki. Snują się smugi ciemnych chmur. Pada deszcz. I coraz więcej tych dni, kiedy wszystko zawodzi. Głupstwa stają na przeszkodzie w ważnych sprawach, a życie jest jednym pasmem klęsk. Wtedy pozostaje jeszcze matka. W Burakowie czeka kubek gorącego mleka i czyste łóżko. W szafie wiszą jeszcze całe, frakowe spodnie, resztka uroczystego stroju stryja Michała. Świadomość tego dodaje mi otuchy w najcięższych chwilach. Można przecie spruć lampasy i wpuścić frakowe nogawki do saperek albo nawet wypuścić je na cholewkę. Jak kto woli.

Podróże do Burakowa utkwiły mi w pamięci: cała noc w wagonie, dzień spędzony u matki i pośpieszny, paniczny niemal powrót do Warszawy, do Apolonii.

Pociągi chodzą nieregularnie. Wagon targnie, potoczy się kilkaset taktów i znowu stoi. Zagra czasem wędrowna orkiestra złożona z trąbki, gitary

i skrzypiec i znowu cisza. Za oknami deszcz. Dopiero potem, znacznie później zaczynają się nocne rozmowy. Nie widać twarzy mówiącego. Ktoś zwyczajnie westchnie: „Patrzcie państwo, jak zimno" albo „Tak, tym razem to już prawdziwa jesień" — a człowiekowi się zdaje, że słowa te uwypuklają jakiś nowy niezwykły sens, że są niepospolite. To ciemność tak wszystko wyolbrzymia. A co za wiadomości!

— Na skierniewickiej linii strażnicy kolejowi robią kiełbasę z psów, najlepszy bimber w Legionowie.

W sąsiednim przedziale ktoś uderzeniem dłoni odbija właśnie butelkę. — Nie tak się robi — mimo to korek wyskoczył i słychać cmoknięcie ust odrywanych od flaszki.

— Tak, tak, mąż rozpił się.

Tymczasem pociąg wskoczył na zwrotnicę i zaciekłym tupaniem przerywa rozmowę. Potem tematy sypią się jak z rękawa, ale mówi się już zupełnie o czym innym: o tym „jak to niejeden połknął śledzia" w ostatnie dni wojny, o tym „jakie w ogóle są ludzie".

— Niby sąsiadka, całą okupację szmuglowaliśmy razem. A widzi pani...

— Jak nie mnie, to tobie też nie...

— Potem męża sąsiadki zabrali, wyprowadzili i... w czapę — odgadł ktoś z domyślnych. Ktoś inny uogólnił:

— Wszystkich mężczyzn w t e d y wybierali.

Kobieta przy oknie, której relacja była dotąd spokojna, żachnęła się nagle:

— Właśnie, w t e d y, ale m ó j ukrył się...

Przez chwilę oglądaliśmy jej ostrą sylwetkę na tle okna, w którym rozbłysły mdłe światła mijanej stacyjki. Pociąg brał rozpęd, zaległo milczenie, a potem na powrót wskoczyliśmy w ciemność.

— Wtedy — odezwała się kobieta przy oknie — wtedy ta sąsiadka poszła i wydała.

Ktoś ziewnął.

— Ale obciach...

Senność zmorzyła podróżnych. Kiedyż wreszcie skończy się ta przeklęta podróż? Zasypiałem już niemal, od nóg skradało się wilgotne zimno. Myślałem z niechęcią o losie kobiety spod okna, o jej rozstrzelanym mężu i o sąsiadce, która wydała z zawiści. — Oj, ludzie, ludzie — powtarzałem beznamiętnie czyjeś słowa. W wyobraźni mojej zapalała się twarz Apolonii, obraz pojawiał się, gasł i znowu się pojawiał. Jechałem tak całą noc, aż do brzasku, aż do samej Warszawy.

4

Apolonia trzyma w zaciśniętej pięści róg batystowej chusteczki. Przed chwilą otarła łzę. Ma dłonie duże, ale kształtne, obciągnięte delikatną skórą i lekkie. Dotyka mego ramienia:

— Musimy go znaleźć.

— Dobrze Apolonio, będziemy szukać — mówię.

Rodzina Pawła, męża Apolonii, rozkopała jego grób i uniosła ciało w nieznane miejsce. Z początku, zaraz po powstaniu, nagabywali Apolonię, czy nie

jest w ciąży. Teraz zazdroszczą jej wspomnień. Zazdrość ta rozpaliła się w sercu matki Pawła do miary potężnego, chorobliwego uczucia. Przed godziną byliśmy u niej. Prowadzi sklep do spółki z dwiema siostrami, starymi pannami. Nietrudno wyobrazić sobie, czym był Paweł dla tych kobiet. Patrzyłem z ulicy przez szybę wystawową. Apolonia trzymała ręce kurczowo zaciśnięte na torebce, a torebkę przyciskała do brzucha, wargi jej poruszały się wolno — mówiła z dużym wysiłkiem, ale spokojnie. Dwie zgarbione postacie przysłuchiwały się, niewidoczne w cieniu. Głowa trzeciej, może pięćdziesięcioletniej kobiety, wynurzyła się nagle spośród stosu rzodkiewek i pomidorów, przekornie pochylona na bok. Włosy krucze, ściśle opięte na czaszce, wyszczotkowane do połysku i splecione w warkocz. Twarz zwiędła, zamknięta jak na guziczki parą czarnych, nieprzystępnych oczu. Zaciśnięte usta. To była właśnie matka Pawła. Podczas kiedy Apolonia mówiła, brwi jej unosiły się coraz wyżej. Przecięła głowę kapusty, potem przestawiła ciężarek na wagę. Zaciśnięte usta nieprzyjemnie rozluźniły się, a w oczach pojawił się ostry błysk. — Nie słyszałem, ale widziałem, jak całą twarzą powiedziała: nie.

— Musimy go znaleźć — powtarza Apolonia.

I oto nazajutrz rozpoczynamy wędrówkę po warszawskich cmentarzach. Ktoś mówił, że na Bródnie, inny, że na Sadybie, ale tam nie ma. Obchodzimy także cmentarze podmiejskie. Jest późna jesień. W przezroczystym powietrzu wiruje coraz więcej żółtych liści. Świeże groby skrywają się pod nimi, tak że można je tylko poznać po białych brzozowych krzyżach. Utrudnia to niezmiernie szukanie, przynajmniej mnie, bo chodzę od jednej tabliczki do drugiej i czytam, ale nie Apolonii. Ona, skoro tylko przekroczymy bramę cmentarną, zatapia się w myślach i naraz oświadcza:

— Tutaj go nie ma.

Nie wytrzymałem:

— To nonsens, Apolonio, sama nie wiesz, czego chcesz — powiedziałem przygnębiony.

Nazajutrz Stach przyniósł wiadomość z biura ekshumacji: Powązki, cmentarz wojskowy.

I znowu błądzimy wśród długich rzędów krzyży. Mozolnie sylabizuję napisy. Apolonia porusza się lekko i zwinnie na tle szarej scenerii cmentarza. Jedne aleje omija, drugimi przechodzi szybkim, zdecydowanym krokiem. Ma ciemny rumieniec na policzkach i przezroczyste, świecące oczy.

Zabrnąłem między groby i trudno mi wyjść. Stopa moja uwięzła między dwoma kopcami. Tracąc równowagę oparłem się na krzyżu. W tej chwili ujrzałem Apolonię, jak z wyciągniętymi ramionami pobiegła w nowym kierunku. Rzuciłem się za nią. Biegliśmy. W niebieskiej mgiełce majaczyły między drzewami szeregi krzyży. Krzyżowały się między sobą według boków kwadratu i po przekątnej. Nagle Apolonia upadła. Myśląc, że potknęła się, nachyliłem się nad nią. Leżała, obydwiema rękami obejmując świeżą mogiłę. Wiatr monotonnie uderzał blaszaną tabliczką na krzyżu. Przeczytałem: P a w e ł.

W godzinę potem, kiedy wracaliśmy do miasta, poznałem Stefana. Dogonił nas z tyłu szarym sportowym samochodem. Zdziwiłem się widząc nagłą zmianę w twarzy Apolonii. Krzyknęła: — Stefan — i wybiegła na jezdnię.

Nieznajomy mężczyzna szybko wysiadł z wozu i podszedł do Apolonii. Po-

tem pędziliśmy szosą w stronę Izabelina. Stefan prowadził wóz jedną ręką, ubraną w szarą, reniferową rękawiczkę. W drugiej trzymał papieros.

— Przewiozę was trochę — powiedział i roześmiał się.

„Mercedes" z kompresorami rycząc mknął naprzód. Oszołomiony pędem, przyglądałem się nieznajomemu. Był wysoki, mocno zbudowany, miał opaloną, okrągłą twarz, blond włosy i jasne, przenikliwe oczy.

Szary ranek przeszedł nagle w świetliste popołudnie. Za miastem powietrze było nasycone blaskiem jesieni. Czerwone i żółte liście wirowały w bladym słońcu. Rżyska błyskały srebrem, czerniły się puste kartofliska. Patrzyłem na kark Apolonii. Złoty łańcuszek przesuwał się po skórze. Obracała głową. Słuchałem pilnie, co mówi.

— Zapewne słyszałeś, Stefanie — powiedziała swobodnie — wyszłam za mąż, ale zdołałam już owdowieć...

Słowa wyrywane przez wiatr ginęły w szumie. Rysy Apolonii zdradzały ożywienie. Oddychała głęboko, uśmiechała się, wydawała się prawie szczęśliwa.

5

Robię wieczorny obrachunek. Realia dnia są takie:

Z Burakowa przyszła bułka domowego wypieku i garnczek smalcu z cebulką; matka pisze: „uważaj na siebie, polecam cię opiece Matki Boskiej Ostrobramskiej".

Puściły moje saperki. — Nie ma do czego szpilkować — mówi szewc rozkładając bezradnie ręce. — A może jednak, może chociaż łatkę? — pytam zawstydzony. — Odsunął okulary na czoło i ogląda mnie życzliwie zaczerwienionymi oczami. — Będą gotowe pojutrze!

Nie śmiałem prosić, żeby zrobił na jutro. A jutro idę do Apolonii. Idę na ostateczną rozmowę. I tak muszę teraz u kogoś pożyczyć buty. Wrócił Stach z pracy.

— Stach — pytam — nie mógłbyś na jutro pożyczyć swoich saperek?

Zamiast odpowiedzi z ciemnego kąta leci coś i z łoskotem upada przy moim łóżku. Buty. Ich właściciel właśnie położył się spać, ale nie chrapie jak zawsze tylko kilka razy ciężko westchnął. Zagadałem, nie odpowiada. Światło zepsute. Po ciemku jem moją kolację: czerstwą bułkę zapijam gorzką kawą i próbuję odgadnąć, czym ugodził los w mojego towarzysza. Myślę i mimo woli powracam do swoich spraw. Są błahe. A jednak... Tydzień temu spotkanie ze Stefanem odebrało mi spokój. Apolonia milczy. Nie wiem, co ukrywa pod tym milczeniem. Widziałem ich, jak jechali razem szarym „Mercedesem".

Stefan nie traktuje mnie poważnie. Jest między nami duża różnica wieku. Ale nie tylko to nas dzieli. Oto na przykład razi mnie gest, którym Stefan sięga po portfel. Oburza pytanie, którym pokrywa milczenie Apolonii. Już dwa razy spytał mnie — Pan studiuje? — A towarzyszy temu coś na kształt ironicznego uśmieszku.

Dzień naszego spotkania nazwałem „fatalnym". W dniu tym, po pamiętnej przejażdżce samochodem, Stefan zaprosił nas do „Polonii" na obiad. Biały obrus, wino, kawior i kosztowne dania — rekwizyty nie znanego mi bliżej, dostatniego życia, stały się źródłem udręki. Patrzyłem spode łba. Nie mając grosza

zdecydowałem się nic nie jeść. Ani Stefan, ani Apolonia nie zwracali na mnie uwagi. Rozmowa ich stawała się coraz bardziej ożywiona. Wspominali dawne czasy.

— Za nasze spotkanie — powiedział Stefan.

Podniosłem kieliszek i czekałem, powiało smutkiem i pustką. Odczuliśmy to wszyscy troje. Zapewne dla zapełnienia tej pustki odezwała się Apolonia i nagle zostało mimo woli wypowiedziane to, o czym nikt nie chciał mówić i czego nikt nie chciał słuchać.

— Pamiętasz tego i tego, i jeszcze tego? Zginęli w powstaniu, a tamci — chwila zadumy — chyba jeszcze w Oświęcimiu, owego rozstrzelali na ulicy — urwała. Słowa jej wisiały w powietrzu. Czułem, że jest w tej chwili niezmiernie daleko, bliska tych nieznanych, tajemniczych spraw, które wykopały między nami przepaść niezrozumienia. Patrzyła gdzieś w bok. Nie mogłem dosięgnąć jej spojrzenia. Stało się nagle nieuchwytne. Potem uśmiechnęła się, a Stefan powiedział:

— Ja handluję, zarobki są niezłe.

Jak bardzo pragnąłem owego wieczora mieć portfel wypchany „góralami", żeby zapłacić za siebie, a przede wszystkim za Apolonię. Znienawidziłem Stefana.

Stach zasnął. Nad Polem Mokotowskim żegluje duży złoty księżyc, jak dekoracja teatralna przypięty do chmurnego nieba. Strzępiaste obłoki, pędzone wiatrem, raz po raz przemykają koło złotej tarczy. Wiatr jest porywisty. Po północy na pewno spadnie deszcz.

6

Pod wieczór ruch uliczny zawiązuje się koło ruin Dworca Głównego. Zapalają się tam latarnie, przejeżdża dużo samochodów, w bramach sprzedawcy zachwalają ciastka. Następnego dnia spotkałem tam Apolonię. Wyłowiłem ją z tłumu ludzi, których przyciągnęła z ruin wysepka światła. Szła szybkim, lekkim krokiem. Podążyłem za nią tłumiąc wybuch nieokreślonych pretensji. Słuchała mnie uważnie. Potem przyspieszyła kroku. Przeskoczyliśmy kałużę.

— Apolonio — powiedziałem z wyrzutem.

— Uważaj, obryzgałeś mnie błotem — odrzekła chłodno nie obracając głowy.

Zatrzymałem się zdziwiony. Szła dalej. Po chwili zastanowienia puściłem się w pogoń. Ogromne saperki, które pożyczyłem od Stacha, latały na nogach naciskając boleśnie zatarcia.

— Apolonio, zaczekaj.

Przystanęła obrócona tyłem, a kiedy ją dopadłem znowu, ruszyła naprzód.

— Zachowujesz się niedorzecznie — rzuciła mi przez ramię — jesteś śmieszny!

Staliśmy przed bramą, Apolonia spuściła oczy i wysunęła stopę naprzód. Czułem, że chce znowu powiedzieć coś cierpkiego. Uprzedziłem ją:

— Żegnaj — wyciągnąłem rękę.

Ujęła ją z wahaniem, potem puściła. Obróciła się na pięcie, zrobiła kilka kroków i przystanęła. Co się działo w mroku z jej twarzą? Wydało mi się, że

głowa jej osiadła głębiej między ramionami. Szukała czegoś w torebce. Starałem się przebić wzrokiem wzbierające ciemności, ale wieczór już zaczynał przechodzić w noc i postać Apolonii ginęła mi z oczu. A więc straciłem Apolonię... Znam ją, nie wróci.

Naraz ktoś cichym głosem powiedział: — Nie odchodź...

I znowu jak tyle razy przedtem weszliśmy oboje na pierwsze piętro, a potem do pokoju o dużym oknie, w którym wisiała firanka z nocnego nieba, poszarpana u dołu zrębem gruzów, gdzie stały trzy sprzęty: klubowy fotel z porwanym obiciem, staluga i łóżko Apolonii.

Stanąłem łapiąc ciszę; słuch mój na równi ze wzrokiem zanurzał się w ciemność, szukając na jej dnie czegoś nieuchwytnego; przy oknie krzątała się Apolonia i przez chwilę dziwne zdało mi się, że to właśnie ona jest tą istotą, do której wysyłam wszystkie najlepsze myśli.

Stałem pośrodku pokoju, a jej postać przesuwała się nieuchwytnie w ciemnym wnętrzu. Kilka już razy z determinacją wyciągałem po nią ręce i cofałem. Wymykała się drwiąc, jak mi się zdawało, z mojej odwagi. Wreszcie zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę. Apolonia zatrzymała się przy oknie. Podszedłem. Ciepło biło z jej karku. Milczeliśmy. Nagle obróciła się i przywarła do mnie ciałem. Jej ramiona drżały. Zarys nosa, oczu i brwi zatarł się w zbliżeniu. Wargi były spękane i obrzmiałe od płaczu.

Powiedziałem głucho: — Apolonio — i zamilkłem. Serce uderzyło mocno, w ustach zrobiło się sucho. Pierwszy raz spoczęło na mnie brzemię uległości kobiety.

*

Za oknem pada rzęsisty deszcz. Apolonia mówi:

— Podeszłam do jednego z żołnierzy i na dłoni podałam mu złoty krzyżyk...

Głowa jej leży w poprzek mego ramienia.

— Czemu tak zrobiłaś?

— Krzyżyk ten nosiłam od dzieciństwa. Nie wiem. Żołnierz myślał, że błagam o życie. Pchnął mnie. Kiedy podniosłam się, nikt nie żył...

W naszą ciszę wtargnął znowu równomierny szum kropel rozbijających się o ziemię. Po dłuższym namyśle powiedziałem:

— Zapomnij o tym. Pamiętaj raczej, że słońce jest słońcem, a niebo mimo wszystko błękitem, którego nikt i nigdy nie zdoła nam zabrać.

Obróciła do mnie twarz. Brwi jej uniosły się. Warkocz, opięty na karku, trącony moją ręką rozwinął się i włosy rozsypały się. Odgarnęła je sennym ruchem.

— Apolonio, Apolonio. — Na powrót przygarnąłem ją do siebie. — Apolonio. — Położyła mi dłoń na ustach.

*

Wczesnym rankiem wybiegłem na ulicę. Deszcz przestał padać. Nad domami sunęły pospiesznie chmury. Siwe, pierzaste i ciche. Pojawiały się nad zrębem gruzów, przeskakiwały Marszałkowską i ginęły. Uleciał ze mnie rój złych myśli. Nie potrzebowałem się od nich opędzać jak od złych psów. Czułem, że

nareszcie jestem tym, czym zawsze pragnąłem być, że jestem sobą. Ulice stały puste. Krążyłem po nich długo myśląc o dniu dzisiejszym, o dalszych dniach, o naszym życiu.

7

— Pomówmy o naszej przyszłości...

Policzki Apolonii spłonęły lekkim rumieńcem. Opuściła powieki.

— Wybacz, innym razem — przerwała gładząc mnie po włosach. — Nie gniewaj się, widzisz, ja muszę wyjechać z Warszawy. Na krótko. Ale śpieszę. Muszę — powtórzyła z naciskiem.

Ustąpiłem. Pożegnaliśmy się.

A więc za trzy dni. Za trzy dni, tyle potrwa gościna Apolonii u krewnych, tyleż moja samotność, na którą tak ciężko mi było przystać. Za trzy dni zobaczymy się, a nim to nastąpi, będę żył przeszłością. Każdą minioną godzinę rozłożę w pamięci na minuty. Sekundy odmierza mocnymi uderzeniami serce.

Przez okno zagląda niedzielny poranek. Pole Mokotowskie przykryła srebrnym dywanem rosa. Słychać dzwony od Zbawiciela. Piętro wyżej studenci zabawiają się puszczaniem papierowych ptaszków. W dole stadko dzieci z wyciągniętymi rękami goni za zdobyczą. Ten cudny ranek, jeden z ostatnich w październiku 1945 roku, spędziłem nad książką, nie rozumiejąc, co czytam. Samotność ciążyła nieznośnie.

Wieczorem tegoż dnia przed domem akademickim zatrzymał się samochód. Czyjeś buty głośno zatupały po schodach, a wkrótce miałem ich wszystkich u siebie: Antka, Mieczyka, Freda i Andrzeja.

Jakaż była nasza radość! Po długiej rozłące witaliśmy się jak bracia. Zaglądaliśmy sobie w oczy. Nie zmieniły się. Coż z tego, że Mieczyk ma gwiaździstą bliznę na policzku i jedną nogę krótszą o trzy centymetry, że Fredowi brak palca u lewej ręki, że Antek i Andrzej są jeszcze w mundurach. Nie zwiodą mnie czyjeś tam gęste wąsy. To moi towarzysze broni od palanta. Stara wiara z Burakowa, niedobitki dwudziestego trzeciego rocznika.

Traktuję gości, czym chata bogata: oto moje studenckie łóżko, a oto garść niedopałków. Siadajcie wygodnie i palcie. Pod sufitem pływa wkrótce niebieski obłok dymu. Czyjeś wilgotne wargi starannie puszczają kółka.

— Przepłynąłem Wisłę pod Siekierkami...

Nagle Antek przerywa bezładną gadaninę. Zawsze nam przewodził.

— Wstawajcie, chłopcy — powiada — zabawimy się dzisiaj po naszemu, po burakowsku! Za spotkanie!

8

W restauracji było duszno. Andrzej nachylił się nade mną:

— Chodź na ulicę — szeptał — tam dopiero zaśpiewamy.

Skinąłem głową. — Poczekaj, za chwilę. — Zbliżała się moja ulubiona wrotka. Wszyscy wybijali takt. Rozejrzałem się za jakimś przedmiotem. Trafiłem na popielniczkę. Uderzyłem nią kilka razy o blat stołu, nagle pękła. Dalej wybijałem takt ręką. Śpiewaliśmy:

Bo nasza pieśń
Nie pachnie rozmarynem.
Nie ma w niej dziewcząt
Ni pąsowych ust.
Jak nasze życie
Pachnie krwią i dymem,
Pieszczotą rąk
Karabinowy spust.

Z hałasem wstałem od stolika. Jakiś mężczyzna wychodził na ulicę. Poszedłem za nim.

Latarnia rzucała blask na wilgotne kamienie jezdni. W jej świetle stał koń z opuszczoną głową. Na koźle drzemał dorożkarz.

— Hej, sałata.

Zasnął.

Starałem się wykryć, do kogo należą te słowa.

— Kto tam? — spytałem. Nikt nie odpowiadał. Przeszedłem na drugą stronę jezdni. W ciemności ktoś dobijał targu z dorożkarzem. Poznałem głos Freda:

— Zawieziesz, a wiesz dokąd, co?

Zatoczyłem się. Ktoś mnie podtrzymał. Dwie osoby załatwiały się pod ścianą.

— Ej wy tam, pospieszyć się.

Dorożkarska szkapa zaklaskała kopytami w miejscu. Ktoś zanucił:

...Mścicielska pięść
Wymierzy sprawiedliwość,
A naszą pieśń
Podniesiem aż do gwiazd.

— Wierzysz w to jeszcze? — spytałem Andrzeja.

Zastanawiał się, nim dał odpowiedź:

— W nic nie wierzę.

Huknął strzał. Podniosłem głowę. Andrzej celował z pistoletu w latarnię. Padł znowu strzał, a za nim trzeci, czwarty, cały magazyn. Echo powtarzało kanonadę w pustych ulicach.

— Ulżyło ci? — spytałem.

Chował w milczeniu pistolet. Twarz jego była surowa.

Siedzieliśmy w dorożce. Noc kończyła się. Ulicami ciągnął chłodny powiew. Naraz koń przestał człapać. Zatrzymaliśmy się przed jakimś domem.

— Panowie, do roboty. — Dorożkarz zlazł z kozła i końcem bata starał się zastukać w okno na piętrze. Chłopcy wysypali się z dorożki i dla rozgrzewki zaczęli zdobywać budynek. Łomotano do drzwi.

— Bierz ją, Bukiet!

— Nie daj się, Mucha!

Po chwili okno na piętrze otworzyło się.

— Nic z tego, chłopczyki, za późno — krzyczała kobieta we wzorzystym szlafroku. — Przyjdźcie jutro!

Rozległ się śmiech, gwizd, brzękła szyba. Ścigani wyzwiskami pomykaliśmy wkrótce na Warszawę. Bardzo daleko, chyba w okolicy Dworca Wschodniego, ktoś wycinał poranny werbel na automacie. Po niebie przeciągnęło cicho kilka świetlnych pocisków i zgasło.

W „Piekiełku" zabawa osiągnęła swój szczyt.

— *Warszawa*, zagrać *Warszawę!* Nie tańczyć!

Burakowska wiara rozproszyła się w pogoni za kobietami. Przysiadali się do obcych stolików.

Krążyłem sam wokół parkietu z trudem omijając rozbawionych gości. Po dłuższym wahaniu wybrałem wreszcie kobietę w średnim wieku o regularnych rysach, nieco zniszczonej cerze i dużych smutnych oczach. Jej powierzchowność wzbudzała we mnie szacunek. Ukłoniłem się. Podniosła się ociężale. Była dobrze zbudowana, pasowaliśmy do siebie wzrostem. Dla pokrycia zmieszania powiedziałem kilka niezręcznych komplementów. Naraz przygarnęła mnie mocno i przytuliła swoją głowę do mojej twarzy.

— No mów dalej — szeptała mi do ucha — podobam się tobie?

Orkiestra przestała grać. Posypały się oklaski.

— Brawo, brawo, jeszcze raz.

Muzykanci przecząco kiwali głowami i rozkładali ręce. Trzymaliśmy Freda:

— Szkoda forsy, daj spokój.

— A to co? — wyjął z kieszeni garść zdobycznych zegarków, roztrącił nas i wbiegł na podium.

— Grać, panowie, grać, do roboty — naglił przyklejając każdemu grajkowi pięciusetzłotowy banknot do spoconego czoła.

Rozkręcona w ten sposób orkiestra już czwarty raz rżnęła *Ja jestem sekwestrator*. Zmęczenie, pijacki humor i jeszcze coś trudnego do określenia, co miało związek z niedawnym końcem wojny, pobudzało saksofony do wariackich wyczynów. Na estradzie zrobiło się gęsto. Pod czerwonym okiem reflektora tłum par podrygiwał w miejscu. Dzienne światło mieszało się ze światłem lamp. Trzymałem partnerkę w objęciach coraz mocniej. Nie słuchałem, co mówi. Myślałem o Apolonii. Naraz jakaś para podniosła się od stolika. Czyjaś ręka wykonała znajomy gest. Mężczyzna w szarym ubraniu sięgnął po portfel i obrócił się do mnie twarzą. Dreptałem bezmyślnie w miejscu. To był Stefan, a przy nim stała Apolonia.

Krzysztof Mianowski

Zbigniew Szymański

MARIO! PŁOMIEŃ!

Księżyc spełza, ćwierka świerszcz za ścianą,
Stoję z Tobą w oknie, z rozebraną,
Całkiem nagą, marmurowo białą —
Całkiem nagą, przeraźliwie zapłakaną.
Mario! Mario! — głaszczę Twoje dłonie,
Zimny ogień w piersiach moich płonie.
Zimny ogień, gdy dotykam Twoich piersi,
Twoich piersi, Twoich rąk, a mojej śmierci.

CZARNE, CZARNE, WSZYSTKO CZARNE DOOKOŁA,
ŚMIERCI MOJA, ŚMIERCI, TY MNIE WOŁASZ!

Czarna noc, gdy dotykam Twoich piersi,
O me życie będziemy biedniejsi.
Tobie dzień, Tobie świt, Tobie radość,
Mnie zabija marmurowa nagość,
Mnie zabijasz lodowym płomieniem
Swoich rąk, swoim płaczem, milczeniem.
Dość już wierszy fałszywych, niech skowyt
Bije ze mnie, jak z trupa bez głowy
Bije czarna krzepnąca krew —
Czarna krew przeraźliwa jak Twój śmiech.
Mario! Mario! Taki jestem jak teraz,
Taki byłem i taki umieram.

CZARNE, CZARNE, WSZYSTKO CZARNE DOOKOŁA,
ŚMIERCI MOJA, ŚMIERCI, TY MNIE WOŁASZ!

12.IX.55 r.

Zbigniew Szymański

Mieczysław Jastrun

TOMASZ MANN CZYLI O POWOŁANIU ARTYSTY

I

Kiedy przeczytałem *Lotte in Weimar*, jeden z najbardziej zdumiewających utworów Manna, pomyślałem: „Dobrze się stało dla mnie, że nie znałem tej powieści pisząc *Mickiewicza*. Na pewno nie porwałbym się na przedstawienie monologu Goethego, gdybym był wcześniej przeczytał ów nieporównany, nieskończenie długi i wspaniały monolog wewnętrzny starego poety. Nie odważyłbym się na zuchwalstwo dotknięcia tej struny po lekturze *Lotte in Weimar*".

Jej rozdział końcowy tak mnie zachwycił, że przełożyłem ostatnich kilkanaście stronic, w których jest rozmowa starego poety z „kochanką pierwszych dni". Równie gęstego intelektualnie i równie subtelnego i zjadliwego zarazem dialogu próżno by szukać w ubogiej i kalkującej umowną rzeczywistość prozie nowszych czasów. Przy tym — i to jest jednym z uroków tej sceny — dialog ten jest właściwie fikcyjny. To wracająca samotnie z teatru Lotte śni na jawie, że obok niej siedzi Wielki, którego znała w młodzieńczych latach. I ta widmowość dialogu ma w sobie siłę fascynującą; cała jest przelśniona od wewnątrz światłem.

Wystarczy porównać tę powieść o poecie z romansami biograficznymi różnych słynnych autorów, by zrozumieć, jakiego przewrotu dokonał Tomasz Mann w tym gatunku, chętnie czytanym, lecz zazwyczaj mało wartym.

Pamiętam, jak bardzo bywałem rozczarowany, gdy czytałem *Goethego* Ludwiga czy *Dziecię słońca* lub *Byrona* Maurois. Żaden z tych utworów nie był powieścią o życiu wewnętrznym pisarza, poprzestawał na biografii faktów i plotek. Od dawna marzyłem o powieści, która by nie ograniczała się do faktów życiorysu, ale dawała możliwie prawdziwy psychologicznie portret artysty.

Tomasz Mann, czy to tworząc fikcyjne postacie von Aschenbacha, Tonia Krögera, bohatera noweli *Tristan*, muzyka Adriana Leverkühna w powieści *Doktor Faustus*, czy to Goethego, albo w noweli *Schwere Stunde* ukazując Schillera, tworzył te postacie, wszystko jedno, zmyślone czy istniejące niegdyś, jak stwórca, nie jak notariusz i kronikarz życia. Jeśli to były postacie historyczne nawet o tak sugestywnej i zdawałoby się wyłączającej stworzenie ich na nowo wymowie, jak Goethe lub Schiller, umiał całą swoją wielką sztuką i do dna przenikającym znawstwem człowieka i psychologii artyzmu iść prze-

ciw morzu komentarzy, w których — zdawało się — utopieni zostali dawno owi geniusze słowa, skrępowani na zawsze pedantycznym wykładem, zaciemnieni niezliczonymi objaśnieniami. To, co uczynił Tomasz Mann w *Lotte in Weimar* i w *Schwere Stunde*, było w istocie rozbiciem kamiennych trumien obu klasyków. Klasyk bowiem na skutek rozbiorów i seminariów uniwersyteckich i szkolnych, rozpraw uczonych i oficjalnych opinij wcześniej czy później staje się pisarzem martwym, aczkolwiek szanowanym powszechnie. W *Schwere Stunde*, co po polsku mogłoby się wykładać: *Godzina zwątpienia*, Schiller ukazany jest w chwili, gdy pisząc *Wallensteina* nagle zwątpił w siebie. Najbardziej ludzki moment, i dlatego właśnie postać dawnego poety żyje na kilkunastu stronicach tego opowiadania. Na Goethego w *Lotte in Weimar* patrzymy wzrokiem kilku obserwatorów i asystujemy przy niebywałym dotąd w żadnej powieści o geniuszu misterium wewnętrznego monologu w całej potędze i bezpośredniości wyrazu.

Ta improwizacja Goethego, napisana przez Tomasza Manna, pełna rozgałęzionych aluzji, podziemnych treści, znaczeń, zwielokrotnionych przez samą pracę czasu, ma coś z potężnej symfonii.

II

Życie i powołanie artysty leżało w centrum zainteresowań Tomasza Manna, było jednym z powracających tematów jego sztuki, szukającej niezmordowanie sensu istnienia i sensu twórczości. Sztuka refleksyjna, drążąca byt, nie tylko opisująca go, nie może nie dążyć do ustawicznego samouświadomienia. Tym również tłumaczyło się owo uparte dociekanie celu sztuki i pisanie dla niej praw moralnych przez Norwida, najbardziej świadomego z pisarzy polskich. Rozumna poezja Norwida natrafiła na żywioł muzyczny Szopena, świadomy siebie, racjonalistyczna proza Tomasza Manna raz po raz ociera się o mroczny ocean Beethovena.

Już wczesna nowela *Tonio Kröger* surowo osądza proces powstawania dzieła sztuki, motywy i źródła twórczości. Tonio Kröger zwierza się w tym opowiadaniu ze swoich niepokojów i wątpliwości. Sądzi on, że dzieło sztuki powstaje nie z uczucia, normalnego ludzkiego uczucia, lecz z zimnej ekstazy. Silne uczucia są artystycznie jałowe, kim więc jest artysta? Jest kimś, kto pracuje nie dlatego, aby żyć, lecz dla pracy samej w sobie; jego zdolność nadawania formy fantomom zubaża go równocześnie jako człowieka, pustoszy jego serce; musi mieć w sobie coś pozaludzkiego i nieludzkiego, by w sposób naiwnie perfidny wyrażać rzeczy ludzkie.

„Piękno jest początkiem przerażenia" — powiedział Rilke w *Duineser Elegien*. Zdanie to mogłoby posłużyć za motto noweli *Tod in Wenedig*, mimo że napisano zostało w kilkanaście lat po niej. Utwór ten opowiada o starym pisarzu niemieckim, który wyjechawszy na wypoczynek do Wenecji zakochuje się w młodziutkim chłopcu polskim i umiera na panującą tam właśnie zarazę. W istocie Von Aschenbach umiera, albowiem zetknął się z pięknem, któremu służył przez całe swe życie, lecz którego grozy nie znał. Tak również we wczesnym opowiadaniu *Tristan* umiera żona kupca Klöterjahna, tęskniąca za pięknym życiem, umiera w chwili, gdy stanie się przedmiotem miłości pisarza Spinella.

który znalazł się obok niej w sanatorium szwajcarskim, gdzie przebywa „dla stylu". Piękno sąsiaduje tu wszędzie ze śmiercią, igranie ze słowem i tonem muzycznym kończy się tragicznie. Adrian Leverkühn, obłąkany muzyk z *Doktora Faustusa*, skupi w sobie wszystkie demoniczne rysy sztuki i zarazem stanie się symbolem tego obłąkania, które doprowadziło Niemców do hitleryzmu. Kleist, Lenau, Hölderlin, Nietzsche, stary pakt Fausta z Mefistem, oto są koligacje Leverkühna. Dawna nieufność Tomasza Manna do sztuki tu, w tej powieści, pisanej w czasie drugiej wojny światowej, osiągnęła swój szczyt ponury. Obarczał on w tych strasznych latach odpowiedzialnością za to, co się działo, także literaturę i wszelką sztukę.

Czyniliśmy to na swój sposób my również. Pamiętam, że w latach okupacji drażniła mnie postać Joachima z *Góry czarodziejskiej*, na którą przenosiłem wiedzę moją o żołnierzu niemieckim. Mógłbym także wyliczyć długą listę poetów, niegdyś lubianych, w których dopatrywałem się wówczas zapowiedzi odpychających obietnic czasu morderców. W kilka lat po wojnie powiedział do mnie Julian Tuwim: „Nikt z nas, pisarzy, nie ma racji, bo wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za to, co się stało".

I dlatego na progu nowego życia wymarzyliśmy taką jutrzenkę nowej, głęboko ludzkiej i uniwersalnej sztuki, że wszystko, co później przyszło, bladło przy tej jutrzence, która miała być jutrzenką naszych nowych narodzin. Mechanizm dziejów, człowieka i zbiorowości wydawał się nam o wiele prostszy niż jest w istocie. Przyszedł powszedni dzień i w swoim ostrym słońcu ukazał krajobrazy, które nie przestały być krajobrazami dantejskimi wbrew wysiłkom niejednego artysty, by upodobnić je do widoków bukolicznych.

Tomasz Mann, który już w noweli *Tonio Kröger* marzył o literaturze jako o drodze do zrozumienia, przebaczenia i miłości, jako o wyzwalającej mocy języka, o duchu słowa, będącego najszlachetniejszym objawieniem duszy ludzkiej w ogóle, a o artyście jako o najdoskonalszym człowieku, jako o świętym... u kresu nieludzkich zbrodni i nieszczęść swojej ojczyzny ujrzał w przybliżającym rzeczywistość marzeniu ową niegdyś marzoną przemianę słowa niepokojącego lub bawiącego tylko w słowo oczyszczające, pełne, czynne, zdolne przeistoczyć naturę ludzką.

W młodzieńczej noweli mówił o trudzie artysty, o pracy samej w sobie, w jednej z ostatnich prac, w esseju o Czechowie, wyznawał: „Może w niej samej (w pracy artysty), choćby zdawała się jedynie rozrywką, tkwi coś moralnego, przydatnego, społecznego, co w końcu prowadzi nawet do owej «zbawiennej prawdy», po którą wyciąga dłonie bezradny świat?" * Mann, podobnie jak Czechow, „nie czuł się dobrze w swojej sławie", gdyż nie widział dość jasnego i skutecznego wyjścia z zamętu, w którym znalazł się świat po drugiej wojnie.

Wygłoszone w maju 1955 roku przemówienie na akademii schillerowskiej tchnie pesymizmem w ocenie współczesnego świata, pesymizmem, który wszakże jest złagodzony — mimo wszystko — wiarą w podniesienie się człowieka, szacunkiem dla dziedzictwa kulturalnego. Nie na darmo powołuje się raz po raz w ostatnim okresie życia na Goethego i Schillera, widząc w nich poręczycieli przyszłego odrodzenia się narodu niemieckiego. Ale Tomasz Mann

* Przekład Izabelli Czermakowej.

nie należy do tych pisarzy, którym wystarcza powierzchnia życia, którzy jak ów nauczyciel tańca w *Toniu Krögerze* ślizgają się po powierzchni rzeczy, nie docierając nigdy do ich istoty. Sumienie jego jest niespokojne, czuje się współodpowiedzialne za losy ludzkości.

Ostatecznie wszystko na tym polega, jak głęboko i jak daleko pisarz sięga swoim sercem i wzrokiem. Bez wielkiej miłości nie byłoby tragedii Antygony, bez wnikliwej, nadludzkiej niemal wrażliwości moralnej nie byłoby tragedii Hamleta. Tylko literatura przeciętna cofa się przed ostatecznymi wnioskami; kto chce stępić czujny instynkt i ostrą wnikliwość literatury, ten chce, by pszczoła po wyrwaniu jadowitego żądła żyła nadal i zbierała miód z kwiatów.

III

Humanizm Tomasza Manna był w ostatnim dwudziestoleciu zwłaszcza wystawiony na ciężką próbę. Jest to przecież okres głębokiego upadku wszelkich praw moralnych, na których opierało się życie jednostki i społeczeństw. Potworne zdziczenie, które faszyzm pod różnymi postaciami wprowadził w życie narodów niby okrutną parodię wszelkiego prawa, śmiertelna nienawiść do najszlachetniejszych zdobyczy myśli i uczuć ludzkich, pogarda dla prawdy, kult brutalnej siły, kłamstwo zaprzeczające prawdom oczywistym, wreszcie realizacja tego wszystkiego w masowych, niebywałych w historii morderstwach całych narodów — oto świat, na który ów wielki humanista wchodząc w późniejsze swe lata musiał patrzeć.

Lata powojenne nie przyniosły odrodzenia ludzkości. Krew wylana tak hojnie, dym palonych ciał ludzkich nie oczyściły serc tych, którzy wyszli cało z rzezi narodów, zatruły powietrze oddychalne życia; trupie jady zaraziły żyjących, gangrena moralna weszła głęboko w dusze.

Tomasz Mann, który już w *Górze czarodziejskiej* ujrzał czas zbliżającego się konfliktu, w osobach Settembriniego i Naphty ukazując zarysowujące się jeszcze przed pierwszą wojną światową przeciwieństwa, w roku 1914 pisze nowelę *Das Gesetz (Prawo),* w której racjonalizując historię biblijną o Mojżeszu, powraca do strzaskanego dekalogu, przypominając ludzkości, jak dziecku, pierwsze prawo człowieka, niby litery alfabetu moralnego: „Aby ziemia była znów ziemią, padołem płaczu, ale nie siedliskiem bezeceństwa".

Aby ziemia znów była ziemią, padołem płaczu... Tyle tylko? Tomasz Mann nie wierzy w ziemię obiecaną przyszłości. Jest w *Górze czarodziejskiej* wspaniała scena, gdy Hans Castorp zabłąkawszy się podczas zamieci śnieżnej ma sen o przyszłej szczęśliwej i pięknej ludzkości, taki, jaki mógłby się przyśnić Toniowi Krögerowi lub Aschenbachowi opętanemu przez platońskiego Erosa.

Castorp widzi szczęśliwe pokolenie dorodnej i wolnej ludzkości. Ale dane mu jest również w tym jasnym obrazie zobaczyć tajemną świątynię, w której krew ludzką składa się na ofiarę jakiemuś Baalowi przyszłości.

Czyżby ludzkość była nieuleczalna?

To pytanie zdaje się stać za słowami esseju o Czechowie. Na pytanie biednej Kati: „Co robić?" — odpowiada Mann za Czechowem — „Uczciwie mówiąc — nie wiem". Głęboko chyba uzasadnione wątpliwości — w naszej epoce, która

widziała powrót i udoskonalenie najbardziej barbarzyńskich form znęcania się człowieka nad człowiekiem, w epoce zbrodni masowych, niewolniczej pracy, w epoce, każącej myśleć o piramidach Egiptu, Assyrii i Inkwizycji.

Tomasz Mann widział niedoskonałość systemów stwarzanych przez człowieka i znał niedoskonałość natury ludzkiej. Konflikt między zmysłowością i pragnieniem czystości moralnej, tak ważny w zrozumieniu osobowości Lwa Tołstoja, którego Mann cenił wysoko, w istocie jest dnem tak spokojnego w tonie, klasycznie wystylizowanego utworu jak *Śmierć w Wenecji* z roku 1911 i indyjskiej noweli, napisanej w roku 1944, *Zamienione głowy*. Droga do piękności moralnej prowadzi przez namiętność, przez zmysły — i to jest złe. Taki jest sens opowiadania *Tod in Wenedig*. Całe skomplikowanie miłości, brutalna walka instynktu z uczuciem jest treścią na wpół fantastycznej opowieści o zamienionych głowach. Utwór ten, mimo dobrotliwego humoru, z jakim autor opowiada o bolesnych sprawach niepełności i niedoskonałości uczuć miłosnych, jest w wymowie swojej ostatecznej jednym z najtragiczniejszych utworów Tomasza Manna. Odsłonięta w nim została nie tylko jedna z prawd o miłości, ale również jedna z kurtyn czasu i kultur zamierzchłych. Wielka powieść *Józef i jego bracia* pozwoliła wejść czytelnikowi za jedną z owych kurtyn — w świat starożytnego Egiptu. Mannowska filozofia czasu i niemożności dotarcia za ostatnią z kurtyn — do początku wszechrzeczy, tu znalazła wyraz zadziwiająco rozległy, pełen znaczeń i aluzyj ukrytych.

Zarówno w tej powieści, jak w *Górze czarodziejskiej*, zadziwiają rozważania na temat czasu, który w obu utworach odgrywa rolę nie mniejszą niż w dziele Prousta.

Biblijna powieść o Józefie i powieść o sanatorium szwajcarskim w o wiele intensywniejszym sensie niż na przykład *Buddenbrookowie* ukazują płynność i chwiejność rzeczywistości.

To, co w noweli, pochodzącej jeszcze z roku 1899, *Kleiderschrank (Szafa na ubrania)*, było zaledwie zaznaczone (*„Alles muss in der Luft stehen"* — „wszystko na powietrzu stoi", czyli wszystko jest chwiejne, irracjonalne, w późniejszych wielkich dziełach rozrasta się do budzących dreszcz niepokoju rozmiarów. Mam tu na myśli ten sam niepokój, który przenika dzieło Conrada czy Dostojewskiego, wielki niepokój, neodłączny od sztuki prawdziwej i bezkompromisowej.

Ale w tym świecie Tomasza Manna, czy to ukazany jest w obrazach *Góry czarodziejskiej*, obejmującej tak wiele spraw całej epoki, że może być uważana za nowożytną *Boską komedię*, czy to jest utkany na wzór gobelinów z historiami biblijnymi — ludzie są żywi, krew jest prawdziwa. Dzieło Tomasza Manna zdaje się mówić, że bez względu na to, czym jest rzeczywistość dla nas dostępna, człowiek jest miarą wszystkiego, o swą godność, o sens swego istnienia na ziemi walczyć musi ze sobą i światem. Wokół niego toczą się wielkie cykle gwiazd i bez niego wszystko traci jakiekolwiek znaczenie. Jakież jest powołanie artysty, pisarza w tym trudnym świecie? Musi wierzyć, że opowiadając ludziom o ich sprawach i nawet nie umiejąc odpowiedzieć na podstawowe pytania, dręczące od wieków ludzkość, uchyla przecież jakiegoś rąbka nadziei, ukazuje bowiem możliwość piękniejszego, lepszego bytu.

„Głęboka jest studnia przeszłości. Czy nie należałoby jej nazwać niezgłębioną?

Nawet wtedy i może właśnie wtedy, gdy tylko i jedynie jest to ludzka istota, o której mowa i o której przeszłość chodzi: tajemnicze istnienie, co obejmuje sobą nasz własny naturalnie radosny i nadnaturalnie żałosny byt i którego tajemnica w sposób zupełnie zrozumiały stanowi A i O wszelkich naszych dociekań, wszelkiemu omówieniu — troski i żaru, wszelkiej sprawie intensywności użycza.

Albowiem tak się dzieje, że im głębiej kopać, im dalej w podziemiu przeszłości drążyć i szukać omackiem, początek rodzaju ludzkiego, jego historii, jego obyczaju okazuje się całkowicie nie do zgłębienia i przed naszym sondującym pionem, przez jakikolwiek niewiarygodnie długi czas byśmy sznur jego rozwijali, wciąż na nowo i wciąż dalej ustępowałby w głąb pozbawioną oparcia ziemskiego..."

Od tych słów zaczyna się wielka biblijna opowieść *Józef i jego bracia.*

Co skłoniło Manna do zapuszczania sondy w ową zamierzchłą dawność? Czym jest owa „podróż do piekieł"? Jest tylko odmianą ciągłej podróży w co najmniej równie niewiadomą przyszłość. Jest podróżą do kresu możliwości.

Niejednokrotnie zastanawiałem się nad tym, co właściwie popycha pisarza do coraz nowych dzieł, jaki to ukryty motor wprawia w ruch jego wyobraźnię i zmusza go do szukania wciąż nowych nazw i rozwiązań dla rzeczywistości widzialnej i dla niewidzialnego marzenia. Czym jest ów nie zaspokojony nigdy głód kształtu, który każe artyście zmagać się bezustannie z opornym materiałem, do jakiego kresu zdąża on w wędrówce ziemskiej, której kresem w każdej chwili życia wiadomym jest śmierć? Jest tak, jakby szukał w zapadającej mu się pod nogami rzeczywistości dna ostatecznego, jakby w ciemności wypatrywał zbawczego światła. Żadne dzieło już dokonane nie zadowalnia go, więdnie dla niego, gdy tylko się narodzi, aby w nowym trudzie i z nową nadzieją rozpoczynał nową próbę — czego? nazwania, wytłumaczenia rzeczywistości?

Artysta rośnie jak drzewo, nie zawsze prosto; nie przystosowuje się do znanej prawidłowości, sam stwarza nową prawidłowość, prawo, obowiązujące zresztą tylko w jego własnych granicach. Nadzieja, która towarzyszy mu w czasie pisania nowego utworu, czyż nie jest nadzieją ostatecznego uchwycenia tego wszystkiego, na co nie miał dotąd odpowiedzi, a więc zarazem nadzieją uwolnienia się od dręczącej niepełności? To nic, że jest to nadzieja złudna, gdyż rzeczywistość jest płynna, nie ograniczona, rozchylająca jedynie wciąż nowe przed nim kurtyny.

Oto dlaczego jest dziełc Goethego albo Tomasza Manna tak rozrośnięte i tak rozgałęzione. A owo rozrastanie się dzieła dlatego jest dla autora tak bolesne, że praca nad nim odbywa się wśród wahań, poczucia niepełności, w ścisłych dyscyplinach stylu, wymagającego ciągłych wyrzeczeń, nieomal protokólarnego w opisie gwałtownych uczuć, bliskiego prawdy poezji wtedy, gdy unika jakiejkolwiek poetyczności. Rządzą tym rodzajem pracy ludzkiej prawa pełne sprzeczności, albowiem ta forma jest najlepsza, która zaledwie daje znać o sobie, owładnięta i przeniknięta na wskroś namiętnością prawdy, pokorna wobec niej i zarazem panująca nad nią. Można by tę sprzeczność wyrazić w takiej mniej więcej przekornej formule: najlepszy jest ten styl, który unika stylu.

IV

Skoro już te luźne uwagi z lektury Tomasza Manna napisałem tak osobiście i raczej na marginesie wielkiego dzieła, niech mi wolno będzie podkreślić jeszcze jedną właściwość pisarza, szczególnie mnie wzruszającą. Jest to pokora wobec pracy i zasługi innych twórców i skromność wynikająca ze świadomości, jak nadludzko trudną rzeczą jest sztuka pisarska, jak odpowiedzialne jest powołanie artysty. Z głęboką aprobatą powtarza Mann zdanie Czechowa: „Niezadowolenie z siebie, to podstawa każdego prawdziwego talentu..." „Dowodzi ono, że jesteś czymś więcej, niźli ci zadowoleni ze siebie, może nawet jesteś wielki". „Ale w szczerości zwątpienia i niezadowolenia — dodaje Tomasz Mann — nie zmienia to niczego, i praca, wierna, niestrudzona praca, aż do końca, w przeświadczeniu, że nie zna się przecież odpowiedzi na ostateczne pytania, praca z wyrzutami sumienia, że się zwodzi czytelnika, nadal pozostaje tym przedziwnym: »Pomimo wszystko«."

Dla mnie owa niepewność siebie i skromność w ocenie własnych umiejętności, szacunek wreszcie dla cudzego trudu są przede wszystkim miarą etyki pisarza i szerokości jego umysłu. W okresach, gdy do literatury wkraczały antykulturalne tendencje, zjawiały się na miejsce zdolności do różnienia się bez gniewu i zawiści — buta, lekceważenie, ograniczoność.

W jednym ze swoich przemówień powiedział Mann, że właściwie wszystko zawdzięcza wielkim mistrzom. U pisarza tej miary co autor *Góry czarodziejskiej* jest to wyznanie nieporównane w swej skromności.

Wynikała ona niewątpliwie ze świadomości, że nie ma powodu do zadowolenia z siebie ten, kto nie może dać zdecydowanej odpowiedzi na kilka prostych, lecz najważniejszych pytań.

Powiedzcie, który pisarz może o sobie powiedzieć, że znalazł taką odpowiedź?

Pisarz o ambicjach wychowawczych w najlepszym tego słowa znaczeniu musi odczuwać stały niepokój o sens i prawdę swojego pisania. Tomasz Mann przez całe swe długie życie zmagał się z cieniem zwątpienia i śmierci. Zaprawdę było to najgodniejsze ze zmagań ludzkich, zmaganie się Jakuba z aniołem.

*

Wiadomość o śmierci Tomasza Manna, gdy już rozeszła się wielkim echem po świecie, dobiegła do mnie z opóźnieniem na cofniętą w czasie wieś polską, święcącą właśnie pełny urodzaj w sierpniowym słońcu, ciężką od owocujących sadów, jasną od malw i słoneczników.

Trzy miesiące temu widziałem Tomasza Manna w Weimarze podczas uroczystości schillerowskich, widziałem jakby po to tylko, by raz jeszcze utwierdzić się w wiedzy, że jedynie gośćmi jesteśmy „na tej ciemnej ziemi".

Starożytni umieszczali kraj umarłych pod ziemią, jakby dając tym do zrozumienia, że umarli nie zrywają ostatecznie wszystkich związków z naszą planetą. Co roku Demeter żegna się z Korą, która powróci znów z krainy ciemnego Plutona wraz z wybijającymi się z ziemi ziarnami. Orfeusz schodzi do tego państwa nocy, gdzie zimują przyszłe kłosy, wiedziony pragnieniem odzyskania Eurydyki, Herakles wyprowadza stamtąd z lepszym szczęściem piękną Alcestis, która poświęciła się dla męża.

Ale nasze poczucie śmierci i wyzwolenia od niej jest inne.

I mój wzrok tej nocy, która nadeszła po dniu upalnym, skierował się nie ku podziemnym czeluściom Hadesu, lecz ku jasnej, ogromnej przestrzeni nieba, jakie jeszcze tylko na wsi zobaczyć można, rozmigotanego od miliardów gwiazd. Ten niedotknięty dotąd stopą człowieka naszej planety, urzekający swoją tajemniczością teren jest może — myślałem uniesiony uczuciem, które łatwo przylega do naiwnych wierzeń — przystanią duchów, kochających wolność i szukających odpowiedzi na pytania, które nie przestają dręczyć umysłów ludzkich swoim sensem wykraczającym poza ich ciasne granice. Umarł? Czy istnienie jego było większe od jego cienia, od słowa, które przecież żyje, dopóki my napełniamy je naszym oddechem? Czy tylko nieśmiertelność jego została nagłym wyrokiem ograniczona do dzieł już napisanych, jakby do systemu o zliczonej dokładnie ilości gwiazd i planet, do których nigdy już żaden nowy świat nie przybędzie, lecz których blask będzie się zmieniał w ciągu stuleci?

Czy raz stworzona rzeczywistość może naprawdę pogrążyć się w bezwzględnej nicości?

Czy poza naszym czasem nie ma innego czasu, który jest kategorią tworów geniuszu ludzkiego, niepodległych prawom ciążenia i rozkładu żywej materii? A jeśli tak, to odpowiedzcie, jak mu na imię!

W sierpniu 1955

Mieczysław Jastrun

Juliusz Żuławski

SŁAWIANIE, MY LUBIM SIELANKI...

Chociaż dzieje wielkich doświadczeń spisane są w księgach, a księgi leżały zawsze tuż pod ręką — niezbyt gorliwie szukaliśmy przestróg i nauk przeszłości. Szczególnie wtedy, kiedy to pod sugestią uproszczonej wizji nowej ery wydawało się nam, że sposoby myślenia i odczuwania zmieniają się szybciej i gruntowniej, niż się zmieniają w rzeczywistości. Tworzyliśmy więc *a priori* sztuczne formuły literackie. Wyszło z tego to, co wyszło. A tymczasem nadal — podobnie jak sto lat temu, a nawet jeszcze bardziej i powszechniej — ludzie w tym kraju łaknęli choćby gorzkich, lecz śmiałych i celnych słów o prawdzie swojego życia, o prawdzie nie jakiejś wyteoretyzowanej, ale realnie co dzień odczuwalnej, łaknęli choćby przeraźliwego, lecz szczerego i szlachetnego głosu, który otwierałby im i ożywiał ich własne serca, potrzebowali — jak powietrza i chleba — literatury prawdziwej, odpowiedzialnej w swej prawdomówności, nie ślepej, nie „dworskiej", ale rzeczywiście „zaangażowanej" — zaangażowanej w rzeczywistych losach swojego narodu.

Niezwykła jest siła takiej literatury, takich słów, takiego głosu. Dzieło, które wyrosło z najdotkliwszej prawdy o świecie, towarzyszy światu poprzez pokolenia i w najtrudniejszych chwilach życia ludzkiego wznawia wstrząsającą swoją aktualność, jak upiór ożywa. Tak właśnie wyjrzały z ksiąg — po latach — gwałtowne, potężne obrazy Mickiewiczowskich *Dziadów* i w niejednej ze swoich scen przemawiają dziś głosem równie pełnym i żywym, jak mogły przemawiać wtedy, kiedy je ręka poety kreśliła.

Trudno o chłodne i odmierzone uwagi wobec dzieła tak głęboko dramatycznego, szczególnie gdy powraca ono w mury teatru w tak głęboko dramatycznych czasach, w których — na oczach naszych i w nas samych — przetapiają się jak w rozpalonym tyglu sprawy wzniosłe i sprawy okropne, nadzieja miesza się z niepokojem. Przez szkiełko mędrca można oczywiście dopatrzeć się wielu zaciemnień tekstu czy reżyserskich błędów w nowej, twórczej inscenizacji *Dziadów*. Ale wszystkie słusznie czy niesłusznie wytykane usterki odgrywają tu co najwyżej rolę gazy osłaniającej blask istoty rzeczy, która aż do dna umysł widza porusza i prowokuje.

Nie mogę spocząć: te sny to straszą, to łudzą...

I nie trzeba cofać się wyobraźnią w przeszłość, aby słuchając rozumieć i pojmować patrząc. W tym tkwi właśnie niezniszczalna moc *Dziadów*. Nawet na wskroś romantyczne w swym kształcie sceny wileńsko-kowieńskie z wspaniale ukazaną nam *Częścią IV* — pomimo tonów właściwych dla swego czasu — wcale nie są dziś martwe, bo całym swym osobistym dramatem wrastają głęboko w prawdziwe sprawy ludzkie, ogarniają je głębokim i trwałym uogólnieniem. A cóż dopiero mówić o drezdeńskiej części dzieła? Raz drapieżne, raz szydercze wizje nadlatują z przeszłości i kładą się na dniu dzisiejszym całym swym strasznym i nieodpartym ciężarem. Wypowiedzmy tu to, co wielotysięczna widownia Teatru Polskiego po przedstawieniu unosi z sobą w swych myślach: Czy realizm tych scen nie sięga i naszych czasów, czy nie ogarnia także i tych spraw, które u nas zaledwie wczoraj zaczęto potępiać? Albo czy *Salon warszawski* nie zamyka w sobie absolutnie aktualnego, nieomal pełnego w swym niezwykłym skrócie dyskursu także i o naszej współczesnej literaturze? Wielkie i bolesne szyderstwo Adama Mickiewicza nie skrzepło tu w rysy posągu. Brzmi tak, jak gdyby było tylko co wypowiedziane — i teraz z kolei nasz „salon warszawski" zawstydza.

Bo chociaż dzieje głębokich doświadczeń spisane są w księgach, a księgi leżały zawsze tuż pod ręką — przez lata całe nie chciano pamiętać, czego naród nasz wymaga od swojej literatury. Uważano, że niektóre, najdotkliwsze prawdy nie nadają się do opisywania i do rozważania, chociaż wiedzieli o nich i czuli je na sobie wszyscy. W rezultacie — w minionym dziesięcioleciu, w okresie nienajmniej burzliwym, trudnym i gorzkim — naród nasz zbyt często nie odnajdywał swego głosu w książkach. Człowiek o twarzy pooranej codziennym trudem z niepokojem brał do ręki proponowane mu nowoczesne sielanki i zaczynał wątpić w sens swego życia. Sielanka zaś — na odwrót — stała się miarą „znajomości życia" i wierności pisarza wobec mas narodu. I tak wierzono u nas w jej magiczną rolę, że wszelkie zdecydowane odstępstwa od niej w literaturze poczytywane bywały niemal za zdradę zasad, na których wyrasta nasza współczesność.

A tymczasem naród miewa swój sąd nieomylny zarówno o zdradach, jak i o wierności ze strony literatury. I właśnie dlatego na świeżo odsłoniętym pomniku Mickiewicza w Krakowie znalazły się wieńce uwite rękami ludzi najprostszych. I właśnie dlatego sarkofag Mickiewicza wprost utonął w kwiatach.

I dlatego też publiczność w Teatrze Polskim słucha jego gwałtownej poezji jak słów najwierniejszego z przyjaciół. Kiedy więc bywa się przyjacielem widowni? Myślę, że w każdym razie nie wtedy, gdy od najtrudniejszych i najdotkliwszych spraw, które ludzie jak brzemię noszą na barkach, ucieka się w wykoncypowane sielanki. Natomiast z pewnością wtedy, kiedy się mówi im — i za nich — raczej o tym, co ich boli, dręczy i niepokoi, niż o tym, co ich uszczęśliwia. Tak już jest, że z realną szczęśliwością jakoś ludzie sami dają sobie radę; z realnym cierpieniem — nie zawsze. Sprawy miłe wystarczy zanotować — do tego nie jest potrzebny przyjaciel, wystarczy uczciwy statystyk. Ale sprawy dotkliwe trzeba przeniknąć, wyjawić i osądzić z całą solidarnością z tym, który je dźwiga, z całą niezależnością myśli, z największym poczuciem odpowiedzialności wewnętrznej za każde swoje słowo.

Z taką niezwykłą wprost odpowiedzialnością za słowo, sięgającą najczystszych już rejonów wewnętrznej moralności ludzkiej — napisane są *Dziady*. Nawet uboczne na pozór elementy scen poszczególnych mają tu swoją nienaruszalną wagę. Toteż nowa inscenizacja dzieła — inscenizacja prawdziwie monumentalna i piękna, a ukoronowana wspaniałą i przejmującą postacią Gustawa-Konrada — wymaga bystrych, nawet drobiazgowych uwag i osądów. I chociaż nie podejmuję się ich tutaj rozwijać ani roboty reżyserskiej szczegółowo badać — wydaje mi się, że są rzeczy — powtarzam: w tym dziele nigdy nie małoznaczne — które wagę całości jednak naruszają w sposób dość jaskrawy, aby tu o nich wspomnieć.

W scenie więziennej pojawia się postać Kaprala. Ten rosyjski żołnierz — chociaż więzienny dozorca — sprzyja więźniom, gdyż jest Polakiem, dawnym legionistą, wziętym potem w rekruty. W tekście i o nim mówią to, i on sam opowiada o sobie. Nic z tego nie zostało na scenie. Został jedynie strażnik z karabinem, którego rola tutaj wydaje się zupełnie nie wytłumaczona. A przecież Mickiewicz wytłumaczył ją jasno. Ani jednej ze swych realistycznych postaci nie pozostawił bez całkowicie pełnego i głęboko odpowiedzialnego wytłumaczenia.

Jak gdyby wręcz odwrotnie — i też źle w danym wypadku — ujęto scenę balu u Senatora. Solidaryzujący się z młodzieżą polską Oficer rosyjski i dekabrysta Bestużew są właściwie nie do zidentyfikowania, wmieszani od początku w grupkę Polaków. Trudno się zorientować, że to właśnie Rosjanie mówią, gdy się słyszy ich słowa. A przecież w tekście widać najwyraźniej, jak bardzo celowo i ostentacyjnie postaci te zostały na scenę wysunięte. Obraz tak jaskrawy w swym skrócie, tak realistyczny, tak odpowiedzialny — Mickiewicz narysował z całą prawdą i aż do końca.

I trzecia sprawa: myślę, że patos Ks. Piotra niepotrzebnie przystroił się na scenie w aż tak mocne, wręcz apostolskie akcenty. W całości dzieła nic nie wskazuje na to, aby ta postać miała być tak zdecydowanie kluczowa i najważniejsza, jak to z niektórych sytuacji scenicznych wynikło.

Jeżeli tylko te zarzuty wydają mi się najistotniejsze, to znaczy, że mam ich niewiele. Wymieniłem je dlatego, ponieważ wszystko, co w *Dziadach* jest realizmem, jest tak pełne prawdy o dziejach naszych, o losach naszych i o naszej ludzkiej naturze, że stało się absolutnie nieprzesuwalne, nie może być ani na włos przeinaczane.

I myślę, co więcej, że kiedy dzieło literackie nie zawiera prawdy właśnie takiej — wtedy nie zawiera żadnej, jest stertą pustych słów, które nie mają w ogóle znaczenia. Wszelkie pół-prawdy, prawdy jedynie postulowane, prawdy nie przeżyte, ale wymyślone, prawdy nie mówiące głosem ludzkim, ale życiu ludzkiemu imputowane, prawdy „etapowe", prawdy wymienne — nikim nigdy nie wstrząsną, nikomu w niczym nie dopomogą.

W czasach naszych — tak niezwykle dla całego narodu trudnych i tak niezwykle dla całego narodu ważnych — warto głębiej i na nowo uprzytomnić sobie tę rzecz, zawsze oczywistą. Jeżeli pisarz nie mówi za tych, którzy milczą — wyrzeka się swojej jedynej prawdziwej roli. Jeżeli pisarz afirmuje tylko — umiera nie żałowany razem z tym, co napisał. Jeżeli jest niezadowo-

lony z istniejącego stanu rzeczy, atakujący, gniewny i gorzki — pomaga w rezultacie przełamywać magiczne kręgi złych praktyk i iść naprzód. Jeżeli zrozumiał prawdziwe życie ludzkie — i po stu latach jeszcze płaczą po nim.

Prawda w *Dziadach* jest ciągle żywa i na nowo dziś wstrząsająca, bo była prawdą powszechną i prawdą pełną buntu przeciw zakrzepłej rzeczywistości.

W tym tkwi istota wielkiego pisarstwa i to jest jego rozstrzygającą miarą. Słowa poety, który powołanie swoje traktuje z całą odpowiedzialnością moralną, zawsze uderzają w zakrzepłą rzeczywistość, zawsze naruszają istniejący stan rzeczy — już tym samym stawiając przed oczy to, co w wyobrażeniach powszechnych wydaje się godniejsze człowieka i lepsze. Toteż Dziady pozostaną wzorem poezji najgoręcej związanej z żywymi losami narodu, wzorem poezji rewolucyjnej w najprawdziwszy i najszlachetniejszy sposób.

Zamykając księgę czy wychodząc z teatru, czujemy to doskonale. Chociaż nie o naśladowanie Mickiewicza nam chodzi. Raczej o nowe przemyślenie obowiązków i odpowiedzialnej roli pisarza...

— tylko dla nauki
Scenę boleści powtórzył zbrodzień.

Juliusz Żuławski

Behçet Kemal Çağlar

NAD PORTRETEM MICKIEWICZA

Patrzysz, a twoje oczy w przyszłość obrócone,
Piszesz, i własną duszą zapisujesz strony;
Nieposłuszne uczucia twoja myśl zwycięża,
Gdy myśl osłabnie, z serca dobywasz oręża.
Twoje wiersze, karmione baśnią ludu starą,
W najcięższych dniach wygnania przepojone wiarą,
Żyją dziś w twoim ludzie i na twojej ziemi
A prochy spoczywają razem z królewskimi.
W tym kraju, gdzie rytm serca drga Chopina rytmem,
Każdy krzew czerpie siły w twych prochach ukryte,
Bo choć przeżyłeś wszystkie cierpienia Wertera,
Ty uczysz, jak żyć wtedy, gdy serce umiera.
Ty sam siebie skazałeś na długie wygnanie,
By móc walczyć o wolność, by móc umrzeć dla niej
I tak jak matka dzieci karmi, gdy zgłodnieją,
Tułacz — spragnione serca poiłeś nadzieją.
Ty, coś DZISIAJ poświęcił, by JUTRO budować,
Jesteś mi równie bliski, jak Fikreta* strofa;
Gdy wiem, że kochać, wierzyć, paść w walce — to życie,
Miałbym cię nie rozumieć? Ciebie, Mickiewiczu?
Twój wiersz, jak cierpkie wino, wciąż smaku nabiera,
W nim łączysz Hugo wielkość z natchnieniem Schillera
I z Petrarką gawędzisz pod ramię z Puszkinem...
Żywe, jak przed stu laty, dzisiaj do mnie płyną
Twe słowa „Do młodości" z ody, jak z płomienia;
I z Burgaz, gdzieś ostatnie zostawił wspomnienie,
Twój głos, co ludzkie serca tak rozpalić zdołał,
Twój głos dziś znowu słyszę, jak z daleka woła:

„Młodości! dodaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem

* Tevfik Fikret, wielki poeta turecki, żyjący na przełomie XIX i XX w., założyciel nowej szkoły poetyckiej.

W rajską dziedzinę ułudy:
Kędy zapał tworzy cudy...
. . . . . .
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie:
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię.
. . . . . .
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległym ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu..."

Niech siła twego ducha uczyni mnie zdolnym
Zginąć w imię wolności; zginąć lub żyć wolnym.

Przełożyła z tureckiego
Małgorzata Łabęcka-Koecherowa

Laurie Lee

PRZYJAZD DO BOMBAJU

Zbrukanym morzem, zgniłą wodą,
W które betelem pluje słońce,
Wyspy jak krowy w krok człapiące
Wloką już cały ląd za sobą.

Z piachu wystercza skalne ramię,
Blask chwyta wzgórza niby w kleszcze;
Wciąż tu dla sępów żer, wciąż jeszcze
Krew Hindu kapie tu na kamień.

Zatoka świtem poruszona
Wód wyostrzone wznosi skrzydła;
W ich cieniu dżonka trwa zastygła —
Ćma nocna w jasność dnia wklejona.

Ułudne rankiem, gazą spięte,
Zbliża się miasto lśniąc na wodzie,
Łudzą w bezwonnym korowodzie
Ulice niby z mapy zdjęte.

Lecz gdy w tę maskę spojrzeć z bliska —
Rozpada się od kul poryta,
Nagością ran za serce chwyta
I winę naszą w pierś nam wciska.

Przełożył
Juliusz Żuławski

Gieorgij Leonidze

*
* *

„I ja żyję, a na Kaukaz jadę."
(z listu Mickiewicza wysłanego z Odessy dnia 4 marca 1825)

Nie zobaczyłeś olbrzyma
Skowanego przez cara w kajdany,
Ale już wtenczas twój głos
Był w mojej ojczyźnie słyszany.
Ja — gór podniebnych syn,
Przywożę z dalekiej podróży
Gruzji czerwoną różę,
Gruzji czerwoną różę
Kładę na sercu twym —
Na sercu Polski.

Przełożyła
Mieczysława Buczkówna

Saghar Nizami

ODA DO MICKIEWICZA

Świat czci cię dzisiaj za miłość człowieka,
która kres kładzie podziałom ludzkości
według stron świata i koloru skóry.

Kto teraz w naszym pokoleniu
wybiega myślą ku przyszłości,
ten idzie w ślad za twym wezwaniem.

Na polskiej ziemi, co zrodziła
mężów przesławnych jako gwiazdy,
ludzkość Ci dzisiaj składa hołd.
Przyłączam własne pozdrowienia,
słońce wolności, miesiącu postępu!
Twój blask prześwietla dzisiaj dusze
wszystkich Polaków.
Kiedy Twoje ciało
znalazło spokój w krakowskim grobowcu,
Twój duch uśmiecha się oczyma
rodaków śniących o wieczności.

Źródło natchnienia, snów, nadziei,
serce, co znało żal i radość,
serce niosące pokrzepienie
swemu krajowi i ludzkości,
przyłączam własne pozdrowienia!

Hymnie bijący z ryku burz,
pieśni w poszumie wichrów gniewnych!
Tyś wzorem walki o zasady
ludzkości, prawdy, rewolucji!
Słowa twojego posłannictwa
sięgają, niby blaski słońca,
nie tylko srebrnych ziem zachodu,
lecz i złocistych krain wschodu!

Żar Twojej wiary, siła ducha
znosi odległość, która dzieli
kraj Kalidasa i Ghaliba
od granic Twej ojczystej ziemi.

Więc przyjm mój hołd i uwielbienie,
kwiaty lotosu oraz róże!
Nie ja sam jeden ci je składam:
mój głos wyraża głos milionów,
kwiaty — ogrody całych Indii.

Przełożył
Olgierd Wojtasiewicz

Abraham Szlonski

PRZECIW PUSTYNI

I

Tysiące lat, tysiące lat
Leżały piachy jak kość słoniowa,
Nikt nie przerywał ich drętwej ciszy.
I tylko wieczorem nad ostów szelestem,
Bywało, zakrąży sęp
I uśnie.
Lub w świetle księżyca wielbłądów sznur
Przez równinę łysą
Przesunie się cicho.
Hajda-rida!
Hajda-rida!
Brzęk — nie — brzęk!
Tak na wietrze się odzywa
Dzwonków dźwięk.
To rozhowory wojsk pustyni
Od wydmy do wydmy.

II

Wtem — błysk łopaty niezmożonej
I zajęczały piachów stada:
„Ej! któż ten śmiałek, co się waży
Zakłócić spokój nasz odwieczny?"
Z wydmy na wydmę trzask i gwizd:
I stało się!
„Ej! Żwiru dodaj! Lej zaprawę!
Daj piaskom cement na oprawę!"
I pod uderzeniami rydla
Zadrżały piaski.

. . . . . .

IV

Od domu do domu,
By piaski ujarzmić,
Przeciągnęły me dłonie
Pas gościńca.
Gościniec — to pas,
Gościniec — to powróz.

I naprzód kroczy
Miasto w budowie.
Wyjąc umknęły szakale wylękłe
I król pustyni dał znak do ucieczki.
A miasto wesołe
Śpiewa pieśń cementu:
„Wiadro-kubeł!
Kubeł-wiadro!
Spiesz się, spiesz się, mój wielbłądzie!
Mieszajcie zaprawę, ręce moje!
Święć się, święć się, trudzie mój!"

. . . . . .

VII

...Gościńce się łączą jak lejce w zaprzęgu,
A domy są jak pięści wysunięte w nicość.
Szakale po nocach nadziwić się nie mogą
I wyją: „Uciekajmy!"
Wiem, że pustynia
Po nocach mściwe modły wznosi,
A w dali, na kopule meczetu,
Tkwi księżyc jak sztylet.
Ejże! Szymonie! Ejże! Rubenie!
Łopatę kieruj przeciw pustyni!
I znowu dłonie mieszają zaprawę,
I znowu miasto nuci pieśń buntu:
„Wiadro-kubeł!
Kubeł-wiadro!
Gdzie była pustka,
Tam wstanie miasto.
Oto rozbrzmiewa pieśń betonu.
Oto pustynia kona!
Naprzód, naprzód,
Pieśni buntu!"

Przełożył dosłownie
Artur Sandauer

Ragnvald Skrede

BIAŁY PTAK

Jeżeli ktoś obdarza cię sympatią,
to biały ptak wyfruwa
z jego serca,
przylatuje do ciebie
i miło ćwierka.
Jeżeli ktoś cię nie lubi,
to nadlatuje czarny ptak,
siada na kamieniu
i wpatruje się złośliwie.

Codziennie przybierają
wszystkie ptaki
barwy pośrednie,

ale jeżeli leżysz w przepaści
albo stoisz na bastionie,
to wszystkie ptaki
są białe lub czarne.

Nie zapomnij nigdy
o białym ptaku:
ten sfrunie do przepaści
i wzleci na bastion.

Przełożył
Adolf Sowiński

Na wieczorze poetyckim, który odbył się 28.XI.1955 w Filharmonii Narodowej w Warszawie, wiersze swoje i przekłady złożyli w hołdzie Mickiewiczowi następujący poeci:
Aziz Abaza (Egipt), Rafael Alberti (Hiszpania), Guy de Boschère (Belgia), Hermann Buddensieg (NRF), Stig Einar Carlsson (Szwecja), Charles Clerc (Szwajcaria), Błaga Dymitrowa (Bułgaria) Sinha Dinkar (Indie), Stanisław Ryszard Dobrowolski, Pierre Louis Flouquet (Belgia), Nicolas Guillen (Kuba), Piotr Glebka (ZSRR), Mark Gurakugi (Albania), Franz Hellens (Belgia), Binem Heller, Stephan Hermlin (NRD), Pablo Neruda (Chile), Jarosław Iwaszkiewicz, Mieczysław Jastrun, Behçet Kemal Çaglar (Turcja), Jure Kastelan (Jugosławia), Laurie Lee (Wielka Brytania), Gieorgij Leonidze (ZSRR), Józef Lichtenbaum (Izrael), Wojtech Mihalik (Czechosłowacja), Vitezslav Nezval (Czechosłowacja), Saghar Nizami (Indie), Radu Miron Paraschivescu (Rumunia), Pien-Chin-Lin (Chiny), Julian Przyboś, Salvatore Quasimodo (Włochy), Abraham Szlonski (Izrael), Ragnvald Skrede (Norwegia), Antoni Słonimski, Leopold Staff, Michał Stelmach (ZSRR), Stiepan Szczipaczow (ZSRR), Eva Szebok (Węgry), Teofilis Tilvitis (ZSRR), Arvo Turtiainen (Finlandia), Tristan Tzara (Francja), Werner Warsinsky (NRF), Robert Vivier (Belgia).

Maksym Gorki

LEW TOŁSTOJ

Ta książeczka powstała z urywkowych notatek, które pisałem mieszkając w Oleizie, gdy Lew Nikołajewicz mieszkał w Gasprze, z początku ciężko chory, następnie na rekonwalescencji. Myślałem, że te uwagi, napisane niedbale na różnych skrawkach papieru, zaginęły, ale niedawno część ich odnalazłem. Prócz tego należy do nich niedokończony list, który pisałem pod wrażeniem „ucieczki" Lwa Nikołajewicza z Jasnej Polany i jego śmierci. Drukuję list, nie poprawiając w nim ani słowa, tak jak wtedy napisałem. I nie kończę go, jakoś nie można tego zrobić.

NOTATKI

I

Myśl, która widocznie częściej niż inne porusza jego serce — to myśl o Bogu. Niekiedy wydaje się, że to nawet nie myśl, lecz natężony opór stawiany czemuś, co czuje nad sobą. Mówi o tym mniej, niżby chciał, ale myśli — zawsze. Czyżby to było oznaką starości, przeczuciem śmierci, nie, sądzę, że to przejaw jego pięknej ludzkiej dumy. I trochę urazy, bo gdy się jest Lwem Tołstojem, podporządkowanie woli jakiemuś streptokokowi ubliża. Gdyby był przyrodnikiem, oczywiście tworzyłby genialne hipotezy, dokonałby wielkich odkryć.

II

Ma zadziwiające ręce — brzydkie, pokryte węzłami rozszerzonych żył, a mimo to pełne szczególnego wyrazu i twórczej siły. Prawdopodobnie takie ręce miał Leonardo da Vinci. Takimi rękami można robić wszystko. Niekiedy, rozmawiając, porusza palcami, stopniowo zaciska je w pięść, potem nagle otwiera ją i jednocześnie wymawia mocne, ważkie słowo. Podobny do Boga, nie do Sabaotha albo olimpijczyka, lecz do takiego rosyjskiego Boga siedzącego na klonowym tronie pod złotą lipą, który nie jest imponujący, ale, być może, przebieglejszy od wszystkich innych bogów.

III

Sulerżyckiego traktuje z kobiecą tkliwością. Czechowa kocha po ojcowsku, znać w tej miłości dumę twórcy, a Suler budzi w nim właśnie tkliwość, stałe zainteresowanie i zachwyt, który, zdaje się, nigdy nie męczy czarodzieja. Być może, w uczuciu tym jest coś śmiesznego, jak miłość starej panny do papugi, pieska, kota. Suler — to jakiś zachwycający wolny ptak z obcego, nieznanego kraju. Setka takich ludzi jak on mogłaby zmienić i fizjonomię, i duszę jakiegoś prowincjonalnego miasta. Fizjonomię by mu potłukli, lecz duszę napełniliby pasją do bujnych, pełnych fantazji wybryków. Kochać Sulera jest łatwo i przyjemnie; gdy patrzę, jak niedbale traktują go kobiety, dziwi mnie to i złości. Zresztą pod tą niedbałością kryje się może ostrożność. Po Sulerze można się wszystkiego spodziewać. Jak postąpi jutro? Możliwe, że rzuci bombę, a może wstąpi do chóru restauracyjnych pieśniarzy. Energii starczy mu na trzy żywoty ludzkie. Tyle w nim życiowego ognia, że zdaje się pocić iskrami jak przegrzane żelazo.

Ale pewnego razu Tołstoj bardzo się rozgniewał na Sulera. Skłaniający się do anarchizmu Leopold często i gorąco mówił o wolności jednostki, a Lew Nikołajewicz zawsze w takich razach pokpiwał z niego.

Pamiętam, Sulerżycki zdobył skądś cieniutką broszurkę księcia Kropotkina, rozpłomienił się nią i cały dzień opowiadał wszystkim o mądrości anarchizmu, filozofując druzgocząco.

— Ach, Lowuszka, przestań, sprzykrzyło się słuchać — powiedział ze złością Tołstoj. — Powtarzasz jak papuga jedno słowo — wolność, wolność, a gdzie, w czym jego sens? Przecie jeżeli osiągniesz wolność w twoim pojęciu, tak jak ty ją sobie wyobrażasz, co z tego będzie? W filozoficznym sensie — bezdenna pustka, a w życiu, w praktyce zostaniesz próżniakiem, łazęgą żyjącym z żebraniny. Co cię, wolnego tak jak ty to rozumiesz, wiązać będzie z życiem, z ludźmi? Widzisz, ptaki są wolne, a przecież budują gniazda. Ty nawet gniazdka nie uwijesz, zaspokajając swe popędy płciowe jak pies, gdzie się da. Zastanów się poważnie, a zobaczysz, odczujesz, że wolność w krańcowym sensie — to pustka bez granic.

Zachmurzył się gniewnie, milczał chwilę i dodał ciszej:

— Chrystus był wolny, Budda — również, i obaj przyjęli na siebie grzechy świata, dobrowolnie oddali się w niewolę ziemskiemu życiu. Dalej nie poszedł nikt. A ty, a my? — co tam my. Wszyscy staramy się uwolnić od obowiązków względem bliźnich wtedy, gdy poczucie tych właśnie obowiązków uczyniło nas ludźmi, i gdyby ich nie było, żylibyśmy jak zwierzęta...

Uśmiechnął się:

— A teraz, w każdym razie, rozmyślamy, jak należy żyć lepiej. Pożytku z tego niewiele, ale i niemało. Choćby ty, dyskutujesz ze mną i złościsz się tak, że ci nos sinieje, a nie bijesz mnie, nawet nie wymyślasz. Jeżeli czułbyś się rzeczywiście wolny, ukatrupiłbyś mnie i basta.

Po chwili milczenia dodał:

— Wolność, to gdy wszystko i wszyscy zgadzają się ze mną, ale wtedy nie będę istniał, gdyż wszyscy odnajdujemy siebie tylko w zderzeniach, w sprzecznościach.

IV

Goldenweizer grał Chopina, co wywoływało w Tołstoju takie myśli:

— Jakiś mały niemiecki królik powiedział: „Tam, gdzie się chce mieć niewolników, trzeba jak najwięcej tworzyć muzyki". To słuszna myśl, trafna obserwacja, muzyka przytępia rozum. Katolicy najlepiej to rozumieją — nasi popi, oczywiście, nie pogodzą się z Mendelsohnem w cerkwi. Pewien tulski pop przekonywał mnie, że nawet Chrystus nie był Żydem, choć jest synem żydowskiego Boga, a matkę ma Żydówkę; z tym się zgadzał, a mimo to mówił: „To niemożliwe". Pytam: „No więc jak w takim razie?" Wzruszył ramionami i powiedział: „To dla mnie tajemnica".

V

„Inteligent — to niczym halicki książę Władimirko; twierdził on arcyzuchwale już w XII wieku: »W naszych czasach nie ma cudów«. Upłynęło sześćset lat, a wszyscy inteligenci jeden drugiemu wbijają w głowę: »Nie ma cudów, nie ma cudów«. Tymczasem cały lud wierzy w cuda, podobnie jak wierzył w wieku XII."

VI

— Mniejszość potrzebuje Boga dlatego, że wszystko inne już posiada, a większość dlatego — że nic nie ma.

Powiedziałbym inaczej: większość wierzy w Boga przez małoduszność, a tylko nieliczni — przez bogactwo duszy. *

— Lubi pan bajki Andersena? — zapytał w zamyśleniu. — Nie rozumiałem ich, gdy wyszły w przekładzie Marko Wowczka, ale po dziesięciu latach wziąłem książkę, przeczytałem i nagle wyraźnie odczułem, że Andersen był bardzo samotny. Bardzo. Nie znam jego życia, wiódł, zdaje się, żywot niezorganizowany, dużo podróżował, ale to tylko potwierdza moje mniemanie, że czuł się samotny. Dlatego właśnie zwracał się do dzieci, choć to nieprawda, że dzieci jakoby bardziej współczują człowiekowi niż dorośli. Dzieci nikomu nie współczują, nie umieją współczuć.

VII

Radził, żebym przeczytał buddyjski katechizm. O buddyzmie i Chrystusie mówił zawsze emocjonalnie; o Chrystusie szczególnie źle — ani entuzjazmu, ani patosu nie ma w jego wypowiedziach; nie ma też ani iskierki serdecznego ciepła. Myślę, że uważa go za naiwnego, godnego współczucia i choć czasem zachwyca się nim, wątpliwe, czy go kocha. I jakby się bał: niech no przyjdzie Chrystus do rosyjskiej wsi, a wyśmieją go dziewuchy.

---

* Dla uniknięcia nieporozumień muszę oświadczyć, że twórczość religijną traktuję jak twórczość artystyczną: żywoty Buddy, Chrystusa, Mahometa — to fantastyczne powieści.

VIII

Dzisiaj był tam wielki książę Mikołaj Michajłowicz, człowiek, widać, mądry. Zachowuje się skromnie, jest małomówny. Ma sympatyczne oczy i piękną postawę. Gesty spokojne. Tołstoj mile się uśmiechał i mówił to po francusku, to po angielsku. Po rosyjsku powiedział:

— Karamzin pisał dla cara, Sołowjew — obszernie i nudnie, a Kluczewski dla własnej zabawy. Szczwany: czytasz go, niby chwali, a jak wnikąć — naurągał.

Ktoś wspomniał o Zabielinie.

— Bardzo miły. Taki sobie kancelista. Amator antyków, zbiera wszystko, co trzeba i nie trzeba. Jedzenie tak opisuje, jakby sam nigdy nie jadał do syta. Ale — bardzo, bardzo zabawny.

IX

Tołstoj podobny jest do tych pielgrzymów z laskami, którzy całe życie przemierzają ziemię, wędrując tysiące wiorst od monasteru do monasteru, od relikwii do relikwii, przeraźliwie bezdomni, obcy wszystkim i wszystkiemu. Świat ich nie ciekawi, Bóg — również. Modlą się do niego z przyzwyczajenia, a nienawidzą go w skrytości duszy: po co nas pędza po ziemi z jednego końca na drugi, po co? Ludzie dla nich — to tyle co pnie, korzenie, kamienie na drodze — można się o nich potknąć i czasem sprawią ból. Można się bez nich obejść, ale czasem przyjemnie olśnić człowieka swą odmiennością, okazać mu swą z nim niezgodę.

X

„Fryderyk Pruski powiedział bardzo słusznie: »Każdy powinien się ratować *à sa façon.*« * Mówił też: »Myślcie sobie, co chcecie, bądźcie tylko posłuszni«. A jednak umierając przyznał się: »Zmęczyło mnie rządzenie niewolnikami«. Tak zwani wielcy ludzie zawsze są przekorni. Wybacza im się to wraz z wszelką inną głupotą. Chociaż sprzeciwianie się nie jest głupotą: dureń jest uparty, ale przeczyć nie umie. Tak — Fryderyk był dziwnym człowiekiem; zasłużył sobie u Niemców na sławę dobrego króla, a nie znosił ich, nie lubił nawet Goethego i Wielanda...“

XI

— Romantyzm — to strach spojrzenia prawdzie w oczy — powiedział wczoraj wieczorem z powodu wierszy Balmonta. Suler nie zgodził się z nim i szepleniąc z podniecenia, bardzo patetycznie jeszcze raz przeczytał wiersze.

— To, Lowuszka, nie wiersze, lecz szarlataneria, głupistyka, jak mówiono w połowie naszego wieku — bezmyślne plecenie słów. Poezja nie jest sztuczna, kiedy Fet pisał:

---

* Po swojemu.

...nie wiem sam, co będę śpiewał,
Wiem tylko, że pieśń dojrzewa —

to wyraził tym prawdziwe, ludowe odczucie poezji. Chłop też nie wie, że śpiewa — dana, dana — a tworzy prawdziwą piosenkę, od serca, jak ptak. Ci wasi nowi wszystko zmyślają. Są takie francuskie głupstwa *„articles de Paris"**, to właśnie to samo, co piszą twoi wierszokleci. Niekrasow też ciągle zmyślał swoje wierszyki.

— A Béranger? — zapytał Suler.

— Béranger — to co innego. Cóż my mamy wspólnego z Francuzami? To zmysłowcy; dusza jest dla nich mniej ważna niż ciało. Francuz widzi przede wszystkim kobietę. Przeżyty, zniszczony naród. Lekarze mówią, że wszyscy suchotnicy — to zmysłowcy.

Suler rozpoczął spór z właściwą mu szczerością, niewybrednie szafując słowami. Tołstoj popatrzył na niego i powiedział uśmiechając się szeroko:

— Kaprysisz dzisiaj jak panna, której czas wyjść za mąż, a nie ma narzeczonego...

XII

Choroba wysuszyła go jeszcze bardziej, wypaliła w nim coś i wewnętrznie zrobił się jakby lżejszy, bardziej przezroczysty, bardziej życiochłonny. Oczy jeszcze bystrzejsze, spojrzenie — przenikliwsze. Słucha uważnie i jakby przypomina sobie rzeczy zapomniane albo z przekonaniem czeka na nowe, jeszcze nie wiadome. W Jasnej wydawał mi się człowiekiem, któremu wszystko wiadomo i nie potrzeba mu nic więcej wiedzieć — człowiekiem, dla którego wszelkie zagadnienia są rozwiązane.

XIII

Gdyby był rybą, to pływałby, oczywiście, tylko w oceanie, nigdy nie zapuszczając się do mórz wewnętrznych, a zwłaszcza w słodkowodne rzeki. Tu wkoło niego gnieżdżą się, kręcą jakieś płotki; to, co on mówi, nie interesuje ich, jest im niepotrzebne, milczenie jego nie przestrasza ich, nie wzrusza. A on milczy godnie i znacząco, jak prawdziwy pustelnik. Choć nawet dużo mówi na tematy, które uważa za obowiązkowe, to można wyczuć, że jeszcze więcej przemilcza. Są rzeczy, których nie można powiedzieć nikomu. Ma on na pewno myśli, których się boi.

XIV

Ktoś mu przysłał piękny wariant bajki o Chrystusowym chrześniaku. Czytał bajkę z przyjemnością Sulerowi, Czechowowi — czytał wspaniale. Bawiło go zwłaszcza, jak diabły męczą obszarników, i w tym mi się coś nie podobało. On nie potrafi być nieszczery, a jeżeli to szczere — to jeszcze gorzej.

---

* Specjalności paryskie.

Potem powiedział:

— Widzicie, jak pięknie tworzą chłopi. Wszystko proste, słów mało, a uczucia dużo. Prawdziwa mądrość zawarta jest w niewielu słowach, na przykład: zmiłuj się Boże.

A bajeczka jest okrutna.

XV

Jego zainteresowanie się mną — to zainteresowanie etnograficzne. Jestem w jego oczach osobą mało mu znanego plemienia. I tyle.

XVI

Przeczytałem mu moje opowiadanie *Byk;* bardzo się śmiał i chwalił za to, że znam „kuglarstwo językowe".

— Ale posługuje się pan słowami nieumiejętnie. Wszyscy chłopi mówią u pana bardzo mądrze. W rzeczywistości mówią głupio, nieskładnie — nie od razu można zrozumieć, co chcą powiedzieć. Robią to naumyślnie — w ich głupich słowach kryje się chęć, by tamten się wypowiedział. Prawdziwy chłop nigdy od razu nie pokaże swego rozumu, to mu nie dogadza. Wie, że do człowieka głupiego każdy zwraca się prosto, bez podstępów, a jemu o to właśnie chodzi. Podchodzi pan do niego otwarcie, a on natychmiast widzi wszystkie pańskie słabe strony. Chłop jest podejrzliwy, nawet żonie boi się powiedzieć utajone myśli. A pańscy chłopi wszyscy są szczerzy — jak na dłoni — i w każdym opowiadaniu jakiś światowy sobór mędrców. I każdy mówi aforyzmami, to też nieprawdziwe — aforyzm jest obcy językowi rosyjskiemu.

— A przysłowia, pogaduszki?

— To co innego. To zrobiono nie dzisiaj.

— Jednakże pan sam często mówi aforyzmami.

— Nigdy! Poza tym przyozdabia pan wszystko; i ludzi, i przyrodę, zwłaszcza ludzi! Tak czynił Leskow, pisarz dziwaczny, bezsensowy, którego już dawno nie czytają. Niech pan się nie poddaje nikomu, nikogo się nie boi, wtedy będzie dobrze...

XVII

W zeszycie dziennika, który mi dał do przeczytania, uderzył mnie dziwny aforyzm: „Bóg to moje pragnienie".

Dziś, zwróciwszy zeszyt, zapytałem, co to znaczy.

— Niedokończona myśl — powiedział patrząc w zeszyt przymrużonymi oczami. — Chciałem pewno powiedzieć: Bóg to moje pragnienie poznania go... Nie, nie tak... — Roześmiał się i skręciwszy zeszyt w rolkę wsunął go w szeroką kieszeń swego kaftana. Jego stosunek do Boga jest nieokreślony, ale czasem przypomina mi stosunek dwóch niedźwiedzi w jednym barłogu.

XVIII

O nauce.

— Nauka — to spław złota przygotowany przez alchemika-szarlatana. Pan ją chce uprościć, by ją cały lud rozumiał — to znaczy: wybić mnóstwo fałszywych monet. Gdy lud zrozumie istotną wartość fałszywej monety, nie podziękuje panu.

XIX

Spacerowaliśmy w parku Jusupowa. Wspaniale opowiadał o zwyczajach moskiewskiej arystokracji. Wysoka rosyjska baba pracowała na klombie, zgięta pod prostym kątem, obnażywszy nogi grube jak u słonia, potrząsając dziesięciofuntowymi piersiami. Popatrzył na nią z uwagą.

— Takie właśnie kariatydy podtrzymywały całą tę wspaniałość i całe to szaleństwo. A podtrzymywały nie tylko pracą chłopów i bab, nie tylko pańszczyzną, lecz dosłownie krwią ludu. Gdyby szlachta od czasu do czasu nie krzyżowała się z takimi oto kobyłami, już dawno by wymarła. Nie można bezkarnie tracić sił, jak je traciła młodzież moich czasów. Ale wyhulawszy się, wielu brało sobie żony spośród dworskich dziewek i miało zdrowe potomstwo. Tak że i tu ratowała chłopska siła. Siła ta potrzebna jest wszędzie. I trzeba, żeby zawsze połowa rodu zużywała swoje siły wśród swoich, a druga — niech się rozpuszcza w gęstej krwi wiejskiej, rozcieńczając ją nieco. To zdrowo.

XX

O kobietach mówił chętnie i dużo, jak pisarz francuski, ale zawsze ordynarnie jak rosyjski chłop, z początku mnie to raziło i przygniatało. Dziś w Gaju Migdałowym zapytał Czechowa:

— Bardzo pan używał w młodości?

Czechow uśmiechnął się zakłopotany i szarpiąc bródkę odpowiedział coś niezrozumiale, a Tołstoj patrząc na morze wyznał:

— Ja byłem niezmordowany...

Powiedział to ze skruchą, zakończył zdanie sprośnym chłopskim słowem. Pierwszy raz wtedy zauważyłem, że wypowiedział to słowo z taką prostotą, jakby nie mógł zastąpić go innym. Wszystkie podobne słowa, wychodzące z jego kosmatych ust, brzmią prosto, zwyczajnie, tracą swą żołnierską ordynarność i brud. Przypomina mi się moje pierwsze spotkanie z nim, rozmowa o *Warieńce Olesowej, o Dwudziestu sześciu i jednej*. Ze zwykłego punktu widzenia mowa jego była łańcuchem „nieprzyzwoitych" słów. Wstydziłem się, a nawet byłem obrażony. Wydawało się, że uważa mnie za człowieka, który nie zrozumie innego języka. Teraz rozumiem, że głupio było się gniewać.

XXI

Tołstoj siedział na kamiennej ławce pod cyprysami, wyschnięty, malutki, stary, a mimo to podobny do Sabaotha, który się nieco zmęczył i zabawia się próbując podgwizdywać ziębie. Ptak śpiewał w gęstwinie ciemnej zieleni, a on

patrząc tam przymrużonymi bystrymi oczkami i jak dziecko zwinąwszy wargi w trąbkę, nieumiejętnie pogwizdywał.

— Ale się zawzięła, ptaszynka. Ale się juszy! Jaki to ptaszek?

Opowiedziałem o ziębie i o charakterystycznej dla tego ptaka zazdrości.

— Przez całe życie jedną śpiewa pieśń, a — zazdrosny. Człowiek nosi w duszy setki pieśni, a zarzucają mu zazdrość — czy to sprawiedliwie? — pytał jakby sam siebie w zamyśleniu. — Są takie chwile, kiedy mężczyzna mówi kobiecie więcej niż powinna wiedzieć o nim. Powiedział i zapomniał, a ona pamięta. Być może zazdrość pochodzi z obawy uniżenia duszy, z obawy poniżenia się i ośmieszenia? Nie ta baba niebezpieczna, która trzyma... lecz która — trzyma duszę.

Gdy mu powiedziałem, że widzę w tym sprzeczność z *Kreutzerowską Sonatą*, uśmiech opromienił mu całą brodę i odrzekł:

— Nie jestem ziębą.

Spacerując wieczorem powiedział nieoczekiwanie:

— Człowiek przeżywa trzęsienia ziemi, epidemie, okropności chorób i wszelkie udręczenia duszy, ale po wszystkie czasy najbardziej nękającą tragedią była, jest i będzie — tragedia sypialni.

Mówiąc to uśmiechał się z triumfem. Na ustach jego pojawia się czasem szeroki, spokojny uśmiech człowieka, który przezwyciężył coś nadzwyczaj trudnego albo który długo cierpiał ostry ból i nagle ból ów minął. Każda myśl wpija się w jego duszę jak kleszcz; on zaś albo od razu ją odrywa, albo też pozwala jej napić się do syta, a ona, dojrzawszy, odpada sama niepostrzeżenie.

Kiedyś opowiadał porywająco o stoicyzmie, nagle spochmurniał, cmoknął wargami i rzekł poważnie:

— Stębnowane, a nie stebnowane; jest czasownik stębnować...

Zdanie to najwyraźniej nie miało żadnego związku z filozofią stoików. Zauważywszy, że nie wiem, o co chodzi, powiedział pośpiesznie, kiwnąwszy głową na drzwi sąsiedniego pokoju:

— Oni tam mówią: kołdra stębnowana!

I ciągnął dalej:

— A lukrecjowy gaduła Renan...

Mówił mi często:

— Pan dobrze opowiada — swoimi słowami, mocno, nie książkowo.

Ale prawie zawsze zauważył niedbalstwo językowe w mowie i mówił półgłosem, jakby do siebie:

— Podobnie, a obok tego — absolutnie, gdy można powiedzieć — zupełnie!

Czasem mówił z wyrzutem:

— Sparciałe indywiduum — czyż można stawiać obok siebie takie niedopasowane słowa? Niedobrze...

Jego wrażliwość na formę mowy wydawała mi się niekiedy chorobliwie przesadzona. Pewnego razu powiedział:

— U jakiegoś pisarza znalazłem w jednym zdaniu szyszkę i kiszkę — wstrętne! Mdłości mnie wzięły.

Czasem rozumował:

— Podrobić — (fałszować) i podrobić — (pokruszyć) — co to ma wspólnego?

A pewnego razu przyszedłszy z parku powiedział:

— Teraz ogrodnik mówił: zmęczony podróżą spoczywa. Prawda, że to dziwne? Podróżą czy pod różą? Jaki związek mają ze sobą te słowa?

Nie lubię filologów, to scholastycy, ale mają przed sobą ważną robotę językową. Mówimy słowami, których nie rozumiemy. Jak na przykład utworzyły się czasowniki brać i prać?

Najczęściej mówił o języku Dostojewskiego:

— Pisze nieporządnie, a nawet naumyślnie brzydko, jestem przekonany, że naumyślnie, przez kokieterię. Szarżuje; w *Idiocie* napisał: „W bezczelnym czepianiu się i afiszowaniu znajomości". Myślę, że słowa afiszować użył naumyślnie, dlatego że jest ono obce, zachodnie. Ale u niego można znaleźć potknięcia nie do przebaczenia — Idiota mówi: „Osioł — to dobry i pożyteczny człowiek", ale nikt się nie śmieje, choć te słowa powinny wywołać śmiech lub jakąś uwagę. A mówi to w obecności trzech sióstr, które lubiły go wyśmiewać. Zwłaszcza Agłaja. Książka jest licha, ale najgorsze w niej to, że książę Myszkin — to epileptyk. Gdyby był zdrów, jego serdeczna naiwność, jego czystość wzruszałyby nas bardzo. Ale na to, żeby przedstawić go w dobrym zdrowiu, Dostojewskiemu zabrakło odwagi. Zresztą nie lubił zdrowych ludzi. Był przekonany, że jeżeli sam jest chory, to i cały świat jest chory...

Czytał Sulerowi i mnie wariant sceny upadku *Ojca Sergiusza*, okrutna scena. Suler nadął wargi i zaczął się kręcić nerwowo.

— Co tobie? Nie podoba ci się? — zapytał Tołstoj.

— Zbyt okrutne, jak u Dostojewskiego. Ta zgniła panna z piersiami jak naleśniki, i już. Dlaczego nie zgrzeszył z kobietą piękną, zdrową?

— Byłby to grzech bez usprawiedliwienia, a tak — można się usprawiedliwić współczuciem dla panny — kto by ją chciał wziąć, taką?

— Nie rozumiem tego...

— Wiele rzeczy nie rozumiesz, Lowuszka, nie jesteś dość sprytny...

Przyszła żona Andrzeja Lwowicza, rozmowa się urwała, a gdy ona i Suler wyszli, Tołstoj mi powiedział:

— Leopold — to najczystszy z ludzi, jakich znam. On tak samo, jeżeli uczyni coś złego, to przez współczucie dla kogoś.

XXII

Najwięcej mówił o Bogu, o chłopach i o kobietach... O literaturze — rzadko i skąpo, jakby mu była obca. Kobiety, moim zdaniem, traktuje bezwzględnie wrogo i lubi je karać, jeżeli nie jest to Kitty albo Natasza Rostowa, czyli istoty nie dość ograniczone. Jest to wrogość mężczyzny, który nie zdążył zaczerpnąć tyle szczęścia, ile mógł, albo nienawiść ducha przeciw „poniżającym popędom ciała"? Ale to — nienawiść, nienawiść na zimno, jak w *Annie Kareninie*. O „poniżających popędach ciała" mówił interesująco w niedzielę, dyskutując z Czechowem i Jełpatiewskim o *Wyznaniach* Rousseau. Suler zapisał jego zdanie a potem, przygotowując kawę, spalił notatkę na maszynce spirytusowej. A poprzednio spalił sąd Tołstoja o Ibsenie i zgubił kartkę o symbolice obrządków weselnych, Tołstoj opowiadał o nich pogańskie rzeczy, zgadzając się w tym i owym z Włodzimierzem Rozanowem.

XXIII

Z rana byli sztundyści z Teodozji i Tołstoj cały dzień dzisiejszy z zachwytem mówił o chłopach.

Przy śniadaniu:

— Przyszli — obaj tacy mocni, barczyści; jeden mówi: „Przyszli my nie wołani", a drugi: „Bóg da — wyjdziemy nie obici". — I roześmiał się jak dziecko, aż się trząsł cały.

Po śniadaniu, na tarasie:

— Niedługo przestaniemy zupełnie rozumieć mowę ludu; mówimy przecież: „teoria postępu", „rola jednostki w historii", „ewolucja nauki", „dyzenteria", a chłop powie: „wyjdzie szydło z worka", i wszystkie teorie, historie, ewolucje stają się nędzne, śmieszne, dlatego że są niezrozumiałe i niepotrzebne ludowi. Ale chłop mocniejszy jest od nas, bardziej wytrzymały i może się z nami zdarzyć naprawdę podobnie, jak się zdarzyło z plemieniem Atcurów, o którym jakiemuś uczonemu powiedziano: „Wszyscy Atcurowie wymarli, ale jest tu papuga, która umie kilka słów w ich języku".

XXIV

„Kobieta cieleśnie jest szczersza niż mężczyzna, lecz myśli kłamliwie. Ale kiedy kłamie — nie wierzy sobie, a Rousseau łgał — i wierzył."

XXV

„Dostojewski napisał o jednym ze swych szalonych bohaterów, że żyje mszcząc się na sobie i innych za to, iż służył temu, w co nie wierzył. On to sam o sobie napisał, to znaczy mógłby to i o sobie napisać."

XXVI

— Niektóre cerkiewne wyrażenia są zadziwiająco ciemne — jaki sens na przykład w słowach: „Boża jest ziemia i jej twory"? To nie z Biblii wzięte, lecz z jakiegoś popularno-naukowego materializmu.

— Pan gdzieś tłumaczył już te słowa — powiedział Suler.

— Cóż z tego, że tłumaczyłem... Tłumaczyłem, ale nie wszystko wtłoczyłem. — I uśmiechnął się przebiegle.

XXVII

Lubi zadawać trudne i podstępne pytania:

— Co pan myśli o sobie?

— Kocha pan żonę?

— Czy, według pana, mój syn Lew ma talent?

— Podoba się panu Sofia Andrejewna?

Kłamać mu nie można.

Pewnego razu zapytał:

— Lubi mnie pan, Aleksy Maksymowiczu?

To zaczepki urwisa-mocarza: tak się bawił w młodości swej Waśka Busłajew, nowogrodzki zawadiaka. „Bada", wciąż próbuje czegoś, jakby się do bójki szykował. To ciekawe, jednak nie bardzo mi się podoba. On — to diabeł, a ze mnie jeszcze niemowlę i powinien mi dać spokój.

XXVIII

Być może chłop to dla niego po prostu przykry zapach, ciągle go czuje i chcąc nie chcąc musi o nim mówić.

Wczoraj wieczorem opowiadałem mu o swej bójce z generałową Corné, śmiał się do łez, do bólu w piersiach, stękał i wciąż pokrzykiwał cieniutko:

— Łopatą! Po... łopatą, co? Po samej, po... A szeroka była ta łopata?

Potem, odpocząwszy, powiedział poważnie:

— Pan jeszcze uderzył wspaniałomyślnie, inny by w głowę stuknął za to. Bardzo wspaniałomyślnie. Rozumiał pan, że ona pana chciała?

— Nie pamiętam; nie sądzę, żebym rozumiał...

— No, jakże! To jasne. Oczywiście, że tak.

— Nie tym wtedy żyłem...

— Czymkolwiekby człowiek żył! Wszystko jedno! Niewielki z pana babiarz, jak widać. Drugi zrobiłby na tym karierę, został kamienicznikiem i rozpił się z nią razem na przepadłe.

A po chwili:

— Śmieszny pan jest. Proszę się nie gniewać — bardzo śmieszny! I bardzo dziwne, że jest pan mimo wszystko dobry, mając prawo być złym. Tak, mógłby pan być zły. Mocnyś pan, to dobrze...

Znów pomilczał i dodał w zamyśleniu:

— Umysłu pańskiego nie rozumiem, bardzo poplątany umysł, ale serce ma pan mądre... Tak, serce mądre!

Przypisek: Mieszkając w Kazaniu zacząłem pracować jako stróż i ogrodnik u generałowej Corné. Była to Francuzka, wdowa po generale, młoda kobieta, tłusta, z nóżkami małymi jak dziewczynka; miała zadziwiająco piękne oczy, ruchliwe, wciąż pożądliwie otwarte. Sądzę, że przed zamążpójściem była przekupką lub kucharką, być może nawet „wesołą dziewczynką". Rano lubiła sobie wypić i wychodziła na podwórze lub do ogrodu w koszuli i narzuconym na nią pomarańczowym szlafroczku, w czerwonych tatarskich safianowych pantoflach, z grzywą gęstych włosów na głowie. Niedbale uczesane, opadały jej na rumiane policzki i ramiona. Młoda wiedźma. Chodziła po ogrodzie, śpiewała francuskie piosenki, patrzyła, jak pracuję, i od czasu do czasu podchodząc do okna w kuchni, prosiła:

— Polin, daj mi cokolwiek.

„Cokolwiek" była to zawsze szklanka wina z lodem...

W jej domu na parterze mieszkały samotnie trzy panny, księżniczki D. G.

Ojciec ich, generał intendentury, gdzieś wyjechał, matka umarła. Generałowa Corné nie cierpiała panien i starała się usunąć je z domu, czyniąc im najrozmaitsze ordynarne przykrości. Źle mówiła po rosyjsku, ale wymyślała na celująco, jak prawdziwy woźnica. Bardzo mi się nie podobał jej stosunek do tych Bogu ducha winnych panien, były one takie smutne, wystraszone czymś, bezbronne. Pewnego razu, koło południa, dwie z nich spacerowały po ogrodzie. Wtem przychodzi generałowa, pijana jak zawsze, i zaczyna krzyczeć na nie, wyganiając z ogrodu. Panny chciały wyjść w milczeniu, lecz generałowa zagrodziła im drogę w furtce, zatkawszy ją sobą jak korkiem, i zaczęła im mówić te poważne rosyjskie słowa, na które wzdrygają się nawet konie. Poprosiłem ją, by przestała wymyślać i przepuściła panny, ona zaczęła krzyczeć:

— Ja wiem cibie! Ti im chodzisz okno, kiedy noc...

Rozzłościłem się, wziąłem ją za ramiona i odciągnąłem od furtki, wyrwała mi się jednak, stanęła przede mną, rozrzuciła poły szlafroka, podniosła koszulę i zaczęła się drzeć:

— Ja lepsi te szczuri!

Wtedy zgniewałem się nie na żarty, odwróciłem ją tyłem do siebie i uderzyłem łopatą niżej pleców, tak że wyskoczyła z furtki i biegając po dziedzińcu, powtórzyła trzykrotnie ze zdziwieniem:

— O! O! O!

Potem odebrałem paszport od jej powiernicy Poliny, baby również zapijaczonej, lecz przebiegłej, wziąłem węzełek ze swym majątkiem pod pachę i poszedłem sobie, a generałowa, stojąc w oknie z czerwoną chusteczką w ręku, krzyczała za mną:

— Ja nie wołać polis — nie — słuchaj. Chodzi jeszcze z powrót... Nie trzeba bać...

XXIX

Zapytałem go:

— Zgadza się pan z Poznyszewem twierdząc, że lekarze uśmiercali i uśmiercają tysiące i setki tysięcy ludzi?

— A pana to bardzo interesuje?

— Bardzo.

— To nie powiem!

I uśmiechnął się, wyginając duże palce u rąk.

Przypominam sobie — w jednym z jego opowiadań jest takie porównanie konowała z doktorem medycyny:

— Wyrażenia „wilk", „krwawnica", „puścić krew", czyż to nie to samo, co nerwy, reumatyzmy, organizmy itd.?

I on to mówi po Jennerze, Beringu, Pasteurze! A co, czy nie urwis?!

XXX

Dziwne, że lubi grać w karty. Gra z zainteresowaniem, gorączkując się. I ręce jego przy tym stają się takie nerwowe; gdy bierze karty, wydaje się, że trzyma w palcach żywe ptaki, nie martwe kawałki kartonu.

XXXI

— Dickens bardzo mądrze powiedział: „Dano nam życie z nieodwołalnym warunkiem bronienia go do ostatniej minuty". Ale w ogóle był to pisarz sentymentalny, gadatliwy i nie bardzo mądry. Zresztą, umiał zbudować powieść jak nikt, a już oczywiście lepiej niż Balzak. Ktoś powiedział: „Wielu opanowała namiętność pisania książek, ale rzadko kto wstydzi się ich potem". Balzak się nie wstydził, Dickens — również, a obaj napisali niemało lichoty. Lecz mimo wszystko Balzak to geniusz, inaczej tego nie można nazwać — geniusz...

Ktoś przyniósł książeczkę Lwa Tichomirowa *Dlaczego przestałem być rewolucjonistą* — Tołstoj wziął ją ze stołu i rzekł wymachując nią w powietrzu:

— Powiedziano tu doskonale o zabójstwach politycznych, że ten system walki nie ma w sobie jasnej idei. Taką ideą, powiada zabójca, kiedy się opamięta, może być tylko anarchistyczna wszechwładza jednostki i uczucie pogardy do społeczeństwa, do ludzkości. Słuszna myśl, ale anarchistyczna wszechwładza — to błąd, trzeba było powiedzieć — monarchistyczna. Dobra, słuszna idea, potkną się na niej wszyscy terroryści, mówię tu o uczciwych. Kto zabija przez skłonność do morderstwa, ten się nie potknie. Nie będzie się miał na czym potknąć. Ale to zwyczajny morderca, a między terrorystów dostał się przypadkowo.

XXXII

Niekiedy Tołstoj bywa zadowolony z siebie i nietolerancyjny, jak nadwołżański sekciarz biegły w piśmie, i to jest okropne w nim, w tak dźwięcznym dzwonie tego świata. Powiedział mi wczoraj:

— Ja jestem bardziej chłop niż pan i bardziej po chłopsku czuję.

O Boże! Nie powinien się tym chwalić, nie powinien!

XXXIII

Przeczytałem mu sceny ze sztuki *Na dnie;* wysłuchał z uwagą, potem zapytał:

— Po co pan to pisze?

Wyjaśniłem, jak umiałem.

— Wszędzie widać u pana ten koguci impet, wszystko pan atakuje. Poza tym — chciałby pan zamalować wszystkie dziury i pęknięcia własną farbą. Pamięta pan, Andersen powiada: „Pozłota się zetrze, świńska skóra zostanie", a nasi chłopi mówią: „Wszystko minie, tylko prawda zostanie". Lepiej nie zamazywać, bo później panu samemu będzie przykro. Poza tym język zanadto dobitny, sztuczny, to niepotrzebne. Należy pisać prościej, lud mówi prosto, nawet jakby — nieskładnie, lecz celnie. Chłop nie zapyta: „dlaczego trzecia część jest większa od czwartej — skoro zawsze cztery jest więcej niż trzy", jak pytała pewna wykształcona panna. Nie trzeba żadnych sztuczek.

Mówił z niezadowoleniem, widocznie nie podobało mu się to, co przeczytał. Po chwili patrząc mimo mnie powiedział zasępiony:

— Pański starzec — jest niesympatyczny, nie chce się wierzyć w jego dobroć. Aktor — niczego sobie, dobry. Czytał pan *Płody edukacji*? Mój kucharz tam podobny jest do pańskiego aktora. Sztuki trudno pisać. Prostytutka też udana, takie chyba są. Widział pan takie?

— Widziałem.

— Tak, to znać. Prawdę można poznać wszędzie. Mówi pan bardzo dużo od siebie, dlatego nie ma u pana charakterów i wszyscy ludzie na jedną modłę. Kobiet pan widocznie nie rozumie, ani jedna nie jest udana. Nie można ich zapamiętać...

Przyszła żona A. L. zapraszając na herbatę. Tołstoj wstał i poszedł tak szybko, jakby się radował, że skończył tę rozmowę.

XXXIV

— Jaki pan miał najstraszliwszy sen?

Rzadko śnię i mało pamiętam sny, ale dwa obrazy zostały mi w pamięci prawdopodobnie na całe życie.

Pewnego razu widziałem jakieś skrofulicznie zaropiałe niebo zielono-żółtego koloru, gwiazdy na nim były okrągłe, płaskie, bez promieni, bez blasku, podobne do wrzodów na skórze charłaka. Pośród nich, po zaropiałym niebie pełzła bez pośpiechu czerwonawa błyskawica, bardzo podobna do żmii, i gdy się stykała z gwiazdą — gwiazda od razu puchła, stawała się kulą i pękała bezdźwięcznie, pozostawiając po sobie ciemniutką plamę, jakby dymek, który znikał w zaropiałym, rzadkim niebie. Tak jedna za drugą popękały, zginęły wszystkie gwiazdy, niebo stało się ciemniejsze, okropniejsze, potem skłębiło się, zawrzało i rozrywając się w strzępy, zaczęło padać mi na głowę jak rzadki kisiel, a w przerwach między strzępami ukazywała się błyszcząca czarna blacha dachowa. Tołstoj powiedział:

— No, to widocznie wpływ naukowej książki, przeczytał pan coś z astronomii i zaraz koszmar. A drugi sen?

Sen drugi: śnieżna równina, gładka jak arkusz papieru, nigdzie ani pagórka, ani drzewa, ani krzaka, tylko, ledwie widoczne, wysuwają się spod śniegu rzadkie rózgi. W śnieżnej martwej pustyni, od horyzontu do horyzontu, ściele się żółtym pasmem ledwie zaznaczona droga, a po niej wolniutko kroczą szare filcowe buty — puste.

Tołstoj podniósł kosmate brwi diabła leśnego, uważnie popatrzył na mnie, pomyślał.

— To okropne! Widział pan to naprawdę czy wymyślił? To też coś książkowego.

I nagle, jakby się rozgniewał, zaczął mówić z niezadowoleniem, mocno stukając palcem po kolanie.

— Przecież pan nie pije? I nie wygląda na to, żeby pan pił dużo kiedykolwiek. A w tych snach jest coś z pijackiego zamroczenia. Był pisarz niemiecki Hofman — jemu stoliki do kart biegały po ulicy i tak dalej, ale to był pijak, „lakonolik", jak mówią uczeni stangreci. Idą puste buty, to naprawdę straszne! Nawet jeżeli pan wymyślił — bardzo dobre! Okropne!

Nieoczekiwanie uśmiechnął się na całą szerokość brody, tak że mu aż kości policzkowe zajaśniały.

— A przecież, proszę sobie wyobrazić: nagle Twerską zaczyna biec stolik do kart, taki na wygiętych nóżkach, blat postukuje i kurzy kredą, widać nawet cyfry na zielonym suknie — to akcyźnicy grali na nim w winta bez przerwy przez trzy doby; dłużej nie wytrzymał i uciekł.

Pośmiał się i widocznie zauważył, że jestem nieco zmartwiony jego brakiem zaufania do mnie.

— Obraził się pan, że sny pańskie wydają mi się książkowe? Proszę się nie gniewać, ja wiem, że czasem człowiek coś takiego nie wiadomo kiedy wymyśli, że nie można tego przyjąć, w żadnym wypadku nie można przyjąć i wydaje się, że wcale tego nie wymyślił, że to był sen. Pewien stary ziemianin opowiada, że szedł we śnie lasem, wyszedł w step i widzi: w stepie są dwa pagórki i nagle przemieniają się one w piersi kobiece, a spomiędzy nich wychyla się czarna twarz, zamiast oczu są w niej dwa księżyce jak bielma, on sam stoi już między nogami kobiety, a przed nim głęboki czarny wąwóz, który zaczyna go wsysać. Po tym śnie zaczął siwieć, ręce mu się trzęsły i pojechał za granicę do doktora Kneipa leczyć się wodą. Temu się mogło przyśnić coś takiego — był rozpustnikiem.

Poklepał mnie po ramieniu.

— A pan nie jest ani pijakiem, ani rozpustnikiem — skądże pan miewa takie sny?

— Nie wiem.

— Nic o sobie nie wiemy!

Westchnął, przymrużył oczy, pomyślał i dodał cicho:

— Nic nie wiemy!

Dziś wieczorem na spacerze wziął mnie pod rękę mówiąc:

— Buty sobie idą — nieprzyjemnie, co? Zupełnie puste — tup, tup, a śnieżek poskrzypuje! Tak, dobre! A jednak jest pan bardzo książkowy, bardzo! Proszę się nie obrażać, ale to źle i będzie panu przeszkadzało.

Czyżbym był większym książkowcem od niego? Ale on wydał mi się teraz okrutnym racjonalistą, mimo wszystkich jego zastrzeżeń.

XXXV

Czasem, zdawałoby się: przyszedł dopiero co skądś z daleka, gdzie ludzie inaczej myślą, czują, inaczej traktują się nawzajem, nawet inaczej się poruszają i innym językiem mówią. Siedzi w kącie, zmęczony, szary, jakby zakurzony pyłem innej ziemi, i z uwagą patrzy na wszystkich oczami obcego i niemego.

Wczoraj przed obiadem przyszedł do salonu taki właśnie, daleki, siadł na kanapie i po minucie milczenia rzekł nagle, kołysząc się, trąc kolana dłońmi, z twarzą skrzywioną:

— To jeszcze nie wszystko, nie — nie wszystko.

Ktoś zawsze głupi i spokojny jak żelazko krawieckie zapytał go:

— O czym pan mówi?

Tołstoj spojrzał na niego uważnie, nachylił się niżej, patrząc na taras, gdzie siedzieli doktor Nikitin, Jełpatiewski i ja, i zapytał:

— O czym panowie mówią?
— O Plewem.
— O Plewem... Plewe... — powtórzył po pauzie w zamyśleniu, jakby po raz pierwszy słyszał to nazwisko, otrząsnął się jak ptak i powiedział z bladym uśmiechem:
— Od samego rana dziś tkwi mi w głowie bzdura — ktoś mi powiedział, że przeczytał na cmentarzu taki napis:

Pod kamieniem tym Iwan Jegoriew spoczął,
Garbarzem był w rzemiośle i wciąż skóry moczył,
Pracował rzetelnie, miał dobre serce, lecz umarł,
Zaś zakład przekazał żoneczce.
Nie był on jeszcze stary i miał dużo mocy,
Ale go Bóg zabrał do rajskiego życia w nocy
Z piątku na sobotę wielkiego tygodnia.

I jeszcze coś w tym rodzaju.
Zamilkł, potem, kiwając głową i uśmiechając się łagodnie, dodał:
— W głupocie ludzkiej — gdy jest nieszkodliwa — bywa coś wzruszającego, nawet miłego... Zawsze...
Poproszono na obiad.

XXXVI

Nie lubię pijanych, ale znam ludzi, którzy po wypiciu stają się interesujący, nabywają niezwykłego im na trzeźwo humoru, piękności myśli, zręczności i krasomówstwa. W tym wypadku gotów jestem błogosławić wino.
Suler opowiadał: szedł z Lwem Nikołajewiczem Twerską, Tołstoj zauważył w oddali dwóch kirasjerów. Błyszcząc w słońcu miedzią rynsztunku, dzwoniąc ostrogami, szli w nogę jak zrośnięci, twarze ich również promieniały zadowoleniem z siebie, siłą i młodością.
Tołstoj zaczął ich krytykować:
— Co za majestatyczna głupota! Zupełne zwierzęta, tresowane kijem...
Ale gdy się kirasjerzy z nim zrównali, stanął i odprowadzając ich przychylnym wzrokiem powiedział z zachwytem:
— Jacy piękni! Starożytni Rzymianie, co, Lowuszka? Siła, piękność, ach, mój Boże! Jak to dobrze, gdy człowiek jest piękny, jak dobrze!

XXXVII

Kiedyś w upalny dzień dogonił mnie na biegnącej dołem drodze; jechał wierzchem w kierunku Liwadii, pod nim mały, spokojny tatarski koń. Szary, włochaty, w leciutkim białym wojłokowym kapeluszu w kształcie grzyba, podobny był do gnoma.
Ściągnąwszy konia zaczął ze mną rozmawiać; szedłem obok przy strzemieniu i między innymi powiedziałem, że mam list od Włodzimierza Korolenki. Tołstoj gniewnie potrząsnął brodą:

— A wierzy on w Boga?
— Nie wiem.
— Najważniejszego pan nie wie. Wierzy, tylko wstydzi się powiedzieć o tym ateistom.

Mówił gderliwie, kapryśnie, mrużąc gniewnie oczy. Widoczne było, że mu przeszkadzam, ale mnie zatrzymał, gdy chciałem odejść:
— Dokąd pan? Jadę wolno.

I znowu zaczął gderać:
— Pański Andrejew też się wstydzi ateistów i również w Boga wierzy i Bóg go przeraża.

Na granicy majątku wielkiego księcia Aleksandra Michajłowicza Romanowa, stojąc na drodze blisko siebie, rozmawiali trzej Romanowowie: pan Aj-Todoru, Georgij i jeszcze jeden, zdaje się Piotr Nikołajewicz z Dülbergu — wszyscy dziarscy, postawni ludzie. Drogę zagradzała jednokonna linijka, w poprzek drogi stał koń pod siodłem; Tołstoj nie mógł przejechać i zmierzył Romanowów surowym, wymagającym spojrzeniem. Ale oni przedtem jeszcze odwrócili się od niego. Wierzchowiec, jakby po namyśle, zeszedł nieco w bok, przepuszczając konia Tołstoja.

Przejechawszy ze dwie minuty w milczeniu, powiedział:
— Poznali, durnie.

A jeszcze po minucie:
— Koń zrozumiał, że trzeba dać drogę Tołstojowi.

XXXVIII

„Oszczędzaj się pan przede wszystkim dla siebie, wtedy i dla ludzi dużo zostanie."

XXXIX

„Co to znaczy — wiedzieć? Ja na przykład wiem, żem Tołstoj, pisarz, mam żonę, dzieci, siwe włosy, brzydką twarz, brodę — to wszystko wypisują w paszportach. A o duszy w paszportach nie piszą, o duszy wiem jedno: dusza pragnie zbliżenia z Bogiem. A co to jest Bóg? TO, czego częścią jest moja dusza. Oto wszystko. Kto się nauczył rozmyślać, temu trudno wierzyć, a żyć w Bogu można tylko wiarą. Tertulian powiedział: »Myśl jest złem«."

XL

Mimo że jego nauki są tak jednostajne, ten bajeczny człowiek jest nieskończenie różnorodny.

Dziś w parku, rozmawiając z mułłą Gaspry, zachowywał się jak ufny chłop prostaczek, któremu już czas pomyśleć o końcu swych dni. Mały, i jakby naumyślnie jeszcze bardziej skulony, obok krzepkiego, postawnego Tatara, wydawał się staruszkiem, którego dusza po raz pierwszy zastanawia się nad sensem bytu i boi się zagadnień w niej powstałych. Ze zdziwieniem podnosił na-

stroszone brwi i migając lękliwie bystrymi oczkami, gasił ich nieznośnie przenikliwy płomień. Utkwił badawczy wzrok w szerokiej twarzy mułły, a źrenice straciły ostrość niepokojącą ludzi. Zadawał mulle „dziecięce" pytania o sens życia, o duszę i Boga, podstawiając z niezwykłą sprawnością zamiast wierszy Koranu wiersze Ewangelii i proroków. W rzeczywistości — bawił się, czyniąc to z zadziwiającym kunsztem, do jakiego zdolny jest tylko wielki artysta i mędrzec.

A kilka dni temu rozmawiając z Taniejewem i Sulerem o muzyce zachwycał się jej pięknem jak dziecko, znać było, że się lubuje swym zachwytem — ściślej — swą zdolnością zachwycania się. Mówił, że o muzyce najlepiej i najgłębiej pisał Schopenhauer, opowiedział przy tym śmieszną anegdotę o Fecie i nazwał muzykę „niemą modlitwą duszy".

— Jak to, niemą? — zapytał Suler.

— Dlatego, że bez słów. W dźwięku więcej jest duszy niż w myśli. Myśl — to sakiewka, w niej miedziaki, a dźwięk jest wewnętrznie czysty, niczym nie zaśmiecony.

Mówił z widoczną przyjemnością rozkosznymi dziecięcymi wyrazami, coraz to przypominając sobie najładniejsze, najtkliwsze z nich. Nieoczekiwanie uśmiechnął się i powiedział miękko, pieszczotliwie:

— Wszyscy muzycy — to głupcy, a im który bardziej utalentowany, tym bardziej ograniczony. Dziwna rzecz, że prawie wszyscy są religijni.

XLI

Do Czechowa przez telefon:

— Dzień dzisiejszy jest tak dla mnie piękny, taką radość mam w sercu, że pragnę, aby i pan odczuwał radość. Szczególnie pan! Bo pan jest bardzo dobry, bardzo!

XLII

Nie słucha i nie wierzy, gdy mówią nie to, co trzeba. Właściwie nie pyta, lecz bada. Jak zbieracz osobliwości, bierze tylko to, co nie może naruszyć harmonii jego kolekcji.

XLIII

Przeglądając pocztę.

— Krzyczą, piszą, a jak umrę, po roku będą pytać: Tołstoj? Ach, to hrabia, który próbował szyć buty i coś się z nim stało — tak, to ten?

XLIV

Kilka razy widziałem na jego twarzy, w jego spojrzeniu przebiegły, pełen zadowolenia uśmieszek człowieka, który niespodziewanie odnalazł coś, co sam schował. Schował i zapomniał, gdzie schował. Długie dni żył z utajoną trwogą, wciąż myśląc: gdzież ja podziałem to, co mi jest niezbędne? I bał się, że lu-

dzie zauważą jego niepokój, jego stratę, zauważą i uczynią mu jakąś przykrość, jakąś krzywdę. Nagle przypomniał sobie, znalazł. Cały przepełniony radością i już nie starając się nic ukryć patrzy na wszystkich, jakby mówił: „Nic wy mi teraz nie zrobicie".

Ale o tym, co znalazł i gdzie, nie mówi ani słowa.

Można go podziwiać i nigdy się to nie naprzykrzy, a jednak trudno z nim często przebywać, i nie mógłbym mieszkać z nim w jednym domu, nie mówiąc już o jednym pokoju. To tak — jak na pustyni, gdzie wszystko spaliło słońce, a i ono samo też się dopala, grożąc nieskończenie ciemną nocą.

LIST

Zaledwie wysłałem list do pana, nadeszły depesze o „ucieczce Tołstoja". I oto, jeszcze zespolony myślowo z panem — znowu piszę.

Prawdopodobnie wszystko, co chciałbym powiedzieć w związku z tą nowiną, wyda się zagmatwane, być może nawet szorstkie i złe — proszę mi wybaczyć — czuję się tak, jakby mnie chwycono za gardło i duszono.

Tołstoj wielokrotnie i długo rozmawiał ze mną; gdy mieszkałem na Krymie w Gasprze, często bywałem u niego, on również chętnie mnie odwiedzał, z uwagą i z przyjemnością czytałem jego książki, wydaje mi się, że mam prawo mówić o nim to, co myślę, jeżeli to nawet będzie zuchwałe i całkiem odmienne od tego, co się powszechnie o nim mówi. Wiem nie gorzej od innych, że nie ma człowieka godniejszego miana geniusza, bardziej skomplikowanego, pełnego sprzeczności i we wszystkim pięknego, tak, tak, we wszystkim. Pięknego w jakimś szczególnym sensie, szerokim, trudnym do wyrażenia; jest w nim coś, co zawsze wzbudza we mnie chęć krzyczenia wszystkim i każdemu: patrzcie, jaki wspaniały człowiek żyje na ziemi! Jest on bowiem, jeżeli tak powiedzieć można, wszechobejmujący, ale przede wszystkim to człowiek — człowiek ludzkości.

Jednakże odpychała mnie w nim zawsze ta uporczywa, despotyczna dążność do przekształcenia życia hrabiego Lwa Nikołajewicza Tołstoja w „żywot świętego, naszego błogosławionego ojca bojara Lwa". Wie pan, on dawno już zamierzał „pocierpieć"; wyrażał wobec Eugeniusza Sołowiewa i Sulera ubolewanie, że mu się to nie udało. Ale nie chciał cierpieć po prostu, nie przez naturalną chęć wypróbowania siły woli, lecz z wyraźnym i — powtarzam — despotycznym zamiarem przysporzenia ważkości swej nauce, uczynienia jej nauką niezwalczoną, uświęcenia jej w oczach ludzi swoim cierpieniem i zmuszenia ich do przyjęcia jej, rozumie pan — zmuszenia! Wie on bowiem, że nauka jego nie jest dość przekonywająca; w dzienniku jego spotyka pan czasem wymowne przykłady sceptycyzmu zwróconego ku własnej nauce i osobie. Wie, że „męczennicy i cierpiętnicy bywają najczęściej despotami i tyranami" — on wszystko wie! I mimo to mówi: „Gdybym cierpiał za swe poglądy, wywierałyby one inne wrażenie". To mnie zawsze odpychało od niego, gdyż nie mogę nie odczuć w tym próby gwałtu nade mną, chęci owładnięcia moim sumieniem, oślepienia go blaskiem męczeńskiej krwi, nałożenia mi na szyję jarzma dogmatu.

Zawsze głośno wychwalał nieśmiertelność po tamtej stronie życia, ale bardziej podoba mu się ona po tej stronie. Pisarz narodowy w najistotniejszym znaczeniu tego słowa, ucieleśnił w swej ogromnej duszy wszystkie braki narodu, wszelkie kalectwo, spowodowane torturami naszej historii... W nim jest wszystko, co narodowe, i cała jego nauka — to reakcja przeszłości, atawizm, którego zaczęliśmy się już pozbywać, przezwyciężać go.

Proszę sobie przypomnieć jego list *Inteligencja, państwo i lud* napisany w 1905 roku — jakie to obrażające i zgryźliwe! Brzmi tam sekciarskie: „Aha, nie słuchaliście mnie!" Napisałem mu wtedy odpowiedź, opartą na słowach, które z ust jego słyszałem, że on „dawno utracił prawo mówienia o ludzie rosyjskim i w jego imieniu", gdyż byłem świadkiem, jak nie chciał słuchać i nie chciał zrozumieć ludu, kiedy przychodził do niego na rozmowy od serca. List mój był ostry i nie wysłałem go.

Jest to prawdopodobnie jego ostatni skok, którym chce nadać swym myślom najwyższe znaczenie. Jak Wasyli Busłajew, w ogóle lubił skakać, ale zawsze w celu utwierdzenia swej świętości i poszukiwania nimbu. Jest w tym coś inkwizytorskiego, chociaż naukę jego tłumaczy historia dawnej Rosji i osobiste cierpienia geniusza. Świętość osiąga się przez lubowanie się w grzechu, przez ujarzmienie woli do życia...

W Tołstoju jest dużo tego, co wywoływało we mnie czasem uczucie bliskie nienawiści ku niemu i spadało na duszę gniotącym ciężarem. Jego niezmiernie rozrośnięta osobowość — to zjawisko potworne, niemal ohydne, jest w nim coś z witezia Światogora, którego ziemia utrzymać nie może. Tak, on jest wielki! Mam głębokie przekonanie, że prócz wszystkiego, co mówi, wiele rzeczy zawsze przemilcza — nawet w swym dzienniku. Milczy i prawdopodobnie nigdy nikomu nie powie. To „coś" tylko niekiedy i tylko aluzyjnie prześlizgiwało się w jego rozmowach, aluzje takie można również znaleźć w dwóch zeszytach dziennika, które czytaliśmy z Sulerżyckim; to „coś" wydaje mi się jakby „zaprzeczeniem wszelkiej afirmacji" — głębokim i szkodliwym nihilizmem, wyrosłym na glebie bezgranicznej, nieuleczalnej rozpaczy i samotności; prawdopdobnie nikt przed nim nie doznał tego z tak przeraźliwą wyrazistością. Wydawał mi się często człowiekiem niezachwianie, w głębi duszy, obojętnym dla ludzi; jest on na tyle wyższy, silniejszy od nich, że wydają mu się muszkami, a czczość ich wysiłków — śmieszna i nędzna. Odszedł zbyt daleko od nich i w tej jakiejś swojej pustelni z natężeniem wszystkich sił ducha wpatruje się samotnie w „to, co najważniejsze" — w śmierć.

Całe życie bał się i nienawidził jej, całe życie niepokoił jego duszę „arzamaski lęk" *, czyż on, Tołstoj, ma umrzeć? Cały świat, cała kula ziemska patrzy na niego; z Chin, Indii, Ameryki — zewsząd wyciągają się do niego żywe, drżące nici, jego dusza należy do wszystkich i na zawsze! Dlaczegóżby przyroda nie mogła zrobić wyjątku, odstąpić od swych praw, aby dać jednemu z ludzi fizyczną nieśmiertelność — dlaczego? Oczywiście, jest zbyt rozsądny i mądry, by wierzyć w cuda, ale z drugiej strony jest on psotnikiem, poszukiwaczem i jak młody rekrut awanturuje się szaleńczo ze strachu i rozpaczy przed nieznanymi koszarami. Pamiętam — w Gasprze, po wyzdrowieniu, przeczytawszy książeczkę Lwa Szestowa *Dobro i zło w nauce Nietzschego i hrabiego*

* Vide *Zapiski wariata* Lwa Tołstoja.

Tołstoja, rzekł w odpowiedzi na uwagę Czechowa, że „nie podoba mu się ta książka".

— A mnie się wydała zabawna. Buńczucznie napisana, ale to nic, ciekawa. Lubię przecież cyników, jeżeli są szczerzy. Taki powiada: „Prawda jest niepotrzebna", i słusznie: na co mu prawda? Tak czy siak — umrze.

Zauważył widocznie, że go nie zrozumiano, i dodał, uśmiechając się cierpko:

— Jeżeli człowiek nauczył się myśleć — o czymkolwiek myśli — zawsze myśli o swojej śmierci. Tak robili wszyscy filozofowie. A jakież te prawdy, jeśli trzeba umierać?

Zaczął dalej się rozwodzić, że prawda jest jedna dla wszystkich — ukochanie Boga, ale na ten temat mówił chłodno i ze znużeniem. A po śniadaniu, na tarasie, znowu wziął tę książkę i znalazłszy miejsce, gdzie autor pisze: „Tołstoj, Dostojewski, Nietzsche nie mogli żyć bez odpowiedzi na swoje pytania, i każda odpowiedź była dla nich lepsza niż żadna" — roześmiał się i powiedział:

— Oto jaki śmiały fryzjer całkiem otwarcie wypisuje, że oszukałem siebie, to znaczy — oszukałem i innych. Przecież to jasne...

Suler zapytał:

— A dlaczego fryzjer?

— Tak — odpowiedział w zamyśleniu — przyszło mi do głowy, jest modny, szykowny — i przypomniał mi się fryzjer z Moskwy na weselu u wuja, chłopa na wsi. Najlepsze maniery, i lansiera tańczy, dlaczego nie miałby patrzeć z góry na wszystkich.

Rozmowę tę podaję prawie dosłownie, doskonale ją pamiętam i nawet zapisałem, jak wiele innych, które mnie zafrapowały. I ja, i Sulerżycki zapisywaliśmy dużo, ale Suler zgubił swoje notatki w drodze, jadąc do mnie do Arzamasu. Był on w ogóle niedbały i chociaż po kobiecemu lubił Lwa Nikołajewicza, traktował go jakoś dziwnie, jakby nieco z wysoka. Ja też wetknąłem gdzieś swoje notatki i nie mogę ich znaleźć, są u kogoś w Rosji. Bardzo uważnie przyglądałem się Tołstojowi, gdyż szukałem, dotychczas szukam i do śmierci będę szukał człowieka żywo, szczerze wierzącego. A także dlatego, że kiedyś Czechow skarżył się na nasz brak kultury:

— W Niemczech zapisywano każde słowo Goethego, a myśli Tołstoja wyparowują. To, moi drodzy, iście po rosyjsku. Później się opamiętają, zaczną pisać wspomnienia i — nakłamią.

Ale wracam do Szestowa:

— Nie można — powiada — żyć, patrząc na straszliwe widma; skąd on wie, można czy nie można? Przecież gdyby wiedział, gdyby widział widma, nie pisałby głupstw, ale zająłby się sprawą poważną, którą Budda zajmował się całe życie.

Zwrócono mu uwagę, że Szestow był Żydem.

— To chyba niemożliwe — powiedział Tołstoj z niedowierzaniem. — Nie, on niepodobny do Żyda; nie ma Żydów niewierzących, pokażcie mi choć jednego... nie ma!

Czasem wydawało się, że ten stary czarownik bawi się ze śmiercią, flirtuje z nią i stara się ją jakoś oszukać: nie boję się ciebie, kocham cię i oczekuję. A świdrującymi oczkami zagląda: A jakaś ty? A co za tobą, tam dalej? Do cna mnie zniszczysz, czy coś z życia pozostanie?

Dziwne wrażenie wywoływały jego słowa: „Jest mi dobrze, strasznie dobrze,

zbyt dobrze". A zaraz potem: „Trzeba by pocierpieć". Pocierpieć — to też jego prawda; ani na sekundę nie wątpię, że choć jeszcze chory, byłby szczerze zadowolony, gdyby go wsadzono do więzienia, zesłano, w ogóle — gdyby został męczennikiem. Męczeństwo, prawdopodobnie, mogłoby nieco usprawiedliwić śmierć, uczynić ją bardziej zrozumiałą, możliwą do przyjęcia — z formalnej, zewnętrznej strony. Ale nigdy mu dobrze nie było, nigdy i nigdzie, jestem przekonany: ani „z księgami wyższej mądrości", ani „na grzbiecie konia", ani „na piersi kobiety" nie doznawał pełnej rozkoszy „ziemskiego raju". Był na to zbyt rozsądny i zbyt znał życie, ludzi. Oto jeszcze jego słowa:

„Kalif Abdurachman miał w życiu czternaście dni szczęśliwych, ja zaś na pewno nie miałem tyle. A wszystko dlatego, że nigdy nie żyłem — nie umiem żyć — dla siebie, dla duszy, lecz żyję na pokaz, dla ludzi."

Czechow powiedział mi wychodząc od niego: „Nie wierzę, że nie był szczęśliwy". A ja wierzę. Nie był. Ale nieprawda, że żył „na pokaz". Tak, oddawał ludziom jak żebrakom wszystko to, co jemu było zbyteczne; lubił zmuszać ich, w ogóle lubił „zmuszać", by czytali, spacerowali, jedli tylko jarzyny, kochali chłopów i wierzyli w bezbłędność spekulacji religijnych Lwa Tołstoja. Trzeba wetknąć ludziom cokolwiek, co ich zadowoli albo tylko zainteresuje — i niech się wynoszą! Niech zostawią człowieka w zwykłej, męczącej, a czasem i miłej samotności nad bezdenną przepaścią zagadnienia „głównego".

Wszyscy rosyjscy kaznodzieje, z wyjątkiem Awwakuma i być może, Tichona Zadońskiego — to ludzie chłodni, gdyż nie posiadali żywej i czynnej wiary. Gdy pracowałem nad Łuką w sztuce *Na dnie*, chciałem przedstawić takiego właśnie staruszka: interesują go „wszelkie odpowiedzi", ale nie ludzie; zmuszony stykać się z nimi, pociesza ich, ale tylko dlatego, żeby mu nie przeszkadzali żyć. I cała filozofia, całe nauczanie takich ludzi — to jałmużna, dawana z ukrytą pogardą, i mowa tej nauki brzmi również żebraczo, żałośnie:

„Odczepcie się! Kochajcie Boga lub bliźniego i odczepcie się! Przeklinajcie Boga, kochajcie nawet obcych, ale odczepcie się! Dajcie mi spokój, gdyż jestem człowiekiem skazanym na śmierć!"

Niestety, to jest tak i długo jeszcze tak będzie! Nie mogło i nie może być inaczej, gdyż utrudzili się ludzie, przemęczeni, straszliwie rozdzieleni i wszyscy skuci samotnością, która wysysa duszę. Gdyby się Tołstoj pogodził z cerkwią, nie zdziwiłoby mnie to wcale. Byłoby to logiczne: wszyscy ludzie są jednakowo marni, nawet jeżeli są biskupami. Właściwie nie byłoby tu nawet pojednania, dla niego osobiście ów akt — to tylko logiczny krok: „Przebaczam tym, co mnie nienawidzą". Chrześcijański uczynek, a towarzyszy mu leciutka ukryta drwina, można ją zrozumieć jako odwet mądrego człowieka na głupcach.

Piszę wciąż nie to, nie tak, nie o tym. Wyje mi w duszy pies i przeczuwam jakieś nieszczęście. Nadeszły gazety i już rozumiem wszystko: tam u was zaczynają „tworzyć legendę" — żyli sobie próżniacy i nieroby i dorobili się świętego. Niech pan pomyśli, jakie to szkodliwe dla kraju teraz właśnie, kiedy ludzie zawiedzeni pospuszczali głowy, kiedy w duszach większości — pustka, a dusze najlepszych — pełne są smutku. Głodni, umęczeni pragną legendy. Chcą nią ukoić bóle, złagodzić męki! I będą tworzyli właśnie to, czego on pragnął, a czego nie potrzeba — żywot błogosławionego i świętego, a on dlatego jest wielki i święty, że jest człowiekiem — obłędnie i męcząco pięknym

człowiekiem, człowiekiem całej ludzkości. W czymś sobie tu przeczę, ale to nieważne. Ten człowiek szuka Boga nie dla siebie, lecz dla ludzi, żeby go Bóg pozostawił w spokoju pustyni, którą sobie wybrał. Dał on nam ewangelię i żebyśmy zapomnieli o sprzecznościach w Chrystusie, uprościł jego postać, zatarł w nim pierwiastek wojujący, a podkreślił pokorę przed „wolą tego, co go posłał". Bez wątpienia ewangelia Tołstoja łatwiejsza jest do przyjęcia, gdyż bardziej odpowiada „niemocy" rosyjskiego ludu. Trzeba było przecież dać coś temu ludowi, gdyż lud narzeka, jękami wstrząsa ziemię i odciąga od tego, co „najważniejsze". A *Wojna i pokój* i wszystko inne w tym rodzaju nie ukoi cierpienia i rozpaczy szarej rosyjskiej ziemi.

O *Wojnie i pokoju* mówił sam Tołstoj: „Bez fałszywej skromności — to jest jak *Iliada*". Modest Iljicz Czajkowski słyszał z jego ust taką samą ocenę *Dzieciństwa i lat młodzieńczych*.

Przed chwilą byli dziennikarze z Neapolu — jeden z nich przypędził już z Rzymu. Proszą mnie o wypowiedź, co myślę o „ucieczce" Tołstoja — tak właśnie mówią — „ucieczka". Odmówiłem rozmowy z nimi. Pan oczywiście rozumie, że dusza moja jest w najstraszniejszej rozterce — nie chcę widzieć, jak robią z Tołstoja świętego; niech zostanie grzesznikiem, bliskim sercu grzesznego na wylot świata, na zawsze bliskim sercu każdego z nas. Puszkin i on — nie ma nic dla nas wspanialszego i droższego...

Umarł Lew Tołstoj.

Nadszedł telegram, a w nim najzwyczajniej powiedziano — umarł.

Uderzenie w serce, rozpłakałem się z żalu i smutku, a oto teraz, w jakimś na pół przytomnym stanie wyobrażam go sobie takim, jakim go znałem, widziałem, dręczy mnie chęć mówienia o nim. Wyobrażam go sobie w trumnie — leży jak wygładzony kamień na dnie strumienia, i na pewno w siwej brodzie przyczaił się jego — obcy wszystkim — zwodniczy uśmieszek. I ręce, wreszcie spokojnie złożone, wykonały swe katorżnicze zadanie.

Przypominam sobie jego bystre oczy — widziały wszystko na wylot — i ruch palców, zawsze jakby lepiących coś z powietrza, jego rozmowy, żarty, chłopskie ulubione wyrażenia i jakiś nieokreślony ton jego głosu. Widzę, jak szeroko ujmował życie ten człowiek, jak był nieludzko mądry i straszny.

Widziałem go pewnego razu tak, jak być może nikt go nie widział: szedłem do niego do Gaspry brzegiem morza i nie dochodząc majątku Jusupowa, na samym brzegu, wśród kamieni, zauważyłem jego drobną, kanciastą postać w szarych, zmiętych szmatach i w pogniecionym kapeluszu. Siedzi podparłszy oburącz głowę, między palcami powiewają srebrne włosy brody, patrzy w dal na morze, a do nóg jego posłusznie toczą się i łaszą zielonkawe fale, jakby opowiadały coś o sobie staremu wróżowi. Dzień był kapryśny, po kamieniach pełzały cienie obłoków i razem z kamieniami starzec to jaśniał, to ciemniał. Kamienie ogromne, pobrużdżone i pokryte pachnącymi wodorostami, po wczorajszym silnym przypływie. I on również wydał mi się prastarym kamieniem, który ożył i zna wszystkie przyczyny i cele, myśli o tym, kiedy i jaki będzie koniec kamieni i roślinności ziemskiej, wody morskiej i człowieka, i całego świata, od kamienia aż do słońca. A morze, część jego duszy, i wszystko wko-

ło powstało za jego wolą, z niego. Wydało mi się, że w nieruchomym zamyśleniu starca jest coś wieszczego, czarodziejskiego, coś, co tkwi w ciemni pod nim i badawczo sięga szczytem w błękitną przestrzeń nad ziemią, jakby to on, jego skoncentrowana wola przywoływała i odpychała fale, kierowała ruchem obłoków i cieni, zdających się poruszać kamienie, budzić je z uśpienia. Nagle w jakimś chwilowym uniesieniu poczułem, wydało mi się możliwe, że wstanie, podniesie rękę, a morze zastygnie, zeszkli się, a kamienie się poruszą i zaczną krzyczeć, wszystko wkoło ożyje, zaszumi, zacznie mówić różnymi głosami o sobie, o nim, przeciw niemu. Brak słów na wyrażenie tego, co odczuwałem wtedy; duszę przejmował zachwyt i niepokój, a później wszystko się zlało w przejmującą szczęściem myśl:

„Nie jestem sierotą na ziemi, dopóki ten człowiek jest tutaj!"

Wtedy zawróciłem z powrotem, ostrożnie, żeby żwir nie chrzęścił pod nogami, nie chcąc przeszkadzać jego zadumie. A teraz czuję się sierotą, piszę i płaczę — nigdy w życiu nie zdarzyło mi się płakać tak niepocieszenie, rozpaczliwie, gorzko. Nie wiem, czy go kochałem, ale cóż to znaczy — czy się go kocha, czy nienawidzi? Budził zawsze w mojej duszy wrażenia i wzruszenia wielkie, fantastyczne; nawet te nieprzyjemne i wrogie, wzbudzane przez niego, przybierały kształty, które nie przygnębiały, lecz, jakby rozsadzając duszę, poszerzały ją, czyniły bardziej czułą i chwytną. Wspaniały był, gdy szurając butami, jakby władczo wygładzał nierówność drogi, ukazywał się nagle skądś, z kąta, ze drzwi, szedł ku wam drobnym, lekkim, szybkim krokiem człowieka, który dużo chodził po ziemi, i zasunąwszy kciuki za pas, zatrzymywał się na sekundę, rozglądał się szybko badawczym wzrokiem, który dostrzegał od razu wszystko nowe, i natychmiast ujmował sens wszystkiego.

— Witam!

Zawsze tak tłumaczyłem sobie to słowo: „Witam przyjemności dla mnie, a pożytku dla ciebie w tym mało, mimo to — witam!"

Wyjdzie niby taki mały. A wszyscy od razu stają się mniejsi od niego. Chłopska broda, grube, lecz niezwykłe ręce, prosta odzież i cały ten zewnętrzny, wygodny demokratyzm oszukiwał wielu i często można było obserwować, jak Rosjanie, którzy nawykli traktować człowieka „wedle szat" — stare niewolnicze przyzwyczajenie! — zaczynali rozsiewać swą wonną „prostoduszność", którą mówiąc ściślej nazywamy amikoszonstwem.*

„Ach, kochany nasz! Oto jaki jesteś! Oczy moje oglądają nareszcie największego syna mej ojczystej ziemi. Przyjmij mój najgłębszy hołd!"

To — moskiewskie — rosyjskie, proste i od serca, ale oto jeszcze jedno rosyjskie „wolnomyślne" powitanie:

„Lwie Nikołajewiczu! Nie zgadzając się z pana religijno-filozoficznymi poglądami, czczę głęboko w osobie pańskiej wielkiego artystę..."

I nagle spod chłopskiej brody, spod demokratycznej zmiętej bluzy wyłania się stary rosyjski pan, wspaniały arystokrata — wtedy ludziom prostodusznym, wykształconym i innym aż nosy sinieją z nieznośnego zimna. Przyjemnie było patrzeć na ten twór czystej krwi, przyjemnie obserwować szlachetność i gracją gestu, dumną powściągliwość mowy, słyszeć wyszukaną celność zabójczego słowa. Pana było w nim akurat tyle, ile go potrzeba niewolnikom.

---

* *ami cochon* — w przenośni: zbytnia poufałość. W oryginale pisownia fonetyczna.

A obudzony w Tołstoju pan ukazywał się łatwo, swobodnie i uciskał niewolników tak, że się kulili i piszczeli.

Wypadło mi kiedyś wracać z Jasnej Polany do Moskwy z jednym z „prostodusznych" rosyjskich ludzi, moskwiczaninem; długo nie mógł tchu złapać, wciąż się uśmiechał smutnie i powtarzał w zmieszaniu:

— A to łaźnia. Jaki surowy... och!

I między innymi wykrzyknął z widocznym ubolewaniem:

— A ja myślałem — że to naprawdę anarchista. Wszyscy powtarzają w kółko — anarchista, anarchista, więc uwierzyłem.

Był to człowiek bogaty, właściciel ogromnej fabryki, z wielkim brzuchem i tłustą twarzą koloru mięsa — na co mu było potrzebne, żeby Tołstoj był anarchistą? To jedna z „głębokich tajemnic" rosyjskiej duszy.

Jeżeli Tołstoj chciał się podobać, osiągał to łatwiej niż mądra i piękna kobieta. Siedzą u niego różni ludzie: wielki książę Mikołaj Michajłowicz, malarz Ilja, socjaldemokrata z Jałty, sztundysta Pacuk, jakiś muzyk, Niemiec, administrator hrabiny Kleinmichel, poeta Bułhakow, i wszyscy patrzą na niego jednakowo, wzrokiem zakochanym. Wykłada im naukę Lao-tse, a mnie się wydaje, że jest to jakiś niezwykły człowiek-orkiestra, posiadający zdolność grania jednocześnie na kilku instrumentach — na trąbie, werblu, harmonii i flecie. Patrzyłem na niego jak wszyscy. I chciałbym popatrzeć jeszcze raz, i — nie zobaczę go już nigdy.

Byli u mnie dziennikarze, twierdzą, że Rzym otrzymał depeszę „zaprzeczającą wiadomość o zgonie Lwa Tołstoja". Kręcili się, gadali, w obfitych słowach wyrażając współczucie Rosji. Gazety rosyjskie nie pozostawiały żadnych złudzeń.

Nie podobna było przed nim kłamać nawet z litości, nie wzbudzał jej, choć był niebezpiecznie chory. To prostactwo — litować się nad takimi ludźmi jak on. Należy ich chronić, piastować, nie zaś osypywać kurzem jakichś wytartych, bezdusznych słów.

Jeśli zapytał:

— Nie podobam się panu?

Należało odpowiedzieć: „Tak, nie podoba mi się pan".

— Nie lubi mnie pan? — „Tak, dziś nie lubię pana".

W pytaniach był bezlitosny, w odpowiedziach wstrzemięźliwy, jak przystało mędrcowi.

Zadziwiająco pięknie opowiadał o przeszłości, a najpiękniej o Turgieniewie. O Fecie — z dobrodusznym uśmiechem i zawsze coś śmiesznego; o Niekrasowie — chłodno, sceptycznie, ale o wszystkich pisarzach mówił tak, jakby byli jego dziećmi, a on, ojciec, zna wszystkie ich braki i — widzicie! — podkreśla ich słabe strony przed zaletami. Zawsze, kiedy mówił źle o kimkolwiek, wydawało mi się, że podaje słuchaczom jałmużnę; nieprzyjemnie było słuchać jego sądów, pod jego ironicznym uśmieszkiem mimo woli opuszczał się wzrok — i nic nie pozostawało w pamięci.

Pewnego razu dowodził zawzięcie, że Uspieński pisał tulską gwarą bez iskry talentu. Ale do Czechowa powiedział przy mnie:

— To jest pisarz! Siłą szczerości przypomina Dostojewskiego, tylko że Do-

stojewski politykował i kokietował, a on jest prostszy, szczerszy. Gdyby wierzył w Boga, stałby się jakimś sekciarzem.

— A mówił pan o nim — tulski pisarz i — bez talentu.

Ukrył wzrok w nastroszonych brwiach i odpowiedział:

— Pisał źle. Jakiż on ma język? Więcej znaków pisarskich niż słów. Talent to miłość. Kto kocha, ten jest utalentowany. Popatrz pan na zakochanych — wszyscy są utalentowani!

O Dostojewskim mówił niechętnie, z wysiłkiem, obchodząc coś i coś przezwyciężając.

— Niechby się zapoznał z nauką Konfucjusza albo buddystów, to by go uspokoiło. To najważniejsze, co każdy, co wszyscy powinni wiedzieć. Był człowiekiem gwałtownego temperamentu, kiedy się rozgniewa, guzy wyskakują mu na łysinie, porusza uszami. Odczuwał wiele, ale myślał źle, uczył się myśleć od tych, od furierystów, od Butaszewicza i innych. Potem całe życie ich nienawidził. Miał we krwi coś żydowskiego. Był podejrzliwy, samolub, trudny i nieszczęśliwy. Dziwne, że go tak dużo czytają, nie rozumiem dlaczego! Przecież to ciężkie i bezpożyteczne, dlatego że wszyscy ci, Idioci, Młodziki, Raskolnikowowie itd. — to było nie tak, wszystko jest prostsze, bardziej zrozumiałe. A Leskowa szkoda że nie czytają, prawdziwy pisarz — czytał go pan?

— Tak. Bardzo go lubię, zwłaszcza — język.

— Język znał cudownie, jak sztukmistrz. Dziwne, że go pan lubi, pan jest taki jakiś nie rosyjski. Nie myśli pan po rosyjsku — a co, nie przykro panu, że tak mówię? Jestem stary i może nie potrafię już zrozumieć współczesnej literatury, ale wciąż mi się zdaje, że jest nie rosyjska. Piszą jakieś szczególne wiersze — nie mogę zrozumieć, po co te wiersze i dla kogo. Należy się uczyć wierszy od Puszkina, Tiutczewa, Szenszyna. Na przykład pan — zwrócił się do Czechowa — pan jest rosyjski! Tak, bardzo, bardzo rosyjski.

I uśmiechając się mile, objął Czechowa za ramiona, a on w zażenowaniu zaczął coś mówić basem o swojej willi, o Tatarach.

Czechowa lubił zawsze, patrzył na niego jakby go głaskał wzrokiem, pieszczotliwym prawie w tej chwili. Pewnego razu Czechow szedł parkową ścieżką z Aleksandrą Lwowną, a Tołstoj, chory jeszcze wtedy, siedząc w fotelu na tarasie, pochylił się cały jakoś w ich stronę, mówiąc półgłosem:

— Ach, jaki miły, piękny człowiek: skromny, cichy jak panienka! I chodzi jak panna. Po prostu — cudowny!

Kiedyś wieczorem, o szarej godzinie, mrużąc oczy i poruszając brwiami, czytał wariant tej sceny z *Ojca Sergiusza*, w której jest mowa o tym, jak kobieta zamierza uwieść pustelnika. Przeczytał do końca, podniósł głowę i zamknąwszy oczy, wyraźnie powiedział:

— Dobrze staruszek napisał, dobrze!

Powiedział to z zadziwiającą prostotą, zachwyt pięknem był tak szczery, że nigdy nie zapomnę uniesienia, którego wtedy doznałem. Był to entuzjazm, którego nie mogłem, nie umiałem wyrazić, toteż przezwyciężyłem go z dużym wysiłkiem. Aż serce bić przestało, a potem wszystko wkoło stało się orzeźwiająco świeże i nowe.

Trzeba było słyszeć, jak mówił, żeby zrozumieć szczególne, niewysłowione piękno jego mowy, jakby niepoprawnej, obfitującej w powtórzenia, przesyco-

nej wiejską prostotą. Siła jego mowy polegała nie tylko na intonacji i na ruchliwości twarzy, lecz na grze i blasku oczu, najwymowniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Tołstoj miał tysiąc ócz w jednej parze oczu.

Suler, Czechow, Sergiusz Lwowicz i jeszcze ktoś, siedząc w parku, rozmawiali o kobietach, Tołstoj długo słuchał w milczeniu i nagle powiedział:

— A ja o babach powiem prawdę, gdy jedną nogą będę w mogile — powiem, skoczę do trumny, nakryję się wiekiem — dostań-że mnie wtedy! — I oczy roziskrzyły mu się tak zadzierzyście, a tak jakoś strasznie, że wszyscy na chwilę umilkli.

Sądzę, że tkwiło w nim coś z zuchwałej i zawadiackiej dociekliwości Waśki Busłajewa wraz z cząstką upartej dumy protopopa Awwakuma, a gdzieś na wierzchu albo z boku przyczaił się czaadajewski sceptycyzm. Tym, co czyniło zeń kaznodzieję i dręczyło duszę artysty, była owa cząstka Awwakuma, nowogrodzki zawadiaka obalał Szekspira i Dantego, a czaadajewszczyzna uśmiechała się na tę zabawę duszy — zresztą i na jej mękę.

Naukę zaś i zmysł państwowości zabiła w nim starodawna rosyjska postawa człowieka, doprowadzonego do biernego anarchizmu bezpłodnością wysiłków zużytych na zbudowanie sobie bardziej ludzkiego życia.

To zadziwiające! Ale rysy Busłajewa jakąś tajemniczą siłą intuicji uchwycił w Tołstoju Olaf Hulbranson, karykaturzysta *„Simplicissimusa”;* wpatrzcie się w jego rysunek, ile w nim celnego podobieństwa z rzeczywistym Lwem Tołstojem i ile w tej twarzy, z ukrytymi, schowanymi oczami, zuchwałego rozumu, dla którego nie ma nietykalnych świętości i który nie wierzy „ani w sny, ani w gusła”.

Stoi przede mną ten stary wróż, wszystkim obcy, który w samotności zjeździł wszystkie pustynie myśli w poszukiwaniu wszechogarniającej prawdy i nie znalazł jej dla siebie, patrzę na niego i chociaż cierpię nad stratą, to duma z tego, że widziałem tego człowieka, łagodzi ból i smutek.

Przykro było patrzeć na Lwa Nikołajewicza wśród „tołstojowców”; stoi wspaniała dzwonnica i dzwon jej huczy nieustannie na cały świat, dookoła biegają małe ostrożne pieski, skowyczą w takt dzwonu i z niedowierzaniem boczą się na siebie — kto lepiej zawył? Wydawało mi się zawsze, że i dom w Jasnej Polanie, i pałac hrabiny Paninej ludzie ci na wskroś przesycili zapachem obłudy, tchórzostwa, drobnego kramarstwa i wyczekiwania spuścizny. „Tołstojowcy” mają coś wspólnego z tymi pątnikami, którzy, włócząc się po głuchych zakątkach Rosji, noszą z sobą psie kości, podając je za cząstki relikwii, sprzedają „ciemności egipskie” i „łezki” Matki Boskiej. Pamiętam, jak jeden z takich apostołów w Jasnej Polanie nie chciał jeść jajek, żeby nie skrzywdzić kur, a na stacji w Tule zajadał smacznie mięso i mówił:

— Przesadza staruszek!

Prawie wszyscy lubią wzdychać, całować się, wszyscy mają spocone ręce bez kości i fałsz w oczach. Jednocześnie są to ludzie praktyczni, umiejący nadzwyczaj sprytnie układać swe doczesne sprawy.

Lew Nikołajewicz oczywiście oceniał należycie prawdziwą wartość „tołstojowców”, oceniał ją też Sulerżycki, którego Tołstoj serdecznie lubił i mówił o nim zawsze z młodzieńczym zapałem, z zachwytem. Kiedyś w Jasnej Polanie ktoś wymownie opowiadał, jak mu się teraz dobrze żyje i jak oczyścił du-

szę, odkąd przyjął naukę Tołstoja. Lew Nikołajewicz pochylił się ku mnie i rzekł cichutko:

— Kłamie, szelma, ale dlatego, żeby mi zrobić przyjemność...

Wielu starało się sprawiać mu przyjemności, ale nie zauważyłem, żeby to robili dobrze i umiejętnie. Tołstoj prawie nigdy nie rozmawiał ze mną na swoje zwykłe tematy — o przebaczaniu, miłości bliźniego, o ewangelii i buddyzmie, widocznie od razu zrozumiał, że byłaby to strawa nie dla mnie. Bardzo sobie to ceniłem.

Gdy chciał, stawał się jakoś szczególnie delikatny, wrażliwy i miękki, mówił z czarodziejską prostotą, wytwornie, ale czasem nieprzyjemnie i ciężko było go słuchać. Zawsze mi się nie podobały jego sądy o kobietach — był w tym przesadnie „gminny" i coś sztucznego brzmiało w jego mowie, coś nieszczerego a jednocześnie bardzo osobistego. Jakby go niegdyś skrzywdzono i nie mógł ani tego zapomnieć, ani przebaczyć. Zaraz pierwszego wieczoru, kiedyśmy się poznali, zaprosił mnie do swego gabinetu — było to w Chamownikach — posadził mnie naprzeciw siebie i zaczął mówić o *Wareńce Olesowej*, o *Dwudziestu sześciu i jednej*. Przytłoczył mnie jego ton, zmieszałem się nawet — tak otwarcie i brutalnie mówił, dowodząc, że zdrowej dziewczynie obca jest wstydliwość.

— Jeżeli panna skończyła lat piętnaście i jest zdrowa, chce, żeby ją ściskano i szczypano. Rozum jej boi się jeszcze niewiadomego, niezrozumiałego — to właśnie nazywają niewinnością, wstydliwością. Ale ciało jej już wie, że to niezrozumiałe jest nieuniknione, zgodne z prawem, i żąda, aby temu prawu stało się zadość wbrew rozumowi. Ta pańska Wareńka Olesowa jest zdrowa, a czuje cherlawość — to nieprawda!

Potem zaczął mówić o dziewczynie z *Dwudziestu sześciu*, wypowiadając jedno za drugim „nieprzyzwoite" słowa z prostotą, która mi się wydała cynizmem i nawet nieco mnie dotknęła. Później zrozumiałem, że używał „zakazanych" słów tylko dlatego, że były bardziej ścisłe i trafne, ale wtedy było mi bardzo nieprzyjemnie go słuchać. Nie przeczyłem mu, on zaś nagle stał się dla mnie przychylny, uprzejmy i zaczął mnie wypytywać, jak żyłem, jak się uczyłem, co czytałem.

— Powiadają, że jest pan bardzo oczytany, prawda? A co, Korolenko — to muzyk?

— Zdaje się, że nie. Nie wiem.

— Nie wie pan? Podobają się panu jego opowiadania?

— Tak, bardzo.

— To przez kontrast. On jest liryk, a pan tego nie ma. Czytał pan Weltmana?

— Tak.

— Prawda, że to dobry pisarz, śmiały, ścisły, bez przesady. Bywa niekiedy lepszy od Gogola. Znał Balzaka. A Gogol naśladował Marlińskiego.

Kiedy powiedziałem, że Gogol prawdopodobnie poddawał się wpływom Hoffmanna, Sterna i, być może, Dickensa — spojrzał na mnie i zapytał:

— Czy to pan gdzieś wyczytał? Nie? To nieprawda. Wątpliwe, czy Gogol znał Dickensa. A pan rzeczywiście dużo czytał — ostrożnie, to szkodliwe! Kolcow się tym zgubił.

Odprowadzając, uścisnął mnie, pocałował i rzekł:

— Z pana prawdziwy chłop! Będzie panu ciężko wśród pisarzy, ale proszę się nie obawiać, mów pan tak, jak czujesz, będzie po prostacku — to nic! Mądrzy ludzie zrozumieją.

To pierwsze spotkanie wzbudziło we mnie sprzeczne uczucia: byłem rad i dumny, że poznałem Tołstoja, ale jego rozmowa ze mną przypominała nieco egzamin, widziałem w nim jakby nie autora *Kozaków, Bystronogiego, Wojny,* lecz arystokratę, który zniżając się do mnie uważał, że trzeba mówić ze mną jakimś „ludowym stylem", językiem rynku i ulicy, a to obalało moje pojęcie o nim, pojęcie, z którym się zżyłem i które było mi drogie.

Drugi raz zobaczyłem go w Jasnej Polanie. Był jesienny, pochmurny dzień, mżył deszcz, a on, włożywszy ciężkie sukienne palto i wysokie skórzane buty — prawdziwe nieprzemakalne, poprowadził mnie na spacer do brzozowego gaju. Jak młodzieniec skacze przez rowy, kałuże, strząsa sobie na głowę krople deszczu z gałęzi i świetnie opowiada, jak Szenszyn tłumaczył mu Schopenhauera w tym gaju. Gładzi przy tym delikatnie i miłośnie wilgotnawe, atłasowe pnie brzóz.

Niedawno przeczytałem gdzieś wiersz:

Grzybów nie ma, lecz mocno pachnie
W parowach wilgocią grzybną...

— bardzo ładnie, bardzo prawdziwie!

Nagle wpadł nam pod nogi zając. Tołstoj podskoczył, zjeżył się cały, twarz mu spłonęła rumieńcem i jak nie huknie głosem starego łowcy. A potem spojrzał na mnie z niewysłowionym uśmieszkiem i roześmiał się mądrym ludzkim śmiechem. Był zadziwiająco piękny w tej chwili!

Innym razem również tam, w parku, obserwował jastrzębia — sęp szybował nad podwórzem gospodarskim, okrążył je i zawisł w powietrzu, zaledwie kołysząc się na skrzydłach, jakby się wahał: uderzyć czy jeszcze za wcześnie?

Lew Nikołajewicz wyprostował się jak struna, przysłonił oczy dłonią i szepcze z niepokojem:

— Złodziej, na nasze kury czyha. Zaraz — zaraz... o teraz... Och, boi się! Kto tam stoi, stangret czy co? Trzeba zawołać stangreta...

I zawołał. Gdy krzyknął, sęp się przestraszył, wzbił się w górę, rzucił się w bok — znikł. Tołstoj westchnął i rzekł z widocznym wyrzutem:

— Nie trzeba było krzyczeć, i tak by uciekł...

Kiedyś opowiadając mu o Tyflisie wspomniałem Wasilia Wasiljewicza Flerowskiego — Berwi.

— Znał go pan? — zapytał z ożywieniem — proszę powiedzieć, jaki on jest.

Zacząłem opowiadać, jak Flerowski — wysoki, z długą brodą, chudy, z wielkimi oczami, włożywszy długi chiton z żaglowego płótna, przywiązawszy do pasa węzełek ryżu gotowanego w czerwonym winie, uzbrojony w ogromny płócienny parasol, chodził ze mną po górskich ścieżkach Kraju Zakaukaskiego, jak pewnego razu spotkaliśmy bawoła na wąskiej ścieżce, jak przezornie rejterowaliśmy i grożąc groźnemu zwierzęciu otwartym parasolem, cofaliśmy się ryzykując, że runiemy w przepaść. Nagle zauważyłem w oczach Tołstoja łzy, zmieszało mnie to, zamilkłem.

— To nic, proszę mówić, proszę mówić! To z radości, że słyszę o dobrym człowieku. Jaki on ciekawy! Tak go sobie właśnie wyobrażałem. Niezwykły. Wśród pisarzy radykałów — najdojrzalszy, najmądrzejszy, w swoim „elementarzu" bardzo dobrze dowiódł, że cała nasza cywilizacja jest barbarzyńska, że kultura — to sprawa pokojowych plemion, sprawa słabych, nie silnych, walka zaś o byt — to kłamliwy wymysł, którym chcą usprawiedliwić zło. Pan oczywiście się z tym nie zgadza? Ale na przykład Daudet się zgadza, pamięta pan jego Pawła Astier?

— A jak pogodzić z teorią Flerowskiego choćby rolę Normanów w historii Europy?

— Normanowie — to co innego!

Jeżeli nie chciał odpowiadać, zawsze mówił: „To co innego".

Wydawało mi się zawsze — i sądzę, że się nie mylę — że Tołstoj nie bardzo lubił mówić o literaturze, ale interesował się żywo osobą literata. Pytania: „zna go pan? jaki on jest? z jakich stron pochodzi?" — słyszałem bardzo często. I prawie zawsze sądy jego ukazywały człowieka z jakiejś wyjątkowej strony.

O Korolence powiedział w zamyśleniu:

— Nie Wielkorus, dlatego powinien widzieć nasze życie prawdziwiej, lepiej, niż my sami je widzimy.

O Czechowie, którego tkliwie i serdecznie kochał:

— Przeszkadza mu medycyna, gdyby nie był lekarzem, pisałby jeszcze lepiej.

O kimś z młodych:

— Udaje Anglika, a to najtrudniejsze dla moskwiczanina.

Powtarzał mi nieraz:

— Pan komponuje. Wszyscy ci pańscy Kuwałdowie — to fikcja.

Powiedziałem, że Kuwałda — to człowiek żywy.

— Proszę powiedzieć, gdzie go pan spotkał?

Bardzo go rozśmieszyła scena w pokoju kazańskiego sędziego pokoju, Kołontajewa, gdzie pierwszy raz zobaczyłem człowieka, którego przedstawiłem pod nazwiskiem Kuwałdy.

— Szlachecka krew — mówił, śmiejąc się i ocierając łzy. — Tak, tak — szlachecka krew! Ale — jaki miły, jaki zabawny! Opowiada pan lepiej niż pisze. Jesteś pan romantyk, zmyślasz pan, proszę się przyznać!

Powiedziałem, że prawdopodobnie wszyscy pisarze coś zmyślają, przedstawiając ludzi takimi, jakimi chcieliby ich widzieć w życiu; powiedziałem również, że lubię ludzi aktywnych, którzy pragną przeciwstawić się złu życia wszelkimi sposobami, nawet przemocą.

— A przemoc — to najgorsze zło! — wykrzyknął wziąwszy mnie pod ramię. — Jakże pan przezwyciężysz tę sprzeczność? Napisał pan *Towarzysza podróży* — to nie fikcja, to dobre, dlatego że nie fikcja. A gdy pan zmyśla, rodzą się panu rycerze, sami Amadeusze i Zygfrydzi...

Zauważyłem, że dopóki żyjemy w ciasnym kręgu istot podobnych do człowieka, nieuniknionych naszych „towarzyszy podróży" — będziemy wszystko budowali na chwiejnym gruncie, we wrogim środowisku.

Uśmiechnął się i szturchnął mnie leciutko łokciem.

— Z tego można wyciągnąć bardzo, bardzo niebezpieczne wnioski! Wątpli-

wy z pana socjalista. Jest pan romantykiem, a romantycy powinni być monarchistami, zawsze nimi byli.

— A Hugo?

— Hugo — to co innego. Nie lubię go — to krzykacz.

Często pytał, co czytam, i zawsze zarzucał mi zły, jego zdaniem, wybór książek.

— Gibbon — gorszy niż Kostomarow, trzeba czytać Momsena — bardzo nudny, ale wszystko tam solidne.

Kiedy się dowiedział, że pierwszą książką, jaką przeczytałem, byli *Bracia Zemganno,* oburzył się nawet.

— No widzi pan — głupia powieść. To pana właśnie zepsuło. Francuzi mają trzech pisarzy: Stendhal, Balzak, Flaubert, no i jeszcze — Maupassant, ale Czechow lepszy od niego. A Goncourtowie? To klowni, udają tylko powagę. Poznawali życie z książek, napisanych przez takich samych jak oni zmyślaczy, biorąc ich poważnie, a to nikomu niepotrzebne.

Nie zgadzałem się z jego oceną i to go nieco rozdrażniło — źle znosił sprzeciwy, a tymczasem sądy jego miały niekiedy dziwny, kapryśny charakter.

— Nie ma żadnego zwyrodnienia — mówił — wymyślił to Włoch Lombroso, a za nim, jak papuga, powtarza Żyd Nordau. Włochy — to kraj szarlatanów, awanturników — rodzą się tam tylko tacy jak Aretino, Casanova, Cagliostro i tym podobni.

— A Garibaldi?

— To — polityka, a to — co innego.

Na wiele faktów, wziętych z historii rodzin kupieckich w Rosji, odpowiadał:

— To nieprawda, to tylko tak w mądrych książkach piszą...

Opowiedziałem mu historię trzech pokoleń znanej mi kupieckiej rodziny — historię, gdzie prawo zwyrodnienia działało ze szczególną bezwzględnością — wówczas zaczął mnie szarpać za rękaw w podnieceniu, powtarzając:

— Tak, to — prawda. Wiem o tym, w Tule są dwie takie rodziny. I o tym trzeba napisać. Krótko: napisać wielką powieść, rozumie pan? Koniecznie!

I oczy błyszczały mu pożądliwie.

— Ale przecież wyjdą z tego rycerze, Lwie Nikołajewiczu!

— Niech pan da spokój! Mówię poważnie. Ten, który zostaje zakonnikiem, modli się za całą rodzinę — to cudowne! To — rzeczywistość: wy — grzeszcie, a ja się będę modlił za wasze grzechy. A drugi — znudzony, skrzętny budowniczy — to także prawda! I to, że pije, że z niego zwierz, rozpustnik, że kocha wszystkich, a — nagle — zabija — ach, to dobre! O tym właśnie trzeba napisać, a nie szukać bohaterów między złodziejami i żebrakami! Bohaterowie — to kłamstwo, wymysł, są po prostu ludzie, ludzie i więcej nic.

Bardzo często wytykał mi przesadę w mych opowiadaniach, ale pewnego razu, mówiąc o drugiej części *Martwych dusz,* powiedział uśmiechając się dobrodusznie:

— Wszyscyśmy okropni zmyślacze. I ja także; czasem człowiek pisze i nagle zrobi mu się żal kogoś, weźmie i doda mu kreskę piękniejszą, a drugiemu ujmie, żeby tamci obok niego nie byli zbyt czarni.

I zaraz surowym tonem nieugiętego sędziego:

— Dlatego też powiadam, że sztuka to kłamstwo, oszukiwanie, samowola szkodliwa dla ludzi. Człowiek pisze nie o tym, czym jest rzeczywiste życie, ja-

kie ono jest, lecz o tym, co myśli o życiu on sam. Co komu z tego przyjdzie, że będzie widział, jak ja widzę tę wieżę albo morze, albo Tatara — czy to jest ciekawe, na co to komu potrzebne?

Niekiedy myśli i uczucia jego wydawały mi się kapryśne, a nawet jakby naumyślnie wykrzywione, ale najczęściej zdumiewał i obalał ludzi właśnie surową prostotą myśli, jak Hiob, nieustraszony adwersarz okrutnego Boga.

Opowiadał:

— Idę sobie, jakoś w końcu maja, szosą kijowską; ziemia — raj, wszystko się raduje, niebo bez chmurki, ptaki śpiewają, brzęczą pszczoły, słońce takie przyjemne, i wszystko wokoło świąteczne, ludzkie, wspaniałe. Wzruszyłem się do łez, miałem uczucie, że i ja jestem pszczołą, której dano wszystkie najpiękniejsze kwiaty ziemi, i czułem Boga blisko. Nagle widzę: nieopodal drogi, pod krzakami leży pątnik z pątniczką, zabawiają się, oboje poszarzali, brudni, starzy — wiją się jak robaki, i postękują, i mruczą, a słońce bezlitośnie oświetla ich gołe, sine nogi, nędzne ciała. Aż mnie serce zabolało. Boże — twórco piękna: jakże się nie wstydzisz? Poczułem się bardzo nieszczęśliwy.

— Tak to bywa, widzi pan. Natura ludzka — nabożni uważali ją za dzieło szatana — srogo i nazbyt szyderczo dręczy człowieka: siły mu zabierze, a pragnienie zostawi. I to tak wszyscy ludzie o żywej duszy. Tylko człowiekowi dane jest odczuwać wstyd i grozę takiej męki, tkwiącej w jego ciele. Nosimy to w sobie jak nieuniknioną karę, ale za jaki grzech?

Gdy o tym mówił, oczy zmieniały mu się dziwnie — to patrzył wzrokiem dziecięcej skargi, to — suchym i jarzącym się surowo. A wargi mu drżały i wąsy się jeżyły. Opowiedziawszy, wyjął chustkę z kieszeni bluzy i mocno wytarł twarz, chociaż była sucha. Potem przeczesał brodę haczykowatymi palcami silnej chłopskiej ręki i powtórzył cicho:

— Tak — za jaki grzech?

Kiedyś szedłem z nim dolną drogą od Dulbera do Aj-Todora. Idąc lekko, jak młodzieniec, mówił nieco bardziej nerwowo niż zwykle:

— Ciało powinno być uległym psem ducha, tam powinno biec, gdzie je duch pośle, a my jak żyjemy? Ciało rzuca się, szaleje, a duch wlecze się za nim bezsilnie i żałośnie.

Mocno roztarł pierś koło serca, podniósł brwi i przypominając sobie, ciągnął dalej:

— W Moskwie, w pobliżu Sucharewskiej, w głuchym zaułku, widziałem jesienią pijaną babę; leżała przy samym chodniku. Z podwórza płynął brudny strumień prosto pod jej kark i plecy, leży w tej zimnej kąpieli, mruczy, kręci się, klapie ciałem po ścieku, a wstać nie może.

Wstrząsnęło nim, przymrużył oczy i zaproponował cichutko:

— Siądźmy tu... Najokropniejsze, najwstrętniejsze to pijana baba. Chciałem jej pomóc wstać i nie mogłem, brzydziłem się; cała była taka lepka, ośliźgła, jak jej dotkniesz, przez miesiąc rąk nie domyjesz — zgroza. A na słupku siedział jasnowłosy chłopiec z szarymi oczami, łzy płyną mu po policzkach, pociąga nosem i powtarza w beznadziejnymi udręczeniu.

— Ma-moo... i ma-muusiu. Wstań-że...

A ona poruszy rękami, chrząknie, podniesie głowę i znowu — klap głową w błoto.

Zamilkł, potem, oglądając się wkoło, powtórzył niespokojnie, prawie szeptem:

— Tak, tak — zgroza! Niech pan nie pisze o tym, nie trzeba!

— Dlaczego?

Spojrzał mi w oczy i uśmiechając się powtórzył:

— Dlaczego?

Potem powiedział wolno, w zamyśleniu:

— Nie wiem. Tak sobie powiedziałem... Wstyd pisać o paskudztwach. Ale — dlaczego nie pisać? Nie, trzeba pisać wszystko, o wszystkim...

Łzy stanęły mu w oczach. Wytarł je i nie przestając się uśmiechać popatrzył na chustkę, a łzy znowu płyną po zmarszczkach.

— Płaczę — powiedział. — Stary jestem i serce się wzrusza, jak przypomnę sobie o czymś strasznym.

I trącając mnie lekko łokciem:

— Pan też, gdy życie przeżyje, a wszystko zostanie, jak było, zapłacze również, i jeszcze obficiej, „rzęsiściej", jak powiadają baby... A pisać trzeba wszystko, o wszystkim, inaczej jaśniutki chłopiec się obrazi, będzie wymawiał. — Nieprawda, niecała prawda, powie. Wymagający jest, jeśli chodzi o prawdę!

Nagle wstrząsnął się cały i spokojnym głosem rzekł:

— No, proszę coś opowiedzieć, pan pięknie opowiada. Coś o dzieciństwie, o sobie. Nie chce się wierzyć, że był pan kiedyś mały, taki pan — dziwny. Jakby się pan już urodził dorosły. W rozumowaniu pańskim jest dużo dziecięcego, niedojrzałego, a wie pan dosyć o życiu, więcej nie trzeba. No, niech pan mówi.

I wyciągnął się wygodnie pod sosną, na jej obnażonych korzeniach, obserwując, jak się mrówki kręcą w szarym podszyciu.

Wśród przyrody południa, nadzwyczaj dla człowieka północy różnorodnej, wśród bogatej, chełpliwie rozpasanej roślinności, on, Lew Tołstoj — nawet imię mówi o jego wewnętrznej sile — krępy człowiek, cały związany z jakichś bardzo mocnych, z głębi ziemi wyrwanych korzeni, cały taki supłowaty, wśród, jak powiadam, chełpliwej przyrody Krymu, był jednocześnie na miejscu i nie na miejscu. Jakiś bardzo stary człowiek i jakby pan całego okręgu — pan i twórca, który wrócił po stuletniej nieobecności do swego, przez siebie zbudowanego gospodarstwa. O wielu rzeczach zapomniał, wiele nowego zobaczył, wszystko jest tak jak trzeba, ale niezupełnie tak, i trzeba natychmiast zbadać — co jest nie tak, dlaczego nie tak.

Chodzi drogami, ścieżkami szybkim, pośpiesznym krokiem umiejętnego badacza ziemi i bystrymi oczami, przed którymi nie schowa się ani jeden kamień, ani jedna myśl, patrzy, mierzy, maca, porównuje. I rozrzuca wkoło siebie żywe ziarna nieposkromionej myśli. Mówi Sulerowi:

— Ty, Lowuszka, nic nie czytasz, to niedobrze, zbytnia pewność siebie, a Gorki czyta dużo, to również niedobrze — to dlatego, że sobie nie dowierza. Ja dużo piszę i to niedobrze, dlatego że — piszę przez starcze samolubstwo, dlatego że pragnę, by wszyscy myśleli tak jak ja. Oczywiście to, co myślę, jest dobre dla mnie, a Gorki uważa, że dla niego to się nie nadaje, a ty nic nie myślisz, po prostu: łypiesz oczami, wypatrujesz, czego się uczepić. I uczepisz się nie swojej sprawy — tak już z tobą bywało. Uczepisz się, potrzy-

masz, a gdy to, co trzymasz, samo się zacznie od ciebie oddalać, nie będziesz nawet zatrzymywał. Czechow napisał piękne opowiadanie *Duszka*, jesteś prawie do niej podobny.

— Z czego? — zapytał Suler, śmiejąc się.

— Kochać — kochasz, lecz wybrać nie potrafisz i roztrwonisz się cały na głupstwa.

— I wszyscy tak?

— Wszyscy? — powtórzył Tołstoj. — Nie, nie wszyscy.

I nieoczekiwanie zapytał mnie — jakby uderzył:

— Dlaczego pan nie wierzy w Boga?

— Nie mam wiary, Lwie Nikołajewiczu.

— To nieprawda. Pan jest z natury wierzący i Bóg jest panu potrzebny. Odczuje to pan niedługo. A nie wierzy pan przez upór, obraził się pan, że świat nie jest tak stworzony, jak pan chce. Są tacy, co nie wierzą przez nieśmiałość; bywa tak z młodzieńcami: ubóstwiają kobietę, lecz nie chcą tego okazać, boją się — nie zrozumie, a i odwagi brak. W wierze tak jak w miłości, potrzebne jest męstwo, śmiałość. Trzeba sobie powiedzieć — wierzę — wszystko będzie dobrze, wszystko będzie takie, jak panu potrzeba, samo się panu odsłoni i pociągnie do siebie. Pan dużo kocha, a wiara — to właśnie spotęgowana miłość, trzeba pokochać jeszcze bardziej — wtedy miłość przekształci się w wiarę. Jeśli pokochać kobietę — to już najlepszą na ziemi — każdy zawsze kocha najlepszą, a to już — wiara. Niewierzący nie może kochać. Zakocha się dziś w jednej, a za rok w drugiej. Serce takich ludzi — to włóczęga, żyje bezpłodnie, to — niedobrze. Urodził się pan wierzącym i nie trzeba udawać. Mówi pan — piękno? A cóż to takiego, piękno? Najwyższe i najdoskonalsze piękno — to Bóg.

Dawniej prawie nigdy ze mną o tym nie mówił, toteż powaga tego tematu, zaskoczenie jakoś mną zachwiały, powaliły mnie. Milczałem. On siedząc na otomanie, podkulił pod siebie nogi, uśmiechnął się zwycięsko w brodę i powiedział, grożąc palcem:

— Tego pan milczeniem nie zbędzie, nie.

A ja, choć nie wierzę w Boga, patrzę na niego, nie wiem dlaczego ostrożnie, nieco bojaźliwie, patrzę i myślę:

„Ten człowiek — podobny jest Bogu."

Przełożył

Lucjan Rudnicki

Paweł Hertz

Z DZIENNIKA LEKTURY

Gdyby ktoś, widząc, że odkładam tom wierszy i zamyślam się głęboko, za pytał mnie, co właściwie myślę o poezji, nie potrafiłbym mu pewnie odpo wiedzieć. W istocie bowiem, gdy czytam wiersze, nie myślę najczęściej o poezji tylko o jej najistotniejszej treści, czyli o świecie, któremu sens i znaczeni nadają żyjący na nim, czujący i myślący ludzie. Czasem się zdarza, że poeta nie spostrzega ani tego świata, ani owych ludzi. Pisze gdzieś w pustkę, w stra szliwą próżnię swojej literackiej doktryny. Wtedy rzucam książkę zniecierpli wiony, jak człowiek, do którego jego bliźni usiłuje przemówić zza grubej tafl hermetycznie osadzonego mlecznego szkła.

Czasem rzucam książkę z głębokim smutkiem. Dzieje się to wtedy, gd poeta, który słuchał świata cudzym uchem, widział cudzym okiem, rozu miał cudzym umysłem, a nie czuł — niczyim sercem, tak bardzo był gorliwy że wszystko to, co z tych cudzych wrażeń, doznań i myśli miał nam do zako munikowania, napisał cudzym piórem.

Nie myślę więc przeważnie o poezji, tylko o wszystkich wyrażanych prze nią sprawach. O wszystkich sprawach tego świata, dalekich i bliskich. Dl poezji najbardziej odległe sprawy są czasem najistotniejszą materią. Tylk bardzo ograniczeni mogą pytać, jak ów Literat w salonie warszawskim w II części *Dziadów:*

> Spodziewam się, że panu przez myśl nie przejedzie,
> Aby napisać wierszem, że ktoś jadał śledzie...

Śledzie? Ależ tak! Mogą być i śledzie! I one bywają patetyczne w odpowied nim kontekście historii. A kto ciekaw, niech w tejże scenie *Dziadów* odczyt odpowiedni fragment opowiadania Adolfa. A zatem i owe najbardziej pro zaiczne śledzie wejdą do wielkiego dykcjonarza poezji, i choć skromne i zwy kłe, znaczyć będą więcej niż pomuchle, arkasy i blemasy z ostatniej księg *Pana Tadeusza*. Te należą do gastronomii, śledzie zaś — do historii, a wszyst ko to razem pieczętuje swoim znakiem poezja.

Są książki poetów, które zmuszają do głębokiego namysłu nad tym, co włas ciwie sprawia, że poezja niekiedy przestaje być częścią literatury piękne a staje się częścią życia. Bardzo trudno mówić o takiej poezji. Cała zawił

estetyka bierze w łeb i raczej należy być wtedy biegłym w filozofii i etyce niż w znajomości takiego czy innego estetycznego dekalogu. Myślę zresztą, że krytyk literacki, to przede wszystkim moralista (a i historykowi literatury nie zawadziłoby nim być także). Toteż jeśli się nie chce popaść w pretensjonalną banalność wyrokowania: dobry wiersz, zły wiersz, co jak wiadomo nic nie znaczy, bo według jednych i Mickiewicz, i Słowacki — to w gruncie rzeczy starzy grafomani, wielkim zaś jest tylko poeta X., należy się raczej wstrzymać od ocen i mówić to tylko, co myślimy o świecie czytając wiersze.

Nic więc nie potrafiłem powiedzieć Słonimskiemu, kiedy mi dał swój ostatnio wydany tom *Poezyj*, obejmujący obszerny wybór z całej jego dotychczasowej twórczości. Napisałem za to do niego list. Uważałem to sobie za obowiązek. Był to jak gdyby zwrot części serdecznego długu, zaciągniętego przed z górą dwudziestu laty. Oto kopia tego listu:

Drogi Antoni, kiedy brałem od ciebie ostatni wybór twoich wierszy, byłem naprawdę wzruszony. W gwarze rozmowy, między jednym i drugim powiedzeniem czy dowcipem, które sam tak lubisz i sam tak świetnie układasz, nie mogłem czy nie potrafiłem okazać tego wzruszenia, pozwól więc, że dobrym, starym obyczajem wyłożę to wszystko w liście.

A więc najpierw wzruszenie to pochodzi z czułych źródeł pamięci. Twoje wiersze podziwiałem od najwcześniejszych lat. Trzeba tu powiedzieć — bo to ważne — że podziwiałem je dla ich mistrzostwa. Wydawało mi się, że poeta nic innego nie ma do czynienia, tylko pisać tak, żebym od razu, zakrywszy dłonią kartę, mógł powtarzać z pamięci:

W miedzianym podźwięku drewniany brzmi stuk,
Gdy z tarczą na ręku i z chartem u nóg
W jarmarczne wypadasz namioty.

albo:

Jak marmur bity dłutem brzmi słowo Carrara,
Roma jak dzwon bazylik, a Amor po włosku
To dwie sylaby słodko ulepione z wosku...
Lecz mnie smakuje bardziej pospolita gwara.

Zachwycała więc mnie z początku jedynie świetność twoich strof, co oczywiście było tylko dowodem mojego, nie twojego ograniczenia. Mickiewiczowskie bowiem powiedzenie: „Taki wieszcz, jaki słuchacz" rozumiem w ten sposób, że tyle się słyszy z poety, na ile się zasługuje.

Nie sądź zresztą, że sam się wyrzekam i że ciebie chcę odrzeć ze świetności, z przepychu, więcej nawet — z uroków parnasizmu, którego wydajesz mi się, zwłaszcza we wczesnych wierszach, klasycznym przedstawicielem, majstrem nie gorszym niż doskonały wersyfikator (i uroczy poeta) Wiktor Gomulicki. Sam przecież w smutnym, pięknym wierszu o Warszawie 1938 roku pisałeś:

Mógłbym opisać te mury,
Gdziem się urodził i wzrósł,
Tak lekkim, tak tkliwym piórem,
Jak Gomulicki czy Prus.

Kiedy o tym mówię, to dlatego, żeby jaśniejsze się stało i to, jak zmieniałem swoje myślenie czytając twoje wiersze i jak zmiany w twojej poezji zmuszały mnie do odkrywania coraz to nowych jej horyzontów.

I jeszcze. Jesteś dla mnie na zawsze związany z krajobrazem warszawskim. Myślę, że dla twoich czytelników jest to rzecz nie bez znaczenia. Dla mnie jesteś ten, co to, jak powiada Tuwim w *Kwiatach polskich:*

...siekanym, drobnym kroczkiem,
W brązowej kurtce z wełny szkockiej,
Trzcinką-chaplinką wywijając
Sypie poważny, krótkowzroczny,
Z lekka wyniosły a wstydliwy,
Dobiera w myśli słów do wiersza:
Dla spraw nieziemskich — słów potocznych.

Otóż i te „słowa potoczne". W nich, w ich trafnym użyciu, w związku ich z najważniejszymi sprawami naszego czasu, tkwi, jak mi się zdaje, cała tajemnica poezji. I twojej poezji. Ale tu już od dawnej i czułej pamięci trzeba przejść do bliższych, boleśniejszych doświadczeń.

Na krótko przed wybuchem wojny pojąłem nicość słów, które nic nie chcą, nic nie pragną, o nic nie wołają. W Paryżu na nowo odczytałem wtedy Baudelaire'a, Verlaine'a, Rimbauda, Apollinaire'a. W blasku nadciągających, straszliwych dni te wiersze straciły swoją „bezinteresowną" piękność, a przybrały czułą, bolesną, ludzką urodę. W noc pierwszej próbnej mobilizacji pierzchła ode mnie Muza Gautiera i Heredii.

Zacząłem więc szukać tej ludzkiej, bolesnej urody, która w gorzki i trudny czas pomaga myśleć i czuć sprawiedliwie, i zapragnąłem przede wszystkim ujrzeć ją w wierszach pisanych po polsku. Odpowiedziałem sobie wtedy na pytanie, które zadajesz w strofie poematu *Popiół i wiatr:*

Czyś już o tym zapomniał, że w młodości lata
Wiersz pisany po polsku był sumieniem świata?

W lata wojny twój *Alarm* w londyńskiej edycji, w niebieskiej okładce, był pierwszą książką, która mnie doszła ze świata. Bez wieści z kraju, bez wieści od bliskich i przyjaciół, miałem wtedy dość czasu, by rozmyślać dalej, z czego rodzi się żywe ciało poezji: czy jak w mitycznym podaniu wyłania się niby Wenus z piany lazurowego morza, czy — jak w rzeczywistości — ze starcia prawdy z kłamstwem, sprawiedliwości z przemocą, wolności z jarzmem. Cała wielka poezja polska odpowiadała na to pytanie. Wiersze z *Alarmu* wydały mi się wówczas poczęte z ducha tej poezji. Były proste, odważne i szlachetne.

Były więc piękne, czyli pomocne ludziom. Czy to nie jest istotą i celem poezji?

Po powrocie do kraju, jeszcze zanim ofiarowałeś mi swoje książki wydane w Anglii, których nie znałem, odnalazłem gdzieś w antykwarni stare wydanie twoich *Wierszy zebranych* i przeczytałem je znowu, jak dawniej, z przejęciem i podziwem, ale czytałem już inaczej. Pod rzekomym parnasizmem wczesnych wierszy usłyszałem żywo bijące tętno, żywy puls tamtej epoki. Zrozumiałem, że byłeś jednym z nielicznych poetów owego okresu, najnieszczęśliwiej zwanego dziś „dwudziestoleciem", który nie zrzucił z siebie z ulgą obowiązków poety, ściśle określonych przez stulecia naszej poezji, i nie odgrodził się od jej form i zawsze żywych dla nas treści. Są tacy, którzy uważają, że najpełniej wypowiedziałeś się w publicystyce i w teatrze, że tam jesteś moralistą i humanistą. Dla mnie twój wizerunek pisarza-moralisty najpełniej rysuje się w twoich wierszach, również i w tych wczesnych, naiwnie kiedyś odczytanych jako wzór „zimnej", „bezinteresownej", „czystej" liryki:

Dopóki jest na świecie owo niepojęte,
To, czego brak, choć dosyć rozkoszy i jadła,
Póki nas ciemną nocą nachodzą widziadła,

Dźwigać będziemy w trudzie wielkie domy święte,
Słowa składać jak cegły do nieba dźwignięte,
Aby je duch rozświecił jak gwiazda upadła.

Póki nie odczytałem na nowo wszystkich twoich wierszy, i tych dawnych, i tych z *Okna bez krat*, i tych, które pisałeś czasu wojny, nie bardzo rozumiałem, jak twój pozornie chłodny humanizm, twój programowy scientyzm, twój przysłowiowy pacyfizm, pozwoliły ci dojść do wierszy pisanych w Londynie, ale bliższych Polsce niż wiele utworów, które powstały w kraju. Wydało mi się nagle, że nad kartami, na których pisałeś takie proste i wzniosłe moralia, jak *Ten jest z ojczyzny mojej...*, *Braciom emigrantom*, *Pieśń o Januszu Korczaku*, snuły się cienie naszych wielkich poetów. Twój wiersz o Polsce słabej mógłby należeć do cyklu epigramatów Słowackiego, tej najdziwniejszej księgi moraliów romantycznych, a kiedy czytam twój sonet *Do przyjaciela:*

Tutaj zegar te same wydzwania godziny,
I kiedy noc jest w Polsce i tu nie ma blasku...

myślę o nostalgicznym sonecie Słowackiego *Gdy noc głęboka wszystko uśpi i oniemi...*

Twoje wiersze pisane na emigracji czystością i wzniosłością uczucia najbliższe są wielkiej poezji romantycznej, bez której język polski i serce polskie byłyby martwe, choć może i wypolerowane dobrym smakiem pofrancuskiego oświecenia.

Tobie „polor", na którego brak narzeka w salonie warszawskim Literat I, ani kazał czekać, aż wszystko się ucukruje i uleży, ani podsuwał myśli o opie-

waniu grochu, choć i licha jarzyna, podobnie jak i śledzie, w odpowiednim kontekście, stać się może kulą, petardą, dynamitem.

Jakiż więc był twój „groch", twoje „śledzie", co ciebie najbardziej pasjonowało od najdawniejszych lat? Pisałeś o Leonardzie, o Michale Aniele. Twoje wiersze podróżne są raczej przewodnikiem moralnym niż Baedeckerem. Czciłeś bohaterstwo uczonych i odkrywców. Bliski był ci Conrad. Wierszami odpowiadałeś na sprawy, których znaczenie mieliśmy ocenić znacznie później. Pisałeś o Mickiewiczu, o Żeromskim, a w wierszu *Na śmierć prezydenta Narutowicza* wyłożyłeś to credo demokracji polskiej, które inaczej, w umownym, konwencjonalnym, wczesnym wierszu z roku 1918, wyraziłeś za pomocą literackich przenośni:

Łotrem jest, kto w młodości znosi kompromisy,
Kogo nęci brzuch pełny lub wypchana kiesa,
Łotrem jest, kto nie marzy, jak ten z Cervantesa,
Aby słońca dosięgnąć złotym ostrzem spisy...

Pisałeś o grozie wojny, o krzywdzie, o haniebnej przemocy, o paleniu zboża i o wszystkich realiach tych trudnych lat, którym w swoim tomie dałeś gorzką nazwę: Wiek męski, wiek klęski. Ale mimo goryczy byłeś wierny ludzkim sprawom i sobie. W istocie takie jest chyba zadanie poety i na tym tylko wspiera się autorytet literatury.

Najbliższe mi są twoje wiersze pisane na emigracji. W nich zespalają się najdoskonalej, najgłębiej i najpiękniej twoje uczucia i myśli osobiste z uczuciami i myślami narodu, tego zbiorowiska, przez które i dla którego istnieje poeta. W nich spełnia się ten niepokój, o którym mówisz w dawniejszym swoim wierszu o Annopolu:

Niepokój mój, co mąci moją sztukę,
Może jest tyle wart, co krzyk na szczerym polu,
Kartofel zmarzły lub ta brukiew,
Którą w barakach żrą na Annopolu.

Bez tego niepokoju nie ma chyba wielkiej poezji. A na pewno nie ma poezji bliskiej ludziom. Pozwól więc jeszcze, że cię tu nazwę poetą narodowym. Wolno mi tak cię nazwać nie dlatego, że pisałeś o Polsce, o Warszawie, o malwach i o kolumnie Zygmunta. Nie temat narodowy tu rozstrzyga, tylko ów „niepokój", co mąci twoją sztukę. W tym niepokoju, oddzielony od kraju, najlepiej może zrozumiałeś sprawę poety, pisząc:

Biada tym, którzy w naród patrzą, nie w emblemat
I widowisk nie czynią ze swojej rozpaczy,
I w ojczyźnie coś więcej widzą niźli temat.
Biada im, jeśli myślą i myślą inaczej.

. . . . . .

Biada tym, co ze wzgardą nie zżyci za młodu
Uczą się jej dopiero, brzemię czasów trudnych
Dźwigając w samotności, z dala od narodu,
Pośród wrogów podstępnych, przyjaciół obłudnych.

Kończę już, mój drogi, ten list, w którym chciałem napisać, co myślę o twoich wierszach. Są bliskie sercom ludzi, wśród których żyjemy. Godność i urodę nadaje im odwaga i szlachetność. Parafrazując znowu ów fragment *Dziadów*, gdzie tyle, i nie przypadkiem, mówi się o poezji, nie można by ci zadać owego strasznego pytania, które zapewne niejeden z piszących powinien sobie postawić:

Czemu to o tym pisać nie chcecie, panowie?

I wydaje mi się, że poeta to ten właśnie, któremu takiego pytania nie można zadać.

Paweł Hertz

Paweł Jasienica

KREW POBRATYMCZA

„...Nie chcę ja w paragon wchodzić z panem Zagłobą, którego przygody Dydonę samą i jej wdzięczny fraucymer w największy podziw wprawić by mogły, ale gdy sami waćpaństwo żądacie *casus cognoscere meos*, nie będę się ociągał, aby zacnej kompanii nie ubliżyć.

W młodości odziedziczyłem na Ukrainie, koło Taraszczy, substancję znaczną .." — prawił towarzystwu w Chreptiowie pan Muszalski, „człek niegdyś możny".

Nie chcę i ja wchodzić z nim w paragon, zwłaszcza że substancji żadnej nigdzie nie dziedziczyłem i z łuku strzelać nie umiem. Chciałbym tylko wspomnieć, że po raz pierwszy przeczytałem *Trylogię* w roku 1919, w Taraszczy.

Dom, w którym mieszkaliśmy, leżał przy skrajnej ulicy miasteczka. Naprzeciwko, za wysokimi parkanami, widniały sady iście po ukraińsku bujne. Dalej było strome urwisko, spadające ku stawowi, zwanemu Hłyboczok. Ulica nachylała się w prawo, zakręcała koło nieładnych składów z czerwonej cegły i przechodząc w szosę, szerokim półkolem omijała staw. Po drugiej stronie pięła się na pochyłość i znikała między żółtymi ścianami jaru. Jeździło się tamtędy do Białej Cerkwi.

Sienkiewiczowski łucznik miał, jak pamiętamy, niedobrego sąsiada. „Był to prosty chłop spod Białocerkwi, któren z młodu na Siczy był, tam się do szarży atamana kurzeniowego dosłużył i do Warszawy od kosza posłował, gdzie też i uszlachcon został. Zwał się Dydiuk."

Miałem w Taraszczy znajomego nazwiskiem Burłaj.

W tych odległych czasach pola ukraińskie żywo przypominały step. Teraz jest już na pewno inaczej, lecz żadne pługi nie dadzą chyba rady tamtejszym licznym i wysokim kurhanom.

O kilkadziesiąt kilometrów na południowy wschód, opodal rzeczki Zgniły Tykicz, płynącej wśród prawdziwego morza trzcin i zarośli, leżały zwaliska „zamku". W rzeczywistości był tam pewnie dawniej dwór szlachecki obwiedziony wałem ziemnym. Pobliskie sioło nazywało się Czaplinka. Chodziły wieści, iż „zamek" ów należał do osławionego starostki, który Chmielnickiemu „kochanicę odebrał i z nią się ożenił". Nie upieram się przy prawdziwości tej wersji. Wspominam o tym wszystkim, by uzmysłowić warunki, w jakich przeczytałem „szereg powieści", z których pierwsza kończy się słowami: „Nienawiść wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą".

Taraszcza, Czaplinka, Biała Cerkiew nad rzeką Rosią, dopływem Dniepru... Pamiętam w tamtych stronach drogowskaz na stepowym rozjeździe, oznaczający odległość od Perejasławia. Pewien leśniczy, Polak, opowiadał mi, że bawiąc na Zadnieprzu grzebał w ziemi w okolicach wioski zwanej Rozłogi. Zapomniałem już, czy i co tam znalazł.

W roku 1919 wrzała na Ukrainie wojna domowa. Taraszcza przechodziła z rąk do rąk. Któregoś dnia zajęły miasteczko kolumny czerwonej kawalerii, ścigającej jakiegoś samozwańczego atamana z takich, co to nie chcieli uznawać żadnej władzy na świecie — oprócz swojej własnej. U płotów stały długimi szeregami wychudzone w pochodzie konie. Ogony ich podwiązane były w ciężkie węzły, grzywy nigdy chyba nie podcinane. Jeźdźcom chwiały się u boków szable w czarnych pochwach o rękojeściach pozbawionych pałąków. O białą, oświetloną przez słońce ścianę domu opierały się pęki czarnych, drewnianych pik. — Sienkiewicz nie używał tego ostatniego słowa. Posługiwał się innym, starszym pewnie i rodzimym: spisy. To takie właśnie Kozacy wiązali po kilka do kupy, by wedrzeć się na strych i zrzucić stamtąd Zagłobę, który „rozgrzany tryumfem, ryczał jak bawół i zionął takie przekleństwa, jakich świat nie słyszał i od jakich dusze niezawodnie zamarłyby w mołojcach, gdyby nie to, że wściekłość poczęła ich ogarniać".

W roku 1919 liczyłem sobie lat dziesięć. Lektura *Trylogii* wywarła na mnie wrażenie, które da się porównać z jednym tylko, o pięć lat późniejszym. Zacząłem wtedy czytać taką powieść, gdzie na samym niemal początku widnieje zdanie: „Zaś w miesiącu Farmuti, w lutym, pan Górnego i Dolnego Egiptu, władca Fenicji i dziewięciu narodów, Mer-amen-Ramzes XII, po naradzeniu się z bogami, którym jest równy..."

„Z b o g a m i, k t ó r y m j e s t r ó w n y..." Tych słów najzupełnie wystarczyło, bym się już nie mógł oderwać od *Faraona* i umiłował go na zawsze. W grę wchodziła pewnie charakterystyczna dla Prusa bardzo subtelna i bardzo głęboka ironia.

Młodzieńcze uwielbienie dla *Trylogii* poddane zostało niezwykle ciężkim próbom. Zaczęło się w roku 1920. Nawet szczenięce oczy musiały wtedy zauważyć, że zajęcie Taraszczy i jej okolic przez polską 3 brygadę jazdy bynajmniej nie wywołało entuzjazmu wśród ukraińskich chłopów. Ludność wyznania mojżeszowego też nie miała się z czego cieszyć, skoro działał na miejscu regiment, o którym w znanej piosence kawaleryjskiej śpiewano: „A kto Żydów poniewiera? To ułanów pułk Hallera". Ekspedycja, mająca na celu ogłoszenie „samostijnoj Ukrainy", jakoś bardzo rychło zaczęła nabierać cech zajadłej walki z ludem ukraińskim, który w żaden sposób nie chciał się zastosować do politycznego testamentu chorążego Zaćwilichowskiego. Do grobowej deski nie zapomnę wesołego opowiadania pewnego poznańskiego piechura: „Najpierw się batem siecze, aż krew sika na powałę, potem wodą zleje, solą przysypie i deską przyklepie".

Niewesołe ówczesne spostrzeżenia pokwitowało się w kilka lat później, dając pełną zgodę na słowa Cezarego Baryki wyrzeczone nad stawem w Chłodku, w powiecie częstochowskim:

„Proszę pani. To, co tam zostało zrabowane, to już amen! Nad tym trzeba krzyżyk postawić albo i cały, duży krzyż nad całym tamtejszym dziełem i światem. Tym krzyżem pobłogosławić. Odpuścić winę. Niech tam ten polski

krzyż stanie nad popełnionymi zbrodniami. Tam jest ziemia ruska i lud ruski. Mamy tu Polacy ziemię polską i lud polski. Mamy wolność. O tym, żeby się tam z powrotem pchać, nawet nie należy marzyć, nie tylko myśleć".

Okazało się jednak, że krzyżyk był stanowczo za mały. Przyszło jeszcze popłacić rozmaite ciężkie i wcale nie tylko ukraińskie rachunki.

Lata okupacji spędziłem w Wilnie. Mieszkałem przy ulicy Święciańskiej, niedaleko przepięknego cmentarza na Rossie, gdzie jesienią 1929 roku uniwersytet nasz uroczyście złożył zwłoki Joachima Lelewela, gdzie w roku 1862 pochowano Syrokomlę. Chcąc dostać się tam ze śródmieścia trzeba było przechodzić obok gmachów poklasztornych przemienionych na koszary. Kwaterowały w nich oddziały litewskich quislingowców, używane do szczególnie plugawych akcji. W porze wieczornej — zwłaszcza jesienią 1941 roku — bywało tam Polakom mocno niebezpiecznie. Istniała na to rada: należało poczekać, aż napatoczą się idący w tę samą stronę żołnierze Wehrmachtu i ruszać tuż za nimi. Na terenie „Ostlandu" bowiem Niemcy potrafili występować „w obronie" ludności „aryjskiej" gnębionej przez pobratymców.

W mieszkaniu przy ulicy Święciańskiej pisywałem rozmaite artykuły i ulotki dla wydawnictw Armii Krajowej, głoszące, iż okupantem są Niemcy hitlerowskie, nie zaś głupi „kałakutas" (dosłownie indyk; w przenośni — litewski policjant). Takie rzeczy trzeba było propagować i tłumaczyć ludziom, codziennie poniewieranym za odzywanie się mową Adama Mickiewicza.

Wzdłuż ulicy Rossa ciągną się długie, białe i ślepe mury. Pewnego pięknego dnia letniego zauważyłem na ich tle parę żywych cieni wcale nie dawnej przeszłości. W kierunku cmentarza wolno szły dwie niemłode panie. Miały na sobie staroświeckie czarne kapelusze oraz tejże barwy wyrudziałe i wytarte kostiumy. W pustej uliczce dobrze było słychać ich nieprzerwany dyskurs. Ostentacyjnie, głośno, w tempie umyślnie chyba zwolnionym rozmawiały po francusku. — Jakże niedawno temu znajomość tego języka wyróżniała je od plebsu. Teraz zaś stanowiła puklerz ochronny. Zabezpieczała przed uderzeniem w twarz za odzywanie się po polsku (a w gruncie rzeczy za to, że zbyt długo miało u nas prawo obywatelstwa słowo: „cham").

Okupacja na Wileńszczyźnie nosiła charakter antypolski, antylitewski, antybiałoruski, antyżydowski — tych „anty" wymienić można dokładnie tyle, ile tam mieszkało narodowości. Okupantami byli Niemcy. Istniały jednak warunki pozwalające wykonywać niektóre niskie funkcje rękami miejscowej, autochtonicznej ludności.

Na wiosnę 1944 roku Niemcy zorganizowali specjalne oddziały litewskie, uzbrojone w karabiny holenderskie czy jakieś inne, w każdym razie takie, do których amunicja znajdowała się wyłącznie w świetnie strzeżonych magazynach Wehrmachtu. Siły te miały być użyte przeciwko partyzantom. Ponieważ jednak zadzierać z tymi ostatnimi było nadzwyczaj niebezpiecznie, wszystko skrupiło się na ludności polskiej (powstała wtedy piosenka: „Pod Graużyszkami coś błyska z dala, banda plugawców wioski podpala"). W samą Wielką Sobotę, wieczorem, quislingowcy urządzili na ulicach Wilna istny pogrom. Zastrzelono wielu ludzi — wśród nich, niechcący, kilku cywilnych Niemców. Represji za to nie było żadnych. Władze okupacyjne doszły bowiem do wniosku z ich punktu widzenia całkiem słusznego: lepiej stracić kilku swoich niż utrudnić rzecz dla siebie tak pożyteczną, jak wzajemne tępienie się Polaków i Litwinów. Od-

działy Armii Krajowej toczyły krwawe starcia z owym quislingowskim „wojskiem".

Tak na ziemiach opisywanych w *Potopie* — w samych nawet Trokach, gdzie ongi Longinus Podbipięta składał śluby czystości — w tragicznej i ślepej walce wszystkich przeciwko wszystkim dogasały polityczne tradycje Rzeczypospolitej Obojga (a raczej wielu) Narodów.

Lubiłem zachodzić do położonego nad Wilenką kościoła bernardynów. W jego obszernym wnętrzu, któremu pociemniałe od wieku klonowe drewno ołtarzy nadawało ton głęboki i mroczny, na prawo od wejścia widniała stara tablica nagrobna. Napis głosił, że położono ją w roku 1646... Mogłem pomylić się trochę w dacie — jakże jednak zacierają się szczegóły wspomnień! — w każdym razie ów prostokątny kawał marmuru pochodził z tamej strony „smugi cienia" historii. Wmurowano go, zanim jeszcze wojska koronne starły się z Kozakami u Żółtych Wód.

Gorzka to była satysfakcja intelektualna patrzeć na tę pamiątkę w dobie okupacji. A jednak uprawiałem to samoudręczenie i często przychodziłem spojrzeć na nią.

W roku 1646 państwo nasze jeszcze stało na nogach. Istniały podówczas sposoby działania przeciwko śmiertelnemu schorzeniu, czyli przeciwko wszechpotędze „królewiąt". W niedługi czas później, bo właściwie już w czasach Jana III, chyba tylko bezpośrednia interwencja sił nadprzyrodzonych mogła Polskę ocalić. Tymczasem zaś książka, którą kochaliśmy — powieść *Ogniem i mieczem* — sławi nie co innego, tylko proces niszczenia ostatniej deski ratunku. „—Rąb, tłucz, rwij, pal!..." — wrzeszczał Zagłoba nad Dnieprem. „...do piszczeli! na pohybel..." — Rzeczypospolitej.

W roku 1646 Zaporożcy śpiewali jeszcze na cześć *„Korola Polszy imienitoho"*. Oni właśnie, ten wspaniały zespół zbrojnych awanturników, stanowili ostatnią zorganizowaną, realną siłę mogącą zniszczyć „detyny w żelazo poubierane" i unowocześnić państwo. Na nich mógł się oprzeć i król, i lud chłopski w całej Polsce, i mieszczanin. Bitwa pod Beresteczkiem, której opis zamyka *Ogiem i mieczem*, z wojskowego punktu widzenia była istotnie wielkim zwycięstwem. Lecz pod względem politycznym może być porównana do układania się za życia w trumnie.

Nie był to żaden eskapizm zajmować się takimi rozmyślaniami podczas okupacji. Bo od wybuchu sprowokowanych przez „królewięta" wojen kozackich do tragedii rozbiorów i katastrofy Września wiodła droga najzupełniej prosta. Nie przesadziłem więc pisząc przed chwilą, iż zastarzałe uczucie dla powieści *Ogniem i mieczem* musiało się poddać próbom ciężkim. Jednakże — wyznaję — dochowałem książce wierności.

Na stare lata znowu przyszło mi osiedlić się w miejscu ongi zaludnionym przez Sienkiewiczowskie postacie. W Warszawie, na Mokotowie. Co dzień przejeżdżam lub przechodzę obok posesji, gdzie stał kiedyś dworek Ketlinga. Z wysokości okien autobusu można zajrzeć między rosnące tam drzewa. Podróżując na Plac Zamkowy i Stare Miasto sprawdzam czas i usiłuję go przeliczyć na proporcje XVII stulecia. Jak też długo Krysia z Ketlingiem musieli wędrować bryką, by znaleźć się przed Katedrą? Wozy nr 125 kursują dzisiaj po tej samej drodze. Wyprawa Zagłoby na Bielany i tryumfalny powrót w towarzystwie niedoszłego kameduły, brata Jerzego, trwały pewnie z pół dnia.

Skłamałbym twierdząc, że tylko ludzie z *Ogniem i mieczem*, język i świetna forma powieści pozostali żywi. Prawda, są w tej książce partie, których bez gwałtownego protestu czytać nie można. Myślę chociażby o dyskusjach Jeremiego Wiśniowieckiego z Chrystusem i o rozmowie Skrzetuskiego z Chmielnickim. Są tam jednak i rzeczy, o których może dzisiaj właśnie pora z uznaniem porozmawiać.

Warto przedtem powrócić do kwestii owego gwałtownego protestu. Kto wie, czy nie zdarza się on tylko u ludzi średniego i starszego pokolenia, u młodszych zaś występować będzie w tonacji coraz bardziej schyłkowej.

Daleki jestem od chęci urażania którejkolwiek z wysokich, na filozoficznej płaszczyźnie dysputujących stron. Proszę tylko o pozwolenie na dokonanie pewnego, luźnego zresztą, porównania.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa Ojcowie i Doktorowie Kościoła mogli podejrzliwie traktować *Iliadę*, upatrując w niej niebezpieczeństwo dla dusz skłonnych ulec czarowi odchodzącej epoki. Obawy te nie były słuszne, bo historia nigdy wstecz nie pływa. Całkiem zaś absurdalne stały się w epoce późniejszej, kiedy już nikt w Helladzie, Italii, Galii czy Germanii nie był skłonny wierzyć, iż bogowie olimpijscy, podkasawszy chlamidy, wdadzą się w spory i walki śmiertelnych. Z przekonań i poglądów ongi żywych pozostał sam piękny kształt tudzież materiał dla dociekań umysłu, ciekawego starej kultury.

Jeszcze niedawno temu mieli w społeczeństwie znaczenie tacy, którzy z wewnętrzną aprobatą czytali ten oto fragment charakterystyki Chmielnickiego: „Taką właśnie wolę w obliczu miał książę Jeremi Wiśniowiecki, ale co w księciu było przyrodzonym natury darem, właściwym wielkiemu urodzeniu i władzy, to mogło zastanowić w mężu nieznanego nazwiska, zabłąkanym w głuchym stepie.' Proszę mi dziś pokazać człowieka przy zdrowych zmysłach, który uwierzy, iż jakiekolwiek cnoty wynikają z „wielkiego urodzenia". Nie obawiam się zarzutu zapominania o pogrobowcach minionej doby. Mogą oni w spokoju dożywać dni swoich, na psychiczne ukojenie powtarzając sobie słowa, którymi wyrocznia delficka uraczyła niegdyś posłów Juliana Apostaty:

> Wieść do cesarza zanieście: już w gruzach wyniosła świątynia,
> Feb już nie władnie zagrodą, wawrzynem nie władnie proroczym,
> Źródło natchnienia już wyschło, kastalskie potoki umilkły.

Ogniem i mieczem stwarza najzupełniej fałszywy obraz wojen kozackich. Fałsz ten narysował jednak autor tak grubą krechą, że człowiek współczesny przyzwyczajony szukać w diagnozach historii społecznych uzasadnień, rozpozna go bez trudu. Naprawdę, to „niebezpieczeństwo" przypomina Kiplingowskiego białego okularnika, któremu z biegiem czasu zęby spróchniały. To nic, że w scenie rozmowy Zagłoby ze starym chłopem z Demianówki ten ostatni na krótko przychodzi do głosu. Jego słowa mają dla nas pełną wagę. Czas i dzieje są niezrównanymi korektorami każdej powieści historycznej. One właśnie stawiają prawidłowe akcenty.

Bolesław Prus pisał w znakomitej recenzji:

„Ażeby uniknąć nieporozumienia, dodam jeszcze, że za pomocą umiejętnie wybranych cytat z powieści można by dowodzić, że Sienkiewicz nie chował historycznego światła pod korzec, że dokładnie scharakteryzował wojnę kozac-

ką i jej bohaterów. Jeżeli jednak porównamy to, co ujął w obrazy, a co tylko we wzmianki, co oświetlił, a co przyćmił, co wysunął naprzód, a co zostawił na dalszych planach, okaże się, że podał on wizerunek dziejów, ale w głównych zarysach negatywny, wprost im przeciwny; tam, gdzie była wklęsłość, zrobił wypukłość i na odwrót."

Wszystko to święta prawda. Ale Prus pisał w roku 1884. Przeminęło siedemdziesiąt lat z okładem, nastała druga połowa XX wieku, i owe wklęsłości oraz wypukłości coraz bardziej tracą charakter ideologicznych zasadzek. Kto wie nawet, czy nie zwietrzała Prusowska niezwykle zwięzła charakterystyka *Ogniem i mieczem* jako powieści, w której „jest tylko historia zajścia Skrzetuskiego z Bohunem wymalowana na tle zanadto obszernym". Tajemnica polega na tym, iż rzeczy „przyćmione" przez Sienkiewicza i „zostawione na dalszych planach" z wielką siłą wystąpiły naprzód, dzięki czemu i charakter tła uległ zmianie. Staliśmy się po prostu wyczuleni na „wzmianki". Posiadły one intelektualną przewagę nad „obrazami" tej książki, które nadal zachwycają niezrównaną plastycznością.

Wacław Nałkowski odsądzał Sienkiewicza od czci i wiary, poniewierał nim w słowach pełnych pasji, żalu i goryczy. Walczył z pisarzem, który stał się, niestety, bożyszczem „szlachciców-geszefciarzy". Ale działo się to już dawno temu i Połanieccy utracili u nas wpływy.

Leży przede mną szary tom *Ogniem i mieczem,* pochodzący z jednego z kilku wydań PIW-u. Samuel Sandler zaopatrzył go w przedmowę *Dalekie i bliskie Sienkiewiczowskiej Trylogii.* Przeczytałem ją wczoraj i podkreśliłem słowa mówiące o nacjonalizmie autora książki. To jest istotny zarzut. Warto jednak przypatrzeć mu się nieco bliżej, zwłaszcza że kwestia stosunku Sienkiewicza-artysty do narodów sąsiadujących czy stykających się z Polakami zaliczać się zdaje do niezwykle zawiłych. Obawiam się przy tym, że jesteśmy skłonni — i to od dawna — prześlepiać to, czego Sienkiewicz nie tylko w cień nie chował, ale całkiem odwrotnie — wysuwał na plan najpierwszy.

Trylogia powstała w latach 1882—1888. W Niemczech rządził wtedy Bismarck, w Rosji zaś Aleksander III, a właściwie osławiony Konstanty Pobiedonoscew. U naszego zachodniego sąsiada nacjonalizm miał się jeszcze „piękniej" rozwinąć, u wschodniego osiągnął już same szczyty. Rozjuszone europejskie szowinizmy w najlepsze przygotowywały wybuch pierwszej wojny światowej. W tych okolicznościach powieść o polskich bojach nad Dnieprem musiała być uznana za przejaw nacjonalistycznych dążeń Warszawy do zwierzchnictwa nad Kijowem. Niewątpliwie była też wyrazem zamierzeń tego rodzaju. Podczas dwudziestolecia niewiele się zmieniło. Utwór Sienkiewicza uskrzydlał fantazję tych, którzy marzyli o „intromitowaniu pudla Gagi do pałacu na Ukrainie". Dawały się słyszeć głosy, że mali ludzie podpisywali pokój ryski, który nie przyznał Polsce Kamieńca Podolskiego.

W tym oto sensie słuszne są zarzuty dotyczące nacjonalizmu *Trylogii.* Ale, jak mi się zdaje, tylko w tym. Samuel Sandler pisze jednak, że w *Ogniem i mieczem:* „dominuje wrogość do ludu ukraińskiego, szlachecka pogarda dla »czerni«, najczęściej widzianej w oparach wódki, w rozbestwieniu i ogarniętej paniką, tchórzliwym strachem przed rycerzami-obrońcami szlacheckiej Rzeczypospolitej". Prus pisał: „Nie widzę potrzeby wspominać o sprawiedliwości autora. Jest ona tylko pozorną i mnie samego złudziła, gdym czytał powieść

z numeru na numer. Naprawdę Sienkiewicz jest tylko grzecznym dla kilku figur kozackich. Masę traktuje jak stado wściekłych psów, którym miejsce duszy zastępuje cuchnąca para wódki".

Nie zamierzam wcale wszystkiemu w czambuł przeczyć zwłaszcza słowom o „czerni". Coś tu jednak w dopiero co przytoczonych tezach zostało grubo przeczernione. Ośmielę się powiedzieć więcej: właśnie w dziedzinie stosunku Sienkiewicza do postaci powieściowych nie będących Polakami należy szukać cennych zalet *Trylogii*, a szczególnie jej pierwszej części.

Uważnego czytelnika *Ogniem i mieczem* zastanowić musi okoliczność naprawdę godna uwagi. W powieści dominują i nadają jej ton opisy rozmaitych starć bitewnych. Autorowi przysługiwała pełna swoboda wyboru. I oto widzimy, że Sienkiewicz wcale nie pomija batalii dla oręża polskiego niepomyślnych, nawet całkiem kompromitujących. A mógł przecież postąpić inaczej. Nikt nie oskarża Lwa Tołstoja o wyeksponowanie pełnych chwały walk korpusu Bagrationa, o stuszowanie klęski pod Austerlitz i załatwienie sprawy pogromu pod Frydlandem przy pomocy jednego zdania (uwaga ta nie oznacza wcale, iż zamierzam w jakikolwiek sposób poniżać *Wojnę i pokój*, jedną z największych powieści świata). Autorowi wolno wybierać i kształtować materiał, jak uważa za słuszne.

Dokonajmy krótkiego przeglądu Sienkiewiczowskich obrazów, umieszczonych na początku książki, a więc wprowadzających:

Starcie na statkach, opodal Kudaku: odznaczyli się wyłącznie Ukraińcy i Niemcy, bo przecież w działaniu nie uczestniczył ani jeden Polak. O polskość może tu być podejrzany tylko Krzeczowski, któremu autor kazał odegrać rolę wybitnie ujemną.

Żółte Wody. Mamy, owszem, opis ataku husarii tudzież — już po klęsce — krzepiącą serca orację Czarnieckiego. Ale nad opisem tej przegranej przez Polaków bitwy dominuje taki oto ton:

„Co chwila do okopów kozackich wracały z bitwy gromady wojowników rannych, pokrwawionych, pokrytych błotem, zziajanych, upadających ze zmęczenia. Ale wracali ze śpiewaniem na ustach. Z twarzy ich bił żar bitwy i pewność zwycięstwa. Mdlejąc wołali jeszcze: »Na pohybel!« Załoga zostawiona w obozie rwała się do boju."

Jakoś w tym nie można się dopatrzyć ani łaskawości dla „kilku figur kozackich", ani też „paniki, tchórzliwego strachu".

A teraz arcydzieło Sienkiewiczowskie, relacja o batalii pod Krutą Bałką, podczas której Skrzetuski siedział w Korsuniu pod strażą. Kulminacyjny punkt opisu wszyscy chyba pamiętamy:

„Kopyta końskie zaszczękały znów po pustych ulicach. Na rynek wleciał jak piorun, na nieosiodłanym koniu Kozak bez czapki, w jednej koszuli, z twarzą rozciętą mieczem i buchającą krwią. Wleciał, konia osadził, ręce rozkrzyżował i chwytając oddech otwartymi usty krzyczać począł:

— Chmiel bije Lachiw! Pobyty jasno welmożny pany, hetmany i pułkowniki, łycari i kawalery!

To rzekłszy zachwiał się i na ziemię runął. Mirhorodcy skoczyli mu na pomoc."

Ktoś mógłby zauważyć, iż nieco przedtem autor mówił o Kozakach i Tatarach, którzy — ogarnięci paniką — uciekali przez Korsuń gdzie oczy poniosą.

Ależ na tym właśnie polega tu chwyt literacki mający uplastycznić wielkość kozackiego zwycięstwa: hulający w mieście maruderzy, zbiegowie, duma i naiwne marzenia Skrzetuskiego — i nagle ranny goniec, jeńcy, zdobyte sztandary, a na zakończenie świetnie opisany wjazd Chmielnickiego do miasta.

Jeśli zresztą chodzi o obrazy tchórzostwa i masowej paniki, to przyznać wypadnie, że Sienkiewicz nie cofnął się przed zadaniem dla Polaka naprawdę ciężkim. Nie pominął mianowicie „bitwy" piławieckiej (hańby plugawieckiej, jak mawiano już w XVII wieku), podczas której całe wojsko koronne rzuciło się do ucieczki i to właściwie zupełnie bez powodu. Nie jesteśmy jej bezpośrednimi świadkami, opowiada nam o niej porucznik Wierszułł. Ale jak opowiada! Wszystkie lęki „czerni", wszystkie ponure wycia *„pomyłujte pany!"* to istne komplementy w porównaniu do tej relacji.

Metoda wysławiania męstwa nieprzyjaciół wywodzi się bezpośrednio od Homera i przynosi niezawodne rezultaty. Z wielkim powodzeniem zastosował ją Mickiewicz w scenie bitwy o Soplicowo. U Sienkiewicza wyraźnie pobrzmiewa jednak inny jeszcze, głęboki i bardzo oryginalny ton. Najlepiej słychać go w tych partiach książki, które zapoczątkowują właściwą akcję polityczną. Cytat będzie tym razem długi, ale niczego tu skracać nie można:

„Przebywszy bazawłucki las pułki wypłynęły na stepy. Dzień był pogodny. Stropu nieba nie plamiła żadna chmurka. Lekki wiatr podmuchiwał z północy ku morzu, słońce grało na spisach i kwiatach pustyni. Roztoczyły się przed wojskiem Dzikie Pola jako morze bez końca, a na ten widok radość ogarnęła kozacze serca. Wielka malinowa chorągiew z Archaniołem zniżyła się po kilkakroć, witając step rodzinny, a za jej przykładem pochyliły się wszystkie buńczuki i pułkowe znamiona. Jeden okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

Pułki rozwinęły się swobodnie. Dowbysze i teorbaniści wyjechali na czoło wojska: huknęły kotły, zadźwięczały litaury i teorbany, a do wtóru im pieśń przez tysiące głosów śpiewana wstrząsnęła powietrzem i stepem:

Hej wy stepy, wy ridnyje,
Krasnym cwitom pisanyje,
Jako more szyrokije!

Teorbaniści puścili cugle i przechyleni w tył na kulbakach, z oczyma utkwionymi w niebo, uderzali o struny teorbanów; litaurzyści wyciągnąwszy ręce nad głowami bili w swoje miedziane kręgi, dowbysze grzmieli w kotły, a te wszystkie odgłosy wraz z monotonnymi słowami pieśni i przeraźliwym, niesfernym świstem piszczałek tatarskich zlały się w jakąś nutę ogromną, dziką a smętną jak sama pustynia. Upojenie ogarnęło wszystkie pułki; głowy chwiały się w takt pieśni i wreszcie zdawało się, że cały step rozśpiewany kołysze się razem z ludźmi, końmi i chorągwiami.

Spłoszone stada ptactwa zerwały się ze stepu i leciały przed wojskiem jak drugie wojsko powietrzne.

Chwilami pieśń i muzyka milkły, a wówczas słychać było łopot chorągwi, tętent i parskanie koni i skrzypienie wozów taborowych podobne do krzyku łabędzi lub żurawi.

Na czele, pod wielką chorągwią malinową i pod buńczukiem, jechał Chmielnicki przybrany w czerwień, na białym koniu, z pozłocistą buławą w ręku."

Warto by dokonać małego doświadczenia. Trzeba mianowicie dać ten fragment do przeczytania komuś, kto *Ogniem i mieczem* nie zna i niczego o tej powieści nie wie. Niewątpliwie powie nam, że jest to opis pochodu armii, która cieszy się pełnym moralnym poparciem autora książki. I zadziwi go bardzo wiadomość, że w ten sposób pokazał Sienkiewicz wymarsz nieprzyjaciół.

Nie będzie zaś na pewno omyłki przy czytaniu poniższych urywków *Potopu:*

„Szła więc naprzód brygada gwardii królewskiej; wiódł ją Benedykt Horn, groźny żołnierz, którego imię ze strachem w Niemczech powtarzano; lud doborny, rosły, ubrany w grzebieniaste hełmy z czółnami zachodzącymi na uszy, w żółte skórzane kaftany, zbrojny w rapiery i muszkiety, zimny i uparty w boju, i na każde skinienie wodza gotowy...

Dwie brygady smalandzkie wiódł Irwin zwany Bezrękim, bo był prawicę w swoim czasie, broniąc chorągwi, utracił — za to w lewej miał taką siłę, że jednym zamachem odcinał łeb konia; był to żołnierz ponury, kochający tylko wojnę i rozlew krwi, surowy i dla siebie, i dla żołnierzy. Gdy inni „kapitanowie" wyrobili się w ustawicznej wojnie na ludzi rzemiosła wojnę dla wojny kochających, on pozostał zawsze tym samym fanatykiem i mordował ludzi śpiewając psalmy pobożne...

Siedemdziesiąt dwa dział wytłaczało bruzdy po wilgotnych łęgach, a wszystkich żołnierzy było 17 tysięcy, groźnych łupieżników całych Niemiec, a w boju tak sprawnych, że, zwłaszcza z piechotą, zaledwie królewskie francuskie gwardie mogły się porównać. Za pułkami ciągnęły wozy i namioty, a pułki szły w szyku, w każdej chwili do boju gotowe"...

Nie może być wątpliwości: jest to wizerunek wojska, którego wartość autor cenił, lecz do którego nie czuł ani odrobiny serca. Bo też — przyznajmy — problematyka *Potopu* jest bez porównania mniej skomplikowana od spraw *Ogniem i mieczem.*

Nie podaję się za znawcę całej polskiej batalistyki, ale w tym, co kiedykolwiek czytałem, nie przypominam sobie stron poświęconych wojsku rdzennie polskiemu, a równie pięknych jak dopiero co przytoczony opis pochodu Kozaków. I ten ton, świadczący o czymś znacznie głębszym od zwykłej sympatii, utrzymuje się w całej książce. Czuć go w opisach przyrody, w sposobie kreślenia postaci — nawet najgroźniejszych, jak Burłaj — w rozmowach, w rozłożeniu akcentów i w komentarzach odautorskich. Ostatnie, pełne uczucia wiersze poświęcone są Bohunowi oraz „krwi pobratymczej".

Są w *Ogniem i mieczem* fragmenty i sceny niemal bez reszty wyjaśniające tę zagadkę. Oto jedna z nich, przedstawiająca rozmowę Podbipięty ze Skrzetuskim:

„— A mówili w Czechrynie, że rebelia kozacka zagraża?

— Znać, że waści mocno ślub dolega. Co do rebelii wiedz-że, iż jej przed wiosną nie będzie...

— Tak i trzeba czekać nawet na Kozaków?

— Zważ waćpan i to, że choćbyś w czasie rebelii swoje trzy głowy znalazł, to nie wiadomo, czy od ślubu wolnym będziesz, boć co innego Krzyżacy lub Turcy, a co innego swoi — jakoby rzec, dzieci *eiusdem matris.*

— O wielki Boże! O, toś mi waćpan sęka w głowę zadał! Ot, desperacja! Niechże mnie ksiądz Muchowiecki te wątpliwości rozstrzygnie, bo inaczej nie będę miał i chwili spokoju.

— Pewnie, że rozstrzygnie, gdyż jest człek uczony i pobożny, ale pewnie nie powie nic innego. *Bellum civile* to wojna braci."

Posłuchajmy teraz, co razu pewnego mówił chorąży Zaćwilichowski, postać szczególnie przez Sienkiewicza adorowana, będąca niekiedy *porte parole* autora:

„Wspólne winy mają się we krwi obmywać, aleć nie będzie to krew odkupienia, boć tu i brat brata będzie mordował. Kto na Niżu? Rusini. A kto w wojsku księcia Jaremy? Kto w pocztach pańskich? Rusini. A małoż ich w obozie koronnym? A j a s a m k t o t a k i?" (podkreślenie moje — P.J.)

Zaraz potem następuje passus wprost niezwykle dla Sienkiewicza charakterystyczny:

„Wyszli. Pan Skrzetuski poszedł do kościoła, pan Zaćwilichowski do cerkwi, a pan Zagłoba do Dopuła w Dzwoniecki Kąt."

Kolejność wymienienia zgodna z protokołem dyplomatycznym, obowiązującym w sferze autora w epoce powstawania powieści. Nie czuć jednak wywyższenia lub potępienia którejkolwiek z działających osób. Ale to zalicza się już raczej do innej cechy twórczości Henryka Sienkiewicza, o której teraz nie czas mówić.

Scena rozmowy Skrzetuskiego z Chmielnickim na Siczy zawiera sam niemal fałsz. Namiestnik ma tylko wtedy rację, kiedy tak mówi o kresowych „królewiętach":

„I któż oni są? czy tu z Niemiec przyszli albo od Turek? Nie krew-że to z krwi, nie kość z kości waszej? Nie wasza-że to szlachta, nie wasi książęta?"

Prawda najszczersza! Znakomita większość rodzin magnackich, które trzęsły krajem, wcale nie była polskiego pochodzenia. Latyfundia rosły przede wszystkim na ziemiach litewsko-ruskich, nie zaś w rdzennej Polsce, gdzie i miejsca po temu brakło. Nieszczęście Polski na tym właśnie polegało, że unia z Litwą stanowiła znakomitą pożywkę dla tego złośliwego nowotworu. W książce Władysława Konopczyńskiego *Liberum veto* znajdujemy bardzo ciekawą statystykę, wyjaśniającą, skąd pochodzili posłowie, którzy w dawnej Rzeczypospolitej zrywali sejmy. Ogółem było ich siedemdziesięciu kilku. Województwa ukrainne (czyli kijowskie, czerniechowskie, bełzkie, Bracławszczyzna, Wołyń, Podole, ziemia halicka) dostarczyły 24 szkodników. Reszta ówczesnej Małopolski — 9, Wielkopolska — 12, Litwa — 28. Szlachta mazowiecka uchodziła w opinii późniejszej za żywioł, szczególnie anarchiczny. Tymczasem nigdy nie zerwał sejmu żaden poseł z ziemi warszawskiej, rożańskiej, liwskiej, łomżyńskiej, zakroczymskiej i wyszogrodzkiej. Wilno wydało trzech zrywaczy, Upita aż czterech.

Brulion tego esseyu był już gotów, kiedy przyszło mi wyruszyć w kilkudniową podróż po Kielecczyźnie. Komitet Nauk Technicznych PAN urządził wyprawę mającą na celu zwiedzanie zabytków starych przemysłów. Zajrzeliśmy i do Szydłowca.

Jest tam zabytkowy ratusz, całkowicie odbudowany z wojennego zniszczenia, oraz kościół, piękny i ciekawy, ale od wewnątrz okrutnie oszpecony szkaradnymi malowidłami. Na skraju miasteczka wznosi się jeszcze jedna pamiątka — renesansowy zamek Szydłowieckich, oblany wokół wodami fosy i stawu. Przed wojną stanowił własność dwóch obskurnych kupców miejscowych, którzy urządzili w nim składy. Podczas okupacji zniszczał jeszcze potężniej. No, nie

można powiedzieć, że w tej chwili niczego mu już nie brakuje. W każdym razie dach świeci świeżym pokryciem, balkony, schody i loggie zewnętrzne poczuły odnowicielską dłoń murarza.

Ród Szydłowieckich wygasł wcześnie, gniazdo jego przeszło na Radziwiłłów. I odtąd wspaniała siedziba rdzennie polskich wielmożów stała się skromnym i podrzędnym folwarkiem Radziwiłłowskiego państwa, które miało swe stolice w Nieświeżu, Birżach, Kiejdanach, Ołyce... Dziedzice rzadko tu zaglądali, czasami zjechała na dożywocie jakaś wdowa. Dochód z włości szydłowieckich, położonych na połowie drogi z Warszawy do Krakowa, szedł na podtrzymanie świetności wschodniej dynastii magnackiej, której polityka wcale nie była identyczna z jakąkolwiek polską racją stanu, a bardzo często popadała z nią w jaskrawą sprzeczność.

Dzieje polskiej ekspansji na wschód przynosiły nieoczekiwane rezultaty. Można się nawet zastanawiać, kto tu właściwie popadł w zależność i został zdegradowany — czy aby nie ziemie położone nad samą Wisłą i na zachód od niej? Musiało upłynąć mnóstwo czasu, zanim logika odzyskała swoje prawa i zanim zrozumiano, że Kijów, Smoleńsk i Ryga nie są dla Polski najważniejsze.

Kiedy Henryk Sienkiewicz pisał *Trylogię*, niesłuszne rozumowanie uchodziło za cnotę i dowód patriotyzmu.

Mają rację krytycy, którzy pomawiają *Ogniem i mieczem* o tendencje nacjonalistyczne. Trzeba jednak stwierdzić, że jest to nacjonalizm tego typu, od którego nie byli wolni nawet niektórzy ludzie w obozie Czerwonych w roku 1863. *De facto* zmierzali oni, jak wiemy, do utrzymania Kijowa w politycznej zależności od Warszawy. Ten kierunek myślenia i postępowania przynosił Polsce same niepowodzenia a nawet klęski. Nie myślę temu przeczyć. Jednakże...

Ogniem i mieczem ukazało się w roku 1882. W tym samym czasie zmarł hrabia Józef Artur de Gobineau, autor rozmaitych powieści oraz dzieła *Essai sur l'inegalité des races humaines*. Jego myślowy spadek był więc już gotów i zamknięty. W siedemnaście lat później miał się odezwać następny prorok, Houston Stewart Chamberlain, Anglik, który stał się Niemcem z wyboru. Jego dwutomowy utwór *Die Grundlagen des neunzehnten Jahrhunderts* był pierwszą ze świętych ksiąg hitleryzmu. Rosja Aleksandra III, państwo liczące około 40 procent mniejszości narodowych, całkiem oficjalnie uznawała Rosjan za coś w rodzaju narodu wybranego, który jest jakościowo lepszy od innych nacji, zamieszkujących cesarstwo. W roku 1895 zaczyna wychodzić we Lwowie redagowany przez Dmowskiego i Popławskiego *„Przegląd Wszechpolski"*, kiełkuje endecja. Płyną więc przez Europę prądy całkiem wyraźne.

Powieść *Ogniem i mieczem*, napisana w tej epoce, przedstawia polskie wojny na Ukrainie. Autor jej wysławia tych polityków i działaczy, którzy nie mieli historycznej racji. To prawda. Ale w książce jego nawet ze świecą i w biały dzień nie znajdziecie ani cienia r a s i z m u, czyli najgorszej, najgroźniejszej, najbardziej nowoczesnej odmiany nacjonalizmu. Tej, która przejawiała naówczas tendencję zwyżkową, miała wkrótce ustroić Europę w różnokolorowe koszule i doprowadzić do tępienia całych narodów. Która i za naszych dni stanowi problem nadzwyczaj niebezpieczny.

Trzeba to stwierdzić wyraźnie, ponieważ człowiek współczesny nie potrafi już prawie wyobrazić sobie nacjonalizmu bez rasizmu, więc uzasadnione i słusz-

ne zarzuty pod adresem powieści Sienkiewicza gotów zrozumieć w sposób całkiem niewłaściwy.

Ogniem i mieczem uskrzydlało fantazję głupców, którzy marzyli o posadzie wojewody kijowskiego. Jednakże nie z ducha tej powieści czerpał natchnienie Sławoj Składkowski, kiedy wydawał polecenie burzenia cerkwi prawosławnych w Chełmszczyźnie. Nie byli jej spadkobiercami ci, którzy odmawiali Ukraińcom prawa do uważania się za odrębny naród i śnili o wprowadzeniu do Polski jakiejś mutacji ustaw norymberskich.

Trzeba bardzo uważać przy ocenie ideowych wartości tej książki. Zwłaszcza że to, co Sienkiewicz odczuwał i przedstawiał niesłusznie, za naszych czasów coraz bardziej upodabnia się już tylko do barwnego fresku, obrazującego spór o zbroję Achillesa. Niewielu ludzi przejmie się wiadomością, iż krew „żydowska, podlana miodem albo-li winem warzy się; chłopska, jako leniwa i ciężka, idzie na spód, a jeno szlachecka animuje się i wyborny tworzy likwor, który ciału daje męstwo i fantazję". Całkiem podobną tendencję zniżkową przejawiają żywe ongi przekonania o „misji dziejowej" Polski na wschodzie, znajdującej swój szczytowy wyraz w okupacji Kremla w stuleciu XVII. Dzisiaj *Ogniem i mieczem* czytają ludzie, którzy nareszcie dokonali odkrycia historyczno-geograficznego, co od dawna czekało na swego Kolumba: zobaczyli rzekę Odrę. Ujrzeli ją oczyma gospodarzy i polityków, nie zaś turystów. To całkowicie zmienia warunki odbioru omawianego dzieła sztuki.

Zgrzeszyłbym ciężko poprzestając na wyliczeniu tego, czym nam *Ogniem i mieczem* przestało „zagrażać". Należy jeszcze poszukać w nim wartości ideowo pozytywnych. A więc nie tylko świetnej formy i kunsztu wielkiego artysty.

Zastanawiamy się często nad tym, jakie wpływy i bodźce oddziaływały na umysł autora *Trylogii*. Słusznie czynimy. Powinniśmy nawet o wiele rozszerzyć zakres zjawisk branych przy tym dochodzeniu pod uwagę.

Henryk Sienkiewicz, urodzony na Podlasiu Polak z rodziny tatarskiego pochodzenia, był niewątpliwie dziedzicem całej polskiej tradycji historycznej. Nie zajmujmy się na razie wartościowaniem jej poszczególnych wątków. Stwierdźmy f a k t nie podlegający dyskusji: tradycję tę od kilkuset lat kształtowały warunki wynikłe z unii polsko-litewskiej. Nie będzie od rzeczy przypomnieć, że rachunki rozpoczęte przy jej zawieraniu w stuleciu XIV zamknięte zostały dopiero w roku 1945. Pięćset kilkadziesiąt lat trwał ten proces. Nasze pokolenie było weń uwikłane, cóż dopiero tamto, sienkiewiczowskie, zrodzone w czterdziestych latach ubiegłego wieku!

Nie jestem skłonny zbyt różowo patrzeć na dzieje i skutki tej unii. Ona sprawiła, że Polska, która w dobie piastowskiej nie miała i nie mogła mieć absolutnie żadnych sporów z Moskwą, wzięła na kark straszliwy ciężar nieustannych wojen z tym państwem, którego pokonanie w ogóle nie leżało ani w naszych, ani w niczyich możliwościach. W chwili połączenia się z Polską Litwa była już w defensywie wobec Moskwy.

Bądźmy szczerzy, wiele pasywów obciąża polski rachunek. Na początku wspominałem o tym, co się działo w Wilnie podczas okupacji. Wyczyny szaulisów oraz innych działaczy spod znaku Smetony podobają mi się jak najmniej, ale rozumiem przyczyny złego. Nie tylko o to chodzi, że słowa „Polak" i „pan" były w tamtych stronach przez stulecia synonimami. Trudno zaprzeczyć, że unia na bardzo długi czas zahamowała rozwój narodu litewskiego i jego kul-

tury. Litewskość żyła w masach pańszczyźnianego chłopstwa, wszystko, co stało społecznie wyżej, odpadło na rzecz polszczyzny. Przed wojną niektórzy w Kownie kwestionowali polskość Mickiewicza. Jałowe zajęcie! Joseph Conrad był rdzennym Polakiem, a przecież dzieło jego w całości należy do literatury angielskiej.

Wiele ciężkich i słusznych rzeczy napisano u nas ostatnio o roli Polski za Bugiem. Należy jednak odróżniać fałszywy kierunek polityki zagranicznej, egoizm i błędy klas panujących od pracy narodu, który musi żyć i działać w takich warunkach, jakie mu narzucą ci, co sprawują władzę. I jeszcze jedno: każdy naród ma niezaprzeczalne prawo do dumy z wartości, które stworzył i dał ogólnoludzkiej kulturze. — Uniwersytet wileński jest dziś najstarszą wyższą uczelnią na terenie Związku Radzieckiego. Założyli go przecież Polacy. Jego rektorami byli Skarga i Wujek, wykładali w nim Sarbiewski, obaj Śniadeccy i Joachim Lelewel, studiowali tam Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. Tych wspomnień wstydzić się nie potrzebujemy. Przemilczać ich też nie warto.

Unia niezmiernie skomplikowała naszą historię i — kulturę. Do jej skutków zaliczyć wypadnie i taki fenomen, że największy polski i po polsku piszący poeta nazywał Litwę swą ojczyzną, a pierwiastki ludowe w jego dziełach wszystkie w czambuł są białoruskie. Wątpię, czy zjawisko to znajdzie jaki odpowiednik w dziejach literatury światowej. A nie będzie chyba sporu o to, że wspomniany fakt, raczej nawet zawiły splot faktów kulturalnych, zaliczyć trzeba do najbardziej dodatnich i szlachetnych.

W okolicznościach, jakie stwarzała dawna Rzeczpospolita Obojga Narodów, powstawały obyczaje, które weszły w krew pokoleń. Niechże je scharakteryzuje jeszcze jedno wspomnienie z lat młodzieńczych.

Było to w Wilnie, wczesną wiosną 1930 roku, w kwaterze Akademickiego Klubu Włóczęgów, bezstatutowej organizacji o charakterze dyskusyjno-turystycznym. Należał do niej najrozmaitszy element. Przeważali chyba liberałowie, nie brakło późniejszych (nawet wybitnych) komunistów, było i paru endeków. Do członków Klubu zaliczał się też poeta Teodor Bujnicki. Miał on jeszcze przed sobą daleką drogę do komunizmu. Ówczesne jego poglądy można określić jako postępowo-liberalne. Trzeba jeszcze wspomnieć, że Bujnicki, którego cechowała wielka, może nawet nadmierna i niebezpieczna łatwość pisania, daru wymowy nie posiadał. Nieraz długo trwało, zanim zdanie sklecił.

Toczyła się dyskusja o miejscowej gwarze polskiej i wpływie języka białoruskiego na nią. Któryś z endeków z akcentem pogardy rzucił słowo: naleciałości.

— Jesteś tak głupi jak tylko endek może być! — wrzasnął Bujnicki nadpodziw sprawnie. — Naleciałości! Język białoruski! W Wilnie! To u niego naleciałości! — wykrzykiwał, podskakując na stołku.

Śmieszne zajście dobrze charakteryzuje zjawisko bardzo poważne. Żaden Polak ze wschodu, wierny dobrej tradycji miejscowej, nie zmieści w swej głowie przekonania, że język białoruski, ukraiński czy nawet całkiem niezrozumiały litewski to coś obcego i jakościowo gorszego od polszczyzny. Postawa tego rodzaju była bardzo poważną przeszkodą dla endeckiej propagandy, która — nie warto ukrywać — dokonywała w niej wyłomów.

Wspomniane poglądy miały zresztą znaczenie szersze. Kształtowały one ludzi przyzwyczajonych do myśli, że inny język, obyczaj i wiara wcale nie są

synonimami wrogości. Sądy owe znajdowały realny i sprawdzalny wykładnik w sposobie postępowania.

Przyniosło ono korzyść i Polsce Ludowej. Wiadomo powszechnie, że polska ludność w Warmii i na Mazurach w roku 1945 i później doznawała wielu krzywd. Rzuciły się na nią rozmaite męty szabrownicze. Nie brakowało i takich, którzy nie chcieli źle czynić, lecz ani umysłowo, ani moralnie nie dorastali do tamtejszej skomplikowanej problematyki. Brakło im rzeczy zasadniczej: przyzwyczajenia do tolerancji narodowej. Wiadomo również, iż repatrianci ze wschodu byli tymi, którzy bardzo często umieli się właściwie zachować nie tylko wobec Mazurów, lecz także wobec rodowitych Niemców.

Przypominam sobie pewnego człowieczka z Giżycka, który powiedział mi w tonie filozoficznej perswazji:

— Pan, a ktoż jego tut rozbierze, kto Mazur, a kto Niemiec?

Nie wyjaśniał już rzeczy oczywistej, że i jeden, i drugi jest człowiekiem. Przyjmował to przekonanie za podstawę swego światopoglądu.

Daleki jestem od zamiaru gloryfikowania jednej kategorii Polaków i wynoszenia jej ponad inne. Ci ze wschodu mają też liczne mankamenty. Chodzi mi tylko o to, że historia — najszerzej rozumiana — która kształtuje umysłowości ludzkie, tam na wschodzie przez setki lat kazała współżyć ze sobą przedstawicielom najrozmaitszych narodowości (na Wileńszczyźnie na przykład było ich siedem, a jeśli wziąć pod uwagę i nielicznych Niemców — osiem). W dawnej Rzeczypospolitej aż po rok 1697 obowiązywały dwa języki urzędowe: polski i ruski. Pamiętamy, że Krzeczowski marzył o przywileju królewskim, zaczynającym się od słów: *„Bił nam czołom i prosył, szczob jeho podaryty, a my, pomniawszy jeho usługi, dajem..."*

Sens i dalszy żywot tych tradycji poważnie zakwestionował wiek XX, w którym uczucia narodowe uległy głębokiej demokratyzacji, obejmując najszersze masy ludowe. Białorusini, Ukraińcy i Litwini bardzo niechętnie patrzyli na „sielankę", która stwarzała przywileje dla Polaków i polskiej kultury. Musieliśmy zrezygnować z pozycji skazanych przez historię i dokonaliśmy tego. Ale to bynajmniej nie oznacza, że niczego dobrego i żywego nie da się ocalić z tamtej starzyzny. Wydaje się nawet, że szczególnie wiele wartości utrwaliła *Trylogia*, zwłaszcza zaś *Ogniem i mieczem*. Dużo w nim krwi, trupów, ran i okrucieństw. Ale szowinizmu, nienawiści z pobudek narodowych czy „rasowych" nie ma.

Ze Szwedami z *Potopu* sprawa jest jasna. Przedstawieni są jako wrogowie tylko dlatego, że najechali Polskę. Niemcy? Komplementów pod adresem militarnych cnót germańskich jest aż nadmiar, jak na gust czytelnika, który pamięta obie wojny światowe.

Najwięcej niewątpliwie dostało się od Sienkiewicza Tatarom i Turkom. *Pan Wołodyjowski* sławi nawet polityczną koncepcję „przedmurza chrześcijaństwa". Oto przykład charakterystycznej dla jego autora metody ukazywania „pohańców":

„...Lipkowie pozsiadali z koni i rozciągnąwszy na ziemi runa owcze, jęli modlić się na klęczkach, z twarzami zwróconymi ku wschodowi. Głosy ich to podnosiły się, to zniżały; chwilami: »Ałła! Ałła!« brzmiało przez całe szeregi, to znów cichli, wstawali i trzymając dłonie odwrócone do góry tuż przy twarzach, trwali w skupionej modlitwie, powtarzając tylko od czasu do czasu

sennie i jakby z westchnieniem: »Łochiczmen, ach łochiczmen!« Promienie słońca padały na nich coraz czerwieńsze, wstał powiew od zachodu, a z nim razem szum wielki w drzewach, jakby i one chciały uczcić przed nocą tego, który na ciemne niebo wytacza tysiące migotliwych gwiazd.

Basia przypatrywała się z ciekawością wielką modlitwie Lipków, ale serce ściskało się jej na myśl, że tylu oto dobrych pachołków po życiu pełnym mozołów dostanie się wraz ze śmiercią w ogień piekielny, a to tym bardziej że stykając się codziennie z ludźmi prawdziwą wiarę wyznającymi trwają jednak dobrowolnie w zatwardziałości.

Pan Zagłoba, więcej z tymi rzeczami obyty, wzruszał tylko ramionami na pobożne Basine uwagi, mówiąc:

— I tak by tych kozich synów do nieba nie puszczono, aby insektów plugawych ze sobą nie naprowadzili."

Bardzo niełądnie odzywa się tu Henryk Sienkiewicz o własnych przodkach. Bardzo! Czy to jednak nie pozór tylko? W wypowiedzi artysty barwa i ton obrazu potrafią przecież odgrywać rolę ważniejszą od wzniosłych tyrad postaci historycznych i oficjalnych. Pamiętamy koturnowe przemówienia Sobieskiego. A jednak przytoczony fragment wydaje się istotniejszy od nich. Odsłania on prawdziwe oblicze autora, dyskretnie podkpiwającego z samych ideologicznych podstaw koncepcji „przedmurza".

Pomimo licznych opisów okrucieństw tatarskich brzmi w *Trylogii* wyraźna nuta sympatii dla muzułmańskiego świata.

„Jakże mnie nad nim nosa zadzierać, gdy ja z Kułak-murzą pobratym, z Bakczy-agą pobratym, z Sukymanem pobratym, a ci wszyscy nie wstydziliby się owiec u Tuhaj-bejowicza pasać!" — mówił młody Nowowiejski.

Ani w *Ogniem i mieczem,* ani w całej *Trylogii* nie ma tonu, który znakomicie wydobył Prus w *Faraonie:*

„Na widok tych cudzoziemców, silnych, niezgrabnych, śmiejących się ordynaryjnie, cuchnących łojem i gadających nieznanym a twardym językiem, w księciu zagotowało się. Jak lew, kiedy zobaczy obce zwierzę, choć niegłodny, zabiera się jednak do skoku, tak Ramzes, chociaż ludzie ci nic mu nie zawinili, uczuł do nich straszną nienawiść. Drażnił go ich język, ich ubiory, ich zapach, nawet ich konie. Krew uderzyła mu do głowy i sięgnął po miecz, aby wpaść na tych ludzi i wymordować ich i ich zwierzęta. Ale ocknął się.

»Set rzucił na mnie urok!...« — pomyślał.

W tej chwili przeszedł koło niego nagi Egipcjanin w czepcu na głowie i opasce dokoła bioder. Książę czuł, że człowiek ten jest mu miły, nawet drogi w tej chwili, bo to Egipcjanin. Wydobył z worka złoty pierścionek wartości kilkunastu drachm i dał go niewolnikowi.

— Słuchaj — spytał — co to za ludzie?

— Asyryjczycy — szepnął Egipcjanin i nienawiść zabłysła mu w oczach.

— Asyryjczycy? — powtórzył książę. — Więc to są Asyryjczycy?..."

Nieco później Ramzes zwierzał się przyjacielowi: „Teraz dopiero wiem, co jest nienawiść, kiedym zobaczył i usłyszał Asyryjczyków; teraz rozumiem, dlaczego pies rozdziera kota, który mu przeszedł drogę..."

Bohaterowie Sienkiewicza odczuwają inaczej. Kto wie nawet, czy do przepełnionej opisami bitew powieści *Ogniem i mieczem* nie pasowałby jako motto inny Prusowski fragment:

„— Kłuj Szwaba!... — krzyczał nieludzkim głosem Katz rwąc się naprzód... Uniesiono mnie do góry, opuszczono, a wtedy poznałem, że nie stoję na ziemi, ale na człowieku, który jeszcze pochwycił mnie za nogę. W tej chwili wrzeszczący tłum posunął się naprzód, a ja upadłem. Lewa ręka pośliznęła mi się we krwi.

Obok mnie leżał przewrócony na bok oficer austriacki, człowiek młody, o bardzo szlachetnych rysach. Spojrzał na mnie ciemnymi oczyma z nieopisanym smutkiem i wyszeptał chrapliwym głosem:

— Nie trzeba deptać... Niemcy są też ludźmi...

Wsunął rękę pod bok i jęczał żałośnie.

Pobiegłem za kolumną..."

Usiłuję sam siebie skontrolować i zastanawiam się sumiennie, czy to czasem nie jest dziwactwo snuć takie rozważania nad książką, w której od początku do końca oręż szczęka i krew się leje. Najprawdopodobniej do myśli tych skłania atmosfera drugiej połowy XX wieku, która przekonywuje nas coraz lepiej, że pora przestać biegać za kolumnami, mordującymi się wzajemnie, pora w ogóle położyć kres krwawym starciom. Wolno może powtórzyć na zakończenie, iż najlepszym korektorem powieści historycznej jest czas, który stawia prawidłowe akcenty. W związku z tym wszystkim warto z nową uwagą przyjrzeć się dziełu pisarza, który niesłusznie oceniając niesprawiedliwą wojnę dokazał tej wielkiej sztuki, że uczynił to bez podżegania do nienawiści z pobudek narodowych, wyznaniowych czy rasowych. Widocznie potrafił on podjąć nie tylko minusy, lecz również najbardziej dodatnie cechy tradycji dziejowej, co kształtowała jego umysł.

Nieraz już pisano o „sadystycznych bredniach" Sienkiewicza, zatruwających wyobraźnię młodzieży. Nie zamierzam tak już całkowicie zaprzeczać słuszności tego zarzutu, podobnie jak przyznawałem częściowo rację innym, poprzednio wspomnianym poglądom. Twierdzę tylko, że w *Ogniem i mieczem* jest jeszcze coś więcej i to nie sama tylko piękna forma.

Rozmaite elementy walczą o lepsze na kartach tej powieści. I wydaje mi się, że złe, fałszywe wyobrażenia polityczne oraz mocno w umysłowości autora zakorzenione przesądy klasowe i stanowe jednak nie odniosły zwycięstwa nad poczuciem międzyludzkiego braterstwa. Pomimo wszystko książka ta uczy, że inna mowa, obyczaj i wiara nie są synonimami wrogości.

Pewnie, że nie mówi tego językiem naszej epoki, bogatszej o doświadczenia obu wojen światowych. Nie popadajmy jednak w śmieszność i nie żądajmy zbyt wiele od powieści, napisanej siedemdziesiąt kilka lat temu.

Jesteśmy za pan brat z postaciami z *Ogniem i mieczem,* dobrze nam w ich towarzystwie i nikomu z polskich czytelników do głowy nawet nie przychodzi, że Grodzicki, Zaćwilichowski, semenowie, z którymi Skrzetuski jeździł na Sicz, Podbipięta, Kurcewicze, dragoni Wołodyjowskiego, wojewoda Kisiel i tylu innych to wcale nie Polacy. Nie czujemy w nich „krwi obcej". Autor rozmaicie dzieli między nich swe sympatie, nigdy jednak nie czyni tego wedle nacjonalistycznych kryteriów.

Niech mi będzie wolno użyć porównania, które dopomoże uzmysłowić kwestię. Przypomnijmy sobie pierwszy tom *Wojny i pokoju,* scenę w Ołomuńcu, niedługo przed bitwą pod Austerlitz. Książę Andrzej Bołkoński, adiutant jednego z rosyjskich korpusów, spotyka księcia Adama Czartoryskiego, w tym

czasie ministra spraw zagranicznych monarchii rosyjskiej, i umyślnie nie ustępuje mu z drogi. Na twarzy młodego oficera wyraźnie maluje się złość, której przyczyny leżą w sferze odczuć osobistych. Odnosimy takie wrażenie, jakby w chwili pojawienia się polskiego arystokraty po korytarzu ołomunieckiego pałacu chłodem pociągnęło.

Czytając *Ogniem i mieczem* ani razu nie przeżyłem podobnego uczucia. Nawet wtedy, kiedy na scenę występował sam Islam Girej, chan Ordy Krymskiej.

Tę właśnie cechę starej powieści doceni — być może — epoka, która coraz jaśniej widzi, że tylko droga międzyludzkiego braterstwa wiedzie w przyszłość.

Paweł Jasienica

WSPOMNIENIE WACŁAWA MAKOWSKIEGO O ELIZIE ORZESZKOWEJ

W roku 1950 nieżyjąca już dziś Ewa Gulbinowa, córka Wacława Makowskiego, księgarza, byłego wspólnika Elizy Orzeszkowej, ofiarowała Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie kilka tek zawierających ważne papiery, dotyczące przede wszystkim dziejów księgarni istniejącej w Wilnie w latach 1879—1882 pod firmą: „Eliza Orzeszkowa i S-ka".

Są tu m.in.: zawiadomienia o otwarciu księgarni, pełnomocnictwa dla Wacława Makowskiego, kontrakty między wspólnikami, rachunki księgarni z lat 1879—1881, a także wycinki z gazet i druki ulotne, dotyczące jubileuszu Orzeszkowej w roku 1906 oraz jej śmierci i pogrzebu (wśród nich także wypowiedź Marii Konopnickiej o Elizie Orzeszkowej).

Błękitna *„aktowaja bumaga"* zaopatrzona w znak wodny carskiego orła, powiadamia, że *„kupczicha Elizaweta Benediktowna Orżeszkowa"* udziela pełnomocnictwa Wacławowi Makowskiemu.

Tuż przed ostatnią wojną interesował się zbiorkiem pozostającym wówczas w rękach rodziny Makowskich — Ludwik Brunon Świderski; list jego do Apolonii z Chełmińskich Makowskiej znajduje się w jednej z tek. Wojna położyła kres dalszym pracom Świderskiego nad Orzeszkową.

Listy Orzeszkowej zawarte we wspomnianych tekach zostały ostatnio przejrzane przez Edmunda Jankowskiego i będą ogłoszone w przygotowywanym przez niego — już zaczętym — pełnym wydaniu *Listów* Orzeszkowej.

Oprócz listów zasługuje na druk nie znane dotąd, ale wyraźnie przygotowane do druku wspomnienie o Elizie Orzeszkowej, skreślone przez Wacława Makowskiego.

W *„Przeglądzie Księgarskim"* w r. 1925 — począwszy od Nr 7 z 10 kwietnia tego roku — drukowane były *Wspomnienia starego księgarza na tle osobistych przeżyć — młodym kolegom po fachu w 52 rocznicę pracy swojej;* autorem tych *Wspomnień* jest także Wacław Makowski. Tekst rękopiśmienny z Biblioteki im. Łopacińskiego w Lublinie nie jest jednak identyczny z drukowanymi *Wspomnieniami.* Brak nawet miejsc powtarzających się dosłownie; niektóre sprawy powtarzają się w obu tekstach, ale przedstawione są nieco inaczej. O ile *Wspomnienia* drukowane zawierają więcej danych dotyczących losów księgarni, o tyle tekst rękopiśmienny daje dokładniejszą i bardziej bezpośrednią, naturalną charakterystykę Orzeszkowej w jej życiu codziennym. Z tego względu nie drukowane dotąd wspomnienie podaję tu z autografu.

WSPOMNIENIA WACŁAWA MAKOWSKIEGO

z lat 1879 — 1920

spisane około roku 1925

(dotyczące stosunków jego z Orzeszkową)

W piętnastoletnią rocznicę śmierci Orzeszkowej osobiste wspomnienia skreślił Wacław Makowski, księgarz.[1]

Wyjazd mój z Warszawy via Grodno do Wilna. Bytność moja u p. E. Orzeszkowej na wsi pod Grodnem. Otoczenie domowe wielkiej powieściopisarki. Przegląd teki wydawniczej. Otworzenie księgarni w Wilnie (1879). Działalność wydawnicza. Wyciąg z listu E. Orzeszkowej jako odpowiedź na stanowisko zajęte przez prasę warszawską. Wydawnictwa dalsze. Wydania kalendarzy wileńskich (1882). Wydawnictwo Alfabet. Idea ugodowa. Zamknięcie księgarni i list Orzeszkowej pisany po zamknięciu. Pożar Grodna. Jubileusz dwudziestoletni pracy E. Orzeszkowej. Ostatnia bytność Orzeszkowej w Wilnie i uroczystości z tym związane (30.V.1909). Przedstawienie w Teatrze Młodziejowskiej: *Lilla Weneda (1909). Gloria victis.* Ostatnie chwile Orzeszkowej. Pogrzeb (1910).

*

Na początku 1879 r.[2] ś. p. Eliza Orzeszkowa otrzymała pozwolenie na otwarcie księgarni polskiej w Wilnie i mnie jako fachowca na przedstawienie firmy Gebethner i Wolff w Warszawie wezwała do współpracy. Wyjechałem z Warszawy w końcu lipca 1879 r. i po drodze wstąpiłem do Grodna jako miejsca stałego pobytu E. Orzeszkowej. W Grodnie czekał na mnie doradca prawny, adwokat St. Nahorski, i razem z nim udaliśmy się końmi do uroczej miejscowości nad Niemnem,[3] gdzie p. Orzeszkowa przepędzała letnie miesiące.

Panią Elizę zastałem, jak siedząc przy dużym stole, założonym... pomyślałby kto, że książkami i manuskryptami — otóż nie: kilkanaście kłębków włóczki rozmaitych kolorów leżało na stole a wielka autorka dobierając kolor włóczki pośpiesznie machała szydełkami, robiła jakąś dziecinną kołderkę, nie przeczuwałem wtedy, że taką samą kołderkę w półtora roku później pierworodny syn mój otrzyma na chrzciny — jedna z pań czytała francuską książkę na głos.

Ucałowałem z uszanowaniem podaną mi rękę, a Ona, trzymając dłoń moją w swych rękach, wpatrywała się swymi mądrymi i dobrymi oczyma i mówiła: „Witam pana, od d-ra Bienieckiego[4], kuzyna pańskiego, a mego dobrego przyjaciela i stałego lekarza, słyszałam o panu i jego rodzinie. Witam uprzejmie na progu mego domu, tym bardziej że wiem, jak się tam Warszawa zapatruje na wszytkich i wszystko, co leży poza Bugiem, co myślą o ich poczynaniach, przeczuwam, że musiałeś pan mieć trudności przy wyjeździe, ale z pańskich oczów czytam, a jestem trochę fizjonomistką, że będziemy pracowali wspólnie w dobrej zgodzie.

— No, ale my tu gadu gadu a pan... wszak Wacław pańskie imię — zdrożony i pewno głodny.

— Monisiu, obiad jeszcze daleko? Pomyśl coś o tym.

— Proszę, niech pan zajmie miejsce, ot tu koło mnie.

— Ależ ze mnie gospodyni! Toż nie przedstawiłam panu mego najbliższego i najmilszego otoczenia.

— Panna Wila Zyndram Kościałkowska, serdeczna moja przyjaciółka, jest tak dobrą, że często mnie odwiedza i oszczędzając oczy moje czytuje mi. Właśnie otrzymaliśmy od mego stałego księgarza, Gebethnera i Wolffa, transport francuskich nowości — na przyszłość będę już tylko stałą klientką naszej wspólnej księgarni.

— Pan Obrębski — staruszek, weteran 1863 r., niedawno wrócił ze Syberii, gdzie skuty łańcuchami ciągał taczki w podziemiach kopalni. Stracił wzrok i zdrowie, nosi miano naszego kochanego Wojskiego.

— Panna Monika Gorzkowska, moja dobra przyjaciółka, pamięta o tym, abyśmy wszyscy mieli co jeść i pić.

— A to Ancia Zaniewska i Zośka, trzpiot — młode istoty rozweselają nasze samotne życie.

— No, panienki, polecam waszej opiece naszego kochanego warszawiaka, bo coś bardzo smutny, a może tam nad Wisełką jaka czarnobrewa rusałeczka rzuciła swój urok?

— Pan zapewne pali? — Nie? Bo my tu zapalamy się, nie bardzo to dobrze na moje oczy, ale jakoś nie mogę się odzwyczaić..."

Niebawem p. Monika zaprosiła nas do suto zastawionego śniadania, przy którym prowadziliśmy ożywioną rozmowę. Przybywałem z Warszawy — stolicy Kongresówki, więc opowiadałem, o czym tam mówią, piszą i co robią. Panienki zapytywały mnie o zabawy, bale, mody: co do zabaw dałem wyczerpujące wiadomości, co do mód — byłem zupełnym ignorantem.

Po śniadaniu p. Orzeszkowa zaprosiła mnie do swej pracowni, gdzie omawialiśmy plan przyszłego wydawnictwa. W tece wydawniczej było już kilka rękopisów kompletnych, kilka, których autorzy ponadsyłali tylko pierwsze arkusze, prosząc o zaliczki na rachunek przyszłego honorarium, lub tylko zapowiedź nadesłania prac swoich.

Zadziwiony byłem, jak Orzeszkowa określała objętość książki, nieśmiało więc zapytałem: „Czy to autor może określić z góry ilość arkuszy druku?

— Drogi p. Wacławie, każdy z nas, starszych pisarzy, zakreślając plan swojej pracy, z dokładnością prawie jednej lub dwóch stroniczek może określić ilości stronic druku."

Wieczorem tego dnia byłem świadkiem dziwnego i nieznanego mi widowiska, które p. Nahorski specjalnie dla mnie zainscenizował. Po zachodzie słońca, skoro mrok zapadł, na Niemnie na łódkach urządzono rodzaj pomostu, na którym rozłożono ognie. Łódkarze pozakrywani byli na głowę białymi prześcieradłami. Przypatrując się tym manipulacjom z wysokiego brzegu, zauważyliśmy, jak z głębi rzeki wyfruwają białe z krepowymi skrzydełkami, malutkie motylki zwane jacicą, z początku niewiele, potem coraz więcej, aż cała chmura podniosła się w górę i w tej chwili motylki te opadały na łódki i pomost koło ognia zaścielając wszystko warstwą grubą na kilka cali.

Miejscowa ludność używa jacicę jako pokarm dla kur i prosiąt — p. Nahorski jako przynętę dla ryb, które łapał z amatorstwem na swój — jak mówił — pławuszek. Rezultat był momentalny, bo jeszcze tego wieczora p. Monika zarządziła na kolację pyszne kotlety ze świeżo złapanych ryb (oczywiście ryby były nie z tego polowania — ale kilka godzin wcześniejszego).

P. Orzeszkowa prowadziła dom na stopie średnio-zamożnej, tylko w razie przyjazdu jakich delegacji ukazywały się srebra rodzinne i bażanty ze złotymi

ogonami. Później miałem sposobność być zaproszonym na te uroczystości.

Na drugi dzień konferowaliśmy już wspólnie z p. Orzeszkową i p. Nahorskim nad rozmaitymi kwestiami w związku z otwarciem i prowadzeniem księgarni, bo czas było wyruszyć w drogę do roboty, tym bardziej że nadeszły z Wilna listy wzywające mnie do przybycia.

Przez te parę dni pod wpływem rozmów z wielką powieściopisarką poczułem, że światopogląd mój rozszerzył się, widziałem to, czego wpierw nie przeczuwałem nawet.

Księgarnię otworzyliśmy w pierwszych dniach września i na pierwszy ogień wypuściliśmy:

książkę E. Orzeszkowej — *Patriotyzm i kosmopolityzm* — szkice społeczne;
Ludowskiego E. — *Sąd honorowy* — komedia;
Przyborowskiego — *Włościanie u nas i gdzie indziej* — szkice historyczne;
Konopnickiej — *Z przeszłości;*
Orzeszkowej — *Pokociło się* i *Dam nogę;*
Kościałkowskiej — *Wł. Syrokomla;* [5]

Miejscowa inteligencja zrozumiała intencje wydawczyni — prenumerata na cały ogłoszony cykl zaczęła wpływać chętnie, szczególnie zamiejscowi obywatele z bliższych i dalszych okolic osobiście i przez pocztę popierali nasze poczynania.

Aliści prasa warszawska z pianą na ustach rzuciła się na wydane już książki. *„Niwa"*, *„Wiek"*, *„Kłosy"*, *„Przegląd Tygodniowy"*, *„Gazeta Warszawska"* pisały, że „wileńskie wydawnictwo nie ogłosiło nic dotąd godnego zastanowienia", że książka Przyborowskiego „jest skandalem naukowym i wydawniczym".

W jednym z listów, do mnie pisanym, Orzeszkowa skarży się: „Z wyjątkiem Kraszewskiego, Jeża, Świętochowskiego i Chmielowskiego (świetne przynajmniej wyjątki) złajano mnie za książkę tak zupełnie, jakbym przez napisanie jej *(Patriotyzm)* stała się godną szubienicy. Co to jest i dlaczego to tak? Czy prasa uważała mnie zawsze za pisarkę niezdolną i szkodliwą? Bynajmniej. Szan. Pan wie sam najlepiej, jaką jest pozycja moja wobec wydawców warszawskich. Mówiąc o Przyborowskim, którego to książkę *(Włościanie u nas i gdzie indziej)* prasa nazwała skandalem naukowym — mój Boże! — skądże ja wzięłam autora *Włościan*? Z nieba, z piekła, z powietrza, z księżyca? Ależ wcale nie. Wzięłam go prościuteńko z *„Przeglądu Tygodniowego"*, z *„Wieku"*, z *„Biesiady Literackiej"* i z innych pism warszawskich, których dotąd był on jedną z podpór i ozdób.

O, fatalności — gdy tylko napisał coś dla Wilna, do tego stopnia przestał być cennym, że książka jego jest skandalem. Czyżby naprawdę na tę właśnie i na tę jedyną chwilę wszystek fosfor ulotnił się z głowy, a sumienie pisarskie do szczętu uleciało z piersi? Rozumiem, że wyborny nawet pisarz może tworzyć rzeczy lepsze i gorsze, ale aby ten, który przez lat dziesięć pisał dobrze, nagle napisał tak strasznie, tak gorsząco, tak skandalicznie źle, żeby aż prosta uczciwość łajać go i deptać rozkazywała, to się w mojej ubogiej głowie nie mieści i mieścić nie może. Przypuszczam, że praca Przyborowskiego zawiera wiele błędów i niedostatków, lecz czyliż warszawskie jego prace od nich wolnymi były? A jednak uczciwość wydawców i krytyków ani razu jeszcze nie osłoniła z ich powodu oblicza swego woalem zawstydzenia. Po cóż znowu tak bardzo naprężać tę biedną uczciwość, gdzie idzie o Wilno? Co to jest? Dlaczego to tak?

Zapewne, istniejemy zaledwie od kilkunastu miesięcy i nie mamy jeszcze tak bardzo czym się chlubić, jednak świadomi rzeczy tej powiedzieliby wam o niej parę drobnych wieści, takich np. jak to, że za sprawą naszą wileńska publiczność oswoiła się już z literaturą polską dziecinną i zaczęła nabywać książki dla dzieci swych, czego wpierw całkiem prawie nie czyniła, że przez staranie nasze ukazy Murawiewa ograniczające wydawanie i sprzedaż pewnych kategorii publikacyj polskich zniesionymi zostały, wskutek czego wyjdą pierwsze od pory owej polskie kalendarze, że wydana przez nas książka *Patriotyzm i kosmopolityzm* zyskała sobie w kołach młodzieży petersburskiej i wileńskiej znaczną wziętość i wywarła na nią wpływ, który odczuwają i o którym wiele tu opowiadają rodzice dorastających synów i córek. Jest to bardzo niewiele, przyznaję, ale z czasem, jeśli surowe sądy wasze nie uśmiercą nas, zrobimy jeszcze cokolwiek, może by więc warto było poczekać trochę z opuszczeniem na szyję naszą miecza sprawiedliwości i może by »prosta uczciwość« powinna nam doradzić mniejszą zażartość na gromienie tej lub owej formy opola, a baczniejszy wzgląd na wzięte w całości znaczenie książki Przyborowskiego, może by prosta uczciwość szepnąć wam powinna, że tam ktoś pracuje i cierpi, imię swoje niby łachman pod nogi wszystkich przechodniów rzuca nie dla chleba, bo go ma aż nadto, nie dla sławy, bo jest za stary, aby go brzękawki bawić mogły, ale pewnie dla czegoś, co mu się wydaje przynajmniej wielkim, świętym, sprawiedliwym... Czyliżby to dla uczciwości waszej znikało wobec omyłki popełnionej w kwestii opola, popełnionej przez szanowanego pomiędzy nami pisarza? Forma, w jakiej istniało opole, rzecz to bardzo ważna, najpewniej, nie do tego jednak stopnia — jak mi się zdaje — aby w imię jej dwoje ludzi, pisarza i wydawcę, »prosta uczciwość« uśmiercić nakazywała. [6]

Czyż nieprawda? Zastanówcie się tylko i pozwólcie przypomnieć sobie starą, zużytą, ale wiecznie prawdziwą bajkę:

...źle się bawicie,
Wam to zabawa, nam chodzi o życie [7].

Post scriptum: Za kilka dni przyślemy wam nową książkę: *Przesądy w wychowaniu* Waler. Marrené. Wyszłaby ona przed paru tygodniami, gdyby nie ta drobna okoliczność, że papiernia w Kuczkuryszkach, własność Jaśnie Wielmożnych Pompalińskich a nasza jedynaczka najmilsza, ma zdrowie mocno nadwerężone i kilka razy do roku dotkniętą bywa atakiem paraliżu. Sparaliżowało ją teraz tak, że okładek do książki wymienionej doczekać się nie możemy.

Pod prasą dzieła: Chmielowskiego i Spasowicza. [8] Być może, iż ci, bez wątpienia znakomici, pisarze, gdy się ukażą w Wilnie, staną się z nagła królami niedołęgów. Zagadnienia to arcyciekawe .Co to będzie, co to będzie?" /—/ Eliza Orzeszkowa. [9]

Pomimo takiego stanowiska, jakie zajęła prasa warszawska, Orzeszkowa pracy swojej nie zatrzymała. Zapowiedziane książki w dalszym ciągu wychodziły w przeciągu zaledwie dwóch lat; wydane zostały następujące dzieła oprócz wyżej wymienionych:

Karłowicz — *Poradnik dla kupujących książki;*
Bałucki — *Typy i obrazki krakowskie;*
Jeż — *O wspólnictwie życia i natury.* Przyczynek do dziejów socjalizmu i komunizmu; [10]

Chmielowski — *Zarys literatury z ostatnich lat szesnastu;*
Jankowski — *Wady naszych sadów;*
Chmielowski — *Poezja w wychowaniu;*
Chmielowski — *Obskurantyzm i liberalizm na Litwie i Rusi.* — Szkice z dziejów walk o oświatę;[11]
Marrené — *Przesądy w wychowaniu;*
Spasowicz — *Studia nie z natury;*
Wernic — *Pierwszy rok nauki systematycznej;*
Orzeszkowa — *Widma;*
Jeż — *List;*[12]
Orzeszkowa — *Sylwek Cmentarnik;*
Orzeszkowa — *O Żydach i kwestii żydowskiej;*
Méyet — *Do nieznajomej;*
Dr Skórkowski — *O blednicy;*[13]
Łopaciński — *Wilia. Na grobie lirnika;*[14]
Choroby duszy i odpowiedzialność moralna;
Dr Skórkowski — *Matki i karmicielki;*
Kalendarz wileński na rok 1882;
Kalendarz litewski (po polsku);[15]
Hermann — *Karnawał wileński.* Zbiór tańców na fortepian.

Ponadto za inicjatywą W. Chełmińskiego robiliśmy starania o wydanie lżejszej literatury przeplatanej humorystyką. Ponieważ o wydawnictwie periodycznym nie mogło być i mowy, przeto zaczęto wydawać zeszyty osobno i — aby dać im pewną ciągłość — daliśmy tytuły poczynające się od liter alfabetu. Wyszły: *„Argus"*, *„Bodziec"*, *„Cerber"*, *„Dwonek"*. Na tym się zatrzymano. Piąty zeszyt — *„Echo"* — utknął w cenzurze, a wkrótce potem, w lutym 1882, księgarnię zamknięto.[16]

W zeszytach *„Alfabetu"* na szczególniejszą uwagę zasługiwały *Listy z Przylądka Dobrej Nadziei*, podpisywane przez Murzyna literackiego. Murzynem tym był sam Chełmiński, który smagał społeczeństwo biczem zaprawionym gorzką ironią w alegorycznej formie, pod którą świadomi rzeczy łatwo mogli poznać osoby, o których mowa. Jak Poseł Prawdy w swoich *Liberum veto*[17], tak on w korespondencjach swoich do gazet warszawskich pod nazwą *Lituanie* napadał na ugodowców, których zaślepienie miało po stromej pochyłości zaprowadzić pod pomnik Katarzyny dla uzyskania białych majtek i nazwiska „katarynarzy".[18]

Idea ugodowa zakreślała coraz szersze kręgi. Nie tylko *„homo natus et possessionatus"* jej hołdowali, kupcy i obywatele miejscy i wiejscy zabiegali o tytuły gubernialnych sekretarzy, sowietników itp. Stąd później weszło w zwyczaj przy spotkaniu się znajomych: „Jak się masz, sowietniku?" Aby uzyskać tytuł, trzeba było opłacić kancelistę, który siedział w kancelarii, pisał, a tytuły i zaszczyty liczyły się na korzyść chlebodawcy.

Ruch około naszej oficyny zrobił się duży. Ruchu tego nie mogła nie zauważyć miejscowa administracja. Wpływy tego ruchu z przeczytanych i komentowanych książek widocznymi były tak w szkołach wyższych petersburskich, dokąd młodzież nasza przeważnie była wysyłana, jak i średnich miejscowych, jak i w życiu społecznym tak na wsi, jak i w mieście — toteż starano się o usunięcie przyczyny tego ruchu. A ponieważ wiedziano, że Orzeszkowa ma silne

poparcie w Petersburgu, zrobiono to po cichutku, aby nie wzbudzić czujności i podejrzenia i aby to było bez apelacji, postarano [się] o ukaz carski, który poraził nas jak grom podczas najpiękniejszej pogody. Ukazem tym carskim Orzeszkowa była internowana w Grodnie bez prawa wyjazdu na lat cztery[19] (nawet za granicę na kurację, której gwałtownie potrzebowała). Chełmińskiego wysłano na miejsce urodzenia również na cztery lata, mnie jakoś oszczędzono.

Dwudziestego ósmego kwietnia 1882 z Grodna od p. Orzeszkowej otrzymałem list, który tu *in extenso* przytoczę:

„Daremnie siliłabym się opisać Panu wszystko, co teraz czuję i myślę. Ani mi przez myśl nie przeszło nigdy, aby takim mógł być koniec tego przedsięwzięcia mego, które całą duszą ukochałam, w które włożyłam trzy lata pracy i starań, o którym mniemałam, że ogółowi przyniesie użytek, mnie zasługę, wam pomyślną przyszłość. Oprócz strat materialnych — Pan wie, jak znacznych — moralnie tracę najpiękniejsze zapewne marzenia i najciernistszą pracę mego życia. I... za co? Daremne pytanie. Nie pozostaje nic, jak zrezygnować się i cicho przenieść tę karę bez winy. Stało się!

Teraz kilka słów do Pana i o Panu: Trzyletni stosunek mój z Panem wyrobił we mnie takie o charakterze Pana przekonanie, że gdybym miała miliony a potrzebowała powierzyć je komu, aby na drugą półkulę odjechać, powierzyłabym je Panu i odjechałabym spokojnie. Piszę to w chwili boleśnej i uroczystej, ani jedno więc słowo moje pustym i lekkomyślnym być nie może.

Poważam Pana i szanuję jako człowieka uczciwości niezachwianej i sumiennego, rozumiejącego obowiązek pracownika. Chciałabym powiedzieć to przed światem. Niech Pan w każdej potrzebie list ten światu pokaże. /—/ Eliza Orzeszkowa."

Listu tego dla jakiejś osobistej korzyści nie używałem i dziś ogłaszam go jedynie jako przyczynek do oświetlenia charakteru stosunku Orzeszkowej do ludzi, z którymi pracowała.

W 1885 r. Grodno nawiedzone zostało przez straszną katastrofę. Zniszczone zostało całe śródmieście. Dom, w którym mieszkała wielka autorka, spłonął razem z cennymi książkami, rękopisami dużej wartości. Jaką popularnością cieszyła się Orzeszkowa, było dowodem, że na odezwę przez nią zrobioną popłynęły ze wszech stron na jej ręce dary w pieniądzach i ubraniu, mimo że przewodniczącą Komitetu była gubernatorowa. Łódź, Białystok nadesłały całe wagony ubrań i bielizny — dary te płynęły od osób bez różnicy wyznań i narodowości i tak były rozdawane.

W 1884 r. znakomita autorka obchodziła jubileusz dwudziestopięciolecia swej pracy literackiej. Komitet, jaki się uformował w Wilnie, wydelegował pp. Al. Oskierkę, dra Bilińskiego i W. Makowskiego dla wręczenia jej adresu z piękną winietą M. B. Ostrobramskiej i zegaru odlanego z brązu w kształcie Góry Zamkowej. (Zegar ten — jak i wszystkie pamiątki — obecnie jest w Tow. Przyjaciół Nauk.)[20]

Orzeszkowa w okresie egzystowania księgarni często odwiedziała Wilno, żywo interesowała się księgarnią, miała tu swoich dawnych znajomych: dr Jundziłłów oraz dr Cywińskich (w 1876, kiedy była zagrożona utraceniem wzroku i kiedy warszawscy doktorowie nie robili żadnej nadziei, dr Cywiński wyleczył ją w zupełności). [21]

W ścisłym kółku znajomych miewała nawet odczyty. Po katastrofie zamknię-

cia księgarni, mimo że lata internowania minęły, Orzeszkowa nie mogła się zdecydować na przyjazd, mimo że grono obywateli kilkakrotnie ją o to prosiło. Wreszcie w końcu maja 1909 r. na prośby p. Kazimierza Poniatowskiego zdecydowała się przyjechać i zatrzymała się w mieszkaniu p. Al. Oskierki w domku parterowym, róg Wileńskiej i ul. Mickiewicza, gdzie dziś restauracja „Zakopianka". Hr. Ant. Tyszkiewicz na cały czas pobytu Orzeszkowej w Wilnie dał do dyspozycji powóz i konie.

Pani Młodziejowska Nuna, dyrektorka Teatru Polskiego, dowiedziawszy się o pobycie p. Orzeszkowej w Wilnie, przyszła zaprosić na specjalnie wystawioną tragedię Słowackiego *Lilla Weneda;* było to 30 maja/12 czerwca 1909. Na przyjazd Orzeszkowej czekano z zaczęciem przedstawienia, a publiczność wstała, skoro ją zobaczyła wchodzącą do loży w czasie antraktu. P. Maciejewiczowa razem z kilkoma uczennicami wręczyła jej bukiet.

Cały pobyt Orzeszkowej w Wilnie był jedną manifestacją. Witały ją w mieszkaniu grona małych dziewcząt i chłopców ubranych biało z pękami białych konwalii. Wieczorem inna grupa dzieci w krakowskich kostiumach popisywała się krakowiakiem. Pośród wielu delegacji zbiorowych i pojedynczych była delegacja od Żydów, z rabinem na czele. Ci ofiarowali Jej adres ozdobny (który zachowuje się w Tow. Przyj. Nauk). Przemówienie swoje do Żydów Orzeszkowa zakończyła: „Panowie, na jednej ziemi stały nasze kołyski i w tej ziemi wszyscy spoczniemy".

Miała odczyt o Krasińskim u dr. Dmochowskich, nazajutrz u dr. Węcławskich. [22] Obiecała swoją bytność na Wieczorze Rzemieślniczym, ale już zabrakło Jej sił.

W tym czasie zrobiła mi propozycję wydania zbioru nowel z 1863 roku p.t. *Gloria victis* — a ponieważ zniesioną była prewencyjna cenzura, skwapliwie z propozycji tej skorzystałem, mimo że warszawscy wydawcy nie zdecydowali się jeszcze na wydanie.

W kilka dni po wyjeździe Orzeszkowej otrzymaliśmy od p. Orzeszkowej list nast. treści:

„Obojgu Wam gorąco Bóg zapłać! Wszystko, co widziałam, słyszałam, przeszło wszelkie oczekiwania moje. Mam takie uczucie, jakbym widziała najdroższą istotę podnoszącą się do życia ze śmiertelnego łoża, jakby mi zza chmur grubych zajaśniało wschodzące słońce nadziei."

W kilka dni po wyjeździe Orzeszkowej z Wilna wpada do mnie policjant: „Gdzie jest Orzeszkowa?" Odpowiedziałem, że prawdopodobnie jest w Grodnie, u siebie. Co się okazało? — Orzeszkowa zameldowała się jako p. Nahorska (bowiem wyszła za mąż powtórnie). Policja była uprzedzona z Grodna o wyjeździe Orzeszkowej i tu chcieli Ją otoczyć swoją opieką — byli skonfundowani, jak ich wyprowadziłem z błędu.

Wydawnictwo znad Wilii i Niemna. Książka zbiorowa.

W końcu 1905 roku powstała myśl wydania książki zbiorowej, w której by wszyscy autorzy pióra i ołówka prace swoje umieścili. Utworzony w tym celu Komitet zdecydował zaprosić p. Orzeszkową jako naczelną redaktorkę i do zaproszenia Jej wydelegowano dr Wł. Zahorskiego i mnie jako wydawcę.

Książka ta wyszła na początku 1906, jedna z ostatnich książek, jakie trzeba było podawać do ocenzurowania, bowiem w tym czasie prewencyjna cenzura została zniesioną. Orzeszkowa bardzo przychylnie odniosła się do naszego projektu, obiecała dać swoją pracę, wskazała cały szereg działaczy, do których radziła, aby posłać im zaproszenie do współpracy. W 1906 książka była wydaną z przeznaczeniem dochodu na cele dobroczynne do rozporządzenia J. Montwiłła.

Wydana przeze mnie książka *Gloria victis* rozeszła się bardzo prędko i byłaby tak niepostrzeżoną, gdyby wydawcy moskiewscy *de jure caduco* nie przetłumaczyli tych nowel na rosyjski język. Przeczytawszy po rosyjsku jakiś patriota zrobił hałas — z Petersburga przyszedł nakaz wycofania tych herezji. Szczęściem dowiedziałem się dość wcześnie i pozostałość — co prawda w niewielkiej już ilości egz., wysłałem do Krakowa. Wytoczono mi proces, ale jakoś wykręciłem się, opłaciwszy niewielką karę.[23] Było to na początku maja 1910. Żona moja pojechała do Grodna, aby odwiedzić p. Orzeszkową, bo mieliśmy wiadomość, że się niedobrze czuje. Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, że *Gloria victis* będzie zabrana, a że trzeba było przygotować już drugie wydanie — zatem prosiłem żony, aby pojechała i zawiozła honorarium za drugie wydanie.[24]

W tym czasie Orzeszkowa miała się trochę lepiej, robiła plany na przyszłość, cieszyła się, że książka *Gloria victis* tak ładnie w Wilnie została wydaną. Sama powiedziała żonie mojej, że nadal wszystkie swoje prace drukować będzie tylko u nas w Wilnie i zapowiedziała, że ma już przygotowane jako dalszy ciąg *Glorii victis* cykl nowel *Po burzy*. Ostatnie słowa, które powiedziała na pożegnanie: „Daj Boże, do widzenia".

W kilka dni po wyjeździe żony mojej mieliśmy wiadomość, że stan zdrowia Orzeszkowej pogorszył się. Lekarze już nie odstępowali od łóżka, zmieniając się w dzień i w nocy.

5/18 maja 1910 o godz. 9 rano serce Orzeszkowej bić przestało.

Na pogrzeb, który się odbył w Grodnie w dniu 10/23 maja 1910 z wielką manifestacją, do złożenia wieńca na grobie wielkiej powieściopisarki delegowani byli: dr Wł. Zahorski, W. Makowski i obywatel Przegaliński od Klubu Bankowego.[25]

PRZYPISY

[1] Nr rękopisu w Bibl. Publ. im. H. Łopacińskiego 2024.

[2] Nie było to zupełnie na początku roku. Stefan Rosiak, *Księgarnia „E. Orzeszkowa i S-ka" w Wilnie 1879—1882*, Wilno 1938, s. 11—12, stwierdził na podstawie materiałów z Archiwum Państwowego w Wilnie, że podanie o otwarcie księgarni złożyła Orzeszkowa 14 maja (starego stylu) 1879. Gubernator wileński w dniu 15 maja zwrócił się do gubernatora grodzieńskiego o zaopiniowanie. Ten odpowiedział 16 maja, że nie stawia przeszkód. Orzeszkowa wiedziała o tym nieoficjalnie (por. list jej do Jeża z 29 czerwca/11 lipca 1879 r., Listy, 1937, t. I, s. 61). O Makowskim wspomniała Orzeszkowa w liście do Jeża z 5 czerwca 1879: „Przyszły administrator księgarni umówiony w Warszawie czeka i nic tymczasem do robienia nie ma..." Rozkaz przekazania Orzeszkowej zgody na uruchomienie księgarni wyszedł jednak dopiero 24 lipca starego stylu. List Orzeszkowej do Makowskiego z 7 sierpnia 1879 r. (niedrukowany; rkps Bibl. im. Łopacińskiego) dowodzi, że dopiero w sierpniu, nie w lipcu, Orzeszkowa wezwała do siebie Makowskiego.

[3] Świsłocz w powiecie grodzieńskim; dowodem list Orzeszkowej do Makowskiego z 7 sierpnia 1879 r.

[4] Dr Julian Bieniecki (1829—1903), lekarz, wychowanek uniwersytetu w Dorpacie, od r. 1875 praktykował w Grodnie otoczony powszechnym szacunkiem. Był świadkiem ślubnym Orzeszkowej w r. 1894 przy zawieraniu małżeństwa ze Stefanem Nahorskim. Częste o nim wzmianki w drukowanych i nie drukowanych listach Orzeszkowej.

[5] Zestawienie wszystkich wydawnictw księgarni E. Orzeszkowa i S-ka podał Rosiak op. cit.

Orzeszkową jako autorkę *Patriotyzmu i kosmopolityzmu* nie wszyscy krytycy w czambuł potępiali. Oprócz wymienionych przez autorkę „świetnych wyjątków" w *„Przeglądzie Tygodniowym"* ukazała się 17/29 lutego 1880 entuzjastyczna ocena *Patriotyzmu*, zaś w zeszycie 127 *„Niwy"* (1880) Aleksander Rembowski opublikował obszerną recenzję studium Orzeszkowej, utrzymaną w tonie polemicznym, ale umiarkowanym i spokojnym.

Studium Przyborowskiego miało gorszą prasę. Najbardziej dopiekł mu *„Przegląd Tygodniowy"*, w którym 18/30 stycznia 1881 pomieszczono nie podpisaną, bardzo ostrą recenzję. (Przy końcu roku 1881 redakcja ogłaszając spis treści rocznika ujawniła nazwisko recenzenta. Był nim Artur Gruszecki.) Autor recenzji pisał m.in.: „Dzieło p. Przyborowskiego uważamy za zupełnie chybione, jest to zbiornik różnych wiadomostek, rozmaitych poglądów innych autorów, bez przewodniej myśli, deklamacja i frazeologia... P. Przyborowski jako autor opowieści na pół historycznych da się czytać, lecz jako historykowi... brakuje wszelkich danych do pisania dzieł tego rodzaju... nieznajomość źródeł i metody stanowi nieprzebytą zaporę w osiągnięciu jakich takich dodatnich rezultatów." O „opolu" pisał Przyborowski bardzo dużo w pierwszym rozdziale swojej książki. Gruszecki zarzucił mu, że cały ten rozdział oparty jest na fantazji, że źródła *(Starodawne prawa polskiego pomniki i inne)* nic nie mówią o takiej organizacji opola, jaką przedstawił Przyborowski. Przyborowski odpowiedział Gruszeckiemu na łamach tego samego pisma 21 stycznia/6 lutego 1881). Redakcja jednak ogłaszając tylko z obowiązku odpowiedź Przyborowskiego, nie udokumentowaną dostatecznie i istotnie nieprzekonywającą, opatrzyła ją przypiskami bardzo nieprzyjemnymi dla autora. Bardzo ostro również atakował książkę Przyborowskiego Władysław Smoleński na łamach *„Prawdy"* (Nr 6 z 6 lutego 1881). Obrońcą książki był Jeż w artykule *Odrobina polemiki, „Tygodnik Illustrowany"* Nr 271 z 5 marca 1881. Orzeszkowa patronując tej publikacji pozostała aż do końca jej protektorką. Por. list jej do Kraszewskiego (*Listy* op. cit. t. I, s. 19), również list do Jeża (ibid. s. 154-5). Por. także *Listy nieznane* E. Orzeszkowej do W. Przyborowskiego ogłoszone przez M. Romankównę *(Prace polonistyczne* s. V 121-144). Należy zaznaczyć, że najsilniej atakowały sfery zachowawcze *Z przeszłości Konopnickiej* (Por. *Listy* t. I s. 454-8 i 461-2). Stanisław Tarnowski np. zestawiał utwór Konopnickiej z działalnością... Murawiewa-Wieszatiela!

[7] Cytat z bajki Krasickiego pt. *Dzieci i żaby*, podany niedokładnie. Wersja poprawna brzmi:

...chłopcy, przestańcie, bo się źle bawicie,
Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie.

[8] W księgarni E. Orzeszkowa i S-ka wyszły dzieła: Chmielowskiego — *Poezja w wychowaniu*, a następnie *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu* (pierwsza redakcja książki znanej dziś pod tytułem *Zarys najnowszej literatury polskiej* — wyd. IV z r. 1898) i Spasowicza — *Studia nie z natury*.

[9] Rękopis 2026 Biblioteki im. Łopacińskiego zawiera autoryzowaną kopię listu Orzeszkowej do Leopolda Méyeta. W liście tym podobne myśli i zdania.

[10] O książce tej częste wzmianki w korespondencji Jeża i Orzeszkowej z lat 1879—1881. Kisążka nie wyszła drukiem. Prawdopodobnie nigdy nie została napisana. Makowskiego zawiodła pamięć.

[11] Tytuł książki Chmielowskiego brzmi naprawdę: *Liberalizm i obskurantyzm...*

[12] List o książce dra Piotra Chmielowskiego i jej krytykach. Wilno 1881.

[13] Autorem książki *O blednicy* był naprawdę dr H. Łuczkiewicz. Tytuł książki brzmiał: *Wykład popularny o blednicy na użytek publiczności nielekarskiej przystępnie opracował...* 1882. Natomiast autorem książki *Choroby duszy i odpowiedzialność moralna, wymienionej* przez Makowskiego bez autora, był dr Skórkowski.

[14] Naprawdę: Łopatyński. *Wilia. Na grobie lirnika.* Poemata.

[15] Na r. 1882. We *Wspomnieniach* drukowanych pisze Makowski, że „przy pomocy Włodzimierza Spasowicza udało się przełamać zakaz wydawania w Wilnie kalendarzy". W ogóle pozwolenie na otwarcie księgarni otrzymała Orzeszkowa wg drukownych *Wspomnień* — również „przy protekcji Wł. Spasowicza".

[16] We *Wspomnieniach starego księgarza* pisze Makowski, że *„Echo"* ugrzęzło w cenzurze,

ponieważ w poprzednich zeszytach „*Alfabetu*" „uszczypnięto miejscową administrację urzędniczą".

[17] Aleksander Swiętochowski.

[18] Chełmiński — człowiek zdolny, ale niesystematyczny — literat, nie księgarz, szwagier Makowskiego, był dla Orzeszkowej naprawdę kłopotliwym wspólnikiem.

[19] O internowaniu Orzeszkowej obszerniej pisał Makowski we *Wspomnieniach starego księgarza*. Por. również Rosiak op. cit. s. 28. Orzeszkowa była naprawdę internowana na trzy lata.

[20] Jubileusz 25-letni Orzeszkowej obchodzony był naprawdę w r. 1891. Makowski popełnił tu dość dużą omyłkę. Delegacja wileńska wybrana została prawdopodobnie latem 1891, lub nawet w lutym 1892, gdy dary składała delegacja warszawska. W Poniemuniu obchodzili grodnianie po cichu jubileusz swej pisarki.

[21] Zagrożenie wzroku nastąpiło naprawdę w r. 1878.

[22] Odczyt Orzeszkowej o Krasińskim — drukowany w „*Kurierze Lwowskim*", Nr 79-92 — 1912 — wygłoszony był w Wilnie już w r. 1901 (w każdym razie wówczas po raz pierwszy).

[23] Sprawę wydania *Gloria victis* omawia Makowski we *Wspomnieniach starego księgarza* prawie dosłownie tak samo, jak we wspomnieniach rękopiśmiennych; dodaje tylko jeden szczegół interesujący: „...miałem już przystąpić do nowego nakładu, gdy wtem cenzura się spostrzegła. Istotnego znaczenia tytułu *Gloria victis* (chwała zwyciężonym) p. cenzor na razie nie był zrozumiał, dopiero gdy mu zwrócono uwagę z Petersburga, wezwał mnie i zapytał wprost:

— *Kto eto Victis, gospodin Makowskij, i komu gloria?* (l. c. s. 317).

[24] Rękopis 2024 w Bibl. Publ. im. Łopacińskiego zawiera własnoręczne upoważnienie Orzeszkowej dla W. Makowskiego: „Niniejszym upoważniam p. Wacława Makowskiego księgarza w Wilnie, do wydania drugiego nakładu tomu nowel moich pt. *Gloria victis*, zawierających: *Oni, Oficer, Hekuba, Bóg wie kto, Gloria victis*, za umówioną sumę rubli czterysta (rs. 400) i aż do zupełnego wyczerpania tego nakładu nikomu na przedruk takowych w całości lub w części nie pozwalam" 2.III.1910 Grodno /—/ El. Orzeszkowa.

[25] Przy komentarzu wydawca korzystał obficie z materiałów Archiwum E. Orzeszkowej i wskazówek Edmunda Jankowskiego.

Podał do druku, opracował i przypisami opatrzył

Jerzy Starnawski

O „CHOPINIE“ JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

Jarosław Iwaszkiewicz: *Chopin.* Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Kraków, 1955, str. 352. Spis kompozycji, spis lektur, 21 ilustracji w tekście. Książka ta ukazała się jako VI tom cyklu *Małych monografii muzycznych* pod redakcją dr Stefanii Łobaczewskiej.

Po książkach o Beethovenie, Schubercie, Mozarcie, Moniuszce i *Szkicach z polskiego życia muzycznego XIX wieku* Krakowskie PWM daje nam książkę o Chopinie, której znaczenie przerasta ramy cyklu zatytułowanego skromnie *Małe monografie muzyczne.*

Wśród różnych, bardziej lub mniej popularnych monografii poświęconych artystom znajdujemy wiele gatunków — od prostej kompilacyjnej pracy, mówiącej nam o ich życiu i dziele, po zbeletryzowaną powieść lub źródłowo opracowane, analityczne dzieło naukowe.

Iwaszkiewicz nie poszedł żadnym z tych szlaków. Pomijając pierwsze strony jego książki, w których piórem powieściopisarza tłumaczy nam, w jaki sposób powstać mogły wątpliwości co do daty urodzenia Chopina, oraz pomijając zakończenie, w którym rozprawia się z legendami o ostatnich chwilach autora mazurków, całość tej książki oparta jest na twórczym odczytaniu tekstu listów i dzieł Chopina oraz na literaturze jego czasów.

Owe teksty, w których Chopin mówi o sobie muzyką czy słowami, wiąże Iwaszkiewicz ściśle z twórczością i listami Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza, Norwida i Balzaka oraz z tym, co nam mówią George Sand, Delacroix, Heine, Liszt i Schumann.

Metoda prosta i żaden z polskich autorów piszących o Chopinie z pewnością jej nie pominął, lecz dopiero w ręku Iwaszkiewicza wydała ona książkę ukazującą nam w niezwykle sugestywny sposób osobę Chopina.

Dotychczas bowiem osoba ta i dzieła, które stworzył, ukazywane były albo jako nieprawdopodobny jakiś kaprys natury, albo usiłowano ten kaprys dosyć gołosłownie tłumaczyć zbiegiem okoliczności, wśród których powtarzały się twierdzenia o ówczesnym rozkwicie życia muzycznego Warszawy, o roli Elsnera i wpływach muzycznych działających na młodego Chopina.

Iwaszkiewicz — pisarz, poeta a także i muzyk — zna dobrze Europę i wie, ile tam, na Zachodzie, pozostało nie tylko domów, ale i zwyczajów, i metod

działania podobnych do tych, jakie istniały za życia Chopina. To ułatwia mu zadanie. Jeśli bowiem znajomość naszej historii pozwala mu na wniknięcie w epokę przedpowstaniową, to druga połowa życia Chopina jest dla autora *Lata w Nohant* czymś równie znajomym i bliskim, tak że nie odczuwamy tu żadnego zbędnego balastu historycznego ani podejrzanej czy naciągniętej fikcji „odautorskiej". Książka ta pisana jest, jak się pisze o sprawach znanych dobrze i bez wysiłku. Sprawia wrażenie jakiegoś niezwykłego pamiętnika, w którym autor postarał się o zmianę formułki przemawiającej w pierwszej osobie.

Nieco więcej niż połowa książki poświęcona jest pierwszym 20 latom, które Chopin spędził w Polsce. Ta formacja dojrzałego człowieka i dojrzałego, świadomego już zupełnie artysty, który w Dzień Zaduszny 1830 roku wyjeżdża z Warszawy, przeprowadzona jest z ogromną wiedzą i intuicją pisarską. Intuicją pisarza, który wie, że genialny chłopiec wiozący za granicę tekę z koncertami i większością etiud, to „człowiek gotowy", który już tylko rozwijać potem będzie zasoby zebrane w kraju.

Nie pretendując do encyklopedycznego czy naukowego wyczerpania wszystkich danych z podróży czy kontaktów Chopina w kraju, wybiera Iwaszkiewicz te, które jego zdaniem najsilniejszy wywarły wpływ na dziecko i chłopca: dom rodzinny, a więc rodzice i siostry, potem Żywny i Elsner, koledzy w pensjonacie ojca, gorące przyjaźnie z Białobłockim i Tytusem Woyciechowskim, którego rola w życiu Chopina szczególnie jest podkreślona.

Wreszcie Warszawa tego czasu, silny wpływ (poprzez ojca i profesorów) umysłowości Wieku Oświecenia, tłumaczący tak logicznie trzeźwy sąd i umiar klasyczny Chopina. Po raz pierwszy tak jasno zostały podane te sprawy, głębsze od samej tylko techniki kompozytorskiej. Wiąże się z nimi ściśle stosunek Chopina do powstania: ból i rozpacz, pokrewne najtragiczniejszym stronom naszej poezji, przy jednoczesnym jasnym i twardym sądzie, że Chopin w powstanie nie wierzył.

Wyjeżdżał niemal-że w przeddzień jego wybuchu. Iwaszkiewicz dopatruje się tu ręki przyjaciół. Wysłano go opatrzonego środkami, które ułatwiły mu zdobycie wielkiego świata w Paryżu. Nie zatrzymała go miłość do Konstancji Gładkowskiej, którą Iwaszkiewicz, chyba słusznie, sprowadza do romatycznej — zapewne — lecz w gruncie rzeczy młodzieńczej i niejako „obowiązkowej" miłości.

Czy samo mistrzostwo wystarczało, aby tak szybko zdobyć Paryż, przepełniony podówczas artystami najwyższej miary?

Iwaszkiewicz sytuuje ich postaci we właściwych proporcjach, według wieku i znaczenia, jakie posiadali wtedy, w trzydziestych latach XIX wieku. W ten sposób otrzymujemy jak gdyby nowy portrecik młodego Liszta: „był on wesołym studentem, wyznaczającym sobie w późniejszym nawet czasie randki z żoną wydawcy Chopina, Pleyela, w mieszkaniu Fryderyka. Był to zarazem chłonny artysta, dla którego etiudy Chopina, muzyka Chopina, sam Chopin — były objawieniem wartości artystycznych, o jakich dotychczas ten pianista nie miał pojęcia". Portretów takich jest pełno, nie mówiąc już o świetnych postaciach George Sand i Delfiny Potockiej.

Podczas gdy rodzina, profesorowie, środowisko warszawskie, przyjaciele, kobiety i wreszcie wielki świat paryski, artystyczny, arystokratyczny i bankierski przesuwają się kolejno na kanwie tej książki, sam Chopin ukazuje się

raz po raz to jako wesoły chłopiec, to jako tragiczny i zrozpaczony w Stuttgarcie i Wiedniu gorący patriota, to jako materialistyczny i wolteriański sceptyk, zgorzkniały wreszcie stary kawaler. Wszystko to jednak opromienione jest nie tylko jego sztuką, ale jego poetyckością i artyzmem, życiem wewnętrznym, którego bogactwo sięgało od wolteriańskiej trzeźwości po mickiewiczowską namiętność.

Tak bogatą i jednolitą zarazem postać mógł stworzyć tylko pisarz-poeta. Lecz równocześnie sięgnął on głęboko w zagadnienia twórczości i warsztatu kompozytorskiego, dając obok atmosfery wpływów Hummla i Fielda, Szymanowskiej i Moschelesa sporo uwag o genezie etiud, o wpływie nie tylko naszej mazowieckiej pieśni, ale i pieśni ukraińskich, które niewątpliwie słyszał Chopin w Poturzynie na plantacjach buraków u Woyciechowskiego. Wystarczy spojrzeć na... mapę i na nokturn g-moll op. 15 nr 3. Te uwagi rozsiane po całej książce pozwalają czytelnikowi nie tylko lepiej zrozumieć muzykę Chopina, ale i nasuwają wiele refleksji co do genezy jej powstania.

Najbardziej może zafrapował mnie cały ustęp z czwartego rozdziału, w którym autor polemizuje z rozpowszechnionym poglądem o jednorodności dzieł Chopina. Iwaszkiewicz sugeruje i wskazuje na istnienie innego, podziemnego nurtu w jego twórczości: „Inna maniera, zupełnie odmienna od zrealizowanej i znanej nam tak dobrze od początku do końca. Znamy tylko pierwszy i ostatni przebłysk tej podziemnej, surowej, zimnej rzeki: pierwszą sonatę fortepianową i ostatnią sonatę wiolonczelową. Mają one z sobą głęboki związek. Istnienie tego zatajonego drugiego nurtu (...) sygnalizują nam niekiedy jakieś dziwne echa: nokturn g-moll, preludium a-moll lub niektóre partie Barcarolli". Rozwijając te myśli dochodzi Iwaszkiewicz do wniosku, że Chopin świadomie nie poszedł tą drogą. „Zdusił w sobie owe zachcianki naukowego aranżera doświadczeń, owego intelektualistę, którego oddał w ofierze swojej sensytywności. Czy w owej walce Elsner był po stronie muzyki eksperymentalnej, czystej jak górski strumień? Czy patronował temu eksperymentowi? Sonata jest dedykowana Elsnerowi — a więc zapewne ją aprobował. Tajemnica sonaty c-moll pozostanie na zawsze tajemnicą pomiędzy uczniem a nauczycielem."

Cytuję ten ustęp, by wskazać, jak twórczo wnika Iwaszkiewicz w sprawy głębsze od samego nawet „warsztatu kompozytorskiego". Są to bowiem zagadnienia dotyczące samego rdzenia inwencji, do którego tak mało kto dociera, pisząc o największych czy o mniej wielkich artystach. Naukowcy rozcinają i zagłębiają się zazwyczaj w analityczny sposób w sprawy harmonii, formy lub wpływów, lecz rzadko mają tyle fantazji, by konstruować jakiś świat wewnętrzny tworzącego artysty. Jest to ryzykowne, trudno sprawdzalne, lecz z pewnością pasjonujące. Takie strony znajdujemy czasami u Gide'a, gdy pisze o literaturze czy muzyce, u Prousta, gdy kreuje postaci Vinteuil'a, Bergotte'a czy Elstira, u Tomasza Manna, gdy tworzy nowego kompozytora, Leverkühna, w swoim *Faustusie*. Romain Rolland potrąca o te sprawy w swoim *Janie Krzysztofie*, utopione są one tam jednak w całej masie jakiegoś secesyjnego dla mnie romantyzmu i „grandylokwencji", której nie mogę dziś przełknąć; pasjonowało mnie to, gdy miałem 15 lat. W *Chopinie* Iwaszkiewicza widzę coś z tej metody Manna, Prousta czy Gide'a, lecz oparte o prawdziwą postać, o istniejącą muzykę i o wszelkie dostępne źródła odnoszące się do osoby i epoki, w której żył Chopin. Dlatego tyle uwagi tej książce poświęcam; widzę

w niej bowiem wielką równowagę pomiędzy życiem wewnętrznym, anegdotą i powstałym z nich dziełem Chopina.

W piśmiennictwie naszym, i nie tylko naszym, jest to wyjątkowa pozycja. Klarowność i prostota tej książki pozwalają na najszersze jej rozpowszechnienie. Zapewne, wymaga ona jakiegoś zupełnie podstawowego przygotowania ze strony czytelnika. Wyprana jest bowiem z wszelkiej sensacyjności, którą operują tak często autorzy popularnych powieści biograficznych. Nacisk położony jest na wyrazie muzycznym dzieł, z których Iwaszkiewicz cytuje wiele przykładów i raczej unika literackiego ich komentowania. Czytelnik musi odczuwać muzyczne znaczenie takiego czy innego przykładu. Podobnie musi mieć czytelnik opanowane jakieś rudymenta, by w pełni ocenić to, co Iwaszkiewicz pisze o romantyzmie Chopina, a co prowadzi do twierdzenia, że „dążeniem ś w i a d o m y m (podkreślenie moje) Chopina było tworzenie muzyki klasycznej". Tego samego minimalnego przygotowania wymagają wywody rozsiane w całej książce, a zmierzające do stwierdzenia w rozdziale XIV: „Jakże trzeźwe i słuszne wyda nam się zachowanie Chopina w porównaniu z szaleństwem legionu włoskiego Mickiewicza lub z propagandą rozbrojenia, podjętą przez mistycyzm Słowackiego. Jak dojrzały ten sąd, poważny w porównaniu z lękiem Zygmunta Krasińskiego. Zadziwiający, spokojny, trzeźwy umysł Chopina tryumfuje w epoce Wiosny Ludów".

W ostatnich rozdziałach, w których autor pisze o podróży do Anglii i Szkocji, o powrocie do Paryża i o śmierci Chopina, wszystko skupione jest na tym, co mógł odczuwać sam Chopin, patrzący i na swoje życie, i na swe dzieło. Jest to — moim zdaniem — przeprowadzone mistrzowsko, pełne gorącego uczucia, a pozbawione częstego w takich wypadkach patosu. Pojawia się znowu w umyśle Chopina postać przyjaciela młodości, Woyciechowskiego, do którego pisał jeden z ostatnich swych listów. Pojawiają się wszystkie wątpliwości nieodłączne od choroby i zbliżającego się końca. „Moja sztuka gdzie się podziała? A moje serce gdziem zmarnował?"

Bardzo bym chciał, żeby tego typu książka pojawiła się na przykład o Mickiewiczu. Krótka, a obejmująca jego wielkość, jego dziwaczne błądzenie, w którym usiłuje tę wielkość spotęgować, a popada w skrajności, od których Chopin był wolny. Jakże byli różni, a jak analogiczne wyrażali sprawy! Bo czyż w polonezach, w sonacie b-moll, w etiudach i scherzach nie czujemy tego samego wyrazu i tej samej gwałtowności, co w najbardziej gwałtownych wierszach Mickiewicza? Takiej muzyki nie pisał ani Berlioz, ani Schumann, ani Liszt. To jest tragiczna i potężna nuta, którą nam książka Iwaszkiewicza z wielką siłą przekonywającą tłumaczy.

Zygmunt Mycielski

OD KATASTROFIZMU DO POEZJI POLITYCZNEJ

Tadeusz Borowski. *Wiersze — Utworów zebranych* pod redakcją Jerzego Andrzejewskiego tom I. Wstęp Wiktora Woroszylskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954; str. 243.

Tadeusz Borowski należy do licznego grona prozaików, którzy rozpoczynali swą działalność pisarską od poezji. Nie zajmuje ona jednak w jego dorobku miejsca równoważnego z nowelistyką — tak jak np. w twórczości Konopnickiej czy Iwaszkiewicza, stanowi również pozycję mniej istotną od znakomitej publicystyki. Nie jest też nic nie znaczącym początkiem, który nie ma większej wartości — jak utwory liryczne w spuściźnie Sienkiewicza, Orzeszkowej czy Turgieniewa. Wiersze stanowiły mniej więcej do roku 1945 centrum zainteresowań twórczych Borowskiego. Później — gdy pisarz poświęcił się prozie — stały się jedynie „produktem ubocznym" na warsztacie beletrysty. Liryka Borowskiego, chociaż z pewnością nie dorównuje prozie — żaden z wierszy nie może tak silnie wstrząsnąć i pozostać trwale w pamięci, jak *Dzień na Harmenzach*, *Muzyka w Herzenburgu* czy namiętna publicystyka *Opowiadań z książek i gazet* — jest bardzo interesująca. I to nie tylko ze względu na tkwiące w niej wartości, lecz również dlatego, że ukazuje krystalizowanie się zainteresowań pisarskich Borowskiego, ukazuje pozycje, z których wychodził, i pozwala śledzić drogi jego rozwoju od mgławicowych wierszy młodzieńczych po znakomite osiągnięcia realistyczne. Jest jakby syntetycznym skrótem twórczych ewolucji pisarza.

Obszerny tom *Wierszy* zawiera utwory w większości prawie nieznane: część z nich była wydana konspiracyjnie w czasie okupacji, część zaś pochodzi z papierów pośmiertnych. Pierwszy cykl poety *Gdziekolwiek ziemia...* (1942) wyrasta z poezji dwudziestolecia, zwłaszcza jest silnie związany z jej tuż-przedwojenną fazą rozwoju. Łączy się z tzw. katastrofizmem. Katastrofizm liryki lat trzydziestych, którym manifestowali poeci swój negatywny stosunek do zjawisk współczesności, nie był bezwzględną nowością. Wywodził się bowiem z poezji ekspresjonistów a zwłaszcza Kasprowicza i Leśmiana. U autora *Łąki* ginięcie, rozpadanie się świata nie miało jeszcze tak wielkiego piętna filozoficznego i światopoglądowego. Jego obrazy były przede wszystkim konkretne, wyraziste, filozoficzne uogólnienie kryło się poza nimi. Poezja okresu tuż-przedwojennego ukazuje zanik świata „w ogóle". Przez to pojęcie „świat" staje się abstrakcją, niczego w zasadzie nie oznacza. Jest ogólnikiem, nie dającym się wyrazić poprzez obraz. Rekompensatą przedstawienia świata, który rozpada się na drobne części, miały być wizje całej „rzeczywistości astronomicznej". Scenerią liryki stają się przestrzenie kosmiczne, jej realiami — ciała astralne. Podmiot liryczny takich wierszy łączy zazwyczaj w swojej wizji poetyckiej obiektywną rzeczywistość, której pewne cechy chce ukazać z tym światem, jaki powstaje tylko w jego wyobraźni. Powraca więc do założeń i poetyki ekspresjonizmu. Bo też katastrofizm był najbardziej konsekwentną jego odmianą — zarówno w swym bezładnym buntarstwie i strachu przed postępującą historią, jak i w swej

poetyce, w której bohater wiersza raczej nie przeżywa zjawisk świata, ale sam jest jego twórcą. Mimo wszystko katastrofizm nie był oderwany od historii — powstał przecież z reakcji na jeden z najważniejszych problemów współczesności: groźbę wojny. Ale jego położenie było paradoksalne. Bo swą historyczną genezę gubił w skłonnościach do „pozaczasowości", do abstrakcji, do porzucania tego wszystkiego, co w przeżyciach bohaterów lirycznych było związane z konkretną sytuacją.

Borowski w swym pierwszym zbiorze — tak jak i inni poeci zaczynający pisać w czasie okupacji (np. Bratny czy Bartelski) — silnie uległ ekspresjonistycznemu katastrofizmowi. Jednakże o swoistości jego debiutu decyduje to, że łączy się on z zupełnie inną tendencją poetycką: klasycyzmem, również charakterystycznym dla liryki okresu poprzedzającego wojnę. Ekspresjonizm, dbając przede wszystkim o to, by utwór liryczny stanowił wyraz i niejako zapis „toku świadomości" poety, prowadził często do rozprzężenia materiału poetyckiego, wiódł do luźnej, nieskoordynowanej kompozycji wiersza, do dowolności w następstwie obrazów. Klasycyzm przejawia się u Borowskiego w obiektywizowaniu zarówno zawartych w wierszu przedstawień jak i wzruszeń. Prowadzi do pewnego dystansu wobec odtwarzanych przeżyć. Ale — jak sądzę — jego zadaniem zasadniczym jest jakby ściszenie tonu, opanowanie krzykliwości katastroficznej makabry. Oczywiście, nie równało się to łagodzeniu obrazu, lecz przede wszystkim służyło jego skoordynowaniu i zdyscyplinowaniu.

Twórczość Borowskiego jest reprezentatywna dla poetów, którzy swe literackie dojrzewanie rozpoczęli w czasie wojny. Jej zasadniczym celem jest stworzenie lirycznej wizji przeżyć człowieka prześladowanego. Jednakże — zwłaszcza w pierwszych wierszach — temu chyba najszlachetniejszemu celowi przeszkadzała poetyka. Pisarz przyjął ją jakby *a priori*, nie wynikała ona z treści wiersza, co gorzej: często się z nią kłóciła. Cały cykl *Gdziekolwiek ziemia...* padł ofiarą konwencji literackich. To bowiem, co było w nim bezpośrednią reakcją na czasy pogardy, zostało zagubione w nierealistycznym obrazowaniu, w ciążeniu ku wizjom bardzo nieokreślonym, niemal abstrakcyjnym, trudnym do wyobrażenia. W wierszach tych brak jakby wymiaru historycznego. Przez to odbijają one czas wojny w sposób bardzo wąski, nieraz dzięki aluzjom, a nie szeroko zakreślonym obrazom. Poeta szuka obrazowych wykładników ludzkich przeżyć, ale szuka ich w tej sferze, że między nimi powstaje przepaść. Tragiczne uczucia, myśli, doznania nie tylko nie znajdują uzewnętrznienia w obrazach, ale się wręcz w nich gubią lub całkiem giną. Kunsztowne metafory kłamią uczuciom, są puste — bo nie zawsze w sposób oczywisty im służą:

> Horyzont rzucony w krąg, brzeg nasycony sino,
> rysuje koło ziemi, granicę ludzkim stopom
> złudną, kłamiącą spojrzeniu, bo skraj ostateczny nieba
> tu oczom spływa na ziemię jak wbity w skałę fundament,
> tam innym się oczom podnosi, nad czołem wisi sklepieniem
> i inny zakreśla krąg. Każdy nasz krok i ruch
> łamie okręgi nieba, kolumny wsparte o ziemię,
> i mąci bezkarnie oczy powietrza, zmrużone badawczo.
>
> *(Obrazy snu)*

Absolutny brak konkretności w transponowaniu uczuć na symbolicznie traktowane obrazy „astronomiczne" fatalnie odbija się na wierszach, osłabia ich liryczny rezonans. Skomplikowana, często wyrafinowana stylistyka tworzy wędzidło dla wzruszeń i myśli, a nie ułatwia wniknięcia w nie i zrozumienia.

W całym cyklu Borowski szczególnie często posługuje się opisem. Jest to jednak często opis „imaginacyjny", „fantastyczny", gdyż odtwarzane przedmioty nie należą do świata empirycznego. Nieporozumieniem tych wierszy jest nieproporcjonalny stosunek opisu i akcji lirycznej. Opis ją zapowiada, ale spełnienie nie następuje. Dlatego jest on w kilku fragmentach wartością samą w sobie, jest uwerturą, po której nie podnosi się kurtyna i nie rozpoczyna się operowy spektakl. Opis Borowskiego jest często sugestywny. Poeta skłania się ku animizacjom i personifikacjom — jest to w pewnej mierze środek jego zdynamizowania. Łączy właściwe, naturalne cechy przedmiotów z ich nowymi cechami spersonifikowanymi. Ukazuje przez to bogactwo przedsta-

wienia, niejako różnoraką pełnię obrazu:

Umarłe oczy przestrzeni niezdrowym
blaskiem zaległy:
kiedyż się elips sprężyny ze świstem stali
odegną,
a gwiazdy przed siebie runą, rwąc
wodospadem przestrzeń?
Samotność i męka święcenia, męka
wiecznego obrotu
tężeje jak ból w kręgosłupie. Gwiazdy
falami krzyczą.

(Nocna elegia)

Borowski personifikuje obraz w sposób trojaki. Przede wszystkim nadaje martwej rzeczywistości cechy ludzkie: przestrzeń dysponuje oczami; następnie przez porównania do pewnych stanów i doznań człowieka. Najrzadziej korzysta z klasycznej postaci personifikacji: przypisywania rzeczy czynności ludzkich. Piszę tak dużo o personifikacji, bo wpływa ona na dynamikę obrazu, która gra w poezji Borowskiego wielką rolę. Dynamiczny, zaborczy — jak u Leśmiana — świat rzeczy niejako pochłania człowieka. Jest on przygnieciony rzeczywistością — nie tylko ziemską, ale i kosmiczną, o której Borowski pisze. W tym wyraża się jego pesymistyczna filozofia. W katastroficznych wizjach świat nie tylko się rozpada, ale zabija swymi odłamkami człowieka. Oczywiście, trzeba w tym widzieć odbicie przeżyć i nastrojów z okresu okupacji, ale odbicie odkonkretnione, w dużym stopniu zamazane i złagodzone przez przyjęcie niesłusznych założeń literackich.

Poetyka pierwszego cyklu Borowskiego, jeśliby pisarz chciał ją kontynuować, nie otwierała perspektyw rozwoju. Już od pierwszej chwili zarażona była konwencjonalnością i „literackością". Następne utwory autora *Czerwonego maja* świadczą, że poszukiwał on czegoś nowego, innego, bardziej adekwatnego wobec przeżyć, które chciał wyrażać. Swe tendencje artystyczne i stylistyczne określi sam poeta w jednym z wierszy:

Jestem poetą. To znaczy nazywam
rzeczy imieniem: na świat mówię — świat,
na kraj — Ojczyzna, czasem mówię
chmurnie
na durniów — durnie.

*

To wyznanie poetyckie, jeśliby nie miało pozostać gołą deklaracją, pustym dźwiękiem, musiało się łączyć ze zmianą poetyki. Strofa ta — pochodząca z jednego z późniejszych wierszy Borowskiego — jest podsumowaniem jego osiągnięć poetyckich z okresu po powstaniu cyklu *Gdziekolwiek ziemia...* Stanowi też program na przyszłość.

Rzeczywiście, w wierszach późniejszych opuścił Borowski sfery niebieskie. Nowe utwory osadzone są wyraźnie wśród ziemskich realiów. Zarzuca poeta skomplikowany i koturnowy styl — zwraca się do prostoty, zaczyna pisać językiem potocznym, z rzadka tylko metaforyzowanym, a często bardzo dosadnym. Dla odtworzenia tragicznych przeżyć nie konstruuje już systemów peryfraz. Pisze wprost, zwięźle, lapidarnie:

Parno i duszno. Sen jak kamień.
Nie ma oddechu. Rzęzi gardło.
Jak ciężka stopa piersi łamie
milczenie trzech milionów zmarłych.

(Noc nad Birkenau)

Te właśnie wiersze są przejmującymi dokumentami lirycznymi z tamtych lat. One wstrząsają głównie przez swą bezpośredniość, głównie przez to, że o „milczeniu trzech milionów zmarłych" mówi się właśnie tak, po prostu, a nie inaczej. Zapewne, wiele wierszy nie jest tak dobrze napisanych jak *Gdziekolwiek ziemia...*, ale mimo to reprezentują one wyższy stopień kunsztu poetyckiego, gdyż zanikła w nich sprzeczność między wzruszeniem a poetyką, między myślą a słowem. Nowe utwory nie są tak wypracowane, niektóre z nich to literackie „gnieciuchy" — by posłużyć się terminem Adolfa Rudnickiego — a jednak dużo bardziej przekonują od dobrej roboty pierwszego cyklu. Miejsce rozbudowanego obrazu zajmuje w nich pozornie sucha i do granic zobiektywizowana informacja:

Ciągną pochodem ludzie. Wagony,
komora, gaz.
Za wodę, za łyk powietrza sprzedają
złoto żołnierzom.
Oto dopełnia się w nas legenda, koszmar
i baśń,
a pokolenia po nas z pogardy nie będą
wierzyć.

Oto jest blok nabity parnym człowieczym
mięsem,
żyjącym ludzkim popiołem. Wspólna jest
prycza i miska,

wspólne są strach i nadzieja, upał i deszcz
dla wszystkich
i jednakowo dłonie nad litrem zupy się
trzęsą.

(Do narzeczonej)

Wydaje mi się, że taka pozorna informacyjność kryje w sobie ogromne możliwości, ma ogromne zalety. Jest to właściwie najlepszy sposób mówienia o rzeczach strasznych, jeśli chce się je ukazać w całej okazałości. Peryfrazy mogą przecież zagubić całą istotną treść, a hiperbole — z łatwością poprowadzić do pseudopoetyckiej przesady i pustego frazesu. Informacja — tak już to umownie nazwijmy — nie jest, oczywiście, informacją w codziennym znaczeniu tego słowa, gdyż jest ona nasiąknięta liryzmem. Odtwarzany w wierszu fakt jest ściśle zespolony z jego liryczną interpretacją. Interpretacją jest właśnie ta pozorna oschłość, relacyjny charakter utworu — wyraża on bowiem stosunek pisarza do odtwarzanych zdarzeń. Mówi, jaką wagę przywiązuje on do nich, że stara się je odtworzyć w prostej, bezpośredniej postaci. Zdolność emocjonalnego przemawiania samego faktu i siła przejęcia uczuciowego podmiotu lirycznego powodują, że wierszom takim są niepotrzebne wszelkie „podpórki" obrazowe i stylistyczne. W nich wszystko przemawia samo za siebie.

Wydaje mi się, że zagadnienie „informacyjności" łączy się nie tylko z problemami stylistycznymi, ale i wersyfikacyjnymi. Są one ściśle ze sobą zespolone. Informacje wymagają zdań prostych, zwartych, jedynie sygnalizujących, a nie omawiających czy analizujących. Muszą być treściwe i przejrzyste. Stąd najczęściej pojawiają się zdania krótkie, niekiedy urywane. Zazwyczaj mieszczą się one w jednej linijce wierszowej w całości, a jeśli nie — to na koniec linijki przypada jakiś szczególnie ważny fragment zdania — nie chodzi mi o osobne słowo, ważne z punktu widzenia treści, ale o fragment frazy, np. koniec zdania głównego czy podrzędnego. Są to zawsze zdania oznajmujące. Zgodność budowy syntaktycznej z budową wersyfikacyjną nadaje wierszowi specyficzny profil — upodabnia sposób jego wypowiadania do sposobu wypowiadania informacji. Zbliża to wiersz bardziej do mowy potocznej, a jednocześnie jest czymś nowym. Tworzy swoisty rytm, w pełni uchwytny dopiero przy głośnym czytaniu. Zjawisko to w wierszach Borowskiego występuje w postaci zalążkowej. Ale wydaje mi się, że nie ogranicza się ono tylko do jego twórczości, istotne jest w ogóle dla naszej poezji. Zaobserwowałem je np. w kilku lirykach o tematyce okupacyjnej Jana Śpiewaka, w szeregu wierszy Różewicza, w wielu utworach Jastruna. Rzecz charakterystyczna, że ten model składniowo-wersyfikacyjny rozwija się w wierszach, obracających się w kręgu jasno sprecyzowanej tematyki. Jest on już teraz w pewnej mierze artystycznie zsemantyzowany. Staje się środkiem wyrazu. Mało bowiem krępuje, jest swobodny, może trochę zbliżony do prozy — przez co jest dobrym nosicielem przeżyć, przeżyć przemawiających same za siebie, których nie trzeba upiększać. Rytm tych wierszy jest powolny i — jeśli tak powiedzieć można — ciężki. Jego przyczyną są peralelizmy składniowe — polegające nie tyle na powtarzaniu tych samych słów, ile na analogicznej budowie zdań. Proszę się pod tym kątem przyjrzeć dwóm pierwszym wierszom cytowanego wyżej liryka *Do narzeczonej*. Paralelizm przybiera tam jakby dwie postaci. Pierwsza — to wyliczenie, nadające utworowi specyficzny kontur intonacyjny. Druga — jeszcze ważniejsza — to powtarzająca się zgodność członu zdania i członu wersyfikacyjnego.

Pisząc o strasznych czasach i tragicznych doświadczeniach Borowski sam jakby im się dziwi, nie dowierza. To łączy go trochę z poezją Różewicza. Zjawiska przestają być sobą, pojęcia tracą swe dawne znaczenie. Pojawiają się bardzo charakterystyczne pytania w wierszach martyrologicznych: „Cóż jest sławą?" (w wierszu *Badanie*), czy „... cóż znaczą słowa?" (w utworze *Niebo październikowe*). Świadczą one o tym, że Borowski widział wojnę jako czynnik burzący ustalone kategorie moralne, odbierający podstawowy sens powszechnie używanym słowom. Na te pytania nie znajdował poeta odpowiedzi. Bo też znaleźć nie mógł. Poszukiwał Borowski — tak jak we wczesnych tomikach Różewicz — jakiegoś porządku świata i ładu społecznego, szukał jakby nowego sensu życia i rzeczywistości. Ale rzeczywistość, w której poeta żył tuż po wyzwoleniu, nie zapewniła drogi do osiągnięcia takiego celu. Wyzwole-

nia w Niemczech przez Amerykanów nie przedstawia pisarz jako spełnienia marzeń. Jest rozczarowany. Widzi, że stosunkowo niewiele się zmieniło, zaczyna dostrzegać nowe tragedie i nowe łajdactwa. Nie staje się bardem wyzwolonych więźniów. Wprost przeciwnie — odzywa się w nim wtedy talent satyryka. Wyzwolenie, które przeżył, ukazuje nie tyle jako prawdziwą wolność, ile swobodę dla zmysłów:

Jak burdele świeciły baraki,
patriotycznym dymiły się śpiewem,
wolność! wolność! macali dziewczęta
i łapczywie gotowali kartofle.

(Noc zza oceanu)

Wiersze takie jak *Noc zza oceanu*, z której pochodzi cytowana strofa, czy zwłaszcza reportaż poetycki *Koniec wojny albo noc w czternastu częściach* mogłyby być utworami stanowiącymi obyczajowy skandal — daleko jednak odbiegają od tego rodzaju literatury. To już wiersze w całej pełni polityczne. Atakują nie tylko pseudopatriotyczną tromtadrację, nie tylko sprowadzają ją do właściwych jej wymiarów — ale są skierowane przeciwko tym, którzy się za tą tromtadracją kryją. Stają się frontalnym atakiem na emigracyjne okopy Świętej Trójcy. Podziwiać w nich trzeba instynkt polityczny Borowskiego, który już wtedy, w okresie jeszcze przecież wielkiego zamętu, tak trafnie rozeznał się w sytuacji. *Koniec wojny* — utwór napisany tylko we fragmentach, ale dość szeroko zakrojony — to znakomity atak na polityczną reakcję. Atak ostry, namiętny, w którym jednak poeta nigdy nie ześlizguje się na manowce publicystyki. W obnażaniu nacjonalistycznego frazesu nawiązał Borowski do Krasińskiego. Jest to w pewnym sensie nawiązanie negatywne, polemizujące. Słowa swych przeciwników i relacje o ich działaniu wtłacza pisarz w ramy trocheicznego 8-zgłoskowca, tak dobrze znanego z *Psalmów* Krasińskiego. Uzyskuje przez to bogaty efekt artystyczno-ideowy. Ukazuje bowiem wsteczne tradycje tych emigrantów, a jednocześnie wyraża przy tym swoje stanowisko wobec nich. Bo oczywiście 8-zgłoskowiec, złożony z samych trochejów, chyba najbardziej skoczny i jednostajnie „rąbany" rytm w poezji polskiej, nie jest odpowiedni dla wyrażanych w wierszu treści. Borowski celowo tworzy tę dysproporcję między rytmem a sensem, nadaje jej duży walor artystyczny. Wzorzec wersyfikacyjny staje się tu ważnym składnikiem treści, pełni rolę jakby komentarza autorskiego. Równie interesująco wyzyskana jest wersyfikacja w ironicznej *Opowiastce o Adasiu*, stylizowanej na stereotypowy wiersz utworów dla dzieci.

Liryki powstałe już po wyzwoleniu, a przed powrotem poety do kraju są niezwykle namiętne, ostre, żarliwe. Właśnie żarliwość, tak charakterystyczna dla Borowskiego-prozaika, a zwłaszcza publicysty, tu zaczęła się kształtować. W swych namiętnych polemikach lirycznych nie przebiera pisarz w słowach — używa jak najostrzejszych i dosadniejszych, jeśli te tylko najlepiej chwytają treść, którą chce wyrazić. Wiersze te są niekiedy brutalne. Nie wygładza pisarz obrazowania, nie gardzi fragmentami niekiedy bardzo „naturalistycznymi". Nie unika słów, które jeszcze poeci pokolenia poprzedniego zastępowali wstydliwymi kropkami. Wszystko to nie przeistacza się w manierę, bo jest uwarunkowane treścią, jest nierozłącznie związane z tym, co poeta chce powiedzieć. Wiersze przedstawiają zarysowywanie się kręgu zainteresowań pisarskich Borowskiego. Dla niektórych z nich można z łatwością znaleźć odpowiedniki wśród utworów prozatorskich pisarza. Takie liryki, zresztą o zacięciu wybitnie satyrycznym, jak *Modlitwa księdza* czy *Modlitwa o zbawienie duszy Kaltebrunnera* są świetnymi pamfletami na klerykalną moralność i obłudę, zapowiadają już mistrzowski atak na dewockie i w gruncie rzeczy antyhumanistyczne wynurzenia Kossak-Szczuckiej o Oświęcimiu.

Czytając *Wiersze* Borowskiego, właściwie obserwujemy procesy jego rozwoju, obserwujemy krystalizowanie się jego wielkiego talentu. Większa część dorobku lirycznego autora *Pożegnania z Marią* odznacza się już tymi cechami, którymi odznaczać się będzie całe jego dojrzałe pisarstwo: niezwykłą wręcz drapieżnością spojrzenia na świat, przenikliwością polityczną, wielkim zaangażowaniem emocjonalnym, a w zakresie stylistyki skłonnością do ostrości sformułowań i, przy pozornej niedbałości, do precyzji słowa, do tego właśnie, by rzeczy nazywać ich imieniem.

Michał Głowiński

„A MNIE POTRZEBNA JEDNA MUZA SKROMNA..."

Anna Kamieńska: *Bicie serca*, Warszawa, 1954, „Czytelnik"; str. 68.

Kocham cię, wielkie życie, i pragnę objąć myślą —
Wiedzą ciebie zrozumiem, miłością ciebie zmienię.

Są to pierwszy i ostatni werset wstępnego wiersza *Bicia serca*. Można je wynotować jako przykład licznych wyznań rozsianych w utworach Kamieńskiej. Ich wymowa jest znamienna: brzmią jak żarliwa formuła programowa. W ten właśnie sposób poetka, odznaczająca się dążeniem do świadomego działania, dokonuje prób jakby samookreślenia. Formuły bywają, co prawda, ogólne, lecz orientują w sensie i kierunku wysiłków; gdyby zrobiło się ich rejestr, wyznaczyłyby może w przybliżeniu kontur charakterystyki. Tak było przedtem w *O szczęściu*, tak jest w stopniu jeszcze wydatniejszym w nowej książeczce. Wolno w tym z pewnością widzieć istotną cechę indywidualności autorki.

W *Biciu serca* przecież odezwania nabierają dodatkowo szczególnych, niesłyszanych przedtem akcentów:

Nie agituje mój wiersz. To jest opis.
Nie umiem krzyczeć. Ja zawsze i zawsze
Własne me serce agituję tylko
Do podwójnego bicia, może przy nim
Uderzy inne serce.

Zastanawia opleciona wokół tezy głównej, tłumaczącej zasadę tytułu, owa osobliwa girlanda stwierdzeń typu negatywnego: „nie agituje mój wiersz", „nie umiem krzyczeć". Pokrewnych określeń nasuwa się więcej (np. „plakat", „gazetowy szept" itp.). Mają one podwyższoną temperaturę rozdrażnienia lub układają się w grymas przekąsu. Odczuwa się je jako zbyteczny a bodaj niepowściągliwy wtręt; zaskakują nawet i zadziwiają swoją obecnością.

Wystarczy jednak uprzytomnić sobie czas powstawania utworów (poprzedni tomik wyszedł w r. 1952), aby dorozumieć się, że jest to swoista pamiątka po „strefie ulewy i grzmotu", w której do niedawna jeszcze pozostawało nasze życie literackie. Tak mianowicie Kamieńska manifestowała sprzeciwy wobec nagminnego ówcześnie przymierzania do poezji ciasnych postulatów i uroszczeń, wyprowadzanych z niewłaściwego rozumienia ofensywy ideologicznej w sztuce. Irytacja i przekora zatem stanowią tylko cechę — żeby tak powiedzieć — etapową. Niemniej jednak podminowują wymowę zbiorku i obciążają wynoszone z lektury wrażenia specyficznym napięciem.

Jeden z wielkich pisarzy konstatował kiedyś ze smutkiem, że w pewnych warunkach artysta może poświęcić dziełu zaledwie część swoich sił, gdyż równie wiele pochłania mu konieczność wyjaśnień i obrony tego, co tworzy. W książeczce Kamieńskiej wypady polemiczne zajęły tyle miejsca, jakby samą już ilością chciały ilustrować prawdę owego zdania. Ostateczny obrachunek wykazuje, istotnie, nadmierne koszty w bilansie wysiłków. Ataki poetki miały przedmiot, który nie nastręczał żadnej problematyki i mógł co najwyżej pobudzać do zniecierpliwienia, toteż zapisywały doraźnymi jedynie znakami wyłącznie margines twórczości. Niewątpliwie każda twórczość, jeżeli znajduje się w sytuacji wymagającej działania obronno-zaczepnego, musi mieć podobnego rodzaju margines; zazwyczaj przecież pozostaje on nieujawniony. Tutaj ujawnił się, niestety, nazbyt szeroko: z jednej strony wtręty zachwiewające równowagę i zniekształcające tonację utworów, z drugiej zaś niepełne dopracowanie lub słabości innych — oto skutek roztrwonienia części sił na nieopatrzną polemikę, w którą poetka pozwoliła się zaangażować okolicznościom. Nierówność książeczki musi być zatem uznana za zbyteczny okup złożony nie tyle za przejście między Scyllą i Charybdą schematyzmu i deklaratywizmu, ile właśnie za chęć zamanifestowania niezależności od ich postrachu.

Wszakże margines, choćby był, jak w tym wypadku, nad miarę rozległy, nie może przesłonić tego, co zawiera się w podstawowym tekście twórczości. *Bicie serca* bowiem, niezależnie od odczuwanej nierówności, pozwala znaleźć w swej ostatecznej wymowie dowody dalszego rozwoju utalentowanej

poetki. Odczytuje się z nich jeszcze raz płodność przemiany, która, jak świadczył poprzedni zbiorek *O szczęściu*, oglądany na tle debiutowego *Wychowania*, poruszyła głęboko źródła sił twórczych. Kamieńska rozwija teraz bezpośrednio i konsekwentnie ujawnione wtedy możliwości. W porównaniu z dotychczasowym dorobkiem widać wzmożoną koncentrację wysiłków i dążeń. Nie ulega wątpliwości, że poetka osiąga pełniejszą krystalizację indywidualnych właściwości swojego talentu.

Jak i w czym się to zaznacza? — Dla ilustracji warto zacytować charakterystyczną wypowiedź, w której Kamieńska, podkreślając z przekąsem swoje przeciwieństwo do nieosiągalnej dla niej „wielkiej myśli, co przelata wieki", oświadcza:

A mnie potrzebna jedna muza skromna,
Nie ta, co wszechświat otwiera — ogromna,
Ale ubiera, karmi małe dzieci.

Przekora jest nazbyt oczywista, żeby ją można było brać za co innego, niż przekorę. W owym jednak przesadnie zaznaczonym przeciwieństwie między „wielką myślą" i „muzą skromną" tkwi coś, co mimo wyjaskrawienia przekazuje prawdę o kierunku poszukiwań. Nastawienie bowiem, które staje się dla autorki niejako wytyczną działania, streszcza następująca inwokacja: „W jak zwykłych sprawach treść życia się skrywa!" A więc swoisty program zwrotu ku „prostym rzeczom, prostym sprawom". Jakie są jego przesłanki? Opór przeciwko praktyce schematyzmu, gubiącego „wielką tematykę" w abstrakcjach i sloganach bezosobistego „plakatu", przyczynił się z pewnością do bardziej zdecydowanego wyrazu tego nastawienia. Sam wszakże program nie jest bynajmniej czymś okolicznościowo wykoncypowanym. Wynika on z właściwości talentu i postawy poetki. Potrzeba konkretu skłaniała ją zawsze do ujmowania świata w perspektywie dostępnej osobistemu doświadczeniu przeżyć i myśli, pasja zaś ideowa i przenikliwość spojrzenia kształtowały tę perspektywę tak, aby odsłaniała się w niej nie fragmentaryczna i nie przypadkowa prawda o świecie. Z tym właśnie wiąże się indywidualna wymowa poezji Kamieńskiej, rozwijającej sprawy powszechne i osobiste, a unikającej niebezpieczeństwa posługiwania się dwoma odmiennymi głosami: politycznym i prywatnym. Nowe wiersze są dalszym świadectwem rosnącej świadomości własnej drogi twórczej. Kontynuują one bowiem tak zaznaczoną linię, pokazując, że to, co z początku poddawała tylko intuicja, staje się obecnie coraz śmielej wybraną zasadą działania.

Wędrówka śladami poszukiwań „muzy skromnej" po obszarach powszedniości naprowadza na charakterystyczne momenty. W twórczości autorki *Bicia serca* zarysowuje się specyficzny krąg tematyki, do którego wraca ona stale w wielu utworach. Jest to, biorąc ogólnie, tematyka wiedzy i kultury. Kamieńska stara się w tym ulubionym swoim kręgu wydobyć i utrwalić sprawy, w których odbija się w pewien sposób sens rewolucyjnego przekształcenia warunków społecznych w naszym kraju. Mówi ona najczęściej o przemianach, jakie dokonują się w ludziach dzięki otwartej teraz dla nich drodze do wiedzy i kultury, oraz o wpływie naukowego poglądu na świat, wypierającego zwycięsko, choć nie bez bolesnych doświadczeń, dotychczasowe wyobrażenia i poglądy, narzucone przez wiekowe upośledzenie i ciemnotę.

Wiersze z tego kręgu mogą stanowić przykład najbardziej z pewnością znamiennej realizacji zadania, jakie poetka wysunęła w swojej twórczości. Odpowiadając na ankietę „*Nowej Kultury*" sformułowała je następująco: „Problem dramatycznego ujęcia obiektywnych spraw ludzkich w poezji jest dla mnie najważniejszym problemem artystycznym". Rodzaj utworów świadczy, że problem artystyczny ma zdecydowaną wagę ideową, obiektywne bowiem sprawy ludzkie są równoznaczne z realnym kształtem i realnym wymiarem ludzkiego losu. Dla Kamieńskiej rozumienie zjawiska wiąże się nierozerwalnie z wydobyciem na jaw jego dynamiki. Ma to pewne konsekwencje w rozwiązaniach problemu artystycznego. Wiersze mianowicie przejmują najczęściej w swój materiał jakąś sytuację o określonym układzie spraw, które stwarzają w życiu ludzkim dramatyczne napięcie lub konflikt. Otóż w tych wypadkach liryk sięga po elementy epickie jako pomoc potrzebną przy konstruowaniu obrazu „obiektywnych spraw ludzkich". Liryka, nasycająca się nieraz w dużym stopniu żywiołem

epickim, zaciera swoje granice gatunkowe. Widać to w wierszach, które opisem lub w sposób niejako analityczno-dyskursywny wydobywają kontrast odsłaniający dramatyczny sens sytuacji, bądź też jeszcze mocniej w wierszach, w których problematyka wyraża się w wątkach rysujących fabułę i tworzących niemal zalążek skondensowanej nowelki.

Jako przykład ilustrujący metodę i właściwości artystyczne Kamieńskiej może posłużyć wiersz *Stanisławowi Opyrchałowi — ludowemu poecie.* Jest on o tyle bardziej wymowny, że szczęśliwym trafem daje się odcyfrować jego genezę. Oto w r. 1951 tygodnik „*Wieś*" wydrukował reportaż o Opyrchale. Ten 58-letni szewc-kaleka z Kalwarii Zebrzydowskiej zdołał dzięki kursowi dla analfabetów zdobyć wiele dla niego znaczący awans kulturalny, wyrażający się m. in. w twórczości rymowanej przeznaczonej na określone okoliczności społeczne. Z drukowanych we „*Wsi*" prac Opyrchała, wspominającego ciężką dolę małorolnych, nędzę, wyzysk i beznadziejność życia w ustroju kapitalistycznym oraz mówiącego o odmienionych warunkach pod władzą robotniczo-chłopską, warto zacytować fragmenty poświęcone nauce:

Pierwszy raz do szkoły (ja tu nic nie kłamię)
Żona mnie odwiodła ku samiutkiej bramie.
Ani ty się nie wstydź, ani nie miej strachu,
Tylko idź do szkoły, mówię tobie, Stachu.
. . . . . .
Najprzód dziękuję za „Matkę", co mi iskrę dała,
Za naszą Konopnicką, co w ogień chuchała.
I za Mickiewicza też dziękuję nisko,
Bo on przygotował plac pod to ognisko.

Życiorys Opyrchała i jego rymowane wypowiedzi pobudziły Kamieńską do następującego odzewu:

Kiedym przechodził koło szkolnej bramy,
Stały wysokie, proste tulipany.

Raz pierwszy żona, poważna i sroga,
Tu mnie przywiodła za rękę do proga.

„Nie będziesz — mówi — więcej alfabeta,
Co do machorki zda mu się gazeta."

W twarz jej odświętnym osłoniętą szalem,
W oczy surowe — nie patrzyłem wcale.

Tylko literki na elementarzu
Biegły jak zmarszczki po znajomej twarzy.

I układało się moje pisanie
I w głody nasze, i w niedospanie.

W rąk bezrobocie i w poniewierki,
I w kłótnie gorzkie, i mdłe rozterki,

W dziewczyny młodej zmarnowane lata
I w ciasną obręcz fornalskiego świata.

A dzisiaj znowu przyszliśmy we dwoje,
Zielem przybrane przebyli pokoje.

Dzięki wam niskie, o, nauczyciele,
Żeście nas dobra nauczyli wiele.

My żeśmy byli jak te cegły ślepe,
Bo z nas rząd obcy dom dla siebie lepił.

My żeśmy byli jak zamurowani,
Z zawiązanymi żyjący oczami.

I tak wracaliśmy razem raz pierwszy.
Ja niosłem książkę Mickiewicza wierszy.

Cóż, i wolnego kroku czas przyśpiesza,
Gdy nas robota rytmami uciesza.

A w wieczór żona, znowu jakby młoda,
Stół ściera długo, zanim książkę poda.

Przykład pokazuje w piękny sposób, co dla autorki oznaczają poszukiwane „zwykłe sprawy" i co znaczy również temat z obrębu własnego przeżycia. Pouczające jest zestawienie wiersza z życiorysem Opyrchała i fragmentami jego utworów. Widać mianowicie, jak autorka, zachowując omal rygorystyczną wierność szczegółom, uzupełnia je odpowiednio i komponuje, aby poprzez prawdę jednostkowego konkretu wydobyć w rysowanym portrecie prawdę typowości. Sens podobnych dążeń można zaobserwować także w innych próbach, jak np. *Aktorom „Artosu"*, *Z kursów wieczorowych*, czy *Kaszubski wiersz* lub *Pisze mi korespondent.* W cytacie zwraca uwagę w nie mniejszym stopniu osiągnięcie stylistyczne, które w swojej wolnej od stylizacji prostocie nawiązuje w odczuwalny, choć nie łatwo uchwytny, sposób do ludowości; także pod tym względem wiersz ten może służyć za przykład usiłowań autorki w innych jej utworach.

Wzmocnienie bowiem akcentu położonego na zwrocie ku „prostym rzeczom, prostym sprawom" ma odpowiedniki w pewnych nowych cechach tonu i stylu. Przemiana poetki, krystalizująca się w zbiorze *O szczęściu*, przełamała widoczną przedtem skłonność do posługiwania się poetyką, której konwencje zacierały bezpośrednią kon-

kretność i ujmowały opisywane zjawiska w określeniach sztucznie obiektywizowanych, oddalających się od źródła wzruszeń, formułowanych jakby przez rozmyślnie oschłego uczonego, spoglądającego na naszą rzeczywistość z innej epoki czy nawet z innej planety. Odkrycie w powszednich doświadczeniach „źródeł czułości" przywróciło prawa „mowie prostej, nazywającej rzeczy i uczucia". Bezpośredniość intonacji, będąca charakterystycznym niewątpliwie znamieniem przemiany w poprzednim tomiku, znajduje w *Biciu serca* konsekwentną i oryginalną kontynuację. Widać to najwyraźniej w dalszych wysiłkach zbliżenia mowy poetyckiej do mowy potocznej. Zaznaczają się one na dwóch niejako płaszczyznach: z jednej strony idzie walka o najprostszy, rezygnujący z tzw. poetyczności materiał mowy, z drugiej zaś o jak największą swobodę intonacji. W tej walce poetka nie cofa się często przed ryzykiem chropowatości czy obawą o wywołanie wrażenia jakby niepełnej poradności (zwłaszcza w wypadkach, kiedy w poszukiwaniu zwykłej, ale nie ograne, intonacji wywołuje dysonanse między tokiem regularnej miary rytmicznej a tokiem poddawanym przez składnię). Jeżeli nawet wyniki są nie zawsze jeszcze zdobyczami, to jednak pokazują już lub pozwalają przeczuwać oryginalne rysy indywidualności artystycznej.

Spostrzeżenia dotyczyły przede wszystkim wierszy z charakterystycznego kręgu ulubionej tematyki Kamieńskiej. Dominują one bez wątpienia w ostatnim zbiorku, ale nie wyczerpują przecież różnorodności dążeń i osiągnięć. Toteż dla dopełnienia obrazu należy pokrótce bodaj wspomnieć kilka innych przykładów. Godny uwagi jest wiersz *Niewiara*, który, biorąc jako materiał sytuację brzemienną w konflikt między tracącą wiarę dziewczyną a otoczeniem, daje rozwiązanie nie, jak poprzednio, przy pomocy elementów epickich, lecz właśnie w sposób ściśle liryczny; jest on zatem dowodem, że poetka bynajmniej nie ogranicza swoich poszukiwań i potrafi w ramach pasjonującego ją „problemu dramatycznego przedstawienia obiektywnych spraw ludzkich" znajdować także inne możliwości. Na zainteresowanie zasługuje dalej m. in. wiersz *Skąd przychodzą umarli do snów ludzi;* ten przejmujący liryk, poświęcony humanistycznej zadumie nad sprawą śmierci, jest nieco odosobniony w swojej powściągliwej, jakby hamowanej intonacji i pokazuje cechy stylistyczne nie dochodzące dotąd w takim stopniu do głosu, a zapowiadające w przyszłości nowe zdobycze.

To, co zarówno w wierszach poddanych żywiołowi epickiemu, jak i w wierszach *sensu stricto* lirycznych decyduje o indywidualnym wyrazie wyników, wiąże się niechybnie ze specyfiką temperamentu poetyckiego Kamieńskiej, przesycającego wzruszenie refleksją. Jak się to właściwie dzieje, że na marginesie tak bezpośrednio uczuciowej poezji krytyka musi pisać o ambicjach rygorów myślowych? Przy ogromnym umiłowaniu konkretnych przejawów świata refleksja jest tu naturalnie jak najdalsza od abstrakcyjnej spekulacji, przeciwnie, stapia się organicznie z ciepłą i wibrującą materią wrażeń i uczuć. W ostatecznej przecież instancji ona wybija się na pierwszy plan jako czynnik rozstrzygający, wydobyty przez dociekliwą myśl z obserwacji nad zjawiskami, a nawet wydestylowany z substancji wzruszeń. Ma w tym ujście swoista i znamienna pasja przekazywania razem z obrazem świata także sensu rozumienia jego przejawów. Ona właśnie prowadzi poetkę do tego, żeby — jakby według wskazania P. B. Shelley'a — „przedstawić w obrazie to, co się wie". Tę właściwość, ujawniającą się zresztą nie tylko wtedy, kiedy liryk zawiera przymierze z epikiem, w zalążku znajdowało się już w debiutowym *Wychowaniu*. Jej obecność w *Biciu serca* jest dowodem ciągłości twórczej i rysem określającym i wyróżniającym poezję Kamieńskiej.

Na zakończenie warto jeszcze podkreślić pewien wyjątkowy szczegół. Utwory zapisujące wszystko, co zostało sprawdzone w bezpośrednim przeżyciu osobistym, a więc uczucia rodzinne, spotkania z ludźmi znajomymi i nieznajomymi, myśli nad losami jednostkowymi i ogólnymi sprawami społecznymi, miłość życia, piękna i nauki, zachwyt nad urodą świata, refleksje o przeczytanych książkach i obejrzanych wystawach, odzewy na zdarzenia i problemy naszego czasu — nadają tej książeczce charakter, poniekąd intymnego pamiętnika, służącego do uogólniania doświadczeń. Trudno byłoby wskazać drugi taki zbiorek wierszy, który by,

jak *Bicie serca*, był tak po prostu podawanym materiałem życiowym. Sprawia to, że lektura dostarcza rzadkiego na ogół przeżycia. Wiersze bowiem stanowią nie tylko samoistny kształt wzruszeń i myśli, nie tylko autonomiczny artystycznie wyraz właściwości talentu i postawy poetki, ale także, sumując się, rysują — jak to częściej bywa właśnie w pamiętnikach niż w poezji — wyrazisty i pełny obraz wypowiadającej się osobowości. Niesposób zaprzeczyć, że jest w tym dla czytelnika wiele ujmującej sugestii, która w tak bezpośrednim obcowaniu z autorką potrafi do pewnego stopnia niwelować wrażenie mniej nieraz celnych artystycznie wynurzeń.

Hieronim Michalski

POKUSA PIĘKNEGO GESTU

Jerzy Broszkiewicz: *Kartki z notesu*. Opowiadania. Warszawa 1955. „Czytelnik"; str. 159.

1

Niełatwo zapomnieć o filmach z Errolem Flynnem. O nieprawdopodobnych pirackich czy kawaleryjskich awanturach romantycznego bohatera, staczającego zwycięskie pojedynki, kochającego najpiękniejsze kobiety. Flynn grywał role oparte na zewnętrzności, pozostanie w naszej pamięci jako człowiek o pięknym geście. Był jednym ze złudzeń naszego dzieciństwa.

Podobnie rzecz się miała z Dumasem czy Rostandem, podobnie — w innych, rzecz jasna, wymiarach — z Sienkiewiczowską *Trylogią* czy *Nędznikami*. Wszyscy ci autorzy tworzyli pod terrorem widza czy czytelnika. Wiedzieli, co sprawi mu satysfakcję, podpatrzyli bohaterskie sny mieszczucha, urzędnika, cywila. Jest rzeczą w tej chwili obojętną, czy były to utwory błahe, czy genialne; jest rzeczą ważną, że były to utwory pisane przez ludzi, którzy nie wahali się podporządkować prawdę realizmu prawdzie efektu artystycznego, psychologię — mitom, obserwację — konstrukcji, analizę—pięknemu gestowi.

Taki jest — wbrew tematycznym pozorom — rodowód *Kartek z notesu* Jerzego Broszkiewicza. Oczywiście, sprawa ta wygląda inaczej u pisarza połowy XX wieku, niż wyglądała u pisarzy dziewiętnastowiecznych. Wygląda inaczej u komunisty niż u autora filmów — bądź co bądź — hollywoodzkich. Oczywiście to, oczywiście tamto. Lecz zasada zewnętrzności, zasada pięknego gestu, zasada konstrukcji, zasada efektu patronuje Broszkiewiczowi, jak patronowała jego mniej czy więcej dostojnym protoplastom.

W niej siła tych opowiadań, w niej ich słabości.

Oto *Puzon i pies*. Antoni Burak, stary emigrant, przeżywa problem powrotu. Jest już niemłody, dwie propagandy polityczne utrzymują go w stanie niespokojnej równowagi. Saurat, właściciel kafejki, w której Antoni zostawia część swoich zarobków, jest zażartym wrogiem „bolszewickiej" Polski. Antoni ma psa — skądś przybłąkanego, niepozornego kundla. Saurat szczuje nań swego bernardyna. Walka wydaje się z góry przesądzona. Lecz pies Antoniego zwycięża. I gdy blady jeszcze Saurat pyta: — „Skąd masz tego psa?" — Antoni uśmiecha się: — „Skąd? — powtórzył niedbale — Z Polski". Następne dwa zdania (zupełnie już zbyteczne) mówią o decyzji powrotu.

Piękna nowela. Pełnia satysfakcji — nie tylko artystycznej, lecz przede wszystkim tej zwyczajnej, życiowej, tematycznej — dana czytelnikowi. Stało się właśnie tak, jak czytelnik sobie tego życzył.

Oto *Piękno*. Różne jego definicje. Wreszcie: wspomnienie z czasów wojny. Dworzec w Gruzji. Kolejka po bilety. W kolejce oficer-inwalida, „*Gieroj Sowieckowo Sojuza*". Na pytanie, czemu nie korzysta z prawa pierwszeństwa, odpowiedź: „Wszyscy się biją. Jedni już dostali ordery... inni jeszcze nie. Ja tu postoję".

Piękna nowela. Piękny gest.

2

Zamiłowanie Broszkiewicza do efektu, do doraźnego sytuacyjnego uzewnętrznienia takiej czy innej ludzkiej postawy wobec rzeczywistości przybiera formy rozmaite. Jednym z kształtów cenniejszych jest kształt dyskretny.

Bohater pierwszego z tych opowiadań, średniowieczny mnich-kopista, zmęczony pracą, wstaje od rękopisu i podchodzi do okna. Przez długą chwilę patrzy. Gdy wraca do pulpitu, nie potrafi zacząć na nowo przepisywania, póki nie zapisze na marginesie rękopisu słów: „O, słodki miesiącu maju". To cała akcja tego opowiadania. W jego ostatnim zdaniu Broszkiewicz pisze: „i takie jest zakończenie legendy o całującej się dziewczynie". To wszystko. Autor nie podał najdrobniejszej wskazówki o dziewczynie, o parze, która się całowała. Obrysował kontur.

Ten obraz jest tak piękny dlatego, że stwarza go tęsknota człowieka, który skazał się na ascezę. Tak — ale to sprawa mniej ważna. Jest piękny, gdyż stwarza go nasza wyobraźnia, gdyż powstaje na nowo i inaczej za każdym razem, kiedy czyjekolwiek oczy odczytują tę legendę.

To oczywiście nie są jakieś literackie odkrycia. Wiele jednak spraw odkrywamy dziś na nowo. Broszkiewicz należy do nielicznego jeszcze kręgu pisarzy naszego pokolenia, którzy poszukują narzędzi bardziej precyzyjnych od łopaty.

Dzięki tym poszukiwaniom staje się adeptem wielkiej sztuki syntezy. Jego taktowne wstrzymanie się przed komentarzem ułatwia czytelnikowi szerokość interpretacji, pozwala widzieć w bardzo osobistej kawiarnianej rozmowie dwóch wytwornych panów — symbol sanacji *(Przyjaźń)*, w historyjce o *qui pro quo* wynikłym z przypadkowej rozmowy dwóch towarzyszy partyjnych — symbol siły reprezentowanej przez partię *(Czajka)*. Jako klasyczny przykład może tu posłużyć — najlepsze w tomie — *Opowiadanie chirurga*. Jedni zobaczą w nim jedynie majstersztyk obserwacji, mistrzowskie wykorzystanie kontrastu sympatycznie zabawnego narratora z grozą jego opowiadania, wstrząsający obraz obozu; inni (L. Herdegen) dopatrzą się tu problemu etycznej próby zawodowej.

Lecz dyskrecja nie jest zasadą *Kartek z notesu*. Ich niedopowiedzenia należą częściej do gatunku niedopowiedzeń nauczycielskich. Oto jedno z nich, *Podróże kształcą:*

Okoliczności zmuszają narratora do przyśpieszenia pracy nad opowiadaniem. W pisaniu przeszkadza mu przeraźliwy hałas fabrykującej asfalt lokomobili. Podczas trzeciej z kolei nocy nie wytrzymuje nerwowo: wybiega z mieszkania z zamiarem urządzenia piekielnej awantury. Lecz widok pracujących ludzi reflektuje go. Prosi ich o ogień do papierosa. Wraca. Kończy pisać opowiadanie.

Po paromiesięcznej podróży znajduje się z powrotem w Warszawie. Plac Konstytucji jest już gotowy. Narrator czuje pod stopami asfalt, ten sam asfalt. Pisze: „w a s f a l c i e właśnie odbijały się światła mego miasta jak gwiazdy w Wiśle".

I to opowiadanie, podobnie jak *Puzon i pies* czy *Prezent*, dąży do usatysfakcjonowania czytelnika. Chodzi tu już jednak wyraźnie o czytelnika konkretnego, zdecydowanego politycznie. Żeby się niczym nie zaniepokoił. Żeby obraz rzeczywistości w niczym nie zaprzeczył jego — przypuszczanym przez autora — pojęciom.

A gdyby narratorowi nadal przeszkadzały hałasy lokomobili? Gdyby opowiadania nie dokończył? A gdyby zwyciężył pies Saurata? A gdyby *„Gieroj Sowieckowo Sojuza"* zapragnął wykorzystać swój — jakże drobny — przywilej?

3

Z innej strony sprawa wygląda podobnie.

Kiedy czytam opowiadania Adolfa Rudnickiego — między mną a autorem nie ma nic. Odnoszę wrażenie, że jedynym trudem tego pisarza jest sprostanie wizji. Rudnicki męczy się, by znaleźć wyraz dla rozsadzających go treści. Czasem nie znajduje słów, spacjuje słowa już istniejące, by nadać im nowe znaczenie, popełnia nawet błędy. Mimo wszystkich dziwności — to nie są opowiadania l i t e r a t a, lecz pamiętnik p i s a r z a. Trudności, jakie napotkać może czytelnik przy lekturze *Żywego i martwego morza*, bynajmniej nie świadczą o tym, że jest to trudna literatura. To po prostu Rudnicki jest trudny. Skomplikowany, zagmatwany, odkrywczy — i n n y.

Między czytelnikiem a Broszkiewi-

czem leży sztuka. Ukryta u Rudnickiego, tu występuje niejednokrotnie w sposób manifestacyjny. W *Kartkach z notesu* nierzadko słyszy się głos autora: „Zgrabnie wymyślone, co?" Oto *Walc „Françoiş"*:

Jeden z ostatnich mieszkańców Warszawy wyszedłszy z ukrycia błąka się po mieście. Jest listopad 1944. Narrator natrafia na kawiarnię, w której na ocalałym fortepianie sentymentalizuje niemiecki żandarm. Grę przerywa przyplątany skądś ratlerek. Żandarm woła go do siebie: jest nastrojony *gemütlich*. Lecz ratlerek okazuje się wściekłym psem. Rzuca się żandarmowi do gardła. Narrator pozostawia za sobą kłębowisko składające się z żandarma i ratlerka, przy czym w owej groteskowej walce ratlerek ma wszelkie szanse zwycięstwa.

Jeśli przez tego rodzaju wymyślone, nieprawdopodobne sytuacje pragnie się oddać grozę Warszawy 1944 — to coś tu jest nie w porządku. Powstaje podejrzenie, że u podstaw tego opowiadania leży poszukiwanie efektu. Przewaga, przygniatająca przewaga konstrukcji nad życiem.

Walc „Françoiş" należy tu do opowiadań skrajnych. Lecz prymat sztuki jest zasadą *Kartek*. Z tej książki wieje chłód.

4

Twórcy filmów z Errolem Flynnem, Rostand, Dumas i Sienkiewicz, lubili ukazywać życie nie takim, jakim ono było naprawdę, lecz takim, jakim chciałby je widzieć czternastoletni chłopiec. Byli twórcami dzieł pięknych, lecz niebogatych intelektualnie i poznawczo.

Errol Flynn zbyt łatwo zwyciężał tłumy przeciwników. Jerzy Broszkiewicz zbyt łatwo buduje socjalizm. Jego współczesne opowiadania — inteligentnie i subtelnie — lakierują rzeczywistość. Broszkiewicz stosuje łatwe chwyty: taniej kompromitacji przeciwnika *(Morderca)*, natychmiastowego nawrócenia *(Matka)*, czytankowej ilustracji *(List, Pożegnanie, Ślubna fotografia)*.

Ujmując rzecz z punktu widzenia tematu: Broszkiewicz widzi dotychczasowe osiągnięcia — i nic poza tym. Czy to jest zarzut? Czy nie wolno pisarzowi wybierać spraw już załatwionych, już bezkonfliktowych?

Myślę, że u Broszkiewicza zachwiane są po prostu proporcje. Myślę, że pisarza powinny bardziej interesować sprawy jeszcze nie załatwione. Mam już dosyć opowiadań o nowych mieszkaniach na MDM-ie w czasach, kiedy sprawa mieszkaniowa jest bardzo daleka od ostatecznego rozwiązania.

Czemu właśnie przy Broszkiewiczu? Chyba z przekory. Że tak to wszystko wygładził, tak ładnie napisał, że tak we wszystkim mu się zgadza to socjalistyczne rokoko. A nasze czasy są piękne i trudne. Więc nieco chropawe.

Czytając te opowiadania po czasopismach oczekiwałem znakomitego tomu. Lecz *Kartki z notesu* — książka o wielu pięknościach — pozostawiają po sobie smak nieco czczy.

Jerzy Kwiatkowski

NOWA POWIEŚĆ BOGUSZEWSKIEJ I KORNACKIEGO

Helena Boguszewska, Jerzy Kornacki: *Las*, Warszawa, 1955. Wyd. MON; str. 220 i 4 nlb.

Jeszcze jedna książka o okupacji. Co przynosi nowego?

Książka Boguszewskiej i Kornackiego obejmuje skromny wycinek działalności AL-u — sanitariat — ale porusza temat z konkretnością i autentyzmem, których się najbardziej pragnie w tego rodzaju utworach. Zakres opowieści nie ogranicza u Boguszewskiej i Kornackiego perspektywy oceny rzeczy. Boguszewska jest pisarką, która widzi konkretnie, toteż właśnie realia, nagromadzone u niej w obfitości — mówią nam o światopoglądzie. Mało się myśli zazwyczaj o matce komunisty, której syn nie może uchronić od głodu, mało się myśli o znajomych i nieznajomych organizujących ratunek dla rannego człowieka z lasu, o leka-

rzach urządzających pomoc szpitalną dla wielu takich niebezpiecznych pacjentów. Realia nie są zbierane bez wyboru, z samego zamiłowania do szczegółu. Tak właśnie dzieje się w utworze, że ten chleb, którego mało, ten smalec, co tylko dla dziecka, i ten cukier, który się znalazł dla rannego — mówią o idei.

Ta opowieść bez blagi, osnuta około losów ludzi z jednego odcinka podziemnej walki lewicy, wypełnia luki w obrazie okupacji utrwalonym przez naszą literaturę. Nie jest obojętne przy lekturze, że się zna to lub owo nazwisko czy postać, że się pamięta czyjąś „nieprawomyślność" podczas studiów — i potem śmierć w Oświęcimiu owych szeregowców partii. Wierność autentykowi służy tu nie naturalistycznej fotografii, lecz utrwaleniu rysów czasu — a to jest cenniejsze czasem niż „objętość tematu" i objętość tomu.

Dowiedzieliśmy się czegoś z *Lasu* — choć jeszcze nie tyle, ile chcielibyśmy wiedzieć o tych ludziach. Boguszewska bowiem zbyt pilnie wpatruje się w... fartuch kuchenny bohaterek. To nieraz ogranicza jej pole widzenia.

Powieść składa się z dość samodzielnych obrazów. Rozdział wstępny *Na granicy* jest samoistną, dobrze skomponowaną nowelą — która jednak służy jako motyw przewodni całej powieści. Nowelę konstruuje problem moralnosocjologiczny: problem „okazji". Pomagający partyzantom chłop — czyni to nie bezinteresownie, jest człowiekiem, który nie potrafi się oprzeć „okazji", aby nie zarobić na zbrodniach hitlerowskich, aby nie ograbić mordowanych Cyganów. Ów splot był szczególnie groźnym zjawiskiem w czasie okupacji, choć literatura wielbiąca naszą zdolność „przetrwania" wolała milczeć o takich sprawach. Konflikt ten, obnażony przez autorów, kieruje konstrukcją powieści. W obrazku *Na granicy* pisarze odsłaniają ponury pęd do bogacenia się wśród pewnych warstw wiejskich (i nie tylko wiejskich), które chętnie sobie potem przypisywały zasługę patriotyczną. Kompromitują mit o solidarnym, jednolitym „świętym ludzie". Zrobione to zostało bez uproszczeń i wulgaryzacji, z wymową prawdy psychologicznej. Bohater jest tak naiwnie chciwy, tak nieprzywykły do kwalifikowania moralnego swoich apetytów, że problem ma całą swoją wymowę, sięgającą i w czas dzisiejszy — jest to bowiem typowy problem moralności kułackiej, burżuazyjnej.

Postacie powieści mają wiele życia mimo jednostronności spojrzenia autorów, o której wspominałam. Ludzie z rodzin proletariackich i sproletaryzowanego drobnomieszczaństwa stanowią przedmiot stałych zainteresowań pisarskich Boguszewskiej. Szczególnie życie kobiety z tego środowiska, człowieka zdartego pracą, niezbyt daleko sięgającego umysłem, a przecież czującego, cierpiącego, pełnego czynnej troski o bliskich, a czasem i nie spokrewnionych — było tematem studiów pisarki. Potrafi je ona odtworzyć z aktorską niemal sugestywnością. Bardzo bliska jest pisarce postać matki proletariackiej. W tych nie rozpieszczonych przez los, starzejących się kobietach przedstawia Boguszewska człowieka, jego dolę ludzką, gorycze i porywy do szczęścia. Nie romansowe ambaje.

Zapewne! Matka Wietrakowska, ciotka Grzyboniowa z *Lasu* — to rzeczywiście nie jest rewolucyjny proletariat. Ciotka Flora utrzymuje rodzinę z „wypraw handlowych", stara zaś Wietrakowska jest matką rewolucjonisty. Splot stosunków rodzinnych nie upiększony. Obie kobiety nie bardzo rozumieją swego Rysia, ale obie pomagają, przechowują i bronią, obie są pełne aktywności i ludzkości. Takie bohaterki wraz z postaciami bojowców — ich synów, wszystko jedno czy to Polacy, czy Rosjanie, wraz z postaciami lekarek AL-owskich — nadają książce Boguszewskiej i Kornackiego wyraz siły tkwiącej w ludziach klas wyzyskiwanych. Dlatego książka, choć pełna prawdy o okupacji, przecież nie jest cierpiętnicza.

Postaci te reprezentują charakter, wartości humanistyczne.

Rozkład tych wartości natomiast uwidocznia się w postaciach uprawiających formy życia typowo burżuazyjne w osobach bardzo trafnie, satyrycznie podchwyconych panien Malukiewicz i pań Kobiecowych.

W tym rozstawieniu bohaterów *Lasu* nie ma szarżowania ani czarno-białości. Satyra nie wynika tu z ośmieszania postaci — wynika tylko z tego, że przedstawiona przekonywająco rzeczywistość nasuwa wniosek niewesoły i szyderczy.

Na tym problematie, na przeciwstawieniu moralnej wartości ludzi pracy i idei — amoralnym tendencjom postaci czerpiących dobrobyt z innych niż praca źródeł — polega konstrukcja powieści. Autorzy demaskują oblicze rozmaitych, niby zwyczajnych, codziennych, nie rzucających się w oczy sposobów postępowania, które jednak są znamionami dwu różnych postaw moralnych. Gdyż w końcu wszystkie ukazane w *Lesie* obrazy rozkładają się według zasady konstrukcji pierwszego opowiadania *Nad granicą:* jedni rannego partyzanta przewożą dla zarobku stu reichsmarek, a inni ratują go nie ze względu na zarobek...

Sens obrazów powieści Boguszewskiej i Kornackiego sprowadza się do tego, że po jednej stronie znajdują się różni amatorzy burżuazyjnego typu życia dla użycia i dla przetrwania — po drugiej zaś ludzie tacy, jak towarzysz Gromkowski, doktor Wolffówna, matka Wietrakowska, partyzant Ryś i pomagający już bojowcom dzieciak Sylwester. To przeciwstawienie dwóch typów moralności, wniosek o konieczności wyboru — jest „napędem problemowym" powieści, jest tym, co książka ma do powiedzenia.

Rzecz ciekawa: *Las* przedstawia sytuacje charakterystyczne dla okupacji, nawet z wielką sugestywnością oddaje okupacyjne stosunki i atmosferę, tę obsesjonalną obecność Niemców, ukrywanie się, zaciemnienie ciążące nie tylko oczom, lecz wszelkiej potrzebie nadziei życiowej — a jednak wymowa książki nie ogranicza się do sytuacji tamtego czasu. Narzucający się wniosek o konieczności wyboru sięga do teraźniejszości.

Interesująca jest w *Lesie* postać doktora Semki, bardzo żywo i przekonywająco pod wielu względami odtworzona mentalność naszego przeciętnego inteligenta, wahającego się między wygodną, ostrożną neutralnością w symbiozie z burżuazją — a szczerymi sympatiami, popychającymi go na tę niebezpieczną stronę ludzi rewolucji, gdzie można utracić i spokój, i wygodę, i bezpieczeństwo... Osoba starego i sympatycznego doktora o ludzkich słabostkach, który przecież jednak nie może pozostać po stronie martwoty moralnej i filisterskiej obojętności, który zostaje pociągnięty przez swoich młodych uczniów i przyjaciół na stronę nie gwarantującą spokoju, tylko uczciwość wewnętrzną — jest najciekawszą postacią w książce. Jest centralną postacią problemu, jego punktem probierczym.

Zawiera się jednak w tej postaci pewna niekonsekwencja. Tak skrajne wahania przekonań, jakie rzekomo okazuje doktor Semko, nie wydają się możliwe. To nie jest ta sama osoba: doktor Semko chodzący z „lewicującymi" studentami na wycieczki w Tatry, zaprzyjaźniony z nimi, niezbyt odważnie, ale dający się skłonić do niesienia pomocy lekarskiej rannemu partyzantowi komunistycznemu — i ten doktor Semko, który w formie pocieszenia znajomych pań, ale szczerze, powiada: „Na wschodzie Niemcy dalej będą zwyciężskie, ale cóż z tego? Niech tylko zakończą z Rosją, bitą na północy, pod Moskwą i na południu, a zwrócą się raz jeszcze do mocarstw sprzymierzonych z propozycją pokoju. Ale jak równi z równymi! Wtedy na pewno nastąpi w końcu remis... — Nie najlepszy dla nas, ale i nie najgorszy! Bo większe sprawy zasłonią Niemcom nasze polskie sprawy, malutkie. Można będzie jakoś żyć! (...) — Czy wiecie — zaśmiał się nagle, jakby coś sobie przypomniał — czy wiecie, że wśród tych niektórych, co potracili głowy, są i tacy, którzy twierdzą, że w roku następnym, czterdziestym trzecim, przyjdą bolszewicy?" (str. 76 — 77). Charakterystyczne, że po prostu nie wierzy się, aby doktor Semko wypowiadał te zdania. Natomiast cała jego postać pozostaje jedną z żywych postaci literackich, pełnym trafności portrecikiem inteligenta.

Również przemiana żony biedującego, lewicującego nauczyciela w hienę okupacyjną nie jest zbyt prawdopodobna.

Co do postaci komunistów, to choć mają dużo autentyzmu, ich portret wewnętrzny nie zawsze jest dość bogaty, by nasycić czytelnika, szukającego większej głębi postaci, bogatszej, indywidualnej ich treści.

Konstrukcja książki, jej nurt napięcia wewnętrznego oparte są nie na konflikcie spraw „namacalnych", nie na walce osób czy sensacyjnym zawęźleniu wypadków — lecz na intelektualnej sprawie rozgraniczenia postaw moralnych, uświadomienia sobie ich konsekwencji. Gra toczy się w obrazach niepozornych, wewnątrz, w spo-

sób powściągliwy. Rozwiązanie akcji następuje już we wnioskach i refleksjach czytelnika. Taki sposób pisania, nie obliczony na efekt — należy docenić. Inaczej łatwo by dojść do błędnego wniosku, że utwór nie prowadzi nigdzie, że jest czysto ilustracyjny.

Kompozycja książki demonstruje interesującą robotę literacką. Osią utworu jest historia postrzału, otrzymanego przy przekroczeniu granicy, i uratowania rannego partyzanta w sanitariacie AL-u w Warszawie. Na ten nieskomplikowany wątek została nanizana sekwencja obrazów, które dają, jak w filmie, wgląd w różne charakterystyczne dla okupacji środowiska, w sytuacje probiercze dla tamtych lat.

Przeszkadza tylko przy lekturze sposób narracji, który popada w manierę. Poszczególne części książki pisane są stylem występujących tam postaci, niby protokół ich ułomności wysłowienia, ich doznań, gonitwy myśli i skojarzeń wspomnieniowych. To nie przyczynia się do wzbogacenia treści wewnętrznej bohatera powieści — komunisty Rysia, którego portret pozostawia czytelnikowi pewien niedosyt.

Las to powieść, która ma swoje wartości i stanowi dobrą pozycję w bibliotekach, choć nie należy do książek tak bezpośrednio przemawiających o „poniżonych i skrzywdzonych", jak przemawiały niektóre dawne książki Boguszewskiej, ani do utworów o takim czarze artyzmu, jak niedawne jej *Czekamy na życie*.

Janina Preger

MNIEMANY APOKRYF

Gustaw Bojanowski: *Rękopis dla wnuków*. Powieść o Mickiewiczu. Warszawa, 1955. „Czytelnik"; str. 273.

Zdawałoby się, że minęła bezpowrotnie epoka apokryfów, owych prekursorów romantyzmu w rodzaju *Pieśni Osjana*. Tymczasem wraz z setną rocznicą śmierci Mickiewicza odżyła tradycja mistyfikacji literackiej. Oto Gustaw Bojanowski wydał powieść o pobycie Mickiewicza w Wielkopolsce pt. *Rękopis dla wnuków*, rzekomo pozostawiony przez jego dziada czy pradziada Ksawerego Bojanowskiego, który poznał Mickiewicza jako student w Berlinie, a potem spotkał go w Dreźnie latem 1831 roku i zabrał z sobą w Poznańskie, skąd poeta miał nadzieję przedostać się do Królestwa, aby wziąć udział w powstaniu.

Apokryf ów tym różni się od dawnych, że jest całkowicie jawny, jest po prostu formą literacką, obraną przez autora z jemu tylko wiadomych względów. Co go skłoniło do przywdziania maski psychicznej swego dziada? Może łatwiej mu było ustami naocznego świadka i uczestnika zamierzchłych zdarzeń, jeszcze drżącymi od nieostygłych przeżyć i wstrząsów, mówić o ludziach umarłych, a jednak w pamięci rodaków zawsze żywych, o sprawach pozornie odległych, a jednak zawsze bliskich. Może chodziło mu o zachowanie bezpośredniości uczuć człowieka, który otaczał poetę nie tylko czcią, należną geniuszowi narodowemu, ale i gorącym afektem.

To wejście w psychiczną skórę swego dziada niezupełnie udało się autorowi. Czytelnik wyczuwa od razu momenty, w których stara się on imputować swemu bohaterowi nowoczesne poglądy społeczne (np. na stosunki pańszczyźniane), skrojone jakby na wyrost i wskutek tego nie mieszczące się bez reszty w mentalności zacnego, ale, jak to sam przyznaje, przeciętnego hreczkosieja. Może tą drogą chciał go niejako wyodrębnić spośród zacofanej i snobistycznej masy ziemiaństwa wielkopolskiego, zbliżyć do Mickiewicza, którego był nie tylko wielbicielem, ale i wiernym druhem i wyznawcą.

Drugim momentem, usprawiedliwiającym formę apokryficzną powieści, jest chęć wybielenia czy rehabilitacji postaci Konstancji Łubieńskiej i roli, jaką odegrała nie tyle w erotycznej przygodzie poety, co w jego chy-

bionej próbie wzięcia osobistego udziału w powstaniu. Jeżeli szczegóły podane przez autora są zgodne z prawdą, w takim razie ryzykowny podstęp, którego chwyciła się Konstancja, aby uniemożliwić Mickiewiczowi przeprawę przez graniczną Prosnę, był posunięciem, jak to się mówi, „opatrznościowym", bo ocalając poetę od możliwej śmierci na polu walki, ocalił również jeszcze nie istniejące drezdeńskie *Dziady* i *Pana Tadeusza*. To wiemy my, ale tego wiedzieć nie mogła Konstancja.

Czy była ona istotnie taka, jaką maluje ją Bojanowski? Posągowo piękną, romantycznie egzaltowaną, a zarazem namiętną *grande amoureuse*, wielką miłośnicą, nie uznającą kompromisów, gdy chodziło o połączenie się z kochankiem, dążącą do rozwodu nawet za cenę rodzinnego skandalu i utraty dobrego imienia? W takim razie odwagą decyzji i gotowością do ofiary z własnego życia górowałaby nad Marylą. Tymczasem współcześni, zwłaszcza młody przyjaciel Mickiewicza, Stefan Garczyński, wyrobili jej opinię bezdusznej kokietki, wietrznicy, w dodatku snobki i grafomanki, takiej sobie Telimeny wielkopolskiej. Może trochę przesadzali, chcąc uśpić wyrzuty sumienia, jakie czynił sobie poeta z powodu romansu z mężatką, a także aby jego samego „wybielić" wobec potomności. Prawda, jak to zwykle bywa, leży zapewne pośrodku. Nie mogła jednak Konstancja być całkiem pospolitą kobietą, skoro Mickiewicz, zrazu ulegając jej rozpaczliwym prośbom, później już dobrowolnie, korespondował z nią aż do śmierci i ostatni list wysłał do niej z Konstantynopola.

Trzecim momentem, budzącym pewne zastrzeżenia w książce Bojanowskiego, jest wyraźna chęć zasugerowania czytelnikowi, że większość krajobrazów w *Panu Tadeuszu* (pola, lasy, burza), sporo postaci i epizodów (polowanie) jest bezpośrednim echem jego pobytu w Wielkopolsce. Z tego wszystkiego pewny jest jedynie fakt, że spór między Asesorem i Rejentem o Kusego powstał pod wrażeniem sprzeczki dwóch braci Bojanowskich o zalety chartów i że autentycznie wielkopolską jest osoba kawiarki. Reszta jest owocem lokalnego patriotyzmu autora.

W zasób naszych wiadomości i tradycyjnych anegdot z pobytu Mickiewicza w Wielkopolsce *Rękopis dla wnuków* właściwie nie wnosi nic nowego, łączy je jednak w całość swoistą postawą uczuciową i wspólnym tłem obyczajowym, odmalowanym żywo i nie bez krytycznego spojrzenia.

Na wskroś oryginalny i niepozbawiony dyskretnego, romantycznego wdzięku jest prolog i epilog utworu, luźno tylko związany z osobą Mickiewicza, ale za to mocno osadzony w epoce. Rzecz dzieje się w Dreźnie, gdzie Ksawery Bojanowski odwiedza swoją starą ciotkę Niemkę, dogasającą zwolna w odosobnionym pałacyku wśród odwiecznych portretów i mebli, które zdają się razem z nią rozsypywać w proch. Za pierwszą u niej bytnością Bojanowski musi wysłuchiwać słów oburzenia na polskich powstańców, którzy ośmielili się targnąć na majestat monarszy „pomazańca boskiego". Ale kiedy w rok później, już po upadku powstania, powtórnie odwiedza dogorywającą staruszkę, która żyje tylko wspomnieniami swej młodzieńczej miłości do Goethego, a „Goethe cenił wolność", otrzymuje z jej rąk szkatułkę z klejnotami dla polskich wygnańców.

W ten sposób, niejako metaforycznie, przedstawia autor stosunek ogółu niemieckiego do powstańców, stosunek, jak wiadomo, pełen podziwu, współczucia i entuzjazmu. Ten drobny epizod, wpleciony w mozaikę mniej lub więcej udanych obrazków z życia Mickiewicza, świadczy dodatnio o inwencji autora w chwili, gdy nie krępują go względy uboczne.

Książka, chybiona jako jawny apokryf ze względu na psychikę autorską, zbyt nowoczesny styl i język, podobnie jak te fałszywe empiry i biedermaiery fabrykowane przez współczesnych majstrów, ma jednak duże walory narracyjne i swój własny, niepodrobiony, specyficzny smak rodzinnej staroświecczyzny, która dopiero po latach staje się antykiem. Zbliża ona do czytelnika osobę poety, nie pomniejszając, ale i nie brązowiąc *.

* Szkoda jednak, że autor lub redakcja książki nie określili wyraźnie sprawy jej autorstwa, gdyż wielu czytelników sądzi, że ma do czynienia z autentycznym utworem „dziadka", Ksawerego Bojanowskiego.

Stefania Podhorska-Okołów

W HOŁDZIE MICKIEWICZOWI

Wśród poważnych i pięknych uroczystości mickiewiczowskich najbardziej wzruszającą był międzynarodowy wieczór poetycki ku czci naszego poety. Czterdziestu dwóch poetów trzydziestu narodów znalazło się na estradzie Filharmonii Warszawskiej, aby w inscenizacji sprzyjającej intymnemu nastrojowi mówić wiersze Mickiewicza, o Mickiewiczu i dla Mickiewicza. Czyż może być hołd godniejszy wielkiego poety? Przekłady poezji autora *Pana Tadeusza* na język włoski, litewski, chiński, węgierski, rumuński — każdy zabrzmiał w swym osobliwym brzmieniu jak drogocenny kamień poddany coraz to innemu szlifowi. Oda turecka na cześć Adama, indyjski hymn wyśpiewany przez współczesnego aojda na chwałę naszego wieszcza — świadczyły, że książki jego zabrnęły nie tylko pod strzechy, ale znalazły się w cieniu pagód i minaretów.

Głos warszawskiego wieczoru zabrzmiał najgłębszym i najserdeczniejszym tonem wśród wielu obchodów poświęconych pamięci Mickiewicza i świadczył najwymowniej o jednoczącej sile poezji. Wspólne uczucie, które sprowadziło poetów tak różnych z tak różnych krain świata, było jednym z najcenniejszych darów pokoju i porozumienia między narodami.

I jeżeli gruziński poeta, Gieorgij Leonidze, w swym pięknym wierszu powiedział, że

Gruzji czerwoną różę,
Gruzji czerwoną różę
Kładę na sercu twym —
Na sercu Polski,

to wszyscy inni zebrani w tym dniu poeci mogli za nim powtórzyć:

Poezji czerwoną różę
Kładę na sercu twym —

Był to najwspanialszy hołd.

ji

Z PRASY

W miesiącu mickiewiczowskim wszyscy wróciliśmy do gimnazjum. *Dziady* cytowało się nawet w dowcipach — zupełnie jak po lekcji „polskiego".

Bo też była to lekcja polskiego... Siedząc na *Dziadach* myślałem sobie tak: nikt z nas tutaj nie wierzy w duchy, nikt z nas nie jest zdolny nawet w palec skaleczyć się z powodu nieszczęśliwej miłości, nikt z nas nie ma żadnych pretensji do Boga, nikt nie wierzy w misję narodu, cara już nie ma, więc ta cała ponura i poplątana historia na scenie powinna być dla nas absolutną mistyfikacją. Co najwyżej wiersz może nam się podobać, ale

przecież nic więcej. Co najwyżej niektóre sceny można ładnie wystylizować, z właściwym nam dzisiaj współczesnym wyczuciem stylów — malowniczo rozegrać gusła z II Części, wydobyć wielki realizm scen salonowych... I co więcej?

A jednak jest coś więcej, jest dużo, dużo więcej. Wieczne problemy?

Zapewne, istnieją wieczne problemy. Jest przecież miłość, chociaż odmieniły się formy i skale jej przeżywania. Nie ma cara, ale spośród ludzi siedzących na widowni Teatru Polskiego oraz tych, co przybrali kostiumy uwięzionych Filomatów, mało jest takich, którzy przynajmniej raz nie siedzieli w więzieniu. Skończyły się porachunki z Bogiem, ale toczy się przecież wielka walka o ziemskie szczęście człowieka. Zapomnieliśmy już o misji narodu, ale istnieje jakiś jego zbiorowy los, zbiorowe marzenie, zbiorowa ambicja.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Od tekstu do treści, które domyśla sobie współczesny widz, jest jednak zbyt daleko, aby iskry latały po teatrze, aby płonęły policzki, aby dłonie zaciskały się na poręczach krzeseł, aby po czterech i pół godzinach wychodziło się z usilnym postanowieniem powrotu. Jest coś więcej w *Dziadach*, jest coś więcej w Mickiewiczu. Co? Ba, należałoby się spodziewać, że w miesiącu, w którym wszystkie pisma aż pękać będą od mickiewiczianów, a ludzie pióra, myśli i nauki z konieczności zasiądą do *Dziadów, Konrada Wallenroda* i *Pana Tadeusza*, należało się spodziewać, że w miesiącu tym nastąpi wielkie i szczere spotkanie współczesności z naszą najżywotniejszą i najbardziej urzekającą tradycją.

Bogać tam! Wśród powodzi polonistycznych rozpraw i konwencjonalnych laurek nie padł ani jeden głos prawdziwie współczesny. Nikt nie uczynił rzeczywiście szczerego wyznania na ten temat, wyjątek stanowi chyba tylko recenzja *Dziadów* Jana Kotta w „Przeglądzie Kulturalnym". Jan Kott umiał naprawdę współcześnie nazwać *Dziady:* dramatem pokolenia. Umiał odczytać miejsce tego dramatu w dziejach umysłowości narodowej — umiał spod romantycznej draperii wydobyć postać żywą, postać z krwi i kości, tak adekwatną do swej współczesności, jak adekwatny był bohater Stendhala, bohater Balzaka.

I stąd chyba porozumienie między pokoleniami, które zawiązuje się na sali Teatru Polskiego.

Jest jakieś porozumienie między generacją, która przygotowując zbrojne powstanie brała na barki odpowiedzialność za przyszłość narodu, a generacją, która tę samą odpowiedzialność dźwiga, gdy podejmuje decyzje ustalające nowe miejsce narodu w świecie, nową jego strukturę gospodarczą, nową jego kulturę, nową jego myśl. Uniesienia tamtych, gorycze tamtych, tamtych dumę i lęki znają dobrze ci, którzy „rząd dusz" dostali do rąk w sensie dosłowniejszym niż to sobie wyśnić mógł Prometeusz z Wilna.

I to jeszcze nie wszystko. Porozumienie między generacjami polega nie tylko na podobieństwach epok. Takie porozumienie, które następuje za pośrednictwem dzieła sztuki, co tak genialnie jedną z generacji umiało wypowiedzieć, odkrywa podobieństwa, które nie tylko w okolicznościach historycznych mają swe źródła, ale we wszystkim, co ma wpływ na ukształtowanie charakteru narodowego. Takie spotkania pokoleń demaskują najgłębiej ukrytą prawdę o narodzie — prawdę jego zbiorowego losu, prawdę jego patologii. Użyłem niebezpiecznego słowa, ale proszę mi je darować — mam na myśli narodowe kompleksy, urazy, publiczne tajemnice, podświadome ambicje, antypatie — trwałe jak chroniczne kalectwa, sentymenty — bezsensowne, ale uproczywe jak nałóg. W *Dziadach* wszystko to wyłazi na wierzch — drażni, podnieca, zawstydza. Człowiek czuje się jak na seansie psychoanalitycznym — zadowolony i niespokojny.

Pisał kiedyś Witold Gombrowicz, że tajemnica powodzenia Sienkiewicza leży w tym, iż autor *Potopu* pochlebił polskiej urodzie. Z tego samego zapewne powodu jest popularny *Pan Tadeusz*. A *Dziady*? Czy *Dziady* są popularne? Chyba nie. *Dziady* zostały napisane z litości. Litość rozstraja tego, nad którym się litują, ale mu się nie może podobać. Z *Dziadów* wszyscy wychodzą bardzo zdenerwowani. Próbują mówić, że to niewspółczesna bzdura. Nie wychodzi. Próbują mówić, że to wspaniała poezja. Nie wychodzi. Bo to o nas

— słowo honoru — o nas! I całe to niesamowite pomieszanie mistyki, realizmu, rewolucji, mszy świętej, obłędu, halucynacji, melodramatu, opery, jasełek — to wszystko my. I dlatego zapewne tak trudno *Dziady* grać. I tak trudno o nich gadać, i pisać trudno — niezręcznie. Najłatwiej obchodzić rocznice. Najłatwiej być profesorem albo profesora udawać.

*

A propos rocznic: przeszła w listopadzie rocznica Żeromskiego — trzydziestolecie śmierci. Tym razem obyło się bez rozpraw i „wypowiedzi" — wszystko załatwiło się przy pomocy „wspomnień". Cóż, wspomnienia to rzecz ładna i pożyteczna. Ale — znowu ta sama historia co z Mickiewiczem — przeczytajmyż na nowo Żeromskiego. Na nowo przeczytać — to nie znaczy na nowo zinterpretować — w tym kierunku uczyniono sporo. Chodzi mi o przyswojenie naszej literaturze dorobku Żeromskiego — tego wszystkiego, czego dokonał twórca *Przedwiośnia* dla zrozumienia Polski. Mickiewcz i Żeromski — oni dwaj chyba tylko uczynili z r o z u m i e n i e Polski osobnym problemem. Właśnie zrozumienie jej osobliwości, jej dziwactw, jej tragedii i jej konieczności dziejowej. Słowacki, Norwid, Prus spoglądali na Polskę trochę okiem etranżerów — dziwili się, drwili, radzili. Mickiewicz i Żeromski... nie, dość tego! To już zupełnie jak temat maturalny. Przysięgam, że już nie napiszę, czym się różnił Słowacki od Mickiewicza i Prus od Żeromskiego. Powiem tylko jedno: brak współczesnej publicystyki literackiej na temat tradycji literackiej jest czymś przerażającym i zastanawiającym. Dowiodły tego listopadowe rocznice. I jeszcze jedno: żywotność klasyków jest wprost zależna od żywotności współczesnych. Każda współczesność kroi klasyków na własną miarę. Epoki płodne w dzieła nowe wydawały także dobrą historię literatury i dobrą krytykę. Epoki martwe wydawały przyczynkarzy i nudziarzy. Nudne przyczynkarstwo publikowanych ostatnio rozpraw, cukierkowate laurki i wspomnienia, którymi zapycha się kolumny rocznicowych numerów — wszystko to niedobrze świadczy o stanie naszego życia intelektualnego.

*

Nasze pisma, poza rocznicami, ostatnio składają się z: a) artykułów o współczesnej kulturze, które czyta już tylko Jan Strzelecki, b) artykułów o życiu nocnym Paryża i Nowego Jorku, które czytają wszyscy z wyjątkiem tych, co wiedzą lepiej, bo sami zaznali, c) artykułów o wyższości stosunków małżeńskich nad pozamałżeńskimi, które (artykuły) zajmują wyłącznie Maciąga, Lovella oraz pewną ilość pisarek o podwójnych nazwiskach. Artykuły wymienione w dziale a) stanowią niedobitki dyskusji zainicjowanej dwa miesiące temu, a zmarłej na skutek niedomówień. Musimy zaczekać do lepszej okazji. Artykuły wymienione w punkcie b) to konieczne skutki ducha Genewy. Komu się to nie podoba, niech pomyśli o zimnej wojnie i zastanowi się, co gorsze. Artykuły wymienione w grupie c) to — bez aluzji — wyskrobki, to dokumenty zjełczenia publicystyki. Wielkie problemy społeczne, problemy, o których alarmują statystyki, raporty, doświadczenia wychowawców, organizacji społecznych itd. — problemy, którym na imię chuligaństwo, prostytucja, alkoholizm — dostały się do rąk moralistów z magla. „Dyskusje" te zostały doprowadzone do poziomu popularnej piosenki:

On nie winien,
Ona winna,
Bo mu dawać nie powinna.

Czy to dobrze, że młodzi ludzie wcześnie wstępują w związki małżeńskie? — zapytuje Lovell. — Nie, to niedobrze — odpowiada Lovell — bo potem im żal, rozwodzą się, tłuką talerze i na różne sposoby zatruwają atmosferę. Jednakże Maciąg nie zgadza się z Lovellem i twierdzi, że słusznie czynią młodzi ludzie wcześnie wstępując w związki małżeńskie, gdyż tylko tym sposobem uniknąć mogą stosunków pozamałżeńskich. Kilka pań popiera Lovella, kilka innych natomiast Maciąga. Tymczasem ktoś inny, w innym piśmie twierdzi, że chuligaństwo należy zwalczać za pomocą teatrów amatorskich oraz kin objazdowych. Ktoś inny w innym piśmie zachęci do picia owocu w płynie zamiast wódki. Ktoś inny gdzie indziej będzie propa-

gował robótki ręczne dla prostytutek. Ktoś inny zaproponuje niedługo wegetarianizm jako sposób na podniesienie stopy życiowej, a ktoś inny zaleci biegi narodowe jako środek na uśmierzenie wahań ideologicznych. Wtedy zwariuję.

Ludzie, bądźcie marksistami! Przypomnijcie sobie, że wszelkie badania społeczne rozpoczyna się od analizy ekonomicznej, a nie od moralnej. Wypchajcie się z radami, szukajcie przyczyn. Nie ma się co zastanawiać, które objawy życia społecznego są lepsze, które gorsze — trzeba liczyć, jakie są najczęstsze. Liczyć, liczyć! — z liczb układać prawa, z praw wysnuwać wnioski. Analizować, nie moralizować!

A w ogóle... w ogóle, zdaje mi się, że ta tematyka przerasta możliwości publicystów. Jest zbyt skomplikowana, aby zniosła ich uproszczenia. Ta tematyka czeka na pisarzy. Przyznam, że więcej mi o chuligaństwie i o moralności młodzieży powiedziało prześliczne opowiadanie Marka Hłaski *Pierwszy krok w chmurach* niż to całe kaznodziejstwo. No, ale tak powinno być. Literatura jest sztuką r o z u m i e n i a. I dlatego jest bliższa rzeczywistości niż publicystyka, która chce być zawsze rozumniejsza od faktów.

Sztuka rozumienia... Była o tym już mowa. Przy Mickiewiczu i Żeromskim. Naprawdę, przeczytajmy jeszcze raz Mickiewicza i Żeromskiego. Trzeba koniecznie nauczyć się sztuki rozumienia narodu, w imię którego i dla którego się działa.

Andrzej Kijowski

TECHNIKA – PROBLEM HUMANISTYCZNY

Wśród kilkudziesięciu poetów czytających wiersze w hołdzie Mickiewiczowi wystąpił także w sali Warszawskiej Filharmonii poeta hinduski. Hindus oczarował salę szeroką frazą poetycką i niepospolitym pięknem intonacji. Trudno było naprawdę spostrzec, kiedy i jak głębokie basowe dźwięki mowy h i n d u zadrgały nagle matowym, szlachetnym altem, jak komplikować się zaczęła orkiestracja wiersza o niezwykłym bogactwie aliteracji i anafor.

To nie była deklamacja. To był koncert.

Aktor przeczytał zaimprowizowany przekład utworu. Na sali zapanowała cisza. Radosny podziw ustąpił miejsca ludzkiej zamyślonej trosce. Znów znaleźliśmy się na ziemi. O czym śpiewał hinduski poeta?

Śpiewał o t e c h n i c e.

Marzenie o wielkiej technice stało się marzeniem ludowym. Jeśli pierwszą reakcją na rozbicie jądra atomowego i powojenne próby z bronią termojądrową były przerażenie i niepokój ludów, to obecnie jesteśmy świadkami rodzenia się innej postawy ludowej wobec wielkiej rewolucji technicznej naszych czasów — bardziej ufnej, optymistycznej. Niewielka wzmianka prasowa o uruchomieniu elektrowni atomowej w ZSRR stała się początkiem przełomu w ludowej postawie, która z katastroficznej przechodzi w afirmatywną, utwierdzającą.

Genewski parlament uczonych-atomistów utorował drogę tej nowej postawie i bardziej ją upowszechnił. Oddźwięk jej usłyszałem w strofie hinduskiego poety.

W radzieckiej prasie codziennej i periodycznej problematyka wielkiej techniki zawładnęła w ostatnim okresie publicystyką i reportażem. Pisarz-inżynier, Granin, stał się obok Owieczkina jednym z najbardziej popularnych pisarzy. Po plenum lipcowym KC KPZR problematyka techniczna znalazła się w centrum... h u m a n i s t y c z n y c h dyskusji, rozważań i polemik.

Na czym polega awans tej problematyki? Co spowodowało, że atrakcyjnością swoją przerosła atrakcyjność estetycznych polemik, które do niedawna znajdowały się w centrum życia intelektualnego

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że w dyskusji estetycznej, jaka toczyła się na szpaltach pism literackich (zarówno w ZSRR jak i w naszym kraju), znalazły szczególny, nieco zawoalowany wyraz trudne problemy społeczne, towarzyszące walce o socjalizm.

Taki charakter miał spór o miejsce satyry i gogolowskiej tradycji w literaturze radzieckiej, taki charakter mają u nas artykuły o filozofii i sztuce, zamieszczone ostatnio w *„Nowej Kulturze"* i *„Przeglądzie Kulturalnym"*, których sens nie sprowadza się przecież tylko do zagadnień czystej estetyki lub czystej metodologii. Różnymi pośrednimi drogami środowiska intelektualne, choć nie zawsze z należytym przygotowaniem politycznym i filozoficznym, torują sobie drogę do zrozumienia podstawowych konfliktów epoki.

Na czym, moim zdaniem, polegała ograniczoność radzieckich i naszych niedawnych dyskusji estetycznych? Wydaje mi się, że adaptując w innych warunkach tradycje pisarsko-krytyczne wielkich rewolucyjnych demokratów rosyjskich, jak Bieliński i Czernyszewski, pisarze i publicyści zaczynali mówić szyfrem o bolesnych problemach społecznych, wymagających raczej prostoty i jawności dyskusji. Komplikowały się tendencje tego typu pisarstwa krytycznego, nie zdolnego do formułowania pozytywnych propozycji, w którym trudno było i jest odróżnić tendencje ludowo-krytyczne od naporu dekadentyzmu czy formalizmu, rewolucyjnego krytycyzmu od reakcyjnej rewindykacji, moralności od pseudo-moralistów.

Technika to, rzecz jasna, nie panaceum na wszystkie bolączki. Sądzić jednakże należy, że problem walki o przeobrażenie techniczne i cywilizacyjne krajów socjalistycznych to program głęboko ludowy, którego konsekwencji nie należy sprowadzać tylko do ekonomiki. Realizacja tego programu sprzyjać będzie urzeczywistnianiu i pogłębianiu socjalistycznego demokratyzmu i powstawaniu nowych stosunków międzyludzkich, coraz radykalniej usuwających i rugujących te zasady przywileju, jakie w okresie przejściowym przejmuje społeczeństwo socjalistyczne od swego kapitalistycznego poprzednika.

Jaki może być wpływ tego niebywałego awansu problematyki technicznej na estetykę i sztukę? Wydaje mi się, że bardzo istotny.

Technika jako programowo sformułowane marzenie ludowe legalizuje ten ferment, który od dawna zaistniał w architekturze, zrewolucjonizował plakat, każe zastanowić się nad przyszłością filmu, woła o „przemeblowanie" teatru, domaga się praw do śmielszego eksperymentu w literaturze.

Rzecz w tym, aby pamiętać o ludowym charakterze fermentu. Sięgając po elementy nowej techniki artystycznej i nowego widzenia świata, zawartych w eksperymentach artystycznych początku XX wieku, nie wolno chyba zapominać o tym, że nadal zachować musimy krytycyzm wobec aury filozoficznej, jaka towarzyszyła narodzinom nowych postaw i nowych stylistyk artystycznych na początku naszego wieku.

Sądzę, że nie o wyprzedaż awangardystycznych rekwizytów toczy się walka. Chodzi o realizację wielkiego programu cywilizacyjnego komunizmu, którego urzeczywistnienie nie degraduje humanistycznych pojęć, nie sprowadza techniki do gołego cywilizacjonizmu, lecz podporządkowuje ją walce o nowe, sprawiedliwe stosunki między ludźmi.

Arnold Słucki

NARADA W SPRAWIE LITERATURY DLA WSI

Doniosłe przemiany w radzieckim rolnictwie i życiu wsi kołchozowej stosunkowo szybko znalazły odbicie w literaturze. Przede wszystkim w najbardziej operatywnym i bojowym rodzaju twórczości: w reportażach i szkicach literackich.

W ostatnim czasie wypłynęło wiele nowych nazwisk, zwłaszcza pisarzy młodych, interesujących się tematyką wiejską. Obok Owieczkina, Połtoracckiego, Fisza, A. Złobina, Riaboklacza, Fomenki — stanęli tacy autorzy reportaży wiejskich, jak: Trojepolski, Tendriakow, Załygin, Bakłanow, Żurawlew, Żestew, poeta estoński Smuuł, Ukrainiec Zemlak, Białorusin Bryl, Mordwin, I. Antonow i — ostatnio — Szuchow, Czertowa, Sołouchin itd. W ostatnich kilku latach powstało też wiele opowiadań, opowieści i powieści o tematyce kołchozowej.

Sprawę tematyki wiejskiej w prozie artystycznej poruszono już na II Zjeździe Pisarzy Radzieckich w grudniu 1954 r. Generalną dysputę, poprzedzoną kilkumiesięczną ożywioną dyskusją w prasie i organizacjach pisarskich, stoczono w październiku ub. r. na wszechzwiązkowej naradzie literatów, piszących o wsi (w naradzie wzięli też udział uczeni, agronomowie, działacze kołchozowi).

Jakie zagadnienia wysunęły się na czoło dyskusji? Przede wszystkim — sprawa gruntownego i wnikliwego studiowania życia wiejskiego, wszechstronnego poznania rzeczywistości i jak najściślejszego powiązania twórczości z życiem. W wygłoszonym na naradzie referacie pt. *Przemiany na wsi kołchozowej i zadania literatury pięknej* mówił o tym Walentin Owieczkin. Znaczną część swego referatu autor *Spraw dnia powszedniego* poświęcił zagadnieniom reportażu literackiego. Owieczkin przykłada dużą wagę do reportażu w każdej jego odmianie. Reportaż w ścisłym, „podręcznikowym" tego słowa znaczeniu — a więc dokumentalny, poświęcony konkretnym ludziom i wydarzeniom — posiada przede wszystkim charakter poznawczy. Ta forma jest w literaturze radzieckiej bardzo rozpowszechniona.

„Ale — mówił Owieczkin — istnieje także inna odmiana reportażu, nazwijmy go reportażem-studium. Jest to poważna rozmowa z czytelnikiem na temat pewnych aktualnych problemów życia. W takim reportażu ścisłość faktów tkwi w istotnej treści opisywanego zjawiska, poza tym jednak — autor ma zupełną swobodę twórczą, podobnie jak w każdym innym gatunku literackim. Żaden bodaj inny rodzaj literacki nie pozwala na tak szerokie uogólnienia jak właśnie reportaż-studium." Owieczkin powołuje się na tego rodzaju utwory Sałtykowa-Szczedrina, Korolenki, Uspieńskiego i innych klasyków rosyjskich. W ich szkicach nie brak było literackiej fikcji, domysłów i uogólnień.

„Myślę — mówił Owieczkin — że teraz, w naszych czasach, taki reportaż-studium jest nam szczególnie potrzebny jako gatunek bardzo operatywny."

Owieczkin zanalizował stojące na granicy opowiadania i reportażu utwory: Kalinina *(Na poziomie przeciętnym, Księżycowe noce)*, Bakłanowa *(W Sniegirach)*, I. Antonowa *(Wyboista droga)*, Smuuła *(Listy ze wsi Sygedate)* i in. Dla twórczości o tematyce wiejskiej duże znaczenie posiadają reportaże popularno-naukowe (np. Fisza *Odkrycie Terentija Malcewa)*. Owieczkin wyraził przekonanie, że pisarze, mówiący o wsi, osiągnęli ostatnio godne uwagi wyniki, przede wszystkim w dziedzinie reportażu. Gorzej przedstawia się powieść.

Niedoścignionym wzorem jest drugi tom *Zoranego ugoru* Michała Szołochowa (w r. ub. opublikowano 8 rozdziałów powieści).

Zastanawiając się nad tym, jaka nauka płynie dla literatów, piszących o współczesnej wsi kołchozowej, z drugiego tomu *Zoranego ugoru* — i twórczości Szołochowa w ogóle — Owieczkin doszedł do następującego wniosku: twórczość Szołochowa nasuwa przypuszczenie, że „...jednym z najgłówniejszych składników wielkiego talentu pisarskiego jest umiłowanie życia. Umiłowanie życia nie tylko własnego, ale i wokół siebie. Wieś to naturalny żywioł Szołochowa. Słusznie więc mówi Owieczkin: „Ażeby osiągnąć podobne jak u Szołochowa organiczne zespole-

nie twórcy z myślami i uczuciami narodu, trzeba stać bardzo blisko narodu, trzeba żyć z narodem i wśród narodu. W wyniku dwóch-trzech wyjazdów w teren nie można w życiu narodu dojrzeć tego, co widzi, wie i czuje Szołochow".

Owieczkin wymienił tylko dwie większe powieści: *W naszym Cziczekli* azerbejdżańskiego pisarza A. Wielijewa i *Zieloną księgę* (opisującą życie i walkę naukowców-miczurinowców na Dalekim Wschodzie) — pióra R. Agiszewa.

W ostatnich latach ukazało się natomiast wiele utworów drobniejszych — opowiadań, nowel, opowieści. Za najlepsze z nich Owieczkin uważa opowieści W. Tendriakowa *(Słota, Upadek Iwana Czuprowa, Niedobrani /Nie ko dworu/)*, T. Żurawlewa *(Kombajnerzy)*, A. Szogencukowa *(Wiosna Sofiat)*, S. Woronina *(Niepotrzebna sława)*, W. Zemlaka *(Rodzinne strony)*, L. Obuchowej *(Głubyń-Gorodok)*, opowiadania G. Trojepolskiego *(Mitricz, Nad Stromym Jarem)*. W utworach tych znajdujemy odbicie wielkich przemian na wsi kołchozowej, wyczuwamy bliską i bezpośrednią znajomość życia.

Z utworów ostatniej doby oddzielnie i szczegółowo omówił Owieczkin *Opowieść o dyrektorze MTS i o naczelnym agronomie* Haliny Nikołajewej. Powieść ta, opublikowana jesienią 1954 r., wywołała na naradzie ożywioną polemikę. Pokrótce przypomnę treść utworu. Jego bohaterka, młodziutka, cicha i skromna absolwentka agronomii, Nastia Kowszowa, śmiało i nieustępliwie walczy aż do zwycięstwa z kierownictwem ośrodka maszynowo-traktorowego, w którym objęła stanowisko naczelnego agronoma, walczy z nieobojętnym jej sercu dyrektorem MTS, Aleksiejem Czalikowem — o wprowadzenie zainicjowanych przez siebie nowatorskich metod uprawy i nowych na owym terenie kultur pastewnych.

Jakie zarzuty postawiono autorce *Opowieści?* Owieczkin ujął je następująco: „Wątek opowieści Nikołajewa osnuła na wielkim, bardzo ostrym konflikcie. Ale istota sprawy tkwi gdzie indziej. Gdy się uważnie wczyta w powieść, porównując ją z życiem — czytelnika uderza, że mimo całej ostrości konfliktu jest w niej coś zmyślonego. Z *Opowieści* wynika, że Nastia Kowszowa sama, bez żadnej pomocy ze strony rejonowego komitetu partii i i kierownictwa MTS, a nawet mimo ich oporu, przyczynia się do podniesienia trzech najbardziej zacofanych kołchozów. A w ogóle — dokonuje tego bez trudności i po prostu: udziela tylko właściwych porad agrotechnicznych".

Krytyczny sąd Owieczkina podzielili i inni uczestnicy narady — Kalinin, Riaboklacz, Trojepolski. Ich zdaniem Nikołajewa przytłumiła konflikt i tym samym wypaczyła prawdę sytuacji. W odpowiedzi na zarzuty Nikołajewa zaakcentowała wagę przemian psychicznych, którym głównie poświęciła swój utwór. Zadaniem literatury pięknej jest właśnie malowanie ludzi i przemian w nich zachodzących. Nikołajewa zajęła się obszerniej sprawą odmiennego ujęcia tematyki wiejskiej — w twórczości reportażowej i beletrystycznej. Według autorki *Żniw* do utworów prozy artystycznej należy stosować kryteria nieco odmienne od kryteriów oceny reportaży. Każdy gatunek literacki ma swoje reguły; nie można spraw literatury pięknej zamykać w kręgu literatury reportażowej.

„Nawet najbardziej szczegółowe streszczanie konkretnych procesów i zjawisk, gdy pomija się problem poszukiwań artystycznych i ukazanie charakteru, psychiki człowieka — mówiła Nikołajewa — nie sprzyja podniesieniu jakości utworu." W obronie *Opowieści* Nikołajewej wypowiedzieli się pisarze — M. Smirnowa, R. Dżaparidze, W. Dorofiejew i in. — uwypuklając subtelność psychologicznego rysunku Nasti Kowszowej.

Analizując procesy rozwojowe tematyki wiejskiej w prozie artystycznej S. Załygin spróbował wyciągnąć wnioski z dyskusji o *Opowieści* Nikołajewej: „...Przede mną stają postacie dwojga pisarzy, którzy niejako reprezentują pewne krańcowości w naszej literaturze o tematyce kołchozowej z ostatnich 2 — 3 lat. Z jednej strony — Owieczkin, z drugiej zaś — Nikołajewa. Mimo przyświecającego tym pisarzom identycznego celu — cechuje ich odmienna maniera pisarska, rozmaite ujęcie tematu. Z grubsza biorąc — mógłbym to tak sformułować: o ile u Nikołajewej ludzie występują niekiedy poza obrębem zupełnie konkretnych zagadnień, to u Owieczkina często zdarza się, że istnieją problemy bez ludzi".

Zdaniem Załygina — utwór Nikołajewej żyje, żyje stworzona przez autor-

kę postać bohaterki. I to właśnie odczuwa czytelnik. Nie zwalnia to jednak pisarki od odpowiedzialności za popełnione nieścisłości i błędy. „Myślę — powiedział Załygin — że tak bardzo naszej literaturze potrzebna duża powieść winna być syntezą maniery pisarskiej właściwej Nikołajewej — z jednej strony, i pisarstwa Owieczkina — z drugiej."

M. Smirnowa, autorka scenariuszy filmowych o tematyce wiejskiej, mówiła m. in. o filmach z życia kołchozów. Zdaniem Smirnowej — rozwojowi tej dziedziny twórczości staje na przeszkodzie okoliczność, że w środowisku filmowców... „niektórych opieszałych towarzyszy nęka strach przed uogólnieniami, lęk przed konfliktami; dlatego właśnie wyjaławiają oni scenariusze. Pragniemy, aby społeczność pisarska dopomogła nam dźwignąć z miejsca tę machinę. Nasze filmy koniecznie trzeba wypełnić prawdziwym życiem wraz z jego konfliktami, tak jak je malują pisarze w reportażach".[1]

O tematyce wiejskiej w kinematografii i potrzebach filmów „wiejskich" — zwłaszcza o konieczności zwalczania pewnych skłonności do lakiernictwa — mówił również W. Tendriakow. „Wiemy — mówił Tendriakow — i często to powtarzamy, że nasza radziecka literatura powinna być partyjna. Jestem przekonany, że nie mamy prawa uważać za partyjny takiego utworu, w którym krytykę naszego życia zastępuje się lakiernictwem. Jednym z zasadniczych zadań literatów jest kultywowanie w masach ducha krytyki." Zdaniem Tendriakowa zupełną niedorzecznością jest dawkowanie cech i przejawów dodatnich i ujemnych, albowiem celem literatury nie jest bynajmniej statyczne odtwarzanie zjawisk dodatnich czy też ujemnych, lecz... „ukazywanie walki pierwiastków pozytywnych z negatywnymi, walki tego, co się rodzi, z tym, co obumiera, odtwarzanie walki jako procesu".

G. Korabielnikow wyraził w dyskusji pogląd, że dużą przeszkodą w rozwoju literatury są błędne sądy o jej celach. „Od utworu artystycznego o tematyce współczesnej — mówił Korabielnikow — często żąda się takich decyzji i porad, które mogą i winny dać inne dziedziny poznania rzeczywistości, natomiast nie wymaga się tego, co dać może tylko literatura, sztuka." Źle jest — zdaniem Korabielnikowa — gdy utwór artystyczny oceniamy według kryteriów rolniczo-technicznych.

Kilku uczestników dyskusji zajęło się zagadnieniem bohatera utworów o tematyce wiejskiej. Autor *Wielkiej rodziny*, M. Stelmach, mówił: „Nasi zwykli ludzie radzieccy pod każdym względem godni są pióra Szekspira, toteż niepotrzebne jest jakiekolwiek ich upiększanie". Problem wyboru bohatera analizował także G. Trojepolski: „Dotychczas ciągle jeszcze przeciwstawia się u nas charaktery wielkiego formatu ludziom «przeciętnym». Jak gdyby wielki charakter mógł być wyłącznie udziałem człowieka obdarzonego niezwykłymi cechami. Niech zwykły człowiek wejdzie jako gospodarz do naszej literatury".

S. Babajewski poruszył sprawę artyzmu postulując, by równolegle z zagadnieniami poznawczymi stawiać problemy kunsztu pisarskiego. „Myślę — mówił autor *Kawalera Złotej Gwiazdy* — że przyjdzie czas, kiedy będziemy zbierać się specjalnie w sprawach twórczości. Nie będziemy wysuwać problemu, w jaki to sposób my, pisarze, mamy zmienić zasady planowania w rolnictwie. Naszym zadaniem jest dyskusja nad tym, jak pisać książki." Postulat Babajewskiego w sprawie analizy walorów artystycznych był jednym z nielicznych na naradzie głosów, poruszających zagadnienia sztuki pisarskiej.

Podsumowując dyskusję Owieczkin wysunął również szereg żądań pod adresem krytyków: „Nadszedł już czas, aby krytyka zabrała się do pracy. Wielu towarzyszy nie zadowolił fakt, że na naszej naradzie mało mówiliśmy o artyzmie. Niechże więc krytyka uzupełni ten brak..."

„*Litieraturnaja Gazieta*" (z 15.XI ub. r.) w artykule redakcyjnym, rekapitulującym wyniki narady (*Rękojmia nowych sukcesów*), powodzenie i owocność dyskusji przypisuje okoliczności, że uczestnicy narady nie ograniczyli się do analizy spraw ściśle literackich, warsztatowych, lecz omówili wiele życiowo ważkich i aktualnych proble-

[1] Na naradzie nie mówiono co prawda o tematyce wiejskiej w utworach dramatycznych, ale w dniach narady w prasie odezwał się głos również i w tej sprawie: był nim interesujący artykuł I. Wiszniewskiej *Schematy a życie* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 27.X. ub. r.).

mów. „Dyskusja — czytamy w tym artykule — odsłoniła wiele nowych przejawów dzisiejszego życia wsi, ujawniła mocne i słabe strony współczesnych utworów o tematyce zaczerpniętej z rzeczywistości kołchozowej."

Dla dobra sprawy konieczny jest równomierny rozwój wielu gatunków literackich. Zdarza się — pismo winia za to zarówno twórców, jak i krytyków — że zasugerowani sukcesami pewnych gatunków literackich (w tematyce wiejskiej — osiągnięciami reportażu literackiego) — nie dbają oni o inne rodzaje twórcze. Na naradzie — zdaniem redakcji pisma — nie przeanalizowano przyczyn niepokojącego zjawiska, że w ostatnich kilku latach nie pojawiły się większe powieści o tematyce wiejskiej.

W dyskusji ujawniła się jeszcze jedna słaba strona krytyki literackiej — brak surowych kryteriów. Na przykładzie entuzjastycznie przez krytyków przyjętej, choć nie pozbawionej istotnych braków, *Opowieści* Nikołajewej „*Litieraturnaja Gazieta*" ilustruje postawiony krytykom zarzut pobłażliwości: „Ukazaniu się utworu napisanego z talentem, plastycznie — towarzyszy zazwyczaj chór pochlebnych recenzji, w których nie ma jednak mowy o istotnych niekiedy wadach książki. To, że autorowi nie wytyka się niedociągnięć, oznacza brak troski o rozwój jego talentu".

Dyskusja trwa nadal. Publikowane od czasu do czasu artykuły wnoszą do niej nowe momenty. W ogłoszonym na łamach „*Prawdy*" (z 17.XI ub. r.) artykule *Książki z życia wsi kołchozowej* W. Smirnow apeluje do pisarzy, by nawiązywali do najlepszych tradycji literatury pięknej lat trzydziestych. „Należy — czytamy w „*Prawdzie*" — wzrócić uwagę pisarzy na głębsze w sensie historycznym opracowywanie tematyki wiejskiej. Tematów z przeszłości bynajmniej nie wyczerpaliśmy. Jak świadczy dorobek najwybitniejszych pisarzy, «dzień wczorajszy» wsi może być zupełnie współcześnie i aktualnie ujęty, a tematy dnia dzisiejszego znacznie zyskają na rzutowaniu ich w trzech wymiarach: przeszłości, teraźniejszości i przyszłości."

Józef Spinc

KTO TO JEST CZUANG TSY?

Na liście laureatów ostatnich nagród państwowych czytelnicy „*Twórczości*" zauważyli zapewne nazwisko prof. Jabłońskiego, który wraz ze swymi współpracownikami, J. Chmielewskim i O. Wojtasiewiczem, uwieńczony został za przekład dzieła o dość zagadkowym tytule *Czuang Tsy, Prawdziwa księga południowego kwiatu*. Czuang Tsy, chiński filozof-taoista, zasługuje na poznanie nie tylko wśród fachowców. Trudno byłoby znaleźć lepsze wprowadzenie do *Prawdziwej księgi* niż fragment rozdziału, który myśli Czuang Tsy poświęcił Claude Roy w swych znakomitych *Kluczach do Chin*. Zagadnienie chińskich religii — a ściśle mówiąc, filozofii — zostało tu ujęte swobodnie, choć — jak sądzę — trafnie; Roy, nie nużąc czytelnika trudnym do zrozumienia wykładem meandrów chińskiej myśli, wskazuje na istotę różnic między jej rozmaitymi tendencjami, różnic, które i dziś są jeszcze aktualne. Książka Roy'a ukaże się w 1956 r. w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Warto dodać, że wywołała jeszcze niedawno ciekawą dyskusję we Francji. Spierali się Roy i znany krytyk Etiemble. Istotą zaś sporu było: czy nowe Chiny odrzucają rzeczywiście tradycję konfucjańską na rzecz tradycji taoistycznej, w pierwszym rzędzie na rzecz Czuang Tsy; a jeśli tak, to czy postępują słusznie? Nie do nas należy, oczywiście, rozstrzygnięcie podobnego sporu, w którym zresztą znalazło się — ze strony Etiemble'a — sporo nielojalności. W każdym jednak razie rzut oka na problemy chińskiej filozofii będzie chyba pożyteczny, da nam bowiem pojęcie o zagadnieniach tradycji i orientacji intelektualnej nowych Chin.

J. B.

Prawdziwe religie opanowywały Chiny tylko wtedy, gdy wszystko szło jak najgorzej. Buddyzm uczył ludzi ucieczki od życia: toteż zatriumfował w Chinach wówczas, kiedy życie stało się tam naprawdę nie do zniesienia — w IV i V wieku. Chińczycy potrzebowali aż trzech wieków, aby strawić religię Buddy: cesarze prześladowali jego wyznawców, taoiści skradli mu ceremoniał, filozofowie *„zen"* oczyścili go z metafizyki. Buddyzm jest zresztą gruntownie a-chiński: głosił celibat narodowi, w którym rodzina jest wszystkim, zalecał żebractwo rolnikom i ascetyzm ludowi, który umie cieszyć się z życia. Ale Konfucjusz szybko spłatał Buddzie figla: zmienił jego wyznawców w swoich własnych.

Banał okazuje się (po raz pierwszy i ostatni) prawdą: Chińczycy mają filozofie, ale nie mają religii.

Od zarania historii Chińczycy odnosili się do Boga z wielką rezerwą. *Księga śpiewów* mówi o Bogu bez szacunku, oskarża go, łaje nawet:

Wielki Bóg jest kapryśny w łaskawej dobroci:
Głód zasiewa i niszczy olbrzymie narody.
Wielki Bóg jest kapryśny w nieustannym gniewie:
Niszczy winnych, niewinni w jego gniewie giną.

Filozofowie chińscy byli przebiegłymi sługami władców albo ich sprytnymi wrogami. Chcieli tylko jak najlepiej urządzić świat. Konfucjusz to stary sceptyczny lis: „Czcijcie bogów, jak gdyby stali przed wami". Unikał odpowiedzi na pytania o niebo, duchy itd.: istotą jego przekonań było wymijające „tak jakby". Lao Tsy, Czuang Tsy czy Mencjusz byli przede wszystkim moralistami i politykami, trochę filozofami, nigdy zaś teologami. Chcieli sprawić, aby Cesarz stał się cnotliwy, aby lud był uległy lub obojętny, posłuszny, czy zbuntowany — zależnie od okoliczności historycznych. Siun Tsen, największy obok Mencjusza uczeń Konfucjusza, pisał w III wieku jak Bacon lub Encyklopedyści:

Chwalicie przyrodę, rozmyślacie o niej:
Czemuż jej nie chcecie jarzmem regulować?
Śpiewacie przyrodę, spoglądacie na nią:
A czemu z jej biegu nie chcecie korzystać?
Dlatego powiadam: kto wysiłek ludzki
Lekceważy, myśląc o pięknie przyrody,
Ten żyje w niezgodzie z rzeczywistym światem.

Wszystkich chińskich myślicieli, którzy sprzeczali się, walczyli i wzajemnie wzbogacali, interesowało tylko jedno: recepta na publiczne i osobiste szczęście. Systemy ich odpowiadały za sytuację społeczną i wydarzenia polityczne. Kiedy cesarstwo stało się trudną do zniesienia tyranią, taoizm radził słowami Jang Czu: „Każdy sobie". Mędrzec dla Jang Czu to człowiek, którego postępowanie polega na tym, że „nie zostanie w wojsku ani zamieszka w mieście, które znajdzie się w niebezpieczeństwie. Cały świat nie wart dlań jednego włoska na własnej głowie". Mówi się zawsze o Konfucjuszu jako obrońcy tronu i ołtarza. To prawda. Ale Mencjusz poprawiał swego mistrza: „Najważniejszy jest lud". Mencjusz uważał nawet, że lud ma prawo obalić złego władcę. Wszyscy ci myśliciele szukali zawsze praktycznych rozwiązań: przeciwwagi na despotyzm lub ratunku przed anarchią.

Konfucjusz był doradcą księcia. Kupcy, pośrednicy, słowem — ludzie mali brali wówczas w swe ręce władzę, korzystając z upadku „pierwszego feodalizmu" — starożytnego systemu społecznego Chin. Kupiec Lu Pu-wei został wtedy premierem państwa Czin, a w księstwie Czeng pewien „człowiek interesu", Hsien Kao, zmusił do odwrotu nieprzyjacielskie wojska. Wszystko zaczęło nagle wyglądać inaczej niż za dawnych dobrych czasów. Konfucjusz starał się zawrócić czas i skierować wszystkich na drogę zagrożonego ładu. Kiedy Diderot mówił: „Przyzwyczajajmy narody do użytecznych łańcuchów" — określał świetnie cel Konfucjusza. Przez dwadzieścia pięć wieków władza czciła go jak boga — i słusznie. Tyrania nie znalazła nigdy lepszego teoretyka ani arystokracja — skuteczniejszego obrońcy.

Były rozmaite Chiny. Chiny ociężałe, niezmienne, obojętne dla Nieba, ale wierne Ziemi, Chiny, które w nienaruszalnych definicjach zamknęły jednostki, rasy, klasy i płcie, Chiny świętych, władczych maksym, ciężkich, surowych

pałaców o przerażającym majestacie, głazu, granitu, rzeźby niezgłębionej i masywnej, czasu, który stanął w miejscu — oto Chiny Konfucjusza. Zaś Chiny „chińszczyzny": to, co pstre, rozgrymaszone, groteskowe; to, co barokowe, rokokowe, ekspresjonistyczne; słowem to, co składa się na zbiory emerytowanych oficerów marynarki (posążki pękającego ze śmiechu Buddy itp.) — oto dekadenckie potomstwo buddyzmu (właściwa wielka sztuka buddystyczna — rzeźba epoki Wei, pewne dzieła epoki Tang — nie jest czysto chińska). Wreszcie wielkie malarstwo chińskie: sztuka, która jak żadna inna na świecie wyraziła przyrodę: wody, kwiaty, ptaki, drzewa; w której człowiek nie jest nigdy środkiem, ale cząstką i elementem rzeczy; w której krajobraz nie jest nigdy dekoracją czynów, ale zawsze — echem uczucia; owo liryczne malarstwo, które budzi wzruszenia te same, co wielka chińska poezja — oto spadek starożytnego taoizmu.

Konfucjusz nałożył Chińczykom ołowiane jarzmo, ciężkie, osłabiające i majestatyczne. Chińczycy umieli się spod niego wymknąć — nie chcieli dotrzymać towarzystwa Konfucjuszowi. Stary mistrz głosił konieczność poddania się obowiązkom społecznym; radził pogodzić się pokornie z nakazami władzy, obrzędów i zwyczajów. Czuang Tsy odpowiadał mu jakby: — Doskonale, mościpanie, mów sobie dalej — ja mam co innego do roboty. W filozofii chińskiej istniał jeszcze trzeci prąd, ustawicznie gnębiony przez system społeczny: żyła materialistyczna, demokratyczna myśl, odważna, harda, zuchwała, której przedstawicielami byli Wang Czung albo moraliści epoki Sung, jak Czen Ji-szuan lub Czu Hai. Prąd ten daleko zaszedł; przez spotkanie z myślą marksistowską spełnił się, rozkwitł i przemienił we współczesnej rewolucji. Lecz niegdyś, w zamierzchłych wiekach, ta filozofia walczącego humanizmu była zaledwie wątłym, zagrożonym, niepewnym zarodkiem. Jakże więc dziś odmówić przyjaźni i czułości chińskim myślicielom, którzy nie chcąc służyć władzy i nie umiejąc służyć narodowi, odwrócili się jednak pogardliwie od możnych tworząc poetycką ironiczną mądrość, zalecając obojętność wobec społeczeństwa, które bezlistośnie dławiło niezależną myśl. Jakże nie kochać taoistów, a nade wszystko — Czuang Tsy?

*

Wśród taoistów najsłynniejszy jest Lao Tsy — zwłaszcza w Europie. Pierre Leyris, współpracując z Huang Kiaczeng, opracował wspaniałe tłumaczenie *Drogi i Cnoty (Tao Te King)*, w którym zachował poetycki akcent, szeroki rytm, sentencjonalny liryzm oryginału. Ale kto da Francuzom tłumaczenie Czuang Tsy, godne przekładu, jaki Giles ofiarował Anglii przeszło pięćdziesiąt lat temu? *

Mądrość Czuang Tsy jest skromna — ale filuterna. Zamyka się w małych przypowieściach, złośliwych i opalizujących znaczeniami. Czuang uczył zagadkowo i aluzyjnie. Stary historyk chiński Sy-ma Ts'ien pisał w r. 90 p. n. e. o Czuang Tsy: „Namiętny potok jego słów był posłuszny tylko jego własnemu kaprysowi, dlatego też nikt z królów, książąt czy wielkich dostojników nie potrafił zużytkować jego talentów". Jest to dokładne przeciwieństwo Konfucjusza: niepostrzeżenie wsuwa do ręki słuchacza bardzo pożyteczne narzędzia — albo bardzo praktyczną broń. Czuang nie dyktuje, ale podsuwa; nie prowadzi, ale nastawia. To uwodziciel i czarodziej, a nie profesor. Konfucjusz wprowadza hierarchię funkcji, a Czuang namawia na wagary, gdzie można odetchnąć świeżym powietrzem, Konfucjusz beszta i dogmatyzuje. Czuang kpi i wyśmiewa. Czuang jest dowcipny, ale przewrotny: lubi przewracać ścianki definicji, w których chce się go uwięzić. Jest nieuchwytny, nie można go przyłapać; umyka jak przepiórka z piosenki, jak chmury na niebie, jak niecierpliwa wyobraźnia, która nie może ścierpieć żadnych więzów.

Czuang Tsy, patrząc na skomplikowany system praw, instytucji i zwyczajów, na feodalną budowlę obyczajów i obowiązków, dosiada wiatru i ulatnia się: „Mistrz Lie, powożąc wiatrem, podróżował lekko i pięknie i wracał dopiero po kilkunastu dniach. Nawet wśród ludzi, co osiągnęli szczęśliwość, tacy są rzadcy". Czuang pragnie tylko, aby o

* Tłumaczenie Czuang Tsy dał prof. Jabłoński wraz z J. Chmielewskim i O. Wojtasiewiczem pt. *Czuang Tsy, Nen-hua-czên-king (Prawdziwa księga południowego kwiatu)*, PWN, Warszawa, 1953, skąd też zaczerpnięto wszystkie cytaty (opuszczając aparat filologiczny). Cytat z Sy-ma Ts'iena tamże.

nim zapomniano, aby się na nim nie poznano; pragnie roztopić się w swym otoczeniu i zniknąć w przyrodzie, jak owady, które przybierają barwę uschłych gałązek lub zielonych listków, pod którymi znajdują schronienie. „Pewnego razu Czuang Czou śniło się, że jest motylem, radosnym motylem, który latał swobodnie nie wiedząc, że jest Czuang Czou. Nagle zbudził się i znów był rzeczywistym Czuang Czou. I teraz nie wiadomo, czy motyl był snem Czuang Czou, czy też Czuang Czou był snem motyla?" Czuang uczył wymijającej, idealistycznej moralności; zalecał giętkość, poddanie, absolutne zaufanie do przyrody. „Oto człowiek pijany spada z wozu: choćby wóz pędził, on się nie zabija. Jego kości i stawy są takie same, jak u innych ludzi, jego odporność na uszkodzenie inna niż u innych ludzi, ponieważ jego pierwiastek duchowy jest całkowity. Nie wie ani o tym, że jedzie na wozie, ani o tym, że spada; strach przed śmiercią ani obawa przed życiem nie przenikają do jego piersi — oto dlaczego bez obawy stawia czoło rzeczom zewnętrznym. Ten osiągnął swą całkowitość w winie i oto już jest taki — a cóż dopiero ten, który osiągnie całkowitość w niebie (przyrodzie)? Mędrzec przebywa w niebie (przyrodzie), dlatego nic zewnętrznego nie może mu zaszkodzić." Czuang Tsy radzi monarsze, aby był możliwie jak najbardziej leniwy i nieruchliwy, aby dał ludowi spokój i rządził samym przykładem cnoty. Obawia się sztywnych, niezręcznych dekretów, które wydaje Konfucjusz dla „dobra" narodu: „Czyżbyś tylko ty nie słyszał o tym, jak niegdyś morski ptak zatrzymał się na przedmieściach Lu? Książę Lu wyszedł mu na spotkanie, a potem wyprawił dlań ucztę w świątyni przodków. Wykonano muzykę Kiu-szao, aby ptaka zabawić, przygotowano zwierzęta ofiarne, by mu dostarczyć delikatnego jadła. Lecz ptak spoglądał na to wszystko zmąconym wzrokiem i był smutny, nie śmiał zjeść ani jednego kęsa, wypić ani jednej czary, a po trzech dniach umarł. Oto jest przykład karmienia ptaka ludzkim pokarmem i niekarmienia ptaka ptasim pokarmem. Jeśli się chce karmić ptaka ptasim pokarmem, trzeba mu dać gniazdo w gęstym lesie, pozwolić mu wędrować nad piaszczystymi równinami, unosić się nad rzekami i jeziorami..." Czuang odpowiada na konfucjański rygor anarchistycznym kwietyzmem. Kiedy Konfucjusz popycha brutalnie człowieka na Mierną Drogę, Czuang, mrugając okiem wskazuje ofierze boczną dróżkę i namawia, aby na nią czmychnął. Rad Czuanga słuchano w Chinach przez kilka wieków. Konfucjuszem można wytłumaczyć trwałość Cesarstwa, Czuangiem zaś — poezję i humor chiński. Pierwszy jest wcieleniem porządku, drugi — fantazji. Wadze społeczeństwa Czuang Tsy daje przeciwwagę ucieczki. Czekając czasu, kiedy te sprzeczne myśli zostaną pogodzone i staną się nieaktualne, kiedy człowiek będzie czuł się w społeczeństwie tak, jak ryba w wodzie, przyznaję, że zawsze cenię bardziej moralność wolnego ptaka, bujającego po niebie, niż moralność, którą głosi władca niewolnikom na kolanach.

Claude Roy
(przełożył
Jan Błoński)

SPÓR O „TITANICA"

W roku bieżącym przypada setna rocznica urodzin George Bernarda Shawa. Nie ma wątpliwości, że ją uczcimy. Otrzymamy parę zbiorków jego sztuk teatralnych wraz z przedmowami, kilka sztuk (oby dobrze wybranych!) ujrzymy zapewne na scenach, przeczytamy pewną ilość esejów, a nawet nieco wspomnień, o które przecież nie trudno, bo stulecie urodzin przypada w sześć lat po śmierci pisarza.

Dobrze byłoby jednak usłyszeć również głos Shawa-polemisty, krytyka, publicysty, który gorszył i irytował kilka pokoleń Anglików czasu Wiktorii, Edwarda i Jerzego.

Shaw był wprawdzie polemistą w większości swych dzieł, ale jakże chęt-

nie dzisiejszy czytelnik polski, współczesny dyskutant literacki, przysłuchałby się owemu hałaśliwemu nieco, ale pobudzającemu szczękowi Shawowskiej szpady w codziennych utarczkach prasowych! Działał on przez zaskoczenie, jaskrawym obrazem, nieoczekiwanym porównaniem, miażdżącą kpiną, dowcipem, ba, nawet wymysłami. Nie szczędzono i jemu wymysłów: nazywano go efekciarzem, wulgaryzatorem, błaznem, podobnie jak Boya-Żeleńskiego, którego publicystyka walcząca posiada niemało cech shawowskich. Ale Shaw, tak jak Boy, niewiele sobie z tego robił.

„Krytyka — pisał — jest zbawienna nie tylko jako środek leczniczy: jest ona pozytywnie, popularnie atrakcyjna przez swe okrucieństwo, gladiatorstwo, satysfakcję, którą daje zazdrosnym, gdy atakuje wielkich, której udziela entuzjastom, gdy chwali. Mówi to, co wielu chciałoby powiedzieć, gdyby im starczyło odwagi i umiejętności. Jej obrazoburstwo, bunty i bluźnierstwa bawią tych, których powinny gorszyć. W ten sposób krytyk do swych przywilejów spowiednika dodaje przywileje nadwornego błazna."

W tej żartobliwej charakterystyce kryje się wiele prawdy. Shaw budził publiczność z apatii, zmuszał do samodzielnego myślenia, wyrywał przemocą z konwencji banału i rutyny, kompromitował hipokryzję angielską, wyszydzał ów „idealizm, który jest tylko pochlebną nazwą romantyczności w polityce i moralności", tej „fikcyjnej moralności, otaczającej aureolą fikcyjnej chwały rabunki, głód, choroby, zbrodnie, pijaństwo, wojnę, okrucieństwo, chciwość i wszelkie inne komunały cywilizacji".

„Pewnego wieczora — pisze Shaw — lekarz-okulista zbadał mój wzrok i określił go jako normalny, a zatem dla niego całkiem nieinteresujący. Zrozumiałem to oczywiście w ten sposób, że mój wzrok jest taki sam, jak każdego innego przeciętnego człowieka. Lekarz odrzucił tę interpretację jako paradoksalną i pośpieszył z wyjaśnieniem, że jestem pod względem optycznym wyjątkowym i wielce szczęśliwym okazem, gdyż wzrok normalny, pozwalający widzieć dobrze i wyraźnie, jest przywilejem zaledwie dziesięciu procent ludności. Pozostałe 90 procent posiada wzrok anormalny. Natychmiast pojąłem przyczynę moich niepowodzeń w zawodzie powieściopisarskim. Oczy mego umysłu, jak oczy mego ciała, są »normalne«; widzą rzeczy inaczej niż oczy innych ludzi: widzą je lepiej. To odkrycie wywarło na mnie silne wrażenie. Pomyślałem zrazu, że mógłbym się utrzymać, sprzedając swoje dzieła tym dziesięciu procentom, widzącym jak ja; ale chwila rozwagi ukazała mi, że muszą oni, jak ja, być bez grosza przy duszy... Gdybym był praktycznym, rozsądnym, lubiącym pieniądze Anglikiem... włożyłbym na nos anormalne okulary i tak spaczyłbym wzrok, aby się spodobać dziewięćdziesięciu procentom potencjalnych nabywców książek... Ale nie przyszło mi to nawet do głowy. Lepiej widzieć dobrze za funta tygodniowo niż zezować za milion."

*

Myślę, że tych kilka cytatów zdołało zaciekawić czytelnika o tyle, że chętniej zapozna się z publicystyką Shawa, niż z całą furą interpretacji nieznanych mu jego utworów. Niestety, niewielkie są szanse na to, abyśmy w bieżącym roku otrzymali wybór jego krytyk muzycznych, w których zresztą, prócz muzyki, poruszał wszelkie inne tematy, lub wybór artykułów publicystycznych, gdzie staczał walki o sprawy dawno przebrzmiałe lub czytelnikowi polskiemu całkiem obce.

Dlatego właśnie słusznie może będzie u progu Shawowskiego roku przypomnieć dla przykładu jedną z wielu jego batalii, dotyczącą sprawy odległej wprawdzie, ale takiej, która nam się przecież obiła o uszy. Wydarzeniem, które spowodowało dyskusję, było zatonięcie „Titanica".

Fakt ten wstrząsnął ówczesnym światem, nie przeczuwającym jeszcze okropności zbliżającej się wielkiej wojny, nie zblazowanym jeszcze wiadomościami o milionach ton idących wraz z tysiącami ludzi na dno oceanów.

Dyskusję opisuje Hesketh Pearson w swojej biografii Artura Conan Doyle'a. Conan Doyle, autor wielkich, z ogromną erudycją pisanych powieści historycznych, z których był dumny, oraz powieści detektywnych, które go unieśmiertelniły wraz z ich bohaterem, najsławniejszą postacią literatury angielskiej, Sherlockiem Holmesem; Conan Doyle — zapaleniec, entuzjasta, człowiek czynu, sportowiec, pisarz „dla mężczyzn i chłopców" (później, po

śmierci syna od rany otrzymanej nad Sommą — zagorzały spirytysta), jest, jako idealne pod każdym względem przeciwieństwo Shawa, wymarzonym partnerem polemiki.

Przedstawmy zatem, za Pearsonem, okoliczności sprawy.

Mamy rok 1912. „Titanic", własność linii „White Star", w chwili spuszczenia na wodę największy statek pasażerski świata, o wyporności 46.328 ton, cud techniki, w opinii publicznej — szczyt bezpieczeństwa na morzu, opuścił dnia 10 kwietnia, w środę, port Southampton, zatrzymał się po drodze w Cherbourgu i Queenstown, skąd wypłynął 11 kwietnia po południu w swą dziewiczą podróż przez Atlantyk, zabierając 2.200 pasażerów. Wśród nich znajdował się również p. Ismay, dyrektor Towarzystwa Okrętowego; statek rozwinął wysoką szybkość — dwadzieścia dwa i pół węzła. W ciągu niedzieli 14 kwietnia otrzymano cztery wiadomości radiowe od innych statków o obecności gór lodowych na trasie. Wiadomości te pozostały bez wpływu na szybkość i kierunek jazdy. Kapitan Smith, zgodnie z praktyką wielu swoich kolegów, nie zbaczał z kursu ani nie zmniejszał szybkości w pobliżu gór lodowych, zarządził za to ścisłą obserwację trasy. Publiczność domagała się szybkich podróży; między Towarzystwami transatlantyckimi była ostra konkurencja; dotychczas zresztą nie zdarzały się wypadki z tego powodu.

Wieczór niedzielny był piękny i jasny, bez chmur i księżyca. Na niebie świeciły gwiazdy. Tuż przed godziną 11.40 marynarz na bocianim gnieździe zameldował: „Góra lodowa na kursie". Jednocześnie prawie oficer wachtowy dał rozkaz: „Ster prawo na burt" i zatelegrafował do maszynowni: „Stop. Cała wstecz". Ale górę lodową zauważono z odległości zaledwie pięciuset jardów, i chociaż ster był całkiem położony na prawo i statek odchylił się o dwa rumby w lewo, „Titanic" zderzył się z górą prawą burtą części dziobowej.

Około północy stało się oczywiste, że statek zatonie. Wydano rozkaz zdjęcia pokrowców z czternastu łodzi ratunkowych. Na nieszczęście zaniedbano uprzednio próbnych ćwiczeń dla marynarzy i chociaż członkowie załogi posiadali drukowane instrukcje, wielu z nich nie zapoznało się z nimi i nie znało numeru swej łodzi. Powstało stąd zamieszanie i opóźnienie w przygotowaniu ich do użytku. Przeraźliwy pisk uchodzącej pary utrudniał porozumiewanie się. Tymczasem stiuardowie budzili pasażerów, pomagali im wdziewać pasy ratunkowe i kierowali na pokład. Około wpół do pierwszej kazano umieścić kobiety i dzieci w łodziach. Wiele kobiet nie chciało opuścić mężów; nie zdawały sobie zresztą sprawy z grożącego niebezpieczeństwa, a prócz tego słyszały, że statek „Carpathia" śpieszy na miejsce wypadku. Wadliwa organizacja i panika sprawiły, że wiele łodzi odpłynęło z połową przeszło miejsc nie zajętych, a po zatonięciu statku załoga łodzi przeważnie pozostawiała tonących swemu losowi. Kapitan wraz z czterema oficerami poszedł ze statkiem na dno o godzinie 2.20 nad ranem. Ogółem uratowano tylko 711 osób.

Prasa angielska poświęcała mnóstwo miejsca roztrząsaniom na temat katastrofy. Shaw zabrał głos 14 maja na łamach *„Daily News and Leader"*:

„Czemu to przypisać, że tego rodzaju sensacyjna katastrofa wywołuje w nowoczesnym społeczeństwie nie łzy, nie modlitwy, nie współczucie dla osieroconych ani gratulacje dla uratowanych, ale urąganie nieubłaganemu Przeznaczeniu i niezaprzeczalnym faktom powodzią oburzających, romantycznych łgarstw?

Czegóż ta romantyczność wymaga od katastrofy na morzu? Przede wszystkim hasła: Kobiety i dzieci naprzód! Żadnemu osobnikowi płci męskiej nie wolno zejść do łodzi, dopóki choć jedna kobieta lub dziecko znajduje się jeszcze na statku. A kto ma sterować i wiosłować na łodzi, zajętej wyłącznie przez kobiety z dziećmi na ręku? Jaka rozsądna kobieta powierzyłaby siebie lub swoje dziecko łodzi, w której nie byłoby przynajmniej znacznego odsetka mężczyzn? Kobiety i dzieci naprzód — oto romantyczna formuła. Nigdzie zaś zachwyt nad przestrzeganiem tej reguły przez brytyjskich bohaterów na pokładzie »Titanica« nie wzniósł się do wyższych szczytów upojenia, niż w gazetach, zawierających pierwszy opis katastrofy, pióra Lady Duff Gordon. Opisuje ona, jak uratowała się na kapitańskiej łodzi. Prócz niej była tam jeszcze jedna kobieta i dziesięciu mężczyzn — razem ledwo 12 osób. Na pięciu mężczyzn — jedna kobieta.

Druga romantyczna zasada: Wszyscy mężczyźni muszą być bohaterami (z wyjątkiem cudzoziemców: ci muszą być wystrzelani co do nogi przez surowych oficerów brytyjskich przy próbie wdarcia się do łodzi po ciałach kobiet i dzieci), ale kapitan musi być arcybohaterem, wspaniałym wilkiem morskim, zimnokrwistym, dzielnym, rozkochanym w śmierci i niebezpieczeństwie, żywą gwarancją, że katastrofie nie tylko nikt nie był winien, ale, przeciwnie, że stanowi ona triumf żeglugi brytyjskiej.

O kapitanie Smith'ie doniesiono entuzjastycznie zaraz pierwszego dnia (i, zdaje się, w najlepszej wierze), że zastrzelił się na mostku kapitańskim lub zastrzelił pierwszego oficera, albo że pierwszy oficer jego zastrzelił, lub że przynajmniej ktoś kogoś tam zastrzelił dla tym większego końcowego efektu. Dziennikarze, którzy nic dotychczas o kapitanie Smith'ie nie słyszeli, zaczęli go sławić jak Nelsona. A przecież wiemy o nim tylko tyle, że postradał swój statek, świadomie i z rozmysłem wpłynąwszy na pola lodowe z najwyższą szybkością, na jaką pozwalały maszyny. Karę za to poniósł nie tylko on, ale i większość pasażerów, za których życie był odpowiedzialny. Gdyby doprowadził statek bezpiecznie do portu, nikt nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi.

Trzecia romantyczna zasada: oficerowie muszą być spokojni, wyniośli, zrównoważeni i niewzruszeni, w przerwach zaś — strzelają do wystraszonych cudzoziemców. Ustalono jednomyślnie, że zachowanie się oficerów przeszło wszelkie oczekiwania. Świadkowie stwierdzili jednak, że pan Ismay dostał polecenie od oficera kierującego łodzią, aby poszedł do wszystkich diabłów, a nie wypełnione łodzie odmawiały przyjęcia rozbitków borykających się w pasach korkowych z żywiołem. Oficerowie przyznali się potem szczerze: powodem był strach, jaki ich ogarnął. Strach to rzecz ludzka. Któż z nas odważyłby się ich potępić lub twierdzić na pewno, że sam postąpiłby inaczej? My jednak głosimy światu, że tylko Anglik może być bohaterem i porównujemy ich zachowanie się z hipotetycznym tchórzostwem Hindusów lub Włochów, albo w ogóle cudzoziemców — na przykład Nansena czy Amundsena — które by zapewne okazali w podobnych okolicznościach.

Czwarta romantyczna zasada: wszyscy witają nadchodzącą śmierć bez mrugnięcia okiem. Orkiestra musi grać »Bliżej Ciebie, Panie« jako akompaniament do wysyłania p. Ismaya do wszystkich diabłów. Oświadczono więc, że było właśnie tak, a nie inaczej. Tymczasem, według zeznań świadków, kapitan i oficerowie bali się wywołania paniki i chociaż wiedzieli, że statek tonie, nie mieli odwagi powiedzieć tego pasażerom, zwłaszcza trzeciej klasy; orkiestra grała przeto wesołe taneczne kawałki ku pokrzepieniu serc pasażerów, którzy dlatego nie spieszyli się do łodzi i zrozumieli swe położenie dopiero wtedy, kiedy łodzie odpłynęły, a statek wywracał się do góry stępką, aby opaść na dno oceanu.

A teraz pytam: po co te ohydne, bluźniercze, nieludzkie, chełpliwe łgarstwa? Katastrofa, która najdumniejszego winna przepoić pokorą, a najlekkomyślniejszego — powagą, napełnia nas zakłamaną, bezczelną zarozumiałością. Tak przynajmniej osądzić należy stanowisko naszej prasy. A czy prasa reprezentuje w tym wypadku opinię publiczną? Obawiam się, że tak. Kler i mężowie stanu mówią także tym tonem. Na mnie wywołuje to niemal wrażenie obrazy honoru narodowego i budzi uczucie niesmaku. Czy brak mi piątej klepki? Być może. W każdym razie ja odczuwam to w ten właśnie sposób. Wydaje mi się, że ludzie głęboko wzruszeni powinni mówić prawdę. Naród angielski jest, na pozór przynajmniej, wręcz odmiennego zdania. I znów jestem w mniejszości. Ciekaw jestem, czym to się skończy. Dla Anglii, oczywiście. Przypuśćmy, że wejdziemy w konflikt z narodem, który będzie miał odwagę patrzeć prawdzie w oczy wraz ze wszystkimi wynikającymi z niej konsekwencjami? Na nasze szczęście nie widzę takiego narodu. Nędzna to dla nas pociecha!"

W dwa dni później Conan Doyle podjął rzuconą przez Shawa rękawicę:

„Pan Shaw staje jakoby w obronie prawdy i oskarża wszystkich wokół siebie o kłamstwo. A jednak nie przypominam sobie wystąpienia publicznego, które by zawierało w sobie aż tyle fałszu. Przechodzi ludzkie pojęcie, jak ktoś może pisać równie lekkomyślnie i płocho w takiej chwili, o takim wydarzeniu! Weźmy parę przykładów. Aby poprzeć swe przewrotne twierdzenie, że

nie było tam bohaterstwa, p. Shaw cytuje liczby, mające wykazać, że kobietom nie dawano pierwszeństwa przy łodziach. W tym celu wybiera jedną łódź, najmniejszą, spuszczoną w całkiem szczególnych okolicznościach, będących zresztą obecnie przedmiotem śledztwa. Ponieważ były tam dwie kobiety, a mężczyzn — dziesięciu, przeto mówić o bohaterstwie i rycerskości byłoby afektacją. A przecież p. Shaw wie równie dobrze jak ja, że gdyby wziął następną z kolei łódź za przykład, musiałby przyznać, że na 70 osób było w niej 65 kobiet, oraz że we wszystkich niemal łodziach nawigacja była utrudniona ze względu na brak mężczyzn przy wiosłach. Dlatego, aby wywołać fałszywe wrażenie, p. Shaw wziął za przykład tę jedną łódź, choć musiał zdawać sobie sprawę, że paczy ogólny obraz sytuacji. Czy to jest uczciwy chwyt polemiczny?

Następny ustęp poświęcony jest próbom oczernienia kapitana Smitha. Shaw czyni to za pomocą swej ulubionej metody *suggestio falsi*, niezgodnego z prawdą twierdzenia, jakoby współczucie, okazywane przez opinię kapitanowi, przybrało formę pochwały jego nawigacji. Każdy wie doskonale — z p. Bernardem Shaw włącznie — że nikt nie usiłował pochwalać ryzyka, na jakie kapitan narażał swój statek. Niemniej przeto ogarnia nas wzruszenie na widok starego, czcigodnego żeglarza, który popełnił jeden straszliwy błąd i za to z rozmysłem oddaje swe życie, nie przyjmując pasa ratunkowego, pracując do końca dla tych, wobec których nieopatrznie zawinił, a wreszcie podpływa do łodzi z dzieckiem na ramieniu i tonie, nie chcąc się ratować. Oto są fakty, a twierdzenie pana Shaw, że katastrofę okrzyknięto »triumfem żeglugi brytyjskiej« wykazuje tylko, że frazes droższy mu jest od prawdy.

Dalszą z kolei sugestią pana Shaw jest, że oficerowie nie spełnili swego obowiązku, sugestią tym jadowitszą, że nie sprecyzowaną wyraźnie. Cytuje on słowa oficera, skierowane do p. Ismaya, gdy ten wtrącił się do jego spraw, jakby słowa te były zbrodnią. A tymczasem trudno o piękniejszy przykład spełnienia obowiązku przez oficera, który odważa się mówić w ten sposób do dyrektora Linii, gdy ten przeszkadza mu w pracy ratowniczej. Szósty oficer poszedł na dno wraz z kapitanem, tak że nawet p. Shaw, jak mniemam, nie mógłby więcej od niego wymagać. Oburza się on na jednego z oficerów, który strzelił, aby zastraszyć niektórych cudzoziemskich emigrantów, chcących wedrzeć się do łodzi. Fakt, że byli to cudzoziemcy, potwierdzony został przez wielu naocznych świadków. Czy fakt ten należy ukrywać? Jeśli nie — to na co te wymówki? Na koniec p. Shaw pragnie zniesławić piękny epizod orkiestry, utrzymując, że dano jej polecenie grania, aby uniknąć paniki. A jeżeli tak było — czy umniejsza to słuszność rozkazu albo heroizm muzyków? Paniki należało uniknąć. Dziw tylko, że znaleźli się ludzie, umiejący tak wypełnić to polecenie.

Pozostaje ogólne oskarżenie, że z okazji tej skorzystano dla gloryfikacji cnót brytyjskich. Zaiste, nędznym bylibyśmy narodem, gdybyśmy nie umieli uczcić odwagi i karności, kiedy przedstawiają się nam w swym szczytowym kształcie. Żałosny to doprawdy widok, gdy człowiek o niewątpliwym geniuszu używa swych talentów, aby zniesławić i szkalować swój naród, nie bacząc na to, że słowa jego powiększają jeszcze smutek osieroconych, którzy i tak dość mają do wycierpienia."

Shaw nie pozostał dłużny odpowiedzi. Oto ona:

„Sądzę, że tym razem potrafię jednak przekonać mego przyjaciela, Sir Artura Conan Doyle, teraz, gdy już dał folgę swej gorącej, romantycznej naturze, oraz — że przemyśli raz jeszcze tę sprawę. Bo wątpię, aby ktokolwiek zdrów na umyśle zaprzeczyć mógł choćby jednemu słowu z tego, co napisałem uprzednio.

Oświadczam, że kiedy przyszła pierwsza wiadomość o katastrofie, jeszcze bez szczegółów, dziennikarze zaczęli je zmyślać, a kto zmyśla, ten kłamie. Nie przeczy temu okoliczność, że później, kiedy zaczęły nadchodzić autentyczne wiadomości, to i owo z ich najbardziej banalnych przypuszczeń okazało się zgodne z prawdą. Pierwsze wiarygodne relacje, jakie do nas dotarły, mówiły o łodzi, w której były dwie kobiety i dziesięciu mężczyzn a poza tym wiele wolnego miejsca, i o innej łodzi, która, tak jak i pierwsza, odmówiła powrotu na miejsce wypadku w celu ratowania tonących, ponieważ jej pasażerowie się b a l i. Na podstawie tych dwóch doniesień jedynie

dzienniki poświęcały kolumny histerycznym opowieściom o pierwszeństwie dla kobiet i dzieci. Sir Artur powiada, że »wybrałem sobie« te dwie łodzie, aby dowieść słuszności swej tezy. Oczywiście, że tak zrobiłem. Chciałem dowieść słuszności swej tezy. I te dwie łodzie dowiodły jej. A teza moja brzmi, że dziennikarze pisali, nie zwracając najmniejszej uwagi na fakty; że najbardziej entuzjazmowali się chwałą bohaterów »Titanica« wtedy, kiedy jedyne dostępne relacje świadczyły o takich czynach, za które każdy żołnierz byłby rozstrzelany, a marynarz powieszony. Wieści o oficerach i majtkach, którzy spełnili właściwie swój obowiązek, nadeszły dopiero później. Jasne jest dla każdego rozsądnego człowieka, że gdyby ta sprawa nie posiadała nawet wcale stron jaśniejszych, ten sam potop pochwalnych pomyj dostałby się zarówno ostatnim tchórzom, jak i załodze, złożonej z samych Gracji Darling.* Kapitan stracił wiele na popularności, kiedy sprostowano złośliwą i oszczerczą plotkę o jego samobójstwie. Jakąż wartość posiada prawdziwy heroizm w kraju, który daje posłuch niezdarnym powiastkom, wykoncypowanym przez ludzi nie zdolnych do niczego, prócz zmyślania sensacyjnych bzdur? Czy Sir Artur wziąłby medal zasługi z rąk tych durnych łgarzy, których tak gorąco broni?

Sir Artur oskarża mnie o kłamstwo; przyznaję, że nie zachęca mnie to zbytnio do prawdomówności. Sam jednak dopuszcza się najwierutniejszego kłamstwa, jakie było kiedykolwiek oddane przez autora do druku. Powiada naprzód, że „cytuję słowa oficera, jakby były zbrodnią", słowa, aby pana Ismaya diabli wzięli. Nie uczyniłem tego. Powiedziałem, że wybuch taki jest całkiem naturalny, chociaż, moim zdaniem, ani bohaterski, ani godny zachwytu. Jeśli się mylę, to sam siebie mogę uważać za bohatera, bo nieraz zdarzyło mi się w trudnych okolicznościach stracić głowę i cierpliwość i użyć dokładnie tych samych słów, jakie przypisuje sobie rzeczony oficer. Ale Sir Artur powiada, że nie potrafi sobie wyobrazić piękniejszego przykładu spełnienia obowiązku. Potrafi pan, panie Arturze; wiele stronic pańskich heroicznych powieści świadczy o tym, że umie pan wyobrazić sobie piękniejsze przykłady. Bohaterstwo nie staniało jeszcze tak bardzo, pańska wyobraźnia nie zaćmiła się ani mózg nie zmiękczał o tyle, aby widzieć wzniosłość w tym, że zaaferowany oficer powie dyrektorowi (boska to zaiste istota!), żeby go diabli porwali. Nie ścierpiałbym, gdyby jakiś wróg tak pana spotwarzył, ale skoro się pan tak sam po rycersku oszkalował, to niech mi pan nie prawi kazań o mojej płochości i lekkomyślności, bo pobił pan wszystkie rekordy w cytowanym przeze mnie, zdumiewającym zdaniu.

Nie chciałbym powiększać strapienia rodziny kapitana Smitha przez dodanie paru słów do faktów, które i tak mówią za siebie aż nadto wyraźnie, gdyby i inni chcieli być, równie jak ja, oględni. Ale dopóki wrzaskliwi dziennikarze nie przestaną wynosić pod niebo adwokatów, których klienci idą na szubienicę, lekarzy, których pacjenci umierają, generałów przegrywających bitwy i kapitanów, których okręty idą na dno, dopóty przygważdżać trzeba będzie owe fałszywe monety do kontuaru. A przecież bywają i tacy brytyjscy kapitanowie, którzy przeprowadzają swe statki bezpiecznie przez pola lodowe, czyniąc swą zwykłą powinność i ściśle trzymając się instrukcji. I tacy, co baczą, aby załoga znała swoje łodzie i swoje miejsca w tych łodziach, którzy, gdy trzeba ich użyć, potrafią zachować dyscyplinę załogi w obliczu śmierci i nie marnują ani jednego życia ludzkiego, które może być uratowane. I najczęściej nikt im za to nie podziękuje, bo nie narobili dość szkody, aby skłonić do wybuchów uczuciowych naszych romantycznych dziennikarzy. A ja tylko takich kapitanów podziwiam i z nimi wolę pływać.

Nie twierdzę przy tym, iż wierzę, choćby przez chwilę, że zmarły kapitan naprawdę wypowiedział te rozpaczliwe bzdury, które mu przypisują głupcy i łgarze. Nie zapominam również o tym, że na owych pływających (czy też tonących) hotelach kapitan nie może uzyskać takiego posłuchu i zrozumienia jak na krążowniku, ani kierować tłumem kelnerów i posługaczy jak karną załogą marynarzy. Ale najlepsze nawet usprawiedliwienie nie zmieni klęski w triumf. I Sir Artur nie może nie wiedzieć, co by się stało, gdyby »Tita-

* Grace Darling — dwudziestotrzyletnia córka latarnika, która w roku 1838, wraz z ojcem, po bohatersku uratowała życie dziewięciu rozbitkom ze statku „Forfarshire".

nic« był okrętem wojennym, ani jaki by był wyrok sądu, gdyby kapitan ocalał. Wiem przypadkiem z własnego doświadczenia, co znaczy stanąć oko w oko ze śmiercią na morzu i jakie niebezpieczeństwo dla statku stanowią góry lodowe. Dlatego wiem również, że nie ma żadnego bohaterstwa w tym, że ktoś się topi, jeśli brak tam jakiejkolwiek alternatywy. Kapitan »Titanica« nie popełnił, wbrew zdaniu Sir Artura, żadnego »straszliwego błędu«. Nie popełnił w ogóle żadnego błędu. Wiedział doskonale, że lód jest jedynym prawdziwie groźnym niebezpieczeństwem w jego zawodzie, i wiedząc o tym zaryzykował. I nie udało mu się. Sentymentalni idioci mówią mi głosem zdławionym: »On poszedł na dno wraz z okrętem!« A ja im ze zniecierpliwieniem i pogardą, na jaką zasługują, odpowiadam, że kot okrętowy to sam uczynił. Bohaterstwo — to niezwykle piękny postępek, wynikający z niezwykłej wzniosłości charakteru. Nadzwyczajne okoliczności mogą je wywołać, mogą również podnieść jego efekt dramatyczny przez współczucie i przerażenie, przez śmierć i zniszczenie, przez ciemności i bezmiar wodnego obszaru. Ale żadne z tych akcesoriów nie stanowi bohaterstwa. A jeśli się je za bohaterstwo poczytuje, to obniża się nasze poczucie moralne, podstawiając sensacyjne nieszczęście na miejsce natchnionego czynu.

Odczułem tę katastrofę nie mniej niż ktokolwiek inny, ale ów obrzydliwy i hańbiący nonsens sprowokował mnie do przywołania naszych dziennikarzy do porządku. Gdybym znał naówczas raport komisji śledczej w sprawie łodzi ratunkowych »Titanica«, byłbym użył słów znacznie ostrzejszych. Nie jest to potrzebne dzisiaj, gdy same fakty biją histeryków po łbach, bez mojej pomocy."

W istocie, raport komisji nie pozwalał już na wydobycie wielu sentymentalnych lub romantycznych momentów z zeznań rozbitków. Conan Doyle zakończył więc dyskusję ze spokojną godnością:

„Nie będę przedłużał tej kontrowersji, która i tak musi pozostać bezpłodna. Dotknę tylko jednego punktu odpowiedzi pana Shaw. Powiada on, że oskarżyłem go o kłamstwo. Nie popełniłem jednak bynajmniej takiego nadużycia reguł uprzejmej dyskusji. Najgorsze, co mogę myśleć lub mówić o panu Shaw, jest to, że do wielu swych świetnych talentów nie może zaliczyć umiejętności sprawiedliwego osądu, nie posiada również owej cechy — nazwijmy ją dobrym smakiem, humanitarnością lub jak tylko chcecie — która powstrzymuje człowieka od bezużytecznego ranienia cudzych uczuć."

Hesketh Pearson dodaje tutaj, że zapewne „dziewięćdziesiąt dziewięć procent czytelników ówczesnych gazet wolało mylić się z Conan Doylem, niż mieć rację wraz z Bernardem Shawem"; naszej uwadze nie mogą chyba jednak ujść w tej dyskusji jej przedziwnie polskie elementy romantycznej interpretacji wydarzeń i strachu przed szarganiem świętości. Dlatego budzić musi nasze zainteresowanie przeciwstawiająca się tym tradycjom krytyka racjonalistyczna, chociażby dotyczyła innych zjawisk, ludzi i czasów.

Władysław Kopaliński

WOLNOŚĆ — NIE ZAWSZE DLA MILIONERÓW

Trzy samoloty, 153 ciężarówki, 34 wozy osobowe i cały pułk motocykli — tak wygląda tabor nowojorskiego dziennika *„Daily News"*. Niewiele mu ustępuje następny z kolei olbrzym: *„New York Times"*. Najbardziej jest czytany *„Daily News"*, jego nakład sięga w niedzielę 4.500.000. *„New York Times"*, o nakładzie kilkakroć niższym, wpływ ma bodaj większy: każdy jego czytelnik sam z kolei urabia opinię szeregu ludzi. Zgodnie z tym niepisanym podziałem, różne są także i środki działania. Głównym narzędziem *„Timesa"* jest słowo, narzędziem *„Daily News"* — ilustracja. *„Times"* działa na intelekt, *„News"* na wyobraźnię.

Arsenał fotograficzny *„News"* — biu-

ra, laboratoria, instalacje, archiwa — zajmuje wiele pięter masywnego gmachu. Obsługa składa się z 40 fotografów, mnóstwa pomocników, sztabu reporterów, redaktorów i techników. Prócz materiału własnego mają oni, rzecz jasna, do dyspozycji wszelki możliwy materiał agencyjny. Każde zdjęcie w gazecie to owoc długich przygotowań i starannego wyboru. Powrót z Korei jednej z amerykańskich dywizji obsługiwało 20 fotografów, a spośród 400 przeszło zdjęć ogłoszono 23. Każdy mecz bokserski poprzedzają tygodniowe próby z udziałem licznego personelu kierowniczego.

„*New York Times*" ze swej strony bije rekordy jeśli chodzi o napływ depesz i korespondencji. Redakcja miejska ma 150 reporterów, z czego 55 stanowi rezerwę na wypadek niezwykłych zdarzeń. Biuro waszyngtońskie ma ich co najmniej 20. Ci stanowią śmietankę: obsługują Kongres, Biały Dom, ministerstwa. Specjalne biura istnieją poza tym w Albany (stolicy stanu New York), Chicago, Filadelfii, Bostonie, Detroit, St. Louis, Chattanoga (w Tennessee, dla stanów południowych) San Francisco i Los Angeles. A sieć korespondentów obejmuje 400 miast w USA i większość stolic na świecie.

„*New York Times*" chlubi się zawsze obiektywizmem swoich korespondencji — dyplomatycznych, wojennych, politycznych, „specjalnych". W związku z tym warto przypomnieć, że właśnie z nazwiskiem jednego z asów sprawozdawczych pisma wiąże się historia powstania osławionego pojęcia „Piątej Kolumny". W czasie marszu caudilla Franco na Madryt, w listopadzie 1936, jego adlatus, gen. Queipo de Llano, ogłosił przez radio, że wojska Franco posuwają się w czterech kolumnach, a wszystkie swe nadzieje pokładają we współdziałaniu kolumny piątej, złożonej z osobników rozmieszczonych poza liniami armii republikańskiej. Fakt ten jest dosyć znany. Mniej natomiast wiadomo, że do najbardziej czynnych informatorów Franco należał przebywający w Madrycie korespondent wojenny „*New York Timesa*", William Carney. Zbrojny w immunitet, jaki dawało mu stanowisko dziennikarza amerykańskiego, poparte w dodatku całym autorytetem „najbardziej miarodajnego dziennika USA", Carney usiłował najpierw przemycać w swych depeszach różne strategiczne dane i cyfry. Gdy zaś spostrzegł, że nawet bardzo liberalna cenzura republikańska skreśla mu takie szczegóły, wyjechał do Paryża i stamtąd przedepeszował do swej redakcji dokładną listę stanowisk artylerii w Madrycie ze ścisłym podaniem ich rozmieszczenia i siły ognia. A „*New York Times*" skwapliwie wydrukował ten elaborat. Przekazał więc generałowi Franco materiał, jakiego nie umiał mu dostarczyć żaden ze szpiegów.

Ale korespondenci i reporterzy to zaledwie cząstka źródeł wiadomości. Podobnie jak „*Daily News*", gdy chodzi o ilustracje, „*New York Times*" otrzymuje w zakresie korespondencji i depesz wszelki możliwy materiał agencyjny. Dodajmy tygodniowy przegląd wydarzeń, który jest dziełem 35 specjalnych redaktorów. Dodajmy liczne inne dodatki i działy, codzienne i niedzielne, dodajmy publicystykę i artykuły wstępne, artykuły fachowe, kąciki, rozrywki. W sumie nad każdym numerem gazety pracuje 3750 osób, co stwierdził sam wydawca „*Timesa*", Arthur Hays Sulzberger, podając związane z tym koszty — 275.000 dolarów tygodniowo.

Wydatki personalne stanowią jednak niewiele ponad 1/4 kosztów. W halach drukarskich „*Timesa*" stoi 80 najnowszych linotypów i całe baterie innego sprzętu i maszyn, 21 pras rotacyjnych, konwejery doprowadzające bale papieru, noże automatyczne, aparatury sygnalizacji świetlnej, teleglośniki, poczta pneumatyczna. Prasy rotacyjne pracują jednocześnie, więc dla każdej strony odlewa się 21 metalowych matryc. Uwzględniając przelewy, „*Times*" zużywa co noc 50.000 kg metalu. Każda prasa pożera co minutę górą i dołem po 65 metrów papieru, produkując 50.000 egzemplarzy gazety na godzinę, łącznie zatem ponad milion numerów. Specjalne automaty sczepiają olbrzymie trzyćwierćtonowe role papieru, aby ani na chwilę nie przerywać produkcji. Sekundy mają znaczenie, bo sumując się dają kilkuminutowe różnice, decydujące o tym, jaki dziennik znajdzie się wcześniej w ręku czytelnika. Wszystko to razem sprawia, że same urządzenia techniczne „*Timesa*" czy „*News*" warte są co najmniej po 10 milionów dolarów. A trzeba je wciąż odnawiać, wciąż u-

trzymywać sprawność na najwyższym poziomie.

Wreszcie sprawa papieru. „*New York Times*“ zużywa go 200 ton dziennie, a 1½ tysiąca w niedzielę. Przy cenie 126 dolarów za tonę daje to 340.000 dolarów tygodniowo. „*Daily News*“, mając mniejszy format, ale dużo wyższe nakłady, zużywa jeszcze więcej. A papier to sprawa nie tylko ceny, ale i dostępu. Toteż wielkie dzienniki, dla zapewnienia sobie pełnej samodzielności, mają własne papiernie, tartaki i lasy. „*New York Times*“ to obszarnik, do którego należy 5.000 mil kwadratowych dziewiczej puszczy w kanadyjskiej prowincji Ontario. Lecz samodzielność jednych jest wyłączeniem innych. Pachnąca żywicą Kanada tworzy ściśle zamknięty rynek papierowy. Amerykańskie koncerny wydawnicze i prasowe zakupiły na własny użytek 48 głównych papierni, pozostawiając ogółem 4 czy 5 dla obsługi wszystkich „niezależnych“ i w ogóle pomniejszych wydawnictw i pism. Nic dziwnego, że rozwinęła się gwałtowna spekulacja. Papier znikł z normalnego wolnego rynku, a jego cena na rynku czarnym podniosła się o 100%. Toteż w tych warunkach wydawcy „niezależni“ sprostać nie mogą konkurencji wielkich potentatów. A w zupełnie już rozpaczliwej sytuacji znaleźli się wydawcy t.zw. „niehandlowi“: zrzeszenia, związki, kościoły itd. Specjalna komisja senacka badając tę sprawę zwróciła się w ich imieniu do Amerykańskiego Stowarzyszenia Wydawców o ułatwienie w uzyskaniu papieru. Nic z tego. Stowarzyszenie — które reprezentuje 757 największych dzienników — odrzuciło apel, ponieważ „plan zaopatrzenia uwzględnia tylko dzienniki i publikacje wydawane dla celów handlowych, inne zaś nie są włączone“. Jasno i wyraźnie. Papier jest tylko dla spragnionych zysku, „bezinteresowni“ nie mają co o nim marzyć.

Przyjęto, że koszt papieru stanowi przeciętnie 1/3 ogółu kosztów wydawniczych wielkiego dziennika. Innymi słowy „*New York Times*“ lub „*Daily News*“ kosztuje okrągło milion dolarów tygodniowo. Pamiętajmy jednak, że w takiej sytuacji jest pismo, które ma gmachy, redakcje, maszyny, zaopatrzenie w papier, a przede wszystkim zorganizowany zbyt, czyli odpowiedni krąg czytelników. I jeśli zdaniem ekspertów potrzeba 25 milionów na założenie dużego dziennika, to jeszcze od tego daleko do sytuacji, jaką ma „*Times*“ i „*News*“. Różne wymienia się cyfry. Najskromniej jednak licząc potrzeba minimum stu milionów, aby dorobić się tej pozycji. W każdym razie taką sumę szeptano sobie na ucho, kiedy przed paru laty rozeszły się pogłoski o możliwej sprzedaży „*Timesa*“.

Oczywiście, są i „tańsze“ gazety. Znane jest powiedzenie Henry Morgana, że „każdy, kto ma głowę na karku i 10 milionów w banku, może zacząć wydawać dziennik“. Ba, nawet jeszcze mniej. Niedawno groziło zwinięcie, a właściwie wykupienie przez konkurencję małego prowincjonalnego pisma „*Cincinnati Enquirer*“. Pracownicy gazetki, ratując swój warsztat pracy, nabyli go dzięki poparciu miejscowej grupy kapitalistów. Transakcja wyniosła tylko 7.500.000. Ale musimy pamiętać, że chodzi tu o pismo, którego wpływ nie sięga poza granice przeciętnego miasta prowincjonalnego.

Jakie stąd płyną wnioski? Dość proste. W USA istnieje zupełna wolność prasy. Zgodnie z konstytucją każdemu wolno założyć jaki chce dziennik, wystarczy zwykłe zgłoszenie w najbliższym urzędzie pocztowym. Może to zrobić i milioner, i bezrobotny, podobnie jak obydwu wolno spać pod mostem. Z drugiej strony każdy Amerykanin ma prawo czytać, co zechce. Ma prawo, ale nie ma możności. Bo dla wydawania dziennika, który czytają miliony — jak „*New York Daily News*“ — lub którego wpływ sięga skali „*New York Timesa*“ — nie wystarczy zgłoszenie na poczcie. Nie wystarczy nawet milion i dziesięć milionów. Do tego trzeba takiej finansowej potęgi, jaką mają właściciele wymienionych olbrzymów. Każdy ich numer przedstawia się naprawdę imponująco: doskonałe zdjęcia, wielki serwis depesz, mnóstwo artykułów. I jeśli nam powiedzą, że prasa amerykańska jest świetnie robiona — z pewnymi zastrzeżeniami, skłonni będziemy się zgodzić. Ale niech nikt nie twierdzi, że jest to prasa wolna. Bo dostęp do tej wolności ma tylko bardzo nieliczna garstka wybrańców losu. I wzorem wybrańców losu pilnie przestrzega swojej wyłączności. Klub jest tak ekskluzywny, że nie wystarczy cenzus majątkowy, by do niego wstąpić. Trzeba przejść dodatkowy, rygorystyczny balotaż. Niezmiernie charak-

terystycznym przykładem była pod tym względem historia świetnego nowojorskiego dziennika „*PM*". Lepiej niż wszelkie encyklopedie czy nawet obszerne traktaty uplastycznia samą istotę monopolu. Więc choć epilog jej rozegrał się kilka lat temu, warto ją choćby w skrócie przytoczyć. Tym bardziej że mało jest u nas znana.

*

„Nawet miliony Marshalla Fielda nie mogły kupić wiadomości" — stwierdza znany amerykański badacz stosunków prasowych, zmarły kilka tygodni temu, George Marion. Miał rację. A dzieje tych milionów brzmią trochę jak zaoceaniczna wersja *Sagi rodu Forsytów*.

Domy towarowe firmy Marshall Field zrosły się z Chicago niczym bracia Jabłkowscy z przedwojenną Warszawą czy Cedet z dzisiejszą. Od pokoleń należą do krajobrazu miasta i nie ma takiego mieszkańca Chicago, który nie spędziłby tam cząstki swego życia i nie zostawił cząstki lekko lub z trudem zapracowanych pieniędzy. Toteż poza tradycyjnym widokiem sklepy uniwersalne Fielda reprezentują także okazały majątek: 164 miliony dolarów. Rodzina Fieldów dorabiała się z dziada pradziada i robienie milionów zaspokajało bez reszty wszelkie jej ambicje. Dopiero obecnemu dziedzicowi fortuny przestało to wystarczać. Zapragnął uczynić coś, co i jemu, i współobywatelom przyniosłoby korzyść, stworzyć rzecz nową, jakiej nie oglądały jeszcze Stany Zjednoczone. Rozejrzał się w sytuacji i doszedł do wniosku, że taką nowością byłby dziennik prawdziwie niezależny, prawdziwie bezstronnie informujący o wszystkim.

Marshall Field prócz 164 milionów miał także głowę na karku i znał się na interesach. Wiedział, że założenie dziennika wymaga ogromnych wkładów, że sporo trzeba czasu, by zdobyć czytelników, a pismo niezależne będzie musiało wytrzymać ostrą konkurencję. Ale wiedział i o tym, że dobrze prowadzony dziennik daje pokaźny dochód, że przy odpowiednich środkach można go należycie postawić, a publiczność amerykańska jest na tyle spragniona rzetelnej informacji, że na pewno go poprze, skoro tylko przekona się o uczciwych intencjach. Cała ta kalkulacja była najzupełniej słuszna. Marshall Field nie przewidział tylko jednego. Sądził, że w stosunkach prasowych obowiązuje ta sama mniej więcej uczciwość czy nieuczciwość, co w handlu pasmanterią lub wiktuałami. I tu się przeliczył.

Dziennik założył w New Yorku, jako pismo popołudniowe, pod nazwą „*PM*" („*Post Meridiem*", czyli Popołudnie) i nie żałował milionów. Wynajął odpowiedni lokal, zakupił najbardziej nowoczesny sprzęt, zaangażował świetnych dziennikarzy, zaabonował serwis wielkich agencji informacyjnych i fotograficznych. Ale tu właśnie rozpoczął się dramat — agencje bowiem odmówiły usług.

Przyczyna była prosta. Agencje dostarczają towaru — w postaci „słów i obrazów" — dostarczają go za pieniądze, ale nie każdemu. Odmawiają go w szczególności temu, kto z towaru chciałby robić inny niż „przewidziany" użytek. Zbadajmy pokrótce mechanizm, a zobaczymy, o co tu chodzi.

Nazwisko James Gordon Bennetta wiąże się, jak wiadomo, ze słynnym pucharem sportowym. Mniej może wiadomo, że James Gordon Bennett senior był założycielem pierwszego nowoczesnego dziennika w Ameryce, „*New York Herald*", i protoplastą współczesnej służby agencyjnej. Przez specjalnych posłańców — 120 lat temu nie było ani kolei, ani telegrafu — Bennett dostarczał redakcjom prowincjonalnym najnowszych wiadomości od własnych korespondentów w Londynie, Paryżu i Waszyngtonie; w zamian zaś dostawał na wyłączny użytek wiadomości lokalne. Według tego wzoru rozwinęła się później Associated Press, a w ślad za nią inne, mniej potężne rywalki. Dziś AP ma 2500 korespondentów, własny kabel transatlantycki, budżet stumilionowy i wysyła dziennie dalekopisami okrągło milion słów. Podobne organizacje, na pozór tylko mniej scentralizowane, zaopatrują dzienniki w zdjęcia. Inne jeszcze dostarczają comicsów i mnóstwa przeróżnych rubryk, bez których żadna gazeta w Stanach nie może się obejść.

Pomińmy te ostatnie i rozważmy sprawę depesz i zdjęć. Nie trzeba dowodzić, że stanowią one nieodzowny składnik dziennika. I równie oczywistą jest rzeczą, że nie ma pisma, które samo sprostałoby zbieraniu materiałów. Po co zresztą, jeśli bez porównania taniej robi to AP. Lecz sam fakt, że a-

gencja obsługuje blisko 1500 gazet, wpływa na charakter przyrządzanego przez nią produktu. Musi on odpowiadać potrzebom wszystkich abonentów, czyli wszystko sprowadzać do jakiegoś wspólnego mianownika. Długa ewolucja prasy amerykańskiej znalazła taki mianownik już dawno. Jest nim sensacja. Przyjrzyjmy się dobrze codziennej milionowej porcji słownej AP, codziennym wielotysięcznym zdjęciom. Poza sensacyjnym ujęciem nie znajdziemy tam nic: ani objaśnienia, ani źródeł wydarzeń; w najlepszym razie fakty wyrwane z historycznego kontekstu. Lecz taki „obiektywizm" jest nader pozorny. W gruncie rzeczy uniemożliwia czytelnikowi rozumienie świata. Daje go jakby w bardzo kolorowych pigułkach czy w formie przeżutej i beztreściowej, choć mocno pieprzonej papki — słowem w całkowicie spaczonej postaci. W takim właśnie sposobie ujmowania depesz, w ukazywaniu dziejów jako ciągu większych i mniejszych sensacji, zawisłych w powietrzu w oderwaniu od społecznego i gospodarczego tła, zawiera się i tendencyjność, i nawet zupełnie wyraźny, choć ukryty fałsz.

Redakcja „*PM*" postanowiła zerwać radykalnie z samym założeniem tych metod. Nowy dziennik, posługując się agencyjnym surowcem, miał ukazywać związki przyczynowe i właściwe proporcje zdarzeń i spraw. Tu jednak zaczęło się błędne koło. Dowiedziawszy się, jaki użytek pragną robić z jej depesz, AP odmówiła serwisu. Oficjalnie stało się to na skutek veta udziałowca AP, „*Chicago Tribune*". Lecz krok „*Chicago Tribune*" był odbiciem postawy wszystkich udziałowców. Marshall Field chciał nie tylko założyć nowe pismo. Chciał stworzyć pismo inne. I to właśnie było kamieniem obrazy. Przy okazji odnotować wypada fakt znamienny, a w historii prasy amerykańskiej dotąd niespotykany: „*PM*" nie zginął w walce konkurencyjnej — po prostu nie został do niej dopuszczony.

Marshall Field, jak mówiliśmy, miał dużo milionów i sporo z nich przeznaczył najpierw na budowę, a potem na obronę placówki wolnego słowa. Toteż „*PM*" upadł nie od razu. Istniał przez parę lat i na swym rachunku zapisał piękne karty. W polityce zagranicznej był jedynym pismem, które dało obiektywny obraz wyborów w Polsce, pióra świetnego reportera Ralpha Ingersolla. W stosunkach wewnętrznych może poszczycić się takimi osiągnięciami, jak ujawnienie tragicznego stanu lecznictwa umysłowo chorych, które w większości szpitali amerykańskich przetrwało na poziomie z początku XIX wieku. Mimo to los dziennika był przesądzony. Amerykanin nie czyta wszystkich depesz ani wszystkich nagłówków. Ale zbyt jest przyzwyczajony do faktu, że w każdej chwili może to wszystko w swojej gazecie znaleźć, by tej odruchowej potrzeby umiał się wyrzec. „*PM*" nie mógł jej zaspokoić. Dlatego nawet w olbrzymim, dziesięciomilionowym New Yorku nie znalazł dość czytelników, aby zapewnić sobie opłacalność.

Tak zostało zdławione jedyne pismo wielkiego kalibru, które powzięło ambicję kształtowania szerokiej opinii drogą mówienia jej prawdy. A przecież jeszcze pół wieku temu „*PM*" miałby wspaniałe szanse rozwoju. Były to czasy takich dziennikarzy jak Lincoln Steffens, którego artykuły pobudziły opinię do akcji i do zgniecenia korupcji w urzędach, rozwielmożnionej w stopniu, jakiego nie osiągnęło nawet osławione czynownictwo carskie. I trudno przy tym powiedzieć, by ówczesna prasa miała poziom wyższy niż dziś, zwłaszcza poziom etyczny. Po upadku głośnego dyktatora New Yorku, szefa Partii Demokratycznej, Williama Tweeda, okazało się, że 89 gazet nowojorskich brało od niego łapówki. Z tej liczby 27 tak głęboko siedziało w kieszeni Tweeda, że bez jego „subwencji" przestały wychodzić. Zło leży więc gdzie indziej. Zło leży w takim zglajchszaltowaniu prasy pod wpływem coraz większej jej monopolizacji, że dzienniki, podobne do siebie niczym krople wody, nie reprezentują już dzisiaj kierunków myślowych, lecz tylko interesy. Z organów opinii przekształciły się w wielkie fabryki wiadomości, w byznes.

Poczucie tego faktu zaczyna przenikać do świadomości społeczeństwa Stanów. Zjawiają się pierwsze oznaki alarmu, zarówno wśród dziennikarzy jak i szerszego ogółu. Czy doprowadzą do buntu skuteczniejszego od próby milionera Fielda? Bardzo być może. Siła opinii bywa w Ameryce większa, niż się to nieraz wydaje.

Julian Stawiński

ŚLADAMI „BIAŁEJ JASKÓŁKI"

(O JORDANIE JOWKOWIE W 75-ROCZNICĘ URODZIN)

Białe jaskółki należą do niezmiernych rzadkości. Zjawiają się bowiem raz na sto lat, i to nie zawsze, w... podaniach ludu bułgarskiego. Komu uda się zobaczyć białą jaskółkę, tego spotka szczęście. Nie ma takiego, kto by jej nie pragnął zobaczyć. Śladem białej jaskółki wlecze się wóz biednego chłopa z jego nieuleczalnie chorą córką w niewielkiej, prostej, lecz wzruszającej noweli Jordana Jowkowa, wybitnego prozaika bułgarskiego dwudziestolecia międzywojennego. Ta właśnie *Biała jaskółka* oraz inne nowele *(Indże* i *Pieśń kół)* zostały przetłumaczone na język polski *, toteż poprzez nie możemy wyjść na białe gościńce i szerokie dobrudżańskie pola, gdzie napotkamy długi szereg bosych chłopów bułgarskich w grubo łatanych koszulach, którzy na plecach i nędznych wozach taszczą swój ciężki, trudny żywot, którzy mało dobra widzieli, mało jasnych chwil.

Jordan Jowkow, chłop z pochodzenia, nauczyciel wiejski z Dobrudży, podczas wojen żołnierz i oficer, później dyplomata, który pod koniec życia poświęcił się całkowicie twórczości pisarskiej, apolityczny inteligent pozostający pod wpływem burżuazyjnej ideologii, poznał z bliska i czułym sercem poety pokochał prostych ludzi. Podobnie jak wielu jego bohaterów, „daleki był od wszelkiej wrogości i nienawiści, gorące jego serce znało tylko czyste, prawdziwie ludzkie uczucia". Toteż dla biednych i cierpiących swych bohaterów pragnął coś uczynić, pragnął wskazać im „białą jaskółkę" albo przynajmniej nie budzić wątpliwości w jej istnienie. Chciał spełnić *„sewap"* — cichy, bezinteresowny czyn, jak ci, co w imię tegoż *„sewapu"* budowali studnie, drogi, mosty, szkoły... Ubogi pastuch Mokanin z *Białej jaskółki*, chociaż w białą jaskółkę nie wierzy, serdecznie, po ludzku, wyciągnie dłoń do szukającego jej i doda otuchy: „Kto ją tam wie? Może i istnieje? Chyba tak. Jeśli może być biały bawół, jeśli są białe myszy, białe kruki, pewnie są też i białe jaskółki. Z pewnością są..."

Inni bohaterowie Jowkowa pójdą nieco dalej, jeszcze piękniejszy czyniąc *„sewap"*: kołodziej będzie wyrabiał koła śpiewające pieśń ku uciesze ludzi, kowal będzie naprawiał pługi i narzędzia rolnicze. Najdalej pójdzie ten, który chciał zgromadzić wokół siebie wszystkich biednych i niezadowolonych chłopów we wsi, by razem z nimi upomnieć się o ich sprawy.

Tak daleko nie zaszedł sam pisarz — Jowkow. Stało się to nawet powodem zarzutów niektórych krótkowzrocznych współczesnych nam krytyków. Tymczasem utwory Jowkowa nie przestały być lubiane i poszukiwane przez czytelników i znawców literatury. Twórczość tego pisarza, oddziałująca silnie na uczucia i wyobraźnię, czeka na nowe, pełne i sprawiedliwe odczytanie. Jordan Jowkow rzeczywiście bowiem spełnił prawdziwy *„sewap"* — stworzył oryginalny, artystyczny obraz życia wsi bułgarskiej i jej ludzi w pierwszych dwóch dziesiątkach naszego wieku. Trzeba się tu powołać na jego *Nowele*, t. I i II (1917, 1918); opowiadania: *Żniwiarz* (1920), *Ostatnia radość* (1926); *Legendy staropłanińskie* (1927), *Wieczory w Antimowskim Zajeździe* (1928); *Nowele* (1932), opowiadania: *Gdyby zechcieli mówić* (1936), *Kobiece serce* (1935) i powieść *Majątek nad granicą* (1935), nie dokończoną powieść *Przypadki Gorołomowa* (1936), dramaty: *Albena, Borjana, Zwykły człowiek* i komedię *Milioner*.

Wiele miejsca w swej twórczości poświęcił autor tematyce wojennej, a przede wszystkim przeżyciom prostych ludzi wiejskich podczas wojny i na froncie. „...Narody rolnicze wszystkich krajów i wszystkich czasów — stwierdza Jowkow — posiadają jedno utajone pragnienie: pokoju na świecie, pokoju między ludźmi. Tak samo i rolniczy lud bułgarski." Żołnierz-chłop jest zdolny do prawdziwego koleżeństwa i przyjaźni bojowej, do szczerego patriotyzmu i bohaterstwa. Wojnę traktuje jak robotę, którą trzeba wykonać solidnie i uczciwie. Ale chłop

---

* *Antologia noweli bułgarskiej*, „Czytelnik", 1955.

z natury nie znosi wojny — zawsze tęskni do swej ziemi i pokojowej pracy. Poza opowiadaniami pochodzącymi z okresu pierwszej wojny światowej, kiedy Jowkow uległ szowinistycznym nastrojom burżuazji bułgarskiej, wszystkie jego utwory dają wyraz takiej właśnie postawie chłopa bułgarskiego, odrywanego od zagonu przez wojny bałkańskie. Opowiadania Jowkowa — który sam jako żołnierz niejedną noc spędził w okopie — należą do najlepszych bułgarskich utworów o tematyce wojennej.

Motyw bohaterstwa wiąże opowiadania wojenne Jowkowa z odrębną grupą jego utworów — owianymi poetyckim urokiem *Legendami staropłanińskimi*, w których na tle życia ludu bułgarskiego w niewoli tureckiej autor snuje bogate i malownicze dzieje kirdżalijów oraz hajduków, pierwszych bojowników o wolność. Język tych *Legend* i ich ogólny specyficzny nastrój uwielbienia piękna i szlachetnych porywów człowieka przypominają ludowe pieśni bohaterskie. Pisząc je autor opierał się na starych latopisach i kronikach.

We wszystkich utworach Jowkowa spotkamy ludzi wiejskich w ich codziennym trudzie i strapieniach, ludzi ciemnych, którzy cały rok chodzą za pługiem i owcami. Pracują bez ustanku i odpoczynku, pokorni, oddani i milczący, wrażliwi na zło i niesprawiedliwość, ale nie potrafią wziąć się do porządkowania świata i do naprawy swego losu. Akcja opowiadań Jowkowa jest nikła, narracja bardzo prosta, ale za to wielkie w nich bogactwo uczuć głębokich i złożonych. Ważkość tematu nie odgrywa tu roli, nie są to wielkie płótna wydarzeń dziejowych czy postaci, które zaważyły na losach narodu. Bohaterowie Jowkowa „to raczej postacie wyryte w starym, ciemnym drzewie, w którym lubowali się bułgarscy mistrzowie w ciężkich latach niewoli. Głęboko wyryte, a jednak o łagodnych liniach, o gładkich płaszczyznach". Nie gardził on najbłahszym tematem, świadom, że człowieka można równie dobrze pokazać poprzez sprawy wielkie, jak i małe.

Droga Jordana Jowkowa, pisarza-ralisty, była skomplikowana, pełna momentów trudnych, błędów i poszukiwań. Zrozumienie zła współczesnej mu rzeczywistości prowadziło nieraz do ucieczki i idealizowania „dawnych dobrych czasów". Lecz nowele wiejskie pisarza to nie stare pieśni, śpiewane podczas „*zijafeti*" — biesiad, to raczej smutna i czuła muzyka, która „lód w sercach topi i nieokreślone budzi tęsknoty". Jest bowiem w tych utworach tęsknota do odmiany, do innej rzeczywistości, która ulży krzywdzie umiłowanych przez Jowkowa bohaterów, ukaże im choćby białą jaskółkę... Pod koniec życia Jowkow odwiedza najuboższą dzielnicę robotniczą Sofii — Juczbunar, gdzie zbiera materiał do zamierzonych nowych opowiadań. „...Praca jest potrzebna — zawoła — żywa praca! Trzeba poznać robotników — jak cierpią i jak walczą!" Wraca też do zaniechanej kiedyś powieści *Przypadki Gorołomowa*, w której pojawiają się akcenty krytyczne wobec rzeczywistości.

Jeden z bułgarskich badaczy twórczości Jowkowa powiedział o nim: „Bliski jest naszym czasom... bo zmusza nas, byśmy współczuli z jego bohaterami, byśmy ich rozumieli i kochali. A tam, gdzie jest współczucie i wzajemne zrozumienie, nieuniknione jest dążenie ku lepszej, jaśniejszej przyszłości. Z miłości do człowieka, z prawdziwego i żarliwego humanizmu rodzi się wola walki o zbudowanie pięknego życia, prawdziwego ludzkiego szczęścia".

Realizm Jordana Jowkowa, zbliżający się do realizmu krytycznego, należy do najwyższych osiągnięć i najlepszych tradycji literatury bułgarskiej. Przesądzają o tym wierność prawdzie życiowej oraz niezaprzeczalne walory humanistyczne i artystyczne jego utworów.

Bronisław Cirlić

„PO PROSTU"

Dawne pismo studenckie *„Po prostu"* przedzierzgnęło się z nowym rokiem akademickim w tygodnik studentów i młodej inteligencji. I jakby to tylko od zmiany winiety i podtytułu zależało, na jego łamach ziejących dawniej nudą — jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki — zaroiło się natychmiast od żywych i interesujących felietonów, śmiałych reportaży, czupurnych polemik, pełnych pasji artykułów dyskusyjnych.

Lektura tych kilkunastu numerów nowego *„Po prostu"* rozjaśnia ponury pejzaż krytykanckiej nudy, jaki roztacza się przed nami ostatnio we wszystkich pismach literackich. Czyżby to miało znaczyć, że młodzi nie krytykują, że są ze wszystkiego zadowoleni, że ich pismo wyraża beztroską i cielęcą „afirmację" wszystkiego, co się u nas dzieje? Nic podobnego. Krytykują i to jak jeszcze! Ośmielam się twierdzić, że nie było jeszcze w naszej publicystyce tak frontalnego ataku na niemal wszystkie formy zła wypaczające treść i sens naszego ustroju, tak skoncentrowanego ataku na wszelką bezmyślność i bezduszność, na wszelki dogmatyzm i indyferentyzm — jak ten zbiór materiałów zawartych w kilkunastu numerach młodzieżowego pisma. Właśnie nie bezradne biadolenie, nie zrezygnowane załamywanie rąk, ale atak. Jest w nim jakaś próba rzetelnego dokopania się źródeł zła, jakieś poszukiwanie dróg wyjścia. Przykładem tego może być lansowana przez redakcję myśl tworzenia w miastach i miasteczkach prowincjonalnych Klubów Młodej Inteligencji, która ze wszechmiar zasługuje na... niezagubienie jej po drodze, jak to się nam, Polakom, regularnie, z każdym mądrym pomysłem przydarza. Przez dziesięć lat przesiadując po warszawskich kawiarniach powtarzaliśmy bezmyślnie, że pojęcie prowincji znika, że już nareszcie koniec z tym przeżytkiem dawnego układu gospodarczego, cieszyliśmy się na wiadomość, że PKPG znów zaplanowało jakąś nową fabrykę na terenach dawnej Polski B i popijaliśmy kawę jak na kibiców przystało. Po czym po dziesięciu latach otworzyliśmy oczy i z przerażeniem spostrzegliśmy, że nie tylko w Grójcu, Garwolinie i Grodzisku jak straszyło tak straszy, ale że w Łodzi, Wrocławiu, Szczecinie, Lublinie, Kielcach i Rzeszowie jest często gorzej niż już po wojnie było, że niektóre z tych miast na przykład wyludniły się doszczętnie z literatów, że osłabły w nich środowiska inteligenckie, że widmo prowincjonalnej nudy bynajmniej nie straciło na aktualności. Tu nie ma co biadolić, trzeba ruszyć trochę głową i wziąć się do roboty, zacząć odrabiać błędy. To właśnie zainicjowało *„Po prostu"*.

Inny przykład. Dyskusyjny klub filmowy. Tego rodzaju kluby są jedyną drogą prawdziwego, nie statystycznego, upowszechniania kultury filmowej w Polsce. Całkowity ich brak obciąża ogromną odpowiedzialnością naszych polityków kultury. Jest plamą na działalności wszystkich naszych krytyków filmowych (z K. T. Teoplitzem włącznie) że w każdym, dosłownie każdym artykule nie gwałtują w tej sprawie. W Polsce powinno być już pięćdziesiąt takich klubów. Sprawa wałkuje się od dawna, ale trzeba było czekać na inicjatywę *„Po*

prostu", aby pierwszy tego rodzaju klub otworzył swe podwoje.

Niesposób w krótkiej notce omówić kilkunastu numerów pisma. Wspomnę więc jeszcze na chybił trafił o paru pozycjach, takich jak *II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie* czy dyskusja światopoglądowa zapoczątkowana przez prof. Legowskiego, jak reportaże Godka i Michejdy czy artykuły dyskusyjne Pomiana i Ćwiertni, jak sensacyjny dokument socjologiczno-obyczajowy o chuliganach i „wdechowcach", opublikowany przez Manturzewskiego, jak opowiadania Garwolińskiej, Hłaski, Jaszczyka, jak... Wystarczy? Wystarczy. Każdemu pismu w Polsce życzymy tak dobrej, ciekawej i mądrej publicystyki, tak konsekwentnie realizowanej linii redakcyjnej.

Jak widać, nie brak młodym poczucia odpowiedzialności. Tej przez duże O. Za profil naszych czasów, za losy naszego kraju, za przyszłość socjalizmu. Ale potrzebna jest także i ta zwykła, dziennikarska, która zabrania, w najlepszej nawet intencji, ochlapywania błotem uczciwych ludzi. Tej trzeba się im też nauczyć. Wierzymy, że potrafią.

I jeszcze jedno zwierzenie. Osobiste. Dawno, naprawdę dawno nie zażyłem tak mocnej dawki optymizmu jak przy lekturze tych kilkunastu numerów *„Po prostu"*. To nieprawda, że nasza młodzież akademicka jest albo zblazowana, albo snobistyczna, albo doszczętnie ogłupiała. Jest wśród niej młodzież głęboko ideowa, nienawidząca cynizmu i zakłamania jak tylko młodzież nienawidzić tego potrafi, zapalona i namiętna, przy tym wcale nie głupia. Prawdziwie młoda młodzież. Redagują pismo *„Po prostu"*. Pismo czytanie przez młodzież. To znaczy, że nie jest tak źle. Chuligaństwo jest zaraźliwe i cynizm jest zaraźliwy, ale entuzjazm i młodość też i w większym jeszcze stopniu. Jeśli nie wierzycie, spróbujcie poczytać regularnie *„Po prostu"*, stetryczali staruszkowie, którzy jeszcze dziesięć lat temu byliście młodzi!

jl.

MIŁY POCZĄTEK

Państwowemu Wydawnictwu Naukowemu należą się gratulacje. Wydało ono *Bibliografię Historii Polskiej* Ludwika Finkla w fotoofsetowej odbitce z roku 1891 — dzieło nieodzowne dla historyków, historyków literatury i pracowników wielu dziedzin humanistyki. Bibliografia Finkla kosztowała przed wojną sporą kwotę i z tego powodu nie dla każdego była dostępna, a po wojnie jej brak dawał się dotkliwie we znaki. Obecnie, dzięki inicjatywie PWN, stała się dostępna dla zainteresowanych badaczy. Szkoda tylko, że nakład wynosi tysiąc egzemplarzy, co — jak nam się wydaje — nie pokryje zapotrzebowania rynku.

Mamy nadzieję, że PWN nie poprzestanie na tym i w przyszłości będzie kontynuował pracę Finkla, która została doprowadzona do roku 1910 i uwzględnia jedynie te dzieła, które w swoich deciekaniach nie wykraczają poza rok 1815. Na pochwałę zasługuje staranna edycja bibliografii Finkla, którą wydano na dobrym papierze i w solidnej płóciennej oprawie.

Ponieważ apetyt przychodzi z jedzeniem, więc przy tej sposobności chcielibyśmy się upomnieć o jeszcze jedną bibliografię, nasz największy skarb w tym zakresie. Mamy na myśli bibliografię Estreichera, bez której ludzie pióra objeść się nie mogą. Czyż nie można by pomyśleć o wznowieniu jej tym samym sposobem fotoofsetowym? Jest to oczywiście przedsięwzięcie ogromne i wymagające dużego nakładu kosztów i pracy. Bibliografia Estreichera, dosyć zawiła w układzie, wymagałaby bardziej przejrzystej konstrukcji i w tym wypadku fotoofsetowa odbitka nie wchodziłaby już w rachubę. Tak czy owak, nowe wydanie Estreichera jest oczekiwane z upragnieniem. Jej wznowieniem PWN położy dużą zasługę dla kultury polskiej i zaskarbi sobie wdzięczność pisarzy i uczonych.

rk.

WŁOSCY POLONIŚCI

Jedną z najpoważniejszych, nie tylko liczebnie, delegacji, które przybyły na obchody mickiewiczowskie, była delegacja włoska. Nasze kontakty kulturalne z Italią są, niestety, dotychczas słabe. Dlatego wydaje się stosowne bliższe zapoznanie czytelników z tymi poetami i uczonymi włoskimi, którym

kultura polska, mówiąc skromnie, nie jest obojętna.

W skład delegacji, której przewodniczył znakomity slawista i puszkinolog, autor wielu cennych prac polonistycznych, profesor literatury rosyjskiej na uniwersytecie w Rzymie — Ettore lo Gatto, weszli: lektor języka polskiego na uniwersytetach w Padwie i Wenecji, znany tłumacz nowszej literatury polskiej — Luigi Cini, lektor języka czeskiego na uniwersytecie we Florencji, autor rozprawy o Słowackim i tłumacz *Medalionów* — Bruno Meriggi, asystentka „Instytutu Filologii Słowiańskiej" Uniwersytetu w Padwie — Lavinia Picchio-Borriero, aktywny polonista, profesor rusycystyki na uniwersytecie we Florencji — Riccardo Picchio, znakomity poeta włoski, tłumacz Mickiewicza — Salvatore Quasimodo, tłumacz i znawca literatury polskiej, profesor literatury bułgarskiej na uniwersytecie w Rzymie — Luigi Salvini, znawca naszej literatury dwudziestowiecznej, profesor literatury polskiej i bułgarskiej w „Uniwersyteckim Instytucie Orientalnym" w Neapolu — Dan Danino di Sarra, wybitna działaczka społeczna Maria Venturini i znakomity znawca i tłumacz klasycznej i współczesnej poezji polskiej, profesor języka i literatury polskiej na uniwersytecie we Florencji — Carlo Verdiani. Skład i liczebność delegacji nie są bez związku z ogromnym rozmachem obchodów mickiewiczowskich w samych Włoszech.

Pobyt delegacji włoskiej w Polsce był nie tylko wyrazem uczuć społeczeństwa włoskiego dla naszego największego poety. Obcując z delegacją włoską uświadomiłem sobie z całą wyrazistością ogromne praktyczne znaczenie międzynarodowych obchodów mickiewiczowskich. Dziesiątki nawiązywanych kontaktów osobistych z polskimi ludźmi nauki i sztuki, wytężone poszukiwania wielu polskich i radzieckich wydawnictw w warszawskich księgarniach, wnikliwe zainteresowanie dla wielu dziedzin naszej działalności kulturalnej i artystycznej to zaledwie niektóre praktyczne rezultaty pobytu włoskich gości w Polsce, a nie są to przecież rezultaty błahe, jeśli się zważy, że nasi włoscy miłośnicy kultury polskiej miesiącami wyczekują książek polskich, nie zawsze otrzymują polskie czasopisma kulturalne i literackie, nie zawsze mają możność systematycznego śledzenia tego wszystkiego, co dzieje się w naszej kulturze. O trudnościach tego typu niech świadczy fakt, że znakomity poeta, Salvatore Quasimodo, od dawna bezskutecznie poszukiwał polskich egzemplarzy Mickiewicza, niezbędnych przecież nawet przy tłumaczeniu nie wprost z języka polskiego. Doskonałych tłumaczeń kilku sonetów krymskich i liryku *Polały się łzy me czyste, rzęsiste...* dokonał Quasimodo bez wglądnięcia nawet w tekst polski, który mu udostępniono dopiero w Warszawie. Miejmy więc nadzieję, że następne tłumaczenia z Mickiewicza — a Quasimodo obiecuje przetłumaczyć wszystkie sonety krymskie — będą jeszcze doskonalsze. Nie wiadomo tylko, kiedy nasi poeci zainteresują się wspaniałą poezją Salvatore Quasimodo, którą w Polsce zna bardzo wąskie grono ludzi.

Znaczenie bezpośredniego kontaktu z kulturą polską naszych włoskich przyjaciół jest tym większe, że noszą się oni z ogromnymi planami twórczymi. Zasygnalizuję tylko niektóre. Ettore lo Gatto w przygotowywanej wielkiej monografii o Puszkinie ma nadzieję powiedzieć wiele nowych rzeczy o stosunkach Mickiewicza z Puszkinem. Carlo Verdiani, który wydaje w najbliższym czasie swoje tłumaczenie *Sonetów miłosnych i Sonetów krymskich* a także wszystkich liryków lozańskich, zamierza przetłumaczyć w całości *Pana Tadeusza* a w części przygotowaną ma już antologię pod tytułem *Polscy poeci współcześni*, w której znajdą się jego własne tłumaczenia Staffa, Leśmiana, Tuwima, Słonimskiego, Iłłakowiczówny, Iwaszkiewicza, Lechonia, Wierzyńskiego, Ważyka, Przybosia, Słobodnika, Broniewskiego, Gałczyńskiego i Różewicza. Luigi Salvini od dawna już pracuje nad tłumaczeniami z polskiej poezji staropolskiej, a zamierza rozwijać swoje zainteresowania pisarstwem Fredry. Luigi Cini, interesujący się głównie polską literaturą współczesną, obiecuje zająć się między innymi tłumaczeniem prozy Adolfa Rudnickiego, z której przełożył już *Konia* i *Ginącego Daniela*. Riccardo Picchio projektuje wielką antologię pol-

skiej dramaturgii. Autor wielu prac o literaturze polskiej, Dan Danino di Sarra, zamierza między innymi kontynuować swoje studia nad literaturą polskiego modernizmu. Prace mniej lub więcej związane z zagadnieniami kultury polskiej kontynuują wszyscy członkowie delegacji, w której przeważają przecież specjaliści z różnych pozapolonistycznych dziedzin filologii. Naszą rzeczą byłoby pomóc przyjaciołom włoskim w ich ambitnych zamierzeniach, nie można bowiem zaprzepaścić tak wielu otwartych możliwości współpracy z polonistyką włoską.

Henryk Bereza

WZROST ZAINTERESOWANIA KULTURĄ ANTYCZNĄ W ZSRR

Zainteresowanie kulturą antyczną żywe jest w Związku Radzieckim, ojczyźnie tak wybitnych znawców kultury i literatury antycznej, jak: Sokołow, Łatyszew, Żebielew i inni. Wzmogło się ono ostatnio z okazji uroczystości ku czci Arystofanesa. Liczne odczyty, prelekcje i inne imprezy cieszyły się dużym powodzeniem. Zwiększył się także popyt na książki poświęcone literaturze antycznej.

25-tysięczny nakład dwutomowego wyboru komedii Arystofanesa został momentalnie rozchwytany. Już dawno zalicza się do „białych kruków" bibliograficznych nowe przekłady *Iliady* i *Odysei* — pióra zmarłego przed dziesięciu laty W. Wieriesajewa. Szybko rozchodzą się też książki z greckiej mitologii.

W listopadzie ub. r. ukazał się na łamach *„Litieraturnej Gaziety"* artykuł filologów, N. Derataniego i I. Nachowa *(W obronie zapomnianej nauki)*, poświęcony omówieniu aktualnych problemów radzieckiej filologii klasycznej. Obecny stan tej nauki autorzy uważają za niezadowalający, a nawet budzący poważne obawy, jakkolwiek są również do zanotowania sukcesy w tej dziedzinie. Napisano wiele wartościowych monografii, poświęconych problemom kultury antycznej, oraz szereg podręczników historii starożytnej (Miszulin, Maszkin, Kowalow i in.).

„Badania antycznej literatury, sztuki, filozofii, estetyki i języków — czytamy w omawianym artykule — nie dorównują jednak ogólnemu poziomowi nauki radzieckiej. Zjawiska tego nie mogą przesłonić poszczególne sukcesy." Obecnie katedry filologii klasycznej istnieją tylko na uniwersytecie moskiewskim, leningradzkim i lwowskim. Na uniwersytetach i w instytutach pedagogicznych nauka języków starożytnych i literatury antycznej jest znacznie ograniczona. Autorzy omawianego artykułu postulują, aby arcydzieła starożytnych klasyków wydawać w seriach masowych, albowiem seria wydawnicza Akademii Nauk ZSRR pn. *Pomniki literatury* nie zaspokaja potrzeb, nie zadowala ani ilością pozycji, ani doborem autorów, ani wysokością nakładów. Inne wydawnictwa na ogół nie przykładają wagi do edycji starożytnych klasyków: praca nad przekładami i ich redagowaniem skupia się w ręku niewielkiej garstki znawców i dlatego posuwa się powoli.

Autorzy artykułu wyrażają przekonanie, że sprawą przekładów klasyków literatury antycznej winien zaopiekować się Związek Pisarzy Radzieckich. Proponują też oni przywrócenie wielu katedr filologii klasycznej, wydawanie specjalnego czasopisma naukowego oraz zorganizowanie wszechzwiązkowej narady filologów.

J. S.

ZJAWISKO POETYCKIEGO PRZEKŁADU

W tym Roku Mickiewiczowskim wśród przekładów na „języki świata" utworów poety nie można nie zwrócić uwagi na zjawisko zaskakujące niezwykłością interpretacji tekstów Mickiewiczowskich. Nie tylko interpretacji, niezwykłością — jak na nasze przyzwyczajenia — samej postawy tłumacza. Zjawiskiem tym są francuskie przekłady kilku liryków lozańskich i fragmentu (Noc z VIII księgi) *Pana Tadeusza* dokonane przez Armand Robina. Ukazały się one po części we francuskiej wersji wydanej przez UNESCO książki jubileuszowej poświęconej Mickiewiczowi, a po części w listopadowym numerze *„La Nouvelle Nouvelle Revue Française"*. Z lapidarną trafnością określił je Jarosław

Iwaszkiewicz (pisząc o książce UNESCO w *„Życiu Warszawy"*) słowami: „Ratuje sytuację dział przekładów z Mickiewicza. A przede wszystkim dziwaczne, wzbudzające nieufność, a przecież dające naprawdę pojęcie o poezji Mickiewicza przekłady wierszy dokonane przez Armand Robina. W tych uwspółcześnionych tłumaczeniach jeszcze przemówi do czytelnika niezafałszowany duch Mickiewicza. Pierwszy to raz mamy do czynienia z tak wartościowymi transkrypcjami na język francuski poezji Mickiewiczowskiej." Tak. Wzbudzają nieufność i przekonywają jednocześnie. Bo sprzeczność tu jest tylko pozorna.

Robin w krótkiej notce *(„N.N.R.F.")* tak określa swój stosunek do Mickiewicza: „Nie zgadzam się z faktem śmierci Mickiewicza przed stu laty. Przez kilka ostatnich miesięcy spotykałem tego poetę wszędzie. Jest w moim wieku." W swoich przekładach wyciągnął wszystkie konsekwencje tej postawy. Odczytał Mickiewicza okiem dzisiejszego poety, akcentując w swojej interpretacji to, co dla dzisiejszego poety jest najistotniejsze: precyzję wyobraźni, głęboki, skojarzeniowy nurt metafory, skrótowość, eliptyczność poetyckiego obrazu. (Trzeba zaznaczyć, że Armand Robin sam jest poetą i slawistą jednocześnie. Poznał Mickiewicza w oryginale.)

Nieufność, którą te przekłady zrazu wzbudzają, polega właśnie na wyjęciu Mickiewicza z jego czasu, z jego konwencji stylistycznych, z naszego przyzwyczajenia do, mimo wszystko, historycznego z nim obcowania. Z tej pierwszej nieufności wybłyskuje zdumienie, że taki jednak j e s t Mickiewicz. Bo Robin z precyzją filologiczną analizując każdą metaforę daje jej wierny, choć bardzo współczesny, ekstremistycznie współczesny odpowiednik. Kiedy „Zaiste, okolica była malownicza" tłumaczy przez *„De fait, le pays était paysage"* — to nie tylko że nie zdradza oryginału, lecz wydobywa zeń zawarty w nim olbrzymi ładunek metaforyczny. Kiedy „Snuć miłość, jak jedwabnik nić wnętrzem swym snuje" oddaje przez *„Tisserander l'amour, tel le magnan fillerandant la soie en son dedans"* — to owo *„tisserander"* mimo że zawęża znaczenie Mickiewiczowskiego „snuć", wydobywa jednocześnie zawartą w nim konkretność, zacieśniając więź metafory.

W naszej, jakże bogatej praktyce przekładu poetyckiego zaniechaliśmy współcześnie wszelkich stylizacji. Nie do pomyślenia byłyby przekłady z Ronsarda językiem Kochanowskiego. Przekładając współcześnie używamy współczesnego języka, bez względu na datę oryginału. To jest oczywiste. Bo przecież tłumaczymy dla współczesnych, a nie dla fikcyjnego czytelnika przeszłości. Tak daleko jednak jak Robin nie idziemy. Staramy się nie zrywać kontaktów z epoką, w której tworzył tłumaczony przez nas poeta i sposób jego widzenia świata usiłujemy oddać jego pojęciami. Nie mamy — i chyba słusznie — tej śmiałości, by nie zgadzać się z obiektywnym faktem śmierci Puszkina, Hugo czy Lermontowa. Wierzymy, że dzieła ich żyją w nas swoim życiem bez zabiegów uwspółczesniających. Ale ekstremistyczna postawa Robina warta jest zastanowienia. Wyniki, które osiągnął, są obiektywnie świetne. Rzecz tym bardziej godna uwagi, że stała się we Francji, gdzie przekład poetycki niemal nie istnieje.

zb.

UTRILLO (1883 — 1955)

Życie Maurycego Utrillo było proste i szare. Całe niemal da się streścić do okresów, kiedy bywał zamykany w szpitalu lub w domu, i okresów, gdy wymykał się na wolność, która dla niego znaczyła możność oddawania się nałogowi. Dlatego nie można wypowiedzieć solennej formułki: główną pasją tego człowieka była sztuka. Żył w rytmie omroczeń i arcydzieł.

Pierwszy raz zawędrował do szpitala jako kilkunastoletni chłopak. Zbyt dosłownie pojął zalecenie Baudelaire'a — *il faut toujours être ivre.* Matka, Zuzanna Valadon, początkowo modelka, potem świetna malarka, podsunęła synowi pędzel i farby sądząc, że oderwie go od alkoholu. Maurycy przyjmuje to wyzwanie i zostaje jednym z najbardziej samorodnych, oryginalnych i samotnych artystów pierwszej połowy XX w.

Specjaliści od podziałów rozróżniają w jego twórczości cztery okresy: 1903—

1905 „realistyczny", 1905—1907 „impresjonistyczny", 1907—1910 „biały" i po roku 1910 „kolorowy". Był poza nurtem sztuki współczesnej, poza grupami, manifestami, kierunkami. Jego obrazy miejskie, zestawione z wizją miasta kubistów, wywołują wrażenie anachronizmu. Powiedziano o nim: „spóźniony romantyk".

Powiedziano i machnięto ręką. Wystawia wprawdzie w Salonie Jesiennym w roku 1909, a w roku 1913 w Salonie Niezależnych, ale jego obrazy mają tylko ograniczone powodzenie wśród garstki przyjaciół z Montmartre'u i właścicieli knajp, którzy zamykają go w pokoiku za sklepem, zostawiając przybory malarskie, kopcącą lampę i flaszkę wina na dodatek. Flaszkę można wypróżnić, ale trzeba za to zostawić to, co się malowało.

W roku 1920 dostaje za *Rue Cortot* 1.300 franków, a pięć lat później za *Kościół w Clichy* 17.200. To już jest sława! Odtąd jest malarzem poszukiwanym. Piszą o nim monografie. Wprawdzie Utrillo pod koniec lat dwudziestych maluje znacznie gorzej, mimo to powodzenie wciąż rośnie. Bogaty snob kupuje przecież nie obraz, ale nazwisko, firmę. Nie brak spryciarzy, którzy się pod tę firmę podszywają. Oto wdzięczne zadanie dla przyszłego historyka sztuki: oddzielić „prawdziwego" Utrillo od tego „fałszywego" i tego robionego „na sprzedaż".

Odwykliśmy (na szczęście) od pytania, jaki jest temat obrazów współczesnego malarza, ale pytanie to w stosunku do Utrillo nie jest znów aż tak bardzo pozbawione sensu. Był pejzażystą, prawie wyłącznie pejzażystą, malarzem miasta, pustych, bezludnych uliczek, placów i kościołów, dachów, kominów, przedmiejskich domków i zaułków z wielkim napisem „Vins et Liqueurs" — wysmarowanym na murze. Najchętniej maluje Paryż, ściślej Montmartre. Toulouse-Lautrec dał nam klucz do wnętrza obyczajowego tej dzielnicy, bogatą galerię typów ludzkich; Utrillo utrwalił powierzchnię, skórę miasta, przez którą prześwieca utajone życie.

Zapytano go raz: „Słuchaj, Utrillo, gdybyś musiał opuścić Paryż, co byś zabrał ze sobą na pamiątkę?" — „Kawałek muru — odpowiedział malarz — wiecie, taki płatek tynku, który można oddalać i przybliżać do twarzy." — Obsesja muru (zaprzyjaźnił się z nim w czasie swych nocnych przygód) zaprowadziła go właśnie do epoki białej — biel cynkowa żarzy się fosforycznie jak wapno.

Ale to, czym Utrillo pociąga widza, to nie są ani walory kolorystyczne, ani zaskakująca kompozycja, ani temat, ale nastrój jego płócien. Czy można wywołać nastrój nie opowiadając anegdoty, nie malując twarzy uśmiechniętych czy stroskanych? Można. Mam przed sobą parę reprodukcji i spróbuję opisać moje wrażenia.

Oto *Uliczka w Montmagny* wymieciona, pusta, z szarym murem i pokracznymi domkami, ulica, przez którą niedawno (tego nie widać) przeszedł pogrzeb; jeszcze rozpacz wisi w powietrzu. *Dachy* (1907) i *Widok Paryża* (1905) wyglądają jak ocean, który wyparował ukazując dno pełne skamielin i rzadkiej roślinności. *Notre-Dame* (1913), ciemna, ciężka i sztywna, wygląda jak monstrualna szafa z mnóstwem szuflad i otworów. Albo *Kościół w Montmagny* (1912) z wieżą podobną do sowy, czy *Lourdes* (1923) drażniąco pocztówkowy, gdyby nie to, że białe arkady i wieże w gęstej zieleni przywodzą na myśl dramat leśny: szkielet wielkiego drapieżcy objedzonego przez mrówki. *L'Apin Agile:* przytłaczająca, sztywna zieleń wieńców, głuche, czarne okna i płot na przodzie — białe pałki gromnic. Dla wyjaśnienia tego obrazu przypominającego wnętrze krypty żałobnej dodać należy, że „L'Apin Agile" oznacza lokal rozrywkowy.

Nastrój smutku i nostalgii, a także animizm, obdarzanie autentycznym życiem przedmiotów martwych. Domy patrzą, maszerują po linie wykaligrafowanej perspektywy, ich grupy układają się w sceny. *La Tourelle* (1915) wygląda jak fragment karnawału ze skamieniałym pierrotem pośrodku.

Do tych istotnych cech malarstwa Utrillo dodać trzeba naiwność i instynktowość jego sztuki, która nie jest owocem studiów i refleksji, ale aktem równie automatycznym, jak oddychanie. Stąd płynie swoboda w posługiwaniu się środkami wyrazu, zbliżająca go do malarstwa dzieci (zwłaszcza takie płótno jak *Młyny w Oussaret* — 1910 i *Fabryki* — 1910). Nie jest to robiona prostota, ale autentyczna prostoduszność, różna od naiwności Rousseau-cel-

nika, który mieszczaństwo uważał za jedyną i wieczną formację społeczną i dla którego Perykles jeździł w niedzielę za miasto mieszczańską dorożką.

Jeszcze raz przeglądam album Utrillo. Banalność i tragizm, fantazja i rzeczowość, kalkomania i sztuka, ten pozornie prosty malarz wymyka się przymiotnikom, nie chce leżeć spokojnie w żadnej szufladce.

Żył długo. Dlatego zapewne został oficerem Legii Honorowej, a Larousse przydzielił mu nieśmiertelność trzywierszową notatką. Ale kimkolwiek będzie w przyszłości z łaski specjalistów od encyklopedii i „profesorów od sztuki" — my wdzięczni mu jesteśmy za to, że tak jak uliczni cyrkowcy potrafił na dnie szarego podwórza, na wytartym dywaniku — wyczarować cudowność.

Zbigniew Herbert

WIEDEŃ MA ZNOWU OPERĘ

Wiedeń był zawsze słynny z dobrego jedzenia i dobrej muzyki. W obu tych dziedzinach jego tradycje mają wybitnie międzynarodowy charakter. Przez lata Słowianie, Węgrzy, Turcy i Włosi łagodzili jego teutoński rodowód. Był nawet czas, kiedy wiedeńska Opera Królewska, La Scala w Mediolanie i Santo Carlo w Neapolu znajdowały się pod dyrekcją jednego człowieka, nazwiskiem Domenico Barbaia, *nota bene* gracza i exkelnera.

Muzyka miała wysokich protektorów na dworze habsburskim. Zarówno cesarz Ferdynand III jak i Leopold I, Józef I i Karol VI byli kompozytorami. Mimo to właśnie Franciszek Józef, którego muzyka nic nie obchodziła, zaakceptował plan, który wiedeńską operę dworską uczynił największym przedsiębiorstwem operowym w świecie. „Zgoda, panowie, wy znacie się na tym lepiej ode mnie" — zwykł mawiać do swoich doradców muzycznych (i innych). Sam chodził do opery tylko wtedy, kiedy wymagała tego etykieta dworska. Lubił jedynie balet.

Budowa gmachu Stadtsoper to epopeja sama w sobie, obfitująca w bardzo dramatyczne momenty. Niemal libretto operowe. Architekci, August Siccard von Siccardsburg i Edmund van der Nüll, którym powierzono tę robotę w 1861 roku, z dumą oświadczyli, że udało im się „zespolić elementy weneckiego i hiszpańskiego gotyku z najlepszym florenckim i niemieckim renesansem". Wiedeńczycy mniej byli zachwyceni tą kombinacją, zaczęły się namiętne krytyki. Na domiar złego nie brane w rachubę podłoże zapadło się, powodując osunięcie się budynku. Van der Nüll nie wytrzymał nerwowo i powiesił się na rok przed otwarciem opery. Niedługo po nim umarł Siccardsburg, jak mówiono, z powodu złamanego serca. W owym czasie artyści mieli swój honor.

Tak się jakoś stało, że również żaden z ich następców nie dożył uroczystej premiery *Don Giovanniego*, którą ostatecznie otwarto operę 25 maja 1869. Szkoda że nie można było ich wskrzesić, gdyż Stadtsoper została uznana za najpiękniejszy gmach operowy na świecie. Wkrótce też uzyskała światową sławę. Największy jej rozkwit przypada na lata 1897—1907, okres dyrekcji Gustawa Mahlera, zarówno świetnego kompozytora i dyrygenta jak i zdolnego administratora. Stanowisko to zawsze zresztą zajmowali wybitni muzycy, jak Feliks Weingardten, Ryszard Strauss, Bruno Walter. Toteż wiedeńską tradycją stało się, że dyrygent jest władcą absolutnym i nawet największe gwiazdy muszą się mu podporządkować.

Tuż przed końcem wojny, 12 marca 1945 roku, amerykańskie bomby spadły na dach opery i wznieciły pożar. Brak wody uniemożliwił ratunek. Wiedeńczycy odczuli dotkliwie ten cios. Znana jest klasyczna już dzisiaj historyjka, jak to po wojnie amerykański turysta na zapytanie, jaką drogą może dojść do opery, otrzymał jadowitą odpowiedź: „Z powietrza. Trafi pan bez trudu".

10 lat czekał Wiedeń na odbudowę swojej opery. Koszt jej wyniósł 10 milionów dolarów. Fasada zachowała tradycyjną formę, natomiast wnętrze zmieniono i zmodernizowano. Część dawnej loży królewskiej zajęło radio, telewizja oraz urządzenia kontrolujące oświetlenie. Sama scena to ostatni krzyk techniki.

Otwarcie opery, które zbiegło się z uzyskaniem niepodległości przez Austrię, stało się wielką imprezą międzynarodową. Na parę miesięcy przed premierą z całego świata zaczęły napły-

wać zamówienia i czeki. Tak zwany rozdzielnik (wiemy coś o tym!) na galowe przedstawienia stał się zagadnieniem państwowym. Gabinet zebrał się na specjalną sesję. Ustalono kompromisowo trzy premiery. Finansowo kombinacja ta wygląda nieźle (bilet — 192 dol.) i obliczona jest chyba na snobizm amerykańskich milionerów. Podobno ambasador USA, L. Thompson, któremu wypadało zakupić lożę za 800 dol., nie był tym zbytnio zachwycony. Zabawnie w tym zestawieniu wyglądają honoraria śpiewaków, jakkolwiek wiadomo, że występowanie na deskach opery wiedeńskiej jest zaszczytem, wobec którego względy pieniężne ustępują na plan dalszy. Widocznie tak jest, skoro artyście, który tu dostaje 160 dolarów za występ, Metropolitan Opera płaci 1000 dolarów, a Chicago i San Francisco nawet więcej.

Pewne rozczarowanie wywołał fakt, że królowa Elżbieta, Greta Garbo i Ali Khan nie przybyli. Nie zawiedli natomiast królowie przemysłu, Henry Ford II i Harwey S. Firestone. „Międzynarodowa premiera, *Fidelio* i schody ruchome" zapowiadały napisy w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Demel, wiedeński cukiernik nad cukiernikami, zrobił wystawę najsłynniejszych gwiazd wiedeńskiej opery. Miasto przybrało odświętny wygląd.

Wieczorem, w dniu premiery, 50-tysięczny tłum mieszkańców Wiednia, z trudem powstrzymywany przez kordon 1000 policjantów, przez trzy godziny oblegał jaskrawo iluminowany gmach opery. Większą sensacją byli goście, wspaniałe toalety i biżuteria pań niż samo przedstawienie. Jedyna opera Beethovena, *Fidelio*, której premiera odbyła się 150 lat temu w Wiedniu okupowanym przez Napoleona, wybrana była właśnie dla swoich akcentów wolnościowych. Sytuacja się jednak zmieniła i wraz z utratą wymowy politycznej pozostała tylko dosyć ponura, dwuaktowa piła. Dużo bardziej atrakcyjne były przerwy, w czasie których dwustu fotoreporterów uwijało się niezmordowanie, łowiąc co ciekawsze osobistości na obiektyw.

Wiedeń jest dumny ze swej opery. Jest to jednak rozrywka dosyć kosztowna. Już teraz podnoszą się głosy, co będzie, kiedy fala międzynarodowej publiczności przestanie zasilać jej kasy.

at

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Boy-Żeleński Tadeusz — Znaszli ten kraj?... Cyganeria krakowska. Posłowie napisał Adam Polewka. Okładkę projektowała Maria Czajkowska. 59 ilustracji w tekście. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1955, wydanie III; str. 267, 5 nl.

Korzeniowski Józef — *Krewni.* Opracował Stefan Kawyn. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1955, wydanie I; str. CII, 745, 1 nl.

Krasicki Ignacy — *Monachomachia czyli Wojna mnichów.* Opracował Jan Gawałkiewicz. Okładkę projektował Stanisław Kobielski. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1955, wydanie I; str. 77, 3 nl.

Szymon Marycjusz z Pilzna — *O szkołach czyli akademiach ksiąg dwoje.* Przełożył Antoni Danysz. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Henryk Barycz. Okładkę projektował Stanisław Andrzej Cyrano. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1955, wydanie I; str. LXXXI. 1 nl, 269, 1 nl.

Tetmajer Kazimierz — Na skalnym Podhalu. Wstęp napisała Aniela Łempicka. Ilustrował Andrzej Stopka. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1955; str. 506, 4 nl.

Klasycy literatury obcej

Balzac Honoriusz — *Kawalerskie gospodarstwo.* Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy. Tekst przejrzał: Julian Rogoziński. Oprawę i kartę tytułową projektował: Jan Młodożeniec. Warszawa. „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 282, 2 nl.

Defoe Daniel — *Fortunne i niefortunne przypadki sławetnej Moll Flanders urodzonej w więzieniu Newgate, która w ciągu lat sześćdziesięciu (nie licząc dzieciństwa) zmienne przechodziła koleje losu.* Tłumaczyła Krystyna Tarnowska. Ilustrował Otto Axer. Przedmową opatrzył Jan Kott. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 375, 1 nl.

Dickens Karol — *Ciężkie czasy na te czasy.* Tłumaczenie z roku 1866 Apolla Korzeniowskiego. Ilustrował Fred Walker. Przedmową opatrzył Janusz Wilhelmi. Obwolutę, oprawę i kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 307, 5 nl.

Dwadzieścia pięć opowieści Wampira. Przełożyła i opracowała Helena Willman-Grabowska. (Biblioteka Narodowa, Seria II. Nr 91). Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1955, wydanie I; str. CXXX, 239, 3 nl.

France Anatol — *Na białym kamieniu.* Przełożył Adolf Sowiński. Wstępem opatrzył S. Fiszman. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 179, 1 nl.

Ksenofont — *Wyprawa Cyrusa.* Z języka greckiego przełożył, przedmową i przypisami opatrzył Władysław Madyda. Okładkę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 230, 2 nl, 1 knl (mapa).

Majakowski Włodzimierz — *Wybór satyr.* Pod redakcją Anatola Sterna. Ilustrował Jan Młodożeniec. Przekład zbiorowy z rosyjskiego. Wiersz *Bajka o dezerterze...* ilustrował Włodzimierz Majakowski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 269, 1 nl.

Maupassant de, Guy — *Mont-Oriol.* Tłumaczyła Maria Skibniewska. Okładkę projektował: Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 302, 2 nl.

Poezja, dramat

Lau Jerzy — *Wiślane okna.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 45, 3 nl.

Kubacki Wacław — *Rzymska wiosna.* Sztuka w trzech aktach. Okładkę projektowała Liliana Baczewska. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 77, 3 nl.

Prutkowski Józef — *Gdybym był Gogolem...* Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski, Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 120, 8 nl.

Różewicz Tadeusz — *Srebrny kłos.* Okładkę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 63, 1 nl.

Simonow Konstanty — *Iwan i Maria*. Poemat. Przełożył Leopold Lewin. Szatę graficzną opracował Stefan Rzepecki. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1955; wydanie I; str. 47, 1 nl.

Wasilewski Edmund — Wybór poezji. Wyboru dokonała i wstępem poprzedziła Maria Janion. Okładkę i kartę tytułową projektował Kazimierz Wojtanowicz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1955; str. 148, 4 nl.

Wirth Andrzej — *Wiersze na kolbach*. Poezja chińskiej rewolucji. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Opracowanie graficzne: Włodzimierz Lewiński: Zdobniki: ludowe wycinanki chińskie. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1955, wydanie I; str. 196.

Proza

Biskupski Stanisław — *Pawilon S*. Okładkę i stronę tytułową projektował Mieczysław Wiśniewski. Ilustracje projektował Janusz Rocki, Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1955, wydanie I; str. 182, 2 nl.

Błahij Kazimierz — *Spotkania bałtyckie*. Okładkę projektował M. Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 314, 2 nl.

Cabaj Romuald — *Prawdziwe i nieprawdziwe*. Dolno-śląskie legendy i baśnie ludowe. Opracowanie graficzne: Zbigniew Klimczyk. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1955, wydanie I; str. 228, 4 nl.

Dobrowolski St. R. — *Warszawska karmaniola*. Obwolutę i ilustracje projektował Antoni Uniechowski. Okładkę i kartę tytułową projektowała Jadwiga Okońska. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1955, wydanie I; str. 273, 3 nl.

Dołęga-Mostowicz Tadeusz — *Kariera Nikodema Dyzmy*. Wstęp napisał Zbigniew Mitzner. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie II; str. 398, 2 nl.

Eggerath Werner — *Miasto w dolinie*. Tłumaczył Marian Dobrowolski. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 364, 4 nl.

Filipowicz Kornel — *Ulica Gołębia*. Okładkę, kartę tytułową i rysunki projektowała Jadwiga Umińska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1955; str. 319, 1 nl.

Gotsche Otto — *Głębokie bruzdy*. Przełożyła Maria Wisłowska. Okładkę projektował: Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 486, 2 nl.

Herbert Edwin — *Garść ziarna*. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1955, wydanie I; str. 200, 2 nl.

Katajew Walentin — *Czasie, naprzód!* Powieść — kronika. Przełożyli Wanda Grodzieńska i Seweryn Pollak. Ilustrował i okładkę projektował Aleksander Winnicki. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 317, 1 nl.

Kwiatkowski Tadeusz — *Pomnik na miarę*. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 223, 1 nl.

Kuczyński Bogusław — *Prządka*. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 178, 2 nl.

Kurczab Jan — *Nurt*. Opowieść o pewnym teatrze. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1955; str. 577, 1 nl.

Machejek Władysław — *Dzwony*. Okładkę projektował Leszek Jesionkowski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1955; str. 334, 2 nl.

Monod Martine — *Whisky królowej*. Tłumaczyła Jadwiga Dmochowska. Okładkę projektował Wojciech Wenzel. Warszawa, „Czytelnik" 1955, wydanie I; str. 255, 1 nl.

Parandowski Jan — *Niebo w płomieniach*. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie V; str. 321, 3 nl.

Pierwiencew Arkadij — *Nad Kubaniem*. Tłumaczył Tadeusz Jakubowicz. Okładkę i stronę tytułową projektował Stefan Rzepecki. Warszawa, Wyd. MON, 1955, wydanie I; str. 783, 1 nl.

Ponitycki Józef — *Kaczmerek mogowa*. Przygody śląskiej czelodki. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1955; str. 311, 3 nl.

Putrament Jerzy — *Rozstaje*. Okładkę i kartę tytułową projektował Jan Samuel Miklaszewski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1955, wydanie II; str. 451, 5 nl.

Saburow Aleksander — *Za linią frontu*. Tłumaczyła z rosyjskiego Maria Mongirdowa. Okładkę i kartę tytułową projektował Mieczysław Wiśniewski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1955, wydanie I; str. 422, 2 nl.

Sekera Józef — *Dzieci z glinianej wsi*. Tłumaczyła Jadwiga Bułakowska. Okładkę i kartę tytułową projektowała Barbara Kusek. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 483, 1 nl.

Szelburg-Zarembina Ewa — *Krzyże z papieru*. Okładkę projektował Andrzej Jeżowski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1955, wydanie I; str. 125, 3 nl.

Świderska Alina — *Adam*. Okładkę i rysunki wykonała T. Stankiewicz-Chamielec. Warszawa, „Pax", 1955, wydanie I; str. 336, 4 nl.

Teitelboim V. — *Syn saletry*. Tłumaczyli: Kalina Wojciechowska i Kazimierz Zawanowski. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 349. 3 nl.

Wasilewska Wanda — *Pisma zebrane*. Tom. I. *Olbicze dnia. Ojczyzna. Ziemia w jarzmie*. Okładkę i strony tytułowe projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1955, wydanie I; str. 630, 2 nl.

Antologie

Antologia noweli bułgarskiej XIX i XX w. Wyboru dokonał i przedmową opatrzył Bronisław Cirlić. Tłumaczył Bronisław Cirlić i Halina Kalita. Rysunki i opra-

cowanie graficzne: Wojciech Wenzel. Noty biograficzne: Bronisław Cirlić. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 722, 6 nl.

Essay i krytyka

O sztuce tłumaczenia. Praca zbiorowa pod redakcją Michała Rusinka. Materiały ze Studium Przekładowego zorganizowanego przez PEN-Club Polski w l. 1950—1953. Obwolutę projektował Zbigniew Klimczyk. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1955, wydanie I; str. 559, 1 nl.

Krytyka literacka

Pietrzak Włodzimierz — *Rachunek z dwudziestoleciem.* (Z pism Włodzimierza Pietrzaka. Pod redakcją Zygmunta Lichniaka). Warszawa, „Pax", 1955, wydanie I; str. 223, 1 nl; Lichniak Zygmunt — *Skaazny na szukanie.* (Rzecz o Włodzimierzu Pietrzaku). Warszawa, „Pax", 1955, wydanie I; str. 102, 2 nl.

Żółkiewski Stefan — *Rozwój badań literatury polskiej w latach 1944—1954.* Osobne odbicie z „Pamiętnika Literackiego". Rocznik XLV, 1954, z. 4, Wrocław, 1954; str. 96 (476).

Wspomnienia, listy

Jastrun Mieczysław — *Dziennik i wspomnienia.* Okładka, karta tytułowa, winietki Jerzego Jaworowskiego. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 221, 3 nl.

Reportaż

Dobraczyński Jan — *Notatnik podróżny.* Okładkę projektował Tadusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1955, wydanie I; str. 145, 3 nl.

Jasienica Paweł — *Opowieść o żywej materii.* Okładkę projektował Jan Zygmanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 287, 3 nl.

Publicystyka

Bouvier J. — Gacon J. — *Rok 1939.* Tłumaczył z francuskiego Aleksander Ewert. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1955; str. 249, 3 nl.

Stawiński Julian — *Pożar na Kapitolu.* Okładkę projektował Stanisław Ostrowski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1955; str. 249, 3 nl.

Satyra

Psychiczna zadra. Z programów Warszawskiego Teatru Satyryków. Wyboru dokonał Ludwik Klekow. Zdjęcia COPIA. Warszawa, „Czytelnik", 1955, wydanie I; str. 278, 2 nl.

BIOGRAFIE

Serwański Edward — *Syn odzyskanej ziemi* (Wojciech Kętrzyński). Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1955, wydanie I; str. 213, 3 nl., 1 knl. (portret).

SZTUKA

Stankiewicz Jerzy — *Strakowscy fortyfikatorzy, architekci i budowniczowie gdańscy.* Okładkę projektował Ryszard Massalski. Reprodukcje wykonał: Janusz Ciemnołoński. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1955, wydanie I; str. 94, 2 nl., 1 knl. (mapa).

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Cooper James Fenimore — *Ostatni Mohikanin.* Opowieść z roku 1757. Przełożył z angielskiego Tadeusz Evert. Ilustrował i okładkę projektował Mieczysław Majewski. Wiersze przełożył Włodzimierz Lewik. Warszawa, 1955, „Iskry"; str. 312, 4 nl.

Curwood J. O. — *Najdziksze serca.* Przełożył Jerzy Marlicz. Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Okładkę projektował Stanisław Töpfer. Warszawa, 1955, „Iskry"; str. 164, 4 nl.

— *Włóczęgi północy.* Przełożył Jerzy Marlicz. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 174, 2 nl.

Fast Howard — *Ostatnia granica.* Tłumaczyła z języka angielskiego Zofia Meissner. Ilustrował Aleksander Winnicki. Mapkę wykonał Jerzy Wójcik. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1955, wydanie IV; str. 286, 2 nl.

Gołębiowski Bronisław — *Świetlica w Brzeźnicy.* Okładkę projektował Czesław Borowczyk. (Biblioteczka Aktywisty ZMP). Warszawa, „Iskry", 1955; str. 84, 4 nl.

Hen Józef — *Smolakowo.* Ilustrował Jan Rocki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1955, wydanie II; str. 34, 2 nl.

Jefriemow J. — *Wyprawa Ba-Wer-dżeda.* Tłumaczyła Jadwiga Milnikiel. Okładkę i kartę tytułową projektował Janusz Grabiański. Posłowie Tadeusza Andrzejewskiego. Warszawa, 1955; „Iskry"; str. 147, 5 nl.

Koleśnikow M. — *Szczęśliwa oaza.* Przełożył Mikołaj Dąb. Okładka i ilustracje Aleksandra Winnickiego. Warszawa, 1955, „Iskry"; str. 239, 5 nl.

Koźniewski Kazimierz — *Półchłopek.* Okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 252, 4 nl.

Krempa Jerzy — *W zasadniczych szkołach zawodowych* (Biblioteczka Aktywisty ZMP). Warszawa, „Iskry" 1955; str. 77, 2 nl.

London Jack — *Zew krwi i inne opowiadania.* Okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 146, 2 nl.

Makuszyński Kornel — *O dwóch takich, co ukradli księżyc.* Ilustrował Konstanty Sopoćko. Okładkę projektowała Maria Mackiewicz. Warszawa, 1955, „Iskry"; wyd. II; str. 231, 5 nl.

Markowska Wanda — *Mity greckie.* Dobór ilustracji i objaśnienia Maria Bernhardt. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, 1955, „Iskry"; str. 237, 3 nl.

Połosuchin P. P. — *Ze wspomnień sportowca.* Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Okładkę projektował Władysław

Jabłoński. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 254, 2 nl.

Seymour - Tułasiewicz Lilian — *Dzielnica Wielkich Kufrów*. Okładkę projektował Bohdan Bocianowski. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 290, 2 nl.

Spiridonow Wasilij — *Szlakiem śmiałych*. Przełożył K. A. Jaworski. Okładkę projektował Jan Śliwiński. Winiety z wydania radzieckiego J. Makarowa. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 204, 4 nl.

Szymański Edward — *Zgaduj zgadula*. Ilustrował Leopold Buczkowski. Warszawa, 1955, „Nasza Księgarnia"; wyd. I; str. 31, 3 nl.

Turek Ludwik — *Żagle na masztach*. Przełożyły z języka niemieckiego Wanda Jeżewska i Maria Kaprowicz. Ilustrował Heinz Bormann. Okładkę, stronę tytułową i wyklejkę projektował Mateusz Gawryś. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1955, wydanie I; str. 231, 1 nl.

Twain Mark — *Przygody Tomka Sawyera*. Przełożył Kazimierz Piotrowski. Ilustrował Antoni Uniechowski. Okładkę projektował Jan Lenica. Warszawa, „Iskry", 1955; str. 232, 4 nl.

Wigdorowa F. — *Na trudnym szlaku*. Przekład W. Komarnickiej. Ilustrowała Maria Mackiewicz. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1955, wydanie I; str. 434, 2 nl.

Wybrane zagadnienia z historii ruchu młodzieżowego w Polsce. Program dla kółek dyskusyjnych. (Związek Młodzieży Polskiej, Zarząd Główny). Warszawa, wrzesień 1955.

Wygodzka E. — *Niebezpieczny zbieg*. Przełożyła Nadzieja Drucka. Ilustrował Aleksander Winnicki. Okładkę projektował Janusz Sternny. Warszawa, 1955, „Iskry"; str. 301, 3 nl.

Zimmering Max — *Pogoń za butem*. Przełożyła z języka niemieckiego Maria Wisłowska. Ilustrowała Janina Jasińska. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1955, wydanie I; str. 122, 2 nl.

Żukowski W. — *Bajka o carewiczu Iwanie i o burym wilku*. Tłumaczył Anatol Stern. Ilustrował Michał Bylina. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1955, wydanie II; str. 39. 1 nl.

W najbliższych numerach ukażą się:

Jerzy Andrzejewski

O „LORDZIE JIMIE"

Roman Karst

O HEINEM

Tadeusz Kubiak

WIERSZE

Zofia Nałkowska

Z TEKI POŚMIERTNEJ

Andrzej Stawar

O GAŁCZYŃSKIM (część druga)

Vercors

OPOWIADANIE

Cena zł 7.–